

*M. J. ROSE*

WENUS  
W SIECI



Mój Wróg się starzeje  
Nareszcie doczekałam Zemsty  
Smak na Nienawiść odchodzi  
Jeśli ktokolwiek chciałby się pomścić  
Niechże się spieszy - Jadło znika  
To pozbawione smaku Pożywienie  
Złość nakarmiona natychmiast umiera  
A zagłodzona pęcznieje

Emily Dickinson

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Najukochańsza moja!

Po wielu miesiącach muszę się do tego przyznać. Nie ma niczego takiego na tym świecie, co zmniejszyłoby moją tęsknotę za tobą. Nic nie złagodzi ostrego jak brzytwa bólu, który budzi mnie każdego ranka, a wieczorem nie pozwala zasnąć. Ale jak tu spać, kiedy te kobiety nie ustają ani na moment. Chociaż nie, to nie kobiety, tylko wiedźmy, które polują, rzucają urok i biorą w posiadanie dusze. Nikt nie zdaje sobie nawet sprawy, jak bardzo są niebezpieczne, nikt nie wie, że w ich żyłach płynie samo zło. Zło, które nocą lśni tajemnym blaskiem i stanowi pożywkę dla ćpunów, którzy ślinią się, wlepiając wzrok w ich nagie piersi i wilgotne wargi, zasłuchani w ich ciche pojękiwania i sprośne słowa; którzy dotykają się, gładzą, pocierają, doprowadzają się do orgazmu, a potem omdlewają w jakiejś amnezji, żeby w końcu gwałtownie zderzyć się z rzeczywistością.

Do twoich urodzin zostały dwadzieścia trzy dni. Pragnę udowodnić ci, jak bardzo cię kocham, a zatem obiecuję, że do tego czasu te pięć kobiet spotka kara.

To, co zamierzam uczynić, nie przywróci mi apetytu, ciekawości życia ani energii. Na nic mi się to nie zda. Zrobię to wyłącznie dla ciebie.

**Czwartek**  
**Pozostały dwadzieścia dwa dni**



## ROZDZIAŁ DRUGI

Niech to cholera, co za przeraźliwe zimno. Jakiś czas temu otworzył okno, by przegnać zapach piwa, trawki i seksu, po czym zasnął. Teraz w pokoju panował taki ziąb, że nie chciało mu się wytknąć spod kołdry nawet nosa, by sprawdzić, czy ona jeszcze tu jest. Ale ponieważ bardziej niż czegokolwiek innego pragnął przeżyć to jeszcze raz, więc ostatecznie zsunął koc na tyle, by spod niego wyrzeć.

W swojej przyciemnionej sypialni widział tylko ją. Tak, wciąż tu jest. W dalszym ciągu naga. Jej piękne piersi z różowymi sterczącymi sutkami. Jego członek budził się do życia. Teraz Timothy już nie spał, zamiast śnić wyobrażał sobie, co przyniesie kilka najbliższych minut. Nazwałby ją złocistą. To chyba najlepsze określenie na odcień jej skóry, jej płowych długich kręconych włosów, a także tej palącej jak słońce gorączki, którą czuł, kiedy znajdował się w kręgu jej złotego blasku. Wystarczyło, że leżał na plecach i poddawał się działaniu jej magii. Nie musiał nic więcej robić.

Żadna z dziewczyn w szkole nie jest taka doświadczona.

Ani taka wspaniała.

Ani taka chętna.

Penny nadal siedziała w dużym czerwonym fotelu, gdzie ją widział, zanim zasnął. Rozstawiwszy nogi, bawiła się sztucznym penisem i uśmiechała się do niego. Ale ten uśmiech był jakiś dziwny. Pochylił się do przodu. Tak, Penny wygląda kiepsko. Wstrząsają ją dreszcze, a jej wargi wykrzywia grymas

klowna. Potem spuściła głowę, zgięła się w pół i zwymiotowała.

Timothy miał już do czynienia z różnymi zбочzeniami, ale to było wyjątkowe. Jakim trzeba być dewiantem, żeby podniecać się czymś takim?

Zazwyczaj Penny była wstydliva, słodka i seksowna. Jasne, zdarzała jej się odrobina perwersji, kiedy na przykład uprzyjemniała sobie czas sztucznymi penisami o różnych fantazyjnych kształtach, ale teraz nie podniecała się żadną z tych czarodziej-skich różdżek.

- Penny - szepnął. - Co robisz?

W odpowiedzi jęknęła przejmująco. Cicho i słabo. Jak ranne zwierzę. W niczym nie przypominało to podniecających dźwięków, jakie wydobywały się z jej ust, kiedy ujeżdżała plastikowy różowy penis i dochodziła razem z nim.

Może zatem nie udaje. Może naprawdę jest chora. Może to zatrucie pokarmowe. On także kiedyś czymś się zatruł. Wygląda na chorą, prawda? Jej skóra lśni od potu, włosy przykleiły się do policzków, oczy ma szklane i błyszczące jak w gorączce.

Najwyraźniej potrzebuje pomocy. Teraz. I to szybko. Ale co on może zrobić?

Ściągnął z łóżka koc i owinał się nim w pasie, zakrywając nagość, po czym ruszył do drzwi sypialni. W progu przystanął - jest w domu sam. Rodzice wyszli. Jezu, o czym on myśli? Dzięki Bogu, że rodziców nie ma, ponieważ Penny, niezależnie od tego, czy jest chora, czy też nie, zdecydowanie przekroczyła granice.

Spojrzał na nią ponownie. Tak, wciąż porusza się w zwolnionym tempie, jak chory człowiek, i jęczy już

nieprzerwanie, aż miał ochotę zakryć uszy, żeby tego nie słyszeć.

Chwycił słuchawkę telefonu.

Zadzwoni po pomoc. Ale do kogo? Na policję? Po karetkę? Do Amandy? Czy ona wiedziałaby, co zrobić? Nie, za to mogłaby powiedzieć o tym swojej matce. Nie może tak ryzykować. Poza tym niewykluczone, że się myli. Może to tylko gra? Może Penny udaje, żeby zadowolić jakiegoś zbrodnicę? Wiedział, że od czasu do czasu spełnia czyjeś życzenia.

Po raz kolejny zerknął na nią, na jej drobne dłonie ściskające podłokietniki, na stopy, takie małe i arcydelikatne, na zniszczony dywan, którego dotąd nie zauważał. Teraz wszystko sprawiało na nim żałosne wrażenie - skromne meble, naprawdę mały telewizor - wszystko poza widokiem z okna. Do tej pory na żadną z tych rzeczy nie zwracał uwagi. Zawsze był zbyt zajęty, oczarowany. Ale nie teraz. Teraz już nie.

Podnieś głowę, Penny. Spójrz na mnie. Powiedz mi, co się dzieje. Co mam zrobić?

Znowu zwymiotowała.

Wybrał numer 911.

- Proszę powiedzieć, co się stało.

W tej samej chwili, kiedy usłyszał głos w słuchawce, ekran zgasł. Podbiegł do komputera, ale na ekranie widział tylko odbicie swojej przerażonej twarzy.

Penny zniknęła.

Co, do diabła?

Nacisnął przycisk „powrót”, by sprawdzić, czy to jej, czy może jego komputer nawalił. Na ekranie pokazała się strona, którą wcześniej oglądał. Nacisnął przycisk „dalej”.

Strona Penny zniknęła.

- Halo? - krzyknął ktoś po drugiej stronie słuchawki. - Halo?

W jednej chwili opadły go dziesiątki wątpliwości. Kiedy zapytają go o nazwisko, będzie musiał odpowiedzieć, a wtedy jego rodzice dowiedzą się, że znowu złamał zasady i Bóg jeden wie, jak tym razem zareagują. Ponieważ chodził na te durne sesje terapeutyczne w szkole, rodzice w końcu trochę mu poluzowali, ale jeśli usłyszą o tym... co wtedy?

Poza tym może się mylić. Może Penny bierze udział w jakiejś głupiej zabawie.

- Halo?

- Halo - odparł wreszcie Timothy.

- Może mi pan powiedzieć, co się stało?

- Nic... Chyba nic. To chyba jednak nic ważnego.

- Wysłaliśmy już do pana samochód. Jest pan ranny?

- Nie, to pomyłka. Nic takiego.

- Nic panu nie jest?

- Nie, nie chodzi o mnie. Myślałem, że ktoś...

zdawało mi się, że ktoś się włamuje do... ale nie... to był tylko sen.

- Policja jest już w drodze, powinni być za niecałe pół minuty. - Głos telefonistki złagodniał.

Timothy usłyszał z kuchni dzwonek domofonu. Odłożył słuchawkę, wybiegł z pokoju do holu, czując w żołądku rosnącą panikę, jakby zbierała się tam zółć.

Nacisnął przycisk.

- Tak?

- Timothy, jest tu policja - oznajmił dozorca.

- Twierdzą, że to pilne. Wysyłam ich na górę.

- Nie! - krzyknął. - Chcę z nimi rozmawiać. Zapadła cisza. Po chwili ktoś się odezwał:



- Timothy Marcus? Tu oficer Kally. Czy na górze coś się stało?

- Nie.

- Na pewno? Dzwonił pan na dziewięćset jedenaście.

- Tak, ale to pomyłka. Spałem i coś mi śniło, zdawało mi się, że widziałem... słyszałem coś, ale to był sen.

- Na pewno nie chce pan, żebyśmy weszli i sprawdzili?

Timothy zawahał się. Czy powinien powiedzieć im prawdę i ponieść wszelkie konsekwencje? Stawić czoło temu, co wymyślą jego rodzice? W końcu to, co widział na ekranie komputera, nie było całkiem normalne. Przecież ona faktycznie była chora, prawda?

A może jakiś pieprzony zboczeniec kazał Penny odegrać ten chory scenariusz?

- Na pewno - powiedział do słuchawki domofonu.

**Poniedziałek**  
**Pozostało osiemnaście dni**



## ROZDZIAŁ TRZECI

Wkrótce znowu zacznie padać śnieg. Czuję to. Kiedyś wydawało mi się, że śnieg ma w sobie jakąś magię. Do chwili, kiedy skończyłam dziesięć lat, myślałam, że i ja posiadam magiczne zdolności, ponieważ nazywam się Snow, czyli śnieg. Morgan Snow.

Szarość zasnęła niebo, warstwa bieli przysypała drzewa, w powietrzu płyną chmurki mojego oddechu. W dzieciństwie byłam nimi zafascynowana, a teraz wzbudzają zachwyt mojej córki, Dulcie.

- To oddech ducha - stwierdziła kiedyś, po czym wciągnęła głęboko powietrze i znów je wypuściła.  
- Wierzysz w duchy, mamo?

Tak, wierzę, ale nie tak samo jak moja córka, która miała wówczas osiem lat. Jak miałabym jej wyjaśnić, że żyje w niej duch mojej matki? I że istnieją także duchy sekretów powierzanych mi przez moich pacjentów, które czasem wypływają na powierzchnię w samym środku milej dla mnie chwili i natrętnie domagają się uwagi. Że to właśnie w międzyczasie, pomiędzy takimi chwilami, mam nadzieję, że wszystko się ułoży, że wszyscy będziemy cali i zdrowi.

Na rogu Sześćdziesiątej Szóstej przystanąłam na czerwonym świetle. Kobieta w czarnym futrze zniecierpliwiona przestąpiła z prawej nogi na lewą.

- Nienawidzę tej pogody - powiedziała w zaskazdnie nie do mnie, ale też nie do siebie.

Skinęłam głową, a potem światło się zmieniło.

Przeszliśmy przez jezdnię i udałyśmy się w przeciwnie strony.

Północny wschód kraju przeżywał ostry atak zimy, ale mnie to nie przeszkadzało. Lubię ubierać się na cebulkę, w kilka swetrów i ocieplane botki, owijać głowę grubym szalem i pokonywać na piechotę około półtora kilometra dzielące moje mieszkanie na rogu Osiemnastej i Madison od mojego gabinetu.

Na Sześćdziesiątej Piątej skręciłam i brnęłam dalej w stronę Park Avenue. Na bocznych ulicach nie było tak dużego ruchu jak na głównych arteriach miasta, więc śnieg topił się tam dużo wolniej. Pochodzący z początku dwudziestego wieku budynek z wapienia, w którym pracuję, mieści się w połowie przecznicy. Jego fasada jest elegancka: jońskie kolumny podtrzymują występ tworzący schronienie dla pacjentów, którzy czekają, aż ktoś domofonem otworzy im drzwi z kutego żelaza prowadzące do najbardziej nowoczesnej poradni seksuologicznej w kraju - Instytutu Butterfielda.

Na wsi śnieg jest nieskazitelnie czysty i biały, można nabrać go w garść i zjeść. Ale w mieście spaliny z tysięcy samochodów osobowych, autobusów i ciężarówek w ciągu paru godzin zamieniają jego biel w szarość.

Obok kratki ściekowej na chodniku przed instytutem wznosiły się brudne kopce czarnego od sadzy śniegu. Za to bliżej budynku, tam, gdzie stałam, biały puch wciąż zachował swoją biel, i miał taki pozostać jeszcze przynajmniej przez parę godzin.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Pacjent z godziny dziesiątej właśnie wyszedł. Sięgałam akurat po telefon, kiedy kolejny pacjent, znany mi tylko z imienia Bob, pojawił się w gabinecie, przed czasem i bez zapowiedzi.

- Miałem okropny tydzień - oznajmił spiętym głosem, przekraczając próg.

Bob, który zwykle trzymał się prosto jak strzała, tym razem był przygarbiony. Tuż za nim weszła Allison, nasza recepcjonistka, i wyjaśniła, że próbowała go zatrzymać, ale gdy tylko się dowiedział, że poprzedni pacjent skończył sesję, nie chciał dłużej czekać.

Siedziałam w dużym fotelu zwróconym w stronę kanapy, na której kładli się albo siadali moi pacjenci. Zerknęłam w prawo na zegar.

- Pana sesja zaczyna się o jedenastej - powiedziałam do Boba, a następnie podziękowałam Allison.

Czekając, aż Bob zajmie miejsce, popijałam herbatę z kubka. Zielone litery na białym tle. To był jeden z kompletu sześciu kubków, które zrobiła dla mnie Dulcie. Na każdym wypisała jakiś żart czy kalambur związany z psychoanalizą. Na tym znajdował się napis: Jung at Heart.\* Zdumiewało mnie, że tylu pacjentów tydzień po tygodniu widziało, jak pije z tych kubków, aż tu pewnego dnia ni stąd, ni zowąd zauważali:

---

\* Gra słów. Jung Carl Gustav (1875-1961), szwajcarski psycholog i psychiatra, twórca tzw. psychologii analitycznej. Jung wymawia się p o ang. jak young (młody). Young At Heart - młody duchem. Przepis tłum.

- Jakie to zabawne! Od kiedy pani to ma?

To był ważny moment. Oznaczał, że robimy postęp, że mój pacjent zaczyna dostrzegać otoczenie i nie jest już zaabsorbowany wyłącznie swoją osobą. Bob jeszcze nie dotarł do tego punktu.

On do tej pory nie zdradził mi nawet swojego nazwiska. Miałam już pacjentów pragnących chronić swoją prywatność. A jednak nikt nie prześcignął w tym Boba, inteligentnego i czarującego, skupionego i skrytego, i bardzo potrzebującego mojej pomocy.

- Mam tylko piętnaście minut przerwy między sesjami. To nie w porządku, żeby mi je zakłócać.

Ale Bob nie był w stanie myśleć o czymkolwiek innym poza własnymi problemami.

- Bardzo martwię się o żonę. Mimo wszystko ją kocham. Nie mogę tego znieść. - Zwykle starannie składał kurtkę, lecz tym razem, nie przestając mówić, rzucił ją na kanapę i nawet nie spostrzegł, że zsunęła się na podłogę.

- Co takiego wydarzyło się podczas weekendu? Bob ledwie przekroczył pięćdziesiątkę, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i sylwetkę człowieka, który sumiennie ćwiczy. Na jego garniturach nie znalazłoby się śladu zagnieceń, a jego buty lśniły. Na głowie stale nosił czapkę bejsbolówkę New York Yankees, która zupełnie nie pasowała do całej reszty. Jego oczy zasłaniały okulary o przyciemnionych szklach, w czarnych okrągłych oprawkach.

Nie wiedziałam, czy wysiłki Boba mające na celu ukrycie tożsamości okazały się skuteczne, czy może nie był tak znaną postacią, za jaką się uważał. Byłam za to przekonana, że sama ewentualność, iż ktoś mógłby zobaczyć go w Instytucie Butterfielda, do-

prowadzała go do paranoi. Bez końca przypominał mi, jak fatalnie odbiłoby się to na jego karierze zawodowej - oraz karierze jego żony - gdyby jego „sprawa”, jak to nazywał, przedostała się do wiadomości publicznej.

Nie płacił rachunków czekami ani za pośrednictwem firmy ubezpieczeniowej. Dwa razy w miesiącu, dziesięć minut przed przyjściem Boba, zjawiał się u mnie niejaki Terry Meziac, ubrany w garnitur, z teczką w dłoni, i wręczał mi kopertę zawierającą nowe studolarowe banknoty, przy okazji omiatając wzrokiem mój gabinet w poszukiwaniu podsłuchu.

Nigdy niczego nie znalazł. Nie obawiałam się, że coś znajdzie. Ale od jego trzeciej wizyty, kiedy dostrzegłam, że za pasem nosi rewolwer, od czasu do czasu zastanawiałam się, czy moje życie nie jest zagrożone. W końcu wysłuchiwałam zwierzeń Boba.

W starożytnym Egipcie architektów piramid, jedynych ludzi, którzy znali wejścia i wyjścia do tych kamiennych labiryntów, po ukończeniu budowy zabijano, i tajemnice umierały wraz z nimi.

Zresztą to nie rewolwer tak bardzo mnie zaniepokoił. Umawiałam się na randki z pewnym detektywem. Mieszkałam na Manhattanie. Mnóstwo ważnych osobistości miało ochroniarzy. Niepokoiło mnie, że sam fakt uczestnictwa w terapii wywoływał u Boba taki strach. Korzystał nawet z naszego ukrytego wejścia, które ma połączenie z suteroną sąsiedniego budynku. Zazwyczaj nie zachęcamy pacjentów, by tamtędy wchodzili, ponieważ powoduje to logistyczne koszmary dla Allison, która kieruje ruchem pacjentów i pilnuje, by dwie osoby nie stanęły

w drzwiach w tym samym czasie. W ciągu minionych sześciu lat tylko jeden pacjent prosił o pozwolenie na korzystanie z dodatkowego wejścia.

Pracownicy Instytutu Butterfielda dochowują tajemnic. Strzeżemy ich i chronimy je tak, jak chronimy nasze dzieci. Obiecujemy to naszym klientom, przysięgamy im to, od tego bowiem zależy nasza opinia. A ponieważ tajemnica jest dla nas rzeczą najcenniejszą, patrząc na budynek instytutu od zewnątrz nikt nie znajdzie choćby najmniejszego śladu sugerującego, że znajduje się tam prestiżowa klinika zaburzeń seksualnych. Mimo to czasami klienci denerwują się, że ktoś zobaczy, jak wchodzi do środka przez drzwi z kutego żelaza z szybami z mlecznego szkła.

Minęły trzy, może cztery minuty, a Bob się nie odzywał. Wystukiwał palcami jakiś kod na skórzanej kanapie, tylko w ten sposób zakłócając ciszę w gabinecie. Oceniałam stopień jego paniki na podstawie tempa tego bębnienia. To był jeden z najgorszych dni Boba w ciągu trzech miesięcy, bo tyle już trwały nasze spotkania.

- Nie wiem, jak uratować żonę i siebie. A muszę ją uratować. - Jego głos złągodniał.

- Dlaczego to pan mają uratować? Czy ona sama nie może tego zrobić?

- Tak, tak, ale to ja urządziłem jej to piekło.

- Mówiliśmy już o tym: bierze pan na siebie całą winę.

Bob zmarszczył czoło. Nigdy nie pozwalał mi wyrażać się źle o jego żonie. Ona była bez zarzutu. Ona była aniołem. Ona była niewinna.



- To nie ona surfuje po Internecie, to nie ona masturbuje się, patrząc na śliczne lolitki, które szepczą brzydkie wyrazy w samym środku popołudnia. Może...

Za oknem mojego gabinetu na pierwszym piętrze rozległ się klakson.

- Tak?

- Może powinienem poszukać sobie innego terapeuty.

To mnie nie zaskoczyło. Często sfrustrowany pacjent wyobraża sobie, że inny lekarz rozwiąże jego problemy.

- Możemy o tym porozmawiać. Ale najpierw proszę mi opowiedzieć, co się dzieje w domu.

- Moja żona... ona przeżywa kolejny kryzys. To już nie jest depresja, to katastrofa. I tylko ja jestem temu winien. Ona jest nieobliczalna. Wybuchowa. W jednej chwili krzyczy, a zaraz potem płacze. Nie mogę na to patrzeć. Zrobię wszystko, żeby to powstrzymać. Żeby ją uszczęśliwić. - Zawahał się.

- Jeśli zdołam. Zrobię wszystko, co mogę.

- Wiem, myśli pan, że to pańska wina, ale...

- Ja nie myślę, że tak jest, doktor Snow, ja to wiem.

- Proszę mi to wyjaśnić w takim razie.

- Czy mam to przeliterować?

„Przeliterowanie” to był szyfr, który znaczył, że Bob po raz kolejny przerwał post i wszedł do Internetu. Odkąd się spotykaliśmy, najdłużej opierał się swojej obsesji przez pięć dni, a zdarzyło się tak dwa razy. Poprzedniej środy oświadczył, że jest gotowy znowu z tym zerwać i okazało się, że wytrzymał dwie noce.

- Nie. Nie musi pan tego przeliterowywać, jeśli pan nie chce, ale chciałabym usłyszeć, co się stało.

- Jestem niegrzeczny, znowu wszedłem do Internetu. Bardzo starałem się tego nie robić. Powstrzymałem się przez dwa dni. Tak jak mówiłem pani w ostatnią środę rano. Ale w czwartek... nie wiem... siedziałem w domu sam. Włączyłem Internet, żeby sprawdzić pocztę i... kliknąłem... nic takiego... tylko na parę minut. W każdym razie nie słyszałem, jak żona wróciła do domu. Byłem tak głęboko pogrążony w swoich fantazjach i tej pieprzonej rozkoszy, że jej nie słyszałem. I ona mnie przyłapała. Zobaczyła mnie przed tym pieprzonym komputerem. Nie słyszałem jej. Nie zauważyłem.

Bob wstał, podszedł do okna i położył dłonie na szybie, jakby mógł ją pchnąć i uciec.

- Czy ktoś może nas widzieć przez to okno? Czy szyba jest przyciemniona?

- Nie, nie jest.

Odwrócił się gwałtownie. Przez sekundę wyglądał, jakby nie wiedział, co zrobić. Stać? Usiąść? Wyjść?

- Bob, powinien pan położyć się albo usiąść. Skinął głową i zrobił, jak prosiłam.

Siedząc w milczeniu na kanapie, złożył dłonie na kolanach i wlepił wzrok w obręczkę z białego złota.

- Bob, kiedy wspomniał pan o wejściu do Internetu, nazwał pan siebie niegrzecznym chłopcem. Jak to jest być niegrzecznym, jak pan się wtedy czuje?

- Koszmarnie. Podle. Nie panuję nad sobą. A jak można się czuć?

- Sądząc z wyrazu pańskiej twarzy, kiedy pan o tym mówił, bycie złym i niegrzecznym jest pod-

niecające. A w każdym razie emocjonujące. Czy to możliwe?

Wydawał się zaskoczony.

- Nie. To bzdura. Dlaczego miałbym znajdować przyjemność w łamaniu zasad? Zasady, prawa, w końcu to one różnią nas od dzikusów.

Pojawiła się dysocjacja jaźni. Nie po raz pierwszy. Bob siedział teraz sztywniej, za to dłonie miał rozluźnione. Mówił, jakby zwracał się do grupy osób, a nie tylko do mnie, w jakimś innym pomieszczeniu, a nie w moim gabinecie. Musiałam ściągnąć go na ziemię.

- Co pan czuje na myśl, że pańska żona już wie o pańskim powrocie do Internetu?

- Nie chciałem, żeby się dowiedziała. Nie jestem sadystą. To chyba jasne, prawda? - Spojrzał mi prosto w twarz, błagalnie. To mnie poruszyło. W takich chwilach jego dziecięca potrzeba bycia zauważonym i uznanym przebijała się przez mur mojej profesjonalnej obojętności.

- Nie, nie jest pan sadystą. Ale wróćmy do pytania. Czy to jedyny powód, dla którego pan to przed nią ukrywa?

- A czy to mało?

- Nie. Tylko nie jestem pewna, czy to wszystko. Proszę się zastanowić przez chwilę, Bob. Dlaczego nie chce pan, żeby żona o tym wiedziała?

- Dlaczego pani mi tego nie wyjaśni? Nie rozumiem, dlaczego terapii miałyby zaszkodzić, gdyby pani sporadycznie coś zasugerowała. Niech pani posłuży się przykładem innego pacjenta - bez nazwisk, oczywiście - żeby zilustrować ten problem.

Bob nierzadko zachowywał się w ten sposób - przerywał terapię i próbował pojąć mechanizm,

który się za nią kryje. Od czasu do czasu taktyka ta okazywała się zabójcza, ale często miałam świadomość, że wynikała z głębokiej potrzeby zrozumienia zasad tego procesu. Bob był bardzo inteligentny, a ja stwierdziłam, że kiedy nie lekceważę jego pytań, lepiej ze mną współpracuje.

- W tym wypadku nie mam odpowiedzi. Ale coś każe mi podejrzewać, że nawet jeśli nie jest pan tego świadomy, istnieje jakiś inny powód. Chciałabym, żeby pan go znalazł.

Bob siedział. Myślał. Wydawało się, że zaakceptował moje rozumowanie.

- Okej. A więc dlaczego nie chce pan, żeby pańska żona o tym wiedziała?

Ściągnął brwi, a potem jego czoło się wypogodziło. Coś mu przyszło do głowy.

- Proszę mi powiedzieć.

- Bo to wszystko niszczy.

Skinęłam głową bez słowa. Czekałam. Wiedziałam, że to nie koniec. Po dziesięciu latach prowadzenia terapii człowiek wie, kiedy koniec jednego zdania oznacza, że nastąpi ciąg dalszy, albo kiedy pacjent znowu się zamknął i trzeba dotrzeć do niego jakąś inną drogą.

- To już nie dotyczy tylko mnie. Nawet jeśli to jest piekło, do tej pory to było moje piekło. Ona nie przekroczyła jego granic. A teraz, jak już wie, może leżeć w łóżku i wyobrażać sobie, że oglądam te żalotne lolitki w sieci, że ściskam swój penis, i może się ze mnie śmiać, z mojego uzależnienia.

- Dlaczego sądzi pan, że śmiałyby się z pana? Czy już kiedyś się śmiała?

- Nie - rzucił ostro. Zdecydowanie.

- Więc dlaczego teraz miałyby to robić?

Pokręcił głową.

- Proszę powiedzieć pierwszą rzecz, jaka przyjdzie panu na myśl.

Znowu pokręcił głową. Wrócimy do tego. Albo dowiem się w jakiś inny sposób.

- Co się stało po tym, jak pana przyłapała?

- Uśmiechnęła się do mnie. - Tym razem potrząsała głową, jakby próbował strząsnąć z siebie tę wizję. - Było w tym jakieś szaleństwo. Szaleńczy uśmiech. Jakby naprawdę na moment straciła rozum. I tak się dziwnie uśmiechała. Przeróżające. Ale najgorsze było to, że nawet kiedy chciałem wstać, wziąć ją w ramiona i obiecać, że to się nigdy więcej nie powtórzy, to tego nie zrobiłem. Tylko siedziałem.

Z Bobem coś się działo. Jego wzrok nie był już tak skupiony. Mięśnie twarzy ułożyły się znowu w profesjonalną maskę.

- To nie mogło być bardziej ironiczne - rzekł władczy, niemal pozbawionym emocji głosem.

- Co nie mogło być bardziej ironiczne?

- Ja. Włączyłem Internet... - Urwał w połowie zdania.

Dałam mu chwilę, by dokończył. Potem jeszcze kilka sekund. Znaleźliśmy się w punkcie krytycznym. Wiedziałam, że muszę zachować ostrożność, naciskać, ale nie za mocno.

- Powiedział jej pan coś?

- Próbowałem z nią rozmawiać. Powiedziałem, że to nic takiego. Że przypadkiem trafiłem na tę stronę. Okłamałem ją.

No i proszę. Kiedy oznajmił mi, że skłamał, w jego głosie usłyszałam dziwną radość. Poczułam

przyływ adrenaliny. Nieczęsto się zdarza, że pewne okoliczności zachodzą w życiu człowieka we właściwym momencie jego terapii, by doprowadzić do takiego otwarcia.

- Bob, jak pan się czuł, okłamując żonę?

- Okropnie.

Wcale nie. Byłam przekonana, że nie mówi prawdy. Słyszałam to w jego głosie, widziałam w sposobie, w jaki nagle złożył dłonie, zakrywając obrączkę palcami drugiej ręki.

- Naprawdę? Okropnie?

- Tak. Kłamstwo jest czymś potwornym. Okłamywanie własnej żony...

- Zgoda, ale człowiek, który kłamie, wcale nie musi czuć się okropnie tylko dlatego, że samo kłamstwo jest czymś z gruntu rzeczy złym.

Przytaknął. Wiedział o tym. Czy teraz się przyzna?

- Wcale nie czuł się pan okropnie, prawda?

Pokręcił głową.

Zapytałam ciszej:

- Jak pan się czuł, Bob?

Zamknął oczy. Nie chciało mu to przejść przez gardło. To nieważne. Wiedziała, że dopuścił to do swojej świadomości. Dotrzemy do tego w swoim czasie. Był tak blisko zrozumienia, że kłamstwo sprawiło mu przyjemność.

- Czy ona panu uwierzyła?

- Nie. I powiedziała mi to. Spytała, jak często mi się to zdarza, a ja znowu skłamałem. Odparłem, że zwykle, kiedy wyjeżdża z miasta. Nie chciałem jej zranić. Zabijała mnie myśl, że ją ranie. Kocham ją.

- To było skierowane do mnie błaganie, żebym już

zakończyła ten temat. Ale ja nie zamierzałam kończyć. Szybko, zanim mógł o tym pomyśleć, zapytałam znowu:

- Co pan czuł, okłamując żonę?

- Radość. - Kiedy to słowo wymknęło się z jego ust, wydawał się zmieszany.

Odetchnęłam głęboko. Właśnie przeskoczyliśmy kolejną przeszkodę.

- Dlaczego?

- Dlaczego to było takie przyjemne?

Skinęłam głową.

- Nie wiem. Niech pani mi powie. Dręczyłem ją i sprawiło mi to przyjemność. To znaczy, że jestem jakimś pieprzonym zboczeńcem? Złamałem wszelkie możliwe zasady i nic sobie z tego nie robiłem. Nie rozumiem.

Rzadko używał słowa „pieprzony”. Tego dnia natomiast posługiwał się nim dosyć często.

- Nie musi pan teraz wszystkiego rozumieć. Powinien pan tylko być otwarty na to uczucie.

A jednak Bob nie potrafił tolerować swoich uczuć. Zanim się odezwał, wiedziałam, że znowu się wycofuje. Zmienił się wyraz jego twarzy i postawa.

- To naprawdę jest bardzo obsceniczne - mówił, jakby obserwował tę scenę z dużej odległości. - Moja żona stała przed ekranem komputera, patrzyła na kobietę, która wkładała sobie do pochwy sztuczny penis w rytm jakiejś durnej rockowej piosenki. Kiedy chciałem wyłączyć komputer, krzyknęła, że mam to zostawić. I zostawiłem, z jakiegoś niezrozumiałego powodu. A ona stała tam jak żołnierz na warcie i patrzyła. Jakby odbywała wyrok. Nie mogłem tego znieść. Ja, to ja jej to zrobiłem. Mojej żonie.

Zignorowałam *non sequitur* i usiłowałam pojąć, do czego zmierza Bob.

- Co wydarzyło się później?

- Oparła się o moje ramię i powiedziała bardzo cicho: Bob, chyba ci się nie wydaje, że mnie oszukasz, co? Od wielu tygodni wiem, co tutaj robisz. Od wielu, wielu tygodni, i za to cię zabiję.





## ROZDZIAŁ PIĄTY

Detektyw Noah Jordain z wydziału specjalnego nowojorskiej policji, zajmującego się przestępstwami na tle seksualnym, stał oparty o budynek sądu okręgu Jefferson. Trzymał ramieniem komórkę przy uchu i popijał prawdziwą nowoorleańską kawę, czekając, aż jego partner, Mark Perez, odbierze telefon.

Obserwując ruch uliczny, zmrużył oczy przed oślepiającym słońcem, potem odstawił kubek na kamienny występ gmachu, wyjął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne i je włożył.

Każdy powrót do Nowego Orleanu, jego rodzinnego miasta, był dla Noaha słodko-gorzki, ale od czasu huraganu te wizyty miały w sobie także coś nierzeczywistego. Jak to możliwe, by wszystko zmieniło się do tego stopnia? Żeby tak wiele zostało jeszcze do zrobienia? A mimo to duch miasta nie umarł?

Po drugiej stronie ulicy mężczyzna o jasnej karnacji, w dzinsach, białej koszuli z krótkimi rękawami i w ciemnych okularach po raz drugi, odkąd Jordan tu stał, przeszedł wzdłuż budynków. Coś w tym jego dumnym paradowaniu niepokoiło detektywa.

Facet najprawdopodobniej sobie spaceruje, a jednak Noah nie mógł być tego pewien. Sprawa Hatterly'ego sprzed pięciu lat rozwścieczyła wiele osób, a teraz, kiedy obrońcy wygrali apelację, ci sami ludzie znowu wpadli w złość. Wiele z tej złości skierowane zostało przeciw Noahowi, którego obciążające zeznanie miało być znowu decydujące dla oskarżenia.

Mówiąc dokładniej, a Noah Jordain był dokładny, gazety donosiły, że był gwoździem do trumny Louisa Hatterly'ego. Wszyscy spodziewali się, że ten sam gwóźdź zostanie ponownie wbity.

Tymczasem na Manhattanie Perez wrócił do telefonu i kontynuował, od miejsca, w którym przerwał, opis zupełnie nowej zbrodni.

- W całym kraju operatorzy dziewięćset jedenaście otrzymali takie telefony. Według gości, którzy siedzieli w Internecie, ta babka się zabawiała, aż nagle coś jej się stało, jakby w jednej chwili ciężko zachorowała. Trwało to jakiś kwadrans. Niektórzy opisywali to precyzyjniej, inni mniej szczegółowo, ale relacje brzmiały dosyć przerażająco. A potem się rozłączali.

- Ile było tych telefonów?

- Ponad sto pięćdziesiąt. W Jersey City dwadzieścia dwa. W Dallas trzynaście. W Syracuse dwanaście. Osiemnaście w Nowym Jorku. Mam mówić dalej?

- Nie wiem, a chcesz?

- Pod warunkiem, że masz chwilę – zażartował Perez. - Telefony zaczęły się w czwartek w nocy, a skończyły w piątek nad ranem. Chociaż kilku delikwentów dopiero co się odezwało.

- Po czterech dniach?

- Wyrzuty sumienia.

- Jeśli telefony przyjmowano w całym kraju, dlaczego to my, w Nowym Jorku, mamy się tym zająć?

- Kilku gości opisywało wierzchołek budynku, który widzieli za jej oknem. Trzech nowojorczyków zidentyfikowało go jako wieżowiec Met Life.

- A my czekaliśmy na tę informację do dzisiaj, bo...?

- Wątpię, żebyś chciał to teraz słyszeć. Na pewno wolałbyś, żebym przedstawił ci ważniejsze rzeczy. To biurokratyczne bzdety, które podniosą ci ciśnienie, a za kilka minut masz zeznawać. Powiem ci tylko, że nikt nie ma zielonego pojęcia, kim jest ta dziewczyna ani gdzie jest. Cała wiedza na jej temat ogranicza się do adresu internetowego, pod którym faceci oglądali jej mały show.

- Masz jakieś szczegóły? - spytał Noah.

To była jego najczęściej powtarzana fraza. Policjanci w Nowym Orleanie - gdzie zakończył pracę przed pięcioma laty - i w Nowym Jorku nazywali go Detektyw Szczegół.

- Adres internetowy należy do witryny porno zarejestrowanej w holdingu, którego właścicielem jest inny holding, który z kolei należy do pewnej korporacji w Chinach. Nawiązanie z nimi kontaktu wymaga trochę pracy. A wszystko i tak skończy się na jakimś gościu, który siedzi w biurze na Manhattanie albo w Los Angeles czy New Jersey. Wiesz, że tak będzie. Ale najpierw musimy okrążyć świat.

- Czy cokolwiek sugeruje przestępstwo? Czy ta kobieta nie mogła po prostu zachorować? A może to samobójstwo?

- Z opisów wygląda na to, że w grę wchodzi trucizna. Być może sama ją połknęła, chociaż to mało prawdopodobne. Jak dodać do tego seks, to wygraliśmy los na loterii. Poza tym oni wiedzą, że nie mamy absolutnie nic do roboty.

- Bardzo zabawne, stary. Dobra. Uwinę się tutaj do drugiej i powinienem być z powrotem o piątej...

- Noah urwał. Nieznajomy w czapce z daszkiem znowu kroczył ulicą, już po raz trzeci. - Zadzwoń później i dowiem się, czy będę ci potrzebny.

- Dzisiaj wieczorem nie. Za mało wiemy.

- No to na razie.

Mężczyzna przeszedł przez jezdnię i kierował się w jego stronę. Noah przesunął rękę do paska i położył dłoń na rewolwerze. Zrobił to całkiem nieświadomie.

A jednak nic się nie stało. Mężczyzna przechadzał się niespiesznie, minął go, nawet na niego nie patrząc. Kiedy jednak Jordain obserwował nieznajomego w okularach, nie zauważył, że podchodzi do niego kobieta.

- Nigdy się pan nie myli, detektywie? - Pani Hatterly, matka oskarżonego, była po sześćdziesiątce. Białe włosy zaczesana gładko do tyłu, twarz miała pooraną bruzdami. Wokół jej oczu widniały czerwone obwódki. Kobieta drżała. Stała tak blisko, że czuł słodki zapach jej perfum.

- Perez, muszę kończyć. - Noah zamknął telefon.

- Pani Hatterly, przepraszam za wszystko, przez co musiała pani przejść. - Jego nowoorleański akcent rozciągnął słowo „przepraszam”.

- To, przez co ja musiałam przejść, to nic. To mój syn cierpi. Przez pana. Ponieważ pan jest taki pewny swoich racji. Nie zdaje pan sobie sprawy, że przez te pańskie racje mój syn został skazany...

Młody mężczyzna podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu.

- Mamo, wejdźmy do środka.

Ale pani Hatterly jeszcze nie skończyła z Noahem Jordainem.

- Taki pan jest pewny. A jeśli pan się myli? Nigdy pan się nie pomylił? Nigdy?

Syn odciągnął ją, zanim jej zaciśnięte pięści sięgnęły piersi detektywa.

Noah westchnął. Koledzy gliniarze twierdzili, że przywykli do ludzkiego cierpienia. Zazdrościł im tego. Ale taka twardość daje się we znaki w inny sposób.

Patrzył na panią Hatterly, aż zniknęła mu z pola widzenia, potem on także ruszył w stronę sali rozpraw.

Wymagało to od niego pewnego wysiłku, i to nie z powodu upału i ciężkiego powietrza. On uwielbiał to powietrze. Nie, to nie dlatego. Ta sprawa już za pierwszym razem była wystarczająca trudna. Konieczność przeżycia tego po raz wtóry oznaczała wywołanie duchów przeszłości, ponieważ podczas poprzedniej rozprawy zmarł jego ojciec, detektyw Andre Jordain.

Noah często wracał do Nowego Orleanu po przeprowadzce do Nowego Jorku. Odwiedzał cmentarz, na którym pochowano jego ojca. Ale tym razem było inaczej.

Nie mógł powstrzymać zalewającej go fali wspomnień. Spotkanie z matką skazanego wstrząsnęło nim, a ilekroć coś wytrącało go z równowagi, tama, którą wybudował, żeby oddzielić przeszłość od teraźniejszości, zaczynała pękać.

Noah Jordain minął chłodny hol i podążył dalej do sali rozpraw. Przystanął w korytarzu i zajrzał do środka. Pięć lat temu akurat był w trakcie składania zeznań, kiedy do sali wszedł jego podwładny i za plecami Noaha zatrzymał się, przybierając postawę

na baczność. Noah zastanawiał się, po co chłopak tam przyszedł. Dowiedział się dopiero po zakończeniu zeznań: jego ojciec zmarł.

Patrzył na miejsce, gdzie wtedy stał, słuchając tej informacji. Duchy domagały się swoich praw.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W południe Nina Butterfield zajrzała do mojego gabinetu. Była ubrana w futro w kolorze miedzi, długości trzy czwarte, które pasowało do jej rudych włosów. W rękę trzymała parę łyżew i nimi wymachiwała.

- Chcesz zrobić sobie przerwę? - zapytała. Jej piwne oczy błyszcząły.

Tak, miałam ochotę na przerwę, ale byłam zaabsorbowana Bobem, więc odparłam, że to nie jest najlepsza pora.

- Najlepsza pora na krótką przerwę to niewłaściwa pora. Wiem coś o tym. Jestem terapeutką. No chodź. Sprawdziłam twój plan dnia z Allison. Powiedziała, że nie masz już pacjentów. - Brzmiało to jak sugestia, ale nie było sugestią. Nina prawie zawsze wiedziała, co jest dla mnie najlepsze. A ja najczęściej uznawałam jej rację.

Co najmniej dwa razy w tygodniu wychodziłam z Niną w porze lunchu. Czasami szłyśmy coś zjeść, ale zazwyczaj spacerowałyśmy w Central Parku, który znajdował się dwie przecznice od Instytutu, albo gdziekolwiek indziej, gdzie nogi nas zaniósł. Buszowałyśmy też po sklepach, których nie zauważyłyśmy do tej pory, zwiedzałyśmy wystawy w muzeach i galeriach. W zimie, kiedy wędrówki po ulicach nas nie pociągały, wybierałyśmy się na łyżwy.

Kiedy znalazłyśmy się na zewnątrz, wciągnęłyśmy rękawiczki i zapięłyśmy płaszcze pod szyję. Kto inny na naszym miejscu pewnie zawróciłby, widząc ten śnieg i to szare niebo. Nina jednak była nieustra-

szona i nie zatrzymałaby jej nawet potencjalna zamieć.

Nauczyła mnie jeździć na łyżwach, kiedy byłam ośmiolatką bez matki, a ona bezdzietną rozwódką, która jeszcze nie zdawała sobie sprawy, że mnie odziedziczyła. Po latach nauczyła jeździć moją córkę.

- Dulcie w tym roku jeszcze nie jeździła na łyżwach - powiedziałam, kiedy weszliśmy do parku i kierowaliśmy się na zachód w stronę lodowiska.

Odkąd moja córka zaczęła występować w „Tajemniczym ogrodzie”, wszystkie nasze dawne zwyczaje uległy zmianie.

- Wyobrażam sobie, że jest wniebowzięta. Sześć przedstawień w tygodniu na Broadwayu!

- Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł, żeby trzynastolatka tak ciężko pracowała? Tyle rzeczy jej umyka.

- Czy ona jest szczęśliwa, Morgan? - zapytała Nina i westchnęła.

- Sprawia wrażenie szczęśliwej - odparłam i usłyszałam smutek w swoim głosie.

- Wiedziałybyś, gdyby nie była szczęśliwa.

Od czasu, gdy Dulcie była mała, bezbłędnie wyczuwałam jej emocjonalne i psychiczne stany, nawet jeśli znajdowaliśmy się w różnych pomieszczeniach, a nawet w różnych budynkach. Oddzielona od niej wieloma kilometrami, dostawałam nagłego bólu brzucha, ręki albo pleców, a po powrocie do domu dowiadywałam się, że Dulcie była chora, skaleczyła się albo upadła. Kiedy zaś zdarzało jej się coś wspaniałego, bez żadnego logicznego powodu ogarniała mnie radość. Trwało to już tyle czasu, że żadna z nas nie widziała w tym nic dziwnego.



Nina zerknęła na mnie. Ona też wyczuwała, kiedy ze mną źle się działo, ale w jej przypadku to były wyjątkowe zdolności zawodowe, profesjonalny wgląd i spostrzegawczość.

- Czy wszystko już wróciło do normy?

Kilka tygodni temu pokłóciłam się z córką na temat propozycji, jaką otrzymała. Zaoferowano jej rolę w telewizyjnym serialu, praca miała jej zająć trzy tygodnie. Dulcie chciała przyjąć tę rolę, ja zaś stanowczo utrzymywałam, że występy na Broadwayu sześć razy w tygodniu to dla niej i tak za dużo.

Ostro się poprzytykałyśmy. Potem, oczywiście, Dulcie wciągnęła w to swojego ojca. Rozmawiałam wcześniej z Mitchem, który poparł moją decyzję. Mimo to, kiedy pojechałam do niego po córkę pod koniec weekendu, nie chciała wrócić ze mną do domu. Oświadczyła, że wie, że jeśli ja się zgodzę, ojciec także nie będzie miał nic przeciwko temu. Że on jest bardziej sprawiedliwy. Że on chce, by zrobiła karierę. Że ja rzucam jej kłody pod nogi. I w końcu - *coup de grace* - że chce z nim mieszkać.

Według prawa w wieku trzynastu lat wolno jej już było podejmować podobne decyzje, a ja byłam wobec nich bezradna.

Została u ojca prawie miesiąc, dopóki nie doszło do zawieszenia broni.

- Nasza gwiazda chyba mi wybaczyła. Ale ja wciąż jestem wściekła z powodu jej szantażu emocjonalnego. Ma tak cholernie dobrą intuicję.

- I to jeszcze bardziej cię wkurza?

- Znasz ten mechanizm?

- Chyba tak. A ty?

Roześmiałyśmy się.

- Nie ma nic gorszego niż rozmowa dwóch terapeutek. Zwłaszcza takich, które znają się od zawsze. Tak, moja nauczycielko, wiem. Dopóki będę skupiać się na złości, zapomnę o przerażeniu, w jakie wpadłam na myśl, że ona nie wróci do domu. Wiem, że tu nie chodzi o nią. To szalone, żebym w myślach łączyła Dulcie z moją matką. Ale samotność była prawdziwa. I bolała.

- I...

Nie dałam Ninie dokończyć. Już o tym rozmawialiśmy, toteż wiedziałam, do czego zmierza.

- Wiem, że nie pójdzie w ślady mojej matki: gwiazda w wieku lat szesnastu, skończona w wieku lat dwudziestu, zmarła w wieku lat dwudziestu dziewięciu. Wiem, że Dulcie to nie moja matka. Być może odziedziczyła po niej talent, ale miała normalne i bezpieczne dzieciństwo. Miała też oboje rodziców, mnie i Mitcha.

- Uwielbiam, kiedy odwalasz za mnie całą robotę. - Nina się uśmiechnęła.

Dotarliśmy do lodowiska Wollman Rink. Przydzielono nam szafkę na ubrania, po czym włożyłyśmy łyżwy. Potem ramię przy ramieniu ślizgałyśmy się w rytm walca Schuberta. Przez pierwsze dwadzieścia minut miałyśmy całą taflę dla siebie, zapewne z powodu padającego drobnego śniegu, ale później wybuchy śmiechu i okrzyki poprzedziły grupę dwudziestu albo trzydziestu dzieciaków. Wszystkie prywatne szkoły z okolicy uciekały z zamkniętych sal gimnastycznych do tego właśnie parku.

Drogę przecięła mi jaskraworóżowa kurtka. Turkusowy szalik upadł na lód. Chłopiec w grubym czarnym swetrze, w jednej czerwonej, a drugiej

zielonej rękawiczce, szurnął obok i podniósł szal, nawet się nie zatrzymując.

Razem z Niną obserwowałyśmy ich z zachwytem. Po chwili zauważyłam dwóch chłopców uśmiechających się z wyższością, kiedy jedna z dziewczynek przewróciła się i usiadła z szeroko rozłożonymi nogami.

Tymczasem z jednego końca lodowiska wystartowało czterech chłopców. Ścigali się, spod ich łyżew sypały się lodowe iskry. Przypominało to obrazy Normana Rockwella w uwspółcześnionej wersji. Raptem jeden z nich szturchnął kolegę łokciem, kiedy ten za bardzo się zbliżył, i dzieciak wpadł na bandę.

Dwie dziewczynki wzięły się za ręce i tańczyły wzdłuż lodowiska. Sprawiały wrażenie słodkich przyjaciółek, dopóki nie znalazły się niedaleko trzeciej dziewczynki i nie zaczęły konspiracyjnie szeptać. Najwyraźniej wyśmiewały się z niej i z jej sposobu jazdy.

W naszym instytucie nie zajmujemy się dziećmi ani młodzieżą. Mimo to kilka miesięcy temu zrobiłam przysługę przyjaciółce Niny - dyrektorce jednego z najbardziej prestiżowych prywatnych liceów w mieście - i zgodziłam się prowadzić cotygodniowe grupowe sesje z ośmioma chłopcami w wieku od piętnastu do osiemnastu lat, którzy byli już poważnie uzależnieni od internetowej pornografii, oraz czterema dziewczynkami, ich bliskimi koleżankami, które w jakiś sposób zostały tym dotknięte.

Patrząc na śmigające na łyżwach dzieci, dostrzegając subtelne komunikaty kryjące się pod ich żywiołowymi płasmi, przypominałam sobie, jak czułam się w sali z moją grupą, wiedząc, że gdzieś głęboko

pod powierzchnią, pod tym, co mi pokazywali, istnieje coś gorszego niż ich problem z pornografią, i jak bardzo chciałam do tego dotrzeć.

Kiedy wraz z Niną opuszczałyśmy lodowisko, zaczęła się zadymka. To już nie były drobne płatki spływające z góry, lecz ciężki mokry śnieg, który osiadał mi na rzęsach i przesłaniał widok.

W Central Parku istnieje wiele punktów orientacyjnych, ale żeby się nie zgubić, najlepiej patrzeć powyżej linii drzew. Pod koniec dziewiętnastego stulecia Frederick Law Olmsted tak zaprojektował parkowe wzniesienia i alejki, że niezależnie od tego, w jakim miejscu się stało, w górze nie było widać śladów miasta. Po ponad stu latach budynki otoczyły plac ze wszystkich czterech stron. Ich dachy i wieże wystają ponad wierzchołki drzew, toteż zawsze, patrząc w górę, wiadomo, gdzie człowiek się znajduje.

Tym razem jednak sypał tak gęsty śnieg, że nie mogłyśmy znaleźć punktów orientacyjnych, nie widziałyśmy także absolutnie nic przed sobą. Wpatrując się zatem w niezmierną biel, ruszyłyśmy naprzód.

No i jednak problem się rozwiązał. Wkrótce przed nami pokazało się rozwidlenie dróg. To znaczyło, że musimy skręcić w prawo. Potem iść prosto. I znowu w prawo.

Tyle że potem to już wszystko wyglądało obco - a nie powinno, tyle razy przemierzałyśmy tę trasę - ale poza kopcami białego śniegu nic nie było widać.

- Powinnyśmy pójść w lewo - stwierdziła Nina po paru minutach.

Ale nie udałyśmy się w lewo, okazało się bowiem, że jakimś cudem znalazłyśmy się w punkcie wyjścia.

Dla dwóch mieszkanek Nowego Jorku to było dziwne doświadczenie. Zgubiłyśmy się na własnym podwórku.

Nina wskazała na kładkę dla pieszych.

- Wiesz, która to kładka?

- Nie mam pojęcia. - Odsunęłam mankiet rękawiczki i spojrzałam na zegarek. Tarcza była widoczna tylko przez sekundę, bo niemal natychmiast przesłoniły ją płatki śniegu. Patrząc na nią, stwierdziłam, że gdybyśmy szły we właściwym kierunku, powinnyśmy już być przy bramie.

Na każdą z nas czekali pacjenci. Należało jak najszybciej odnaleźć wyjście.

Głupio byłoby wpadać w panikę. W końcu dokoła nas jest miasto. Ludzie, taksówki, ruch uliczny, hałas, sklepy, światła, chodniki, a wszystko to niespełna sto metrów od nas. Tyle że my utknęłyśmy i krążyłyśmy wśród zasp śniegu. Każde drzewo, skała, staw i mostek stały się częścią jakiegoś obcego krajobrazu. Musiałyśmy ufać, że skoro tyle już razy dałyśmy sobie radę, instynkt zawiedzie nas do domu.

Ale co będzie, jeśli naprawdę zabłądziłyśmy? Tylko czy można zgubić się w Central Parku?

Oddychaj spokojnie, pomyślałam. Przed laty Nina nauczyła mnie tej techniki. Wdech, zatrzymaj powietrze i policz do czterech, wydech, zatrzymaj powietrze i policz do czterech. Nina prawdopodobnie usłyszała moje wdechy i wydechy. Zerknęła na mnie.

- Jak będziemy iść cały czas w tym samym kierunku, powinnyśmy szybko trafić do wyjścia. Zabawne uczucie, co? Nie wiedzieć, dokąd człowiek idzie?

Zanim odpowiedziałam, dodała:

- Nie, to nie jest zabawne. Nie dla ciebie.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

To jeszcze nie była prawdziwa zamieć, ale było wystarczająco źle, by sporo osób wcześniej zamknęło swoje biura. Kira Rushkoff, starsza partnerka w kancelarii Forrest, Lane and Graffe, pokonała piętnaście przecznic w śniegu z gołą głową, zanim znalazła wolną taksówkę.

Pół godziny później dotarła do domu. Nie myślała o tym, żeby zdjąć płaszcz i ociekające wodą buty. Nie zapaliła światła ani nie zaparzyła sobie filiżanki angielskiej herbaty śniadaniowej, którą tak lubiła.

W ciemnym gabinecie swojego męża usiadła przy jego biurku przed ekranem komputera. Alan nigdy go nie wyłączał. Wygaszacz ekranu mrugał gwiazdami w kosmosie. Z wahaniem, jakby nie wiedziała, czy sięga do szkatułki ze skarbami czy do gniazda węża, położyła palce na klawiaturze.

Nacisnęła H, ale mógł to być każdy inny klawisz. Wygaszacz ekranu zniknął, zastąpił go pulpit. W jaśniejszym świetle diamenty w jej obrączce połyskiwały hipnotycznie. Przez chwilę patrzyła na ten srebrno biały połysk, zapomniawszy o bożym świecie.

Ilekcóż to robiła, z początku ogarniało ją wszechobejmujące zmęczenie. Pod jego ciężarem pochylały się jej ramiona. Wiedziała, że postępuje niemoralnie. Przynajmniej teoretycznie. I że powinna się tym przejąć. Jeszcze cztery miesiące temu jej obecne zachowanie wzbudzałoby w niej wstręt. Jak to możliwe, że w ciągu zaledwie szesnastu tygodni stała się osobą, która żyje takim właśnie życiem i robi takie rzeczy?

Wystukała jego hasło.

Poznała je przez przypadek. Tamtego wieczoru właściwie nie zwracała na nie uwagi. Siedzieli tutaj, rozmawiali, a on chciał jej pokazać e-mail od jednego ze swoich studentów, więc wstukał te pięć liter.

Całkiem nieświadomie patrzyła na jego palce poruszające się po klawiaturze, ale kiedy później postanowiła dociec prawdy, okazało się, że pamięta hasło, kpiące z niej swą ironią.

Sprawiedliwość.

Otoczały ją oprawione w skórę tomy ze złoconymi literami na grzbietach. Stały na półkach na baczność, wyśmiewając się z niej. Już Alan o to zadbał. Jako swoje małe niewinne hobby wybrał najbardziej obraźliwą rozrywkę, jaką można sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę, kim ona jest i czym się zajmuje, i jakie uczucia to w niej budzi.

Tak, ona broni królów pornografii i handlarzy sprośności, ponieważ nie ma lepszego sprawdzianu dla Pierwszej Poprawki. Ilekroć wygrywała sprawę, czuła satysfakcję, że dociska śruby na szybie chroniącej Konstytucję.

Ostatnia duża cywilna sprawa - między jej klientem, królem pornografii i szeroko znaną feministką Stellą Dobson - wzbudziła zainteresowanie mediów jak nigdy dotąd. Nawet jeśli opinia publiczna solidaryzowała się z Dobson, prawo stało po stronie Kiry. I ona wygrała.

Ale jakim kosztem? Zadała sobie to pytanie w nocy, leżąc w łóżku i gapiąc się w sufit, gdyż nie mogła zasnąć. Widziała twarze kobiet, które zdradziła - feministek, pionierek i reformatorek. Kobiet takich jak jej matka, która walczyła o to, by jej córka mogła studiować prawo. Kobiet, które doprowadziły do



istotnych zmian, jak Judy Wilson czy Emma Michaels. Jak sama Stella Dobson. Wszystkich kobiet, które znała i podziwiała, w przeciwieństwie do mężczyzn, bo tych interesowały wyłącznie pieniądze. A nie zasady. Rozmawiała i spotykała się z biznesmenami handlującymi najbardziej obrzydliwymi zdjęciami, jakie kiedykolwiek widziała. Pracowała dla nich, broniła ich i ratowała im skórę. I to było usprawiedliwione, ponieważ tym samym broniła niezbywalnych praw. Tyle że...

Teraz nie była w stanie o tym myśleć. Przed powrotem Alana musi się z czymś uporać. Alan nie może zobaczyć, że ona narusza jego prywatność. Nawet jeśli zrobił ci coś gorszego, szeptał ostry głos w jej głowie. Ten głos mówił do niej bez przerwy. Powiedział jej, że koniec z wymówkami, że nie ma czasu na słabość. Zbyt wiele jest do zrobienia.

Komputer cicho zabuczał, jak pszczoła krążąca nad głową. Klawisze stukwały w rytmie, który nieco szwankował. Dość łatwo było sprawdzić, co Alan oglądał poprzedniego wieczoru. Ponieważ nie podejrzewał, że Kira ma dostęp do jego komputera, nie czyścił pamięci podręcznej, toteż ostatnie dwadzieścia stron internetowych, które odwiedzał, czekało na przejrzanie.

Trzy różne kobiety.

Spędził tę noc z trzema różnymi kobietami.

Podczas gdy ona leżała sama w łóżku.

Kira obiecała sobie, że zbierze tylko adresy stron i imiona kobiet, które Alan oglądał. Nie zamierzała przyglądać się im, a jednak jak palacz, który rzucił palenie i sięgnął znów po dymka, nacisnęła klawisz odkrywający zasłonę i pokazujący jej zdjęcie ostat-

niej kobiety, której występ Alan minionej nocy podziwiał w Internecie.

Ta była nowa. Blondynka o zielonych oczach i jasnej karnacji. Młoda. Wszystkie zresztą były młode. Przeczytała opis jej pokazu.

Do tej pory Kira oglądała wszystkie kobiety, które Alan odwiedził. Uważnie studiowała ich ruchy. Obserwowała, jak patrzą do kamery i odgrywają swoje erotyczne spektakle. Widziała brunetkę, która robiła striptiz, powoli, pozwalając, by kolejne jedwabne części garderoby spływały na podłogę. Patrzyła, jak ta kobieta dotyka swojego ciała. Była w niej co najwyżej odrobina fałszywej skromności. Kira nie znosiła tego u siebie, ale dopóki Alan będzie uzależniony od wirtualnego seksu z tymi kobietami, ona będzie uzależniona od oglądania ich, zapisywania ich w pamięci, i od nienawiści, jaką w niej budziły.

Na prawo od komputera na biurku Alana stało oprawione zdjęcie Kiry, pozującej dla niego na plaży przed dwudziestu laty, kiedy zaczęli się spotykać.

Miała na sobie dwuczęściowy kostium i stała w wodzie. Fale obmywały jej kostki, jedną rękę wsparła na biodrze, drugą posyłała mu całusa.

Najdroższy, napisała, najdroższy, zawsze będę cię kochać. To zdjęcie Alan miał obok siebie, te słowa mógł przeczytać, kiedy onanizował się na widok obcych kobiet.

Kira wzięła fotografię do ręki. Chciała ją ochronić. Schować do szuflady w swojej sypialni, między miękkie kaszmirowe swetry, tam, gdzie nikt jej nie znajdzie. Położyła ją obok frontem na dół, z myślą, że zabierze ją, wychodząc z gabinetu. Ale wtedy Alan zauważyłby jej brak i musiałyby wymyślić jakiś

powód, dla którego zabrała zdjęcie, a także, przede wszystkim, wytłumaczyć się, co robiła w jego gabinecie. Nie była jeszcze na to gotowa. Za wcześnie, żeby budzić w nim podejrzenia. Ale kiedy nadejdzie pora, Alan się wszystkiego dowie.

Ostrożnie odłożyła zdjęcie na miejsce i wstała z krzesła. W drzwiach się zawahała. Bardzo lubiła ten pokój. Jego gabinet. Jego jaskinię. Alan wyglądał tu tak atrakcyjnie, siedząc przy wielkim dębowym biurku, albo na skórzanym fotelu. W tym pokoju był taki rozluźniony, otoczony przez swoje książki i zdjęcia ich dwojga oraz ich rodzin stojące nad kominem. Miała ochotę przebiec palcami po oparciu jego fotela i zapłakać.

Ale łzy, powiedziała sobie, nie pomogą. Płaczą kobiety, których życie ogranicza się do męża i dzieci. Które się nie szanują. Ona odniosła sukces.

Słabość Alana nie ma nic wspólnego z jej błędami.

Mimo to łzy napłynęły jej do oczu.

To w duszy Alana jest pęknięcie. On jest chory.

On ma problem.

Ona nie.

Nie wyrzuciła go ze wspólnego łóżka, nie odrzuciła go, nadal chciała się z nim kochać. To on... On przestał się nią interesować. Teraz wydało jej się, że stało się to bardzo dawno temu. Dokładnie pamiętała, jak było jej z Alanem. Jacy byli na początku znajomości, kiedy nie mógł oderwać od niej rąk. Kiedy budziła się w środku nocy w jego objęciach, trzymał ją tak blisko, kolanem rozsuwał jej nogi, jego penis wciskał się w jej udo.

Wychodząc, trzasnęła drzwiami i nie usłyszała, że oprawione zdjęcie spadło na podłogę, a szkło rozprysło się na kawałki.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Samolot wylądował z dwugodzinnym opóźnieniem ze względu na warunki pogodowe. Dopiero o dziesiątej wieczorem Noah wysiadł z taksówki na rogu Broadwayu i Jedenastej Ulicy. Na górze rzucił walizkę na podłogę, a płaszcz na krzesło Stickleya. Chciał zadzwonić do Morgan, ale najpierw musiał jakoś strząsnąć z siebie brudy tego dnia. Nalał trochę whisky marki Maker's Mark do kryształowej szklanki i usiadł przy fortepianie buduarowym.

Jak na policyjnego detektywa posiadał sporo ładnych rzeczy. Uśmiechając się, pogłodził czule czarne lakierowane wieko fortepianu. Co prawda w ciągu wielu lat wydał tylko dwadzieścia piosenek, ale sprzedawały się dobrze i gwarantowały mu niezły dodatkowy dochód.

Za pensję detektywa nie stać byłoby go na takie mieszkanie, podobnie jak na antyki czy dzieła sztuki. Kupował je, by sprawić sobie przyjemność, i każdy z nich wysoko sobie cenił. Spełniały w jego życiu podobną rolę jak whisky - pozwalały zapomnieć o brutalnej i niebezpiecznej stronie jego pracy.

Noah wypił łyk whisky, odstawił szklankę i zaczął grać. Po jakichś piętnastu minutach przeniósł się w strefę, gdzie nie był już świadomy swoich palców przebiegających po klawiaturze ani dnia, który miał za sobą, ani też problemów czekających na niego w komisariacie. Nie istniało nic poza muzyką. A on płynął na jej falach.

Praca detektywa stanowiła tylko część jego życia. Jego ojciec był detektywem. On sam zawsze pragnął pójść w jego ślady. Ale kiedy grał na fortepianie, wkładał w to całą duszę. Potrzebował tego dla zachowania równowagi, dla piękna. Dla nietkniętego złem okrucha duszy, który zdołał zachować. To muzyka go ocaliła.

Muzyka.

Ona zawsze przemawiała do niego najdobitniej. Po śmierci ojca i wtedy, gdy zakończył się jego długi związek, i kiedy pewna sprawa na zawsze wyryła się w jego pamięci i więziła go w tej makabrze, tylko muzyka dawała mu ukojenie.

Minęło już wiele czasu, odkąd poczuł pierwszy dreszcz narodzin nowego jazzowego kawalka. Teraz właśnie pragnął usłyszeć coś nowego, a więc siedział nad tym długo, chociaż skończyła się whisky, dłużej niż powinien, biorąc pod uwagę, ile godzin już nie spał.

Dźwięki, które się rodziły, koily jego duszę, nawet jeśli jego słuchacze płakali. Tego wieczoru jednak nikt go nie słuchał. To było ważne, ale nie tak bardzo. Ważniejsza była muzyka. Ona stanowiła jego credo. Dopóki będzie w stanie komponować, dopóki choć kilka osób będzie w sobotnie wieczory wpadać do baru jazzowego za rogiem, by posłuchać, jak on gra, poradzi sobie z ciemną stroną życia, kiedy zetknie się z nią na swojej drodze.

Ta ciemność kłębiła się w jego wnętrzu. Do chwili, kiedy spotkał Morgan, nawet nie próbował nikomu tego tłumaczyć. Ale ona go zrozumiała. Morgan jest uważna i słucha go wnikliwie zarówno sercem, jak i umysłem. We wszystkim, co robi, kieruje się jednym i drugim.

Ale to nie tylko to. Morgan rozumie go, ponieważ w jej duszy kryje się ta sama ciemność.

Morgan.

Walił w klawisze.

Morgan.

Kobieta o brązowych oczach bez dna, pełnych współczucia. Morgan o skórze zbyt delikatnej jak na jego zgrubiałe palce. Zacisnął powieki. Nuty wylewały się obficie. Zdawało mu się, że czuje głowę Morgan na swojej piersi, jej łzy na skórze.

Pozwalasz mi płakać i wcale cię to nie przeraża - powiedziała kiedyś. To naprawdę jakiś cud. Gdybym tylko wierzyła w cuda...

On odczuwał to tak samo. W związku ze swoją pracą obydwójce stawali oko w oko z wielką liczbą czynów niemoralnych. Na ich twarzach, dwadzieścia cztery godziny na dobę, odciskało się wiele zła. Nie mają wyboru, muszą mu się poświęcić. Nie da się tak po prostu strzepnąć z siebie zła po powrocie do domu. Nie da się zatopić go w alkoholu, chociaż Bóg jeden wie, jak wielu jego kolegów policjantów ucieka się do tego środka.

Spodobał mu się pomysł, że napisze tę piosenkę dla Morgan. Ta myśl była tak romantyczna, że się uśmiechnął.

Pracował nad piosenką jeszcze chwilę, chciał ją zapisać i udoskonalić, zanim znów zobaczy Morgan.

Ich znajomość nie miała łagodnego startu. Potem równie często kłócili się, co sobie dogadywali. Ostatnio widywali się rzadziej. Nie poszli za przykładem wielu ludzi, którzy zdecydowali się na wspólne życie.

Staromodne tempo piosenki było jakieś obce, przypominało mu o czasie i miejscu, których nie znał. Uświadamiało mu tym dobitniej, jak luźny jest ich związek.

Piosenka miała dość skomplikowaną linię melodyczną: zagadka na kilka taktów, które nagle zmieniają rytm, odkrywając cień zmysłowości. Była niepokojąca. Irytująca. I podniecająca.

Morgan nosi w sobie takie tajemnice, których nie spodziewał się kiedykolwiek odkryć. Na razie się nie poddawał. Kiedy czuła się zbyt obnażona, po prostu znikala, a on musiał zaczynać od nowa. Nie chciałby się tym znudzić, a więc tym razem miał nadzieję, że przeczeka, aż ona sama się otworzy. Perez żartował sobie z niego, że z im bardziej zagmatwaną sprawą mają do czynienia, im bardziej beznadziejna, tym bardziej prześladowuje ona Noaha i staje się jego obsesją.

To jest prawda. I nie dotyczy tylko pracy. Inne kobiety, mniej skomplikowane, nie potrafiły zatrzymać go dłużej. Mimo to...

Noah zaczął szukać riffu, który przeprowadziłby go do następnej części utworu. Wyobraził sobie Morgan, która budzi się w jego łóżku, za każdym razem nieco zdziwiona, że tam się znalazła.

Znają się od ośmiu miesięcy, podzielonych na dwa okresy. Cztery tygodnie minionego czerwca, potem trzymiesięczna przerwa, i w październiku znów byli razem. Od tamtej pory widywali się regularnie, zazwyczaj raz w tygodniu. Dla niej najważniejsza była nastoletnia córka. Na drugim miejscu stawiała pracę. No i trzeba pamiętać o charakterze jego pracy.



Wziąwszy to wszystko pod uwagę, nie zostawało im wiele czasu.

Łatwo to wytłumaczyć.

A jednak.

Spod jego palców znów popłynął riff.  
A jednak.

Morgan nie bez powodu utrzymuje dystans.  
Zadzwoił telefon. Raz. Potem drugi.

Palce Noaha zawisły nad klawiszami. Cholernie nie chciało mu się wstawać i odbierać.

- Jordain - rzucił cierpko do słuchawki.
- I jak, widzisz wieżę Met Life ze swojego okna?
- spytał Mark Perez.
- Nie. A co?
- Jestem jakieś sześć przecznic od ciebie i widzę ją całkiem nieźle.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mieszkanie na Siedemnastej Ulicy, między alejami Ósmą i Dziewiątą, składało się tylko z jednego pokoju, który miał niecałe marne cztery metry szerokości i niewiele ponad cztery żalosne metry długości. Noah czasem myślał, że nadaje się ono do zamieszkania tylko z powodu magicznego widoku z okna, tylko z powodu budynku Met Life, który lśni jak latarnia morska.

W mieszkaniu Noaha była również łazienka, za to brakowało osobnej kuchni. Wszystkie sprzęty - łóżko, stół, mała lodówka, jeszcze mniejsza kuchenka i jeszcze mniejszy zlewozmywak - stały ciasno obok siebie. Mimo to panował tam zadziwiający porządek. Wanna i toaleta zaskakiwały nieskazitelną czystością. W umywalce nie znalazłoby się nawet jednego włosa.

Z tego powodu smród wydawał się tym bardziej odrażający. Z tego powodu widok młodej kobiety, zgiętej w pół i leżącej na podłodze, był tym smutniejszy.

Noah patrzył na grupę techników z laboratorium, którzy przygotowywali ciało do wyniesienia.

- Ile ma lat? - spytał koronera, który pochyłał się nad dziewczyną.

- Dwadzieścia trzy.
- Wygląda młodziej.
- Tak - przyznał koroner.

Noah odwrócił wzrok od rozdętej twarzy kobiety i spojrział na szokujący plastikowy penis na podłodze obok jej lewej stopy. W tych mrocznych okolicznoś-

ciach kolor tej zabawki był zdecydowanie zbyt jaskrawy.

Noah przeniósł wzrok na ścianę i obrazy. Trzy płótna przedstawiające zarys dachów Manhattanu na tle nocnego nieba. Były nawet interesujące.

- Czytałeś opis zaobserwowanych objawów?

Koroner skinął głową.

- Masz jakieś poważne hipotezy, co to mogło być?

Sam Gordon podniósł wzrok.

- Noah, daj mi trochę czasu. Nie każ mi zgadywać, co się stało, dopóki nie przeprowadzę przynajmniej paru testów.

- Pomyślałem, że skoro instynkt rzadko cię myli... Sam Gordon uniósł rękę.

- Nie każ mi, bo i tak nie zacznę spekulować. Potrzebuję trochę czasu.

- Czas. Taa. Jasne. Nie spiesz się. W końcu to nie twoja wina, że tak cholernie długo trwało, zanim ją znaleźliśmy. - W głosie Noaha brzmiało oskarżenie.

- Hej, to się zdarza - odezwał się Mark Perez z drugiego końca pokoju. - Wyluzuj.

Noah potrząsnął głową.

- Ale nie powinno się zdarzyć.

Policjantka Tana Butler, która stała przy biurku lokatorki i posypywała je proszkiem w poszukiwaniu odcisków palców, usłyszała narzekania Noaha i odwróciła się do niego, wyjaśniając:

- Szefie, telefony były z wielu różnych miejsc. W całym kraju ludzie dzwonili do swoich miejscowych komisariatów i nikt przez pierwsze czterdzieści osiem godzin nie zwrócił uwagi na to, że te telefony były takie zmasowane.

- Już to słyszałem.

- Znalezienie spółki, która jest właścicielem tej spółki, do której należy ta strona porno, nie było łatwe. Przecież wiesz, że wezwanie do sądu wydane w Nowym Jorku, nawet gdy wzywana spółka działa pod szyldem New York Girls i zatrudnia dziewczyny z Nowego Jorku, nie zrobi wrażenia na grupie facetów pracujących w spółce macierzystej w Szanghaju pod nazwą Global Communications.

- Gadanie - mruknął Noah, patrząc, jak technicy podnoszą ciało.

Widział ten rytuał wystarczająco wiele razy, żeby się uodpornić. A jednak czasami coś go poruszało. Choćby kosmyk włosów, który opadł na czoło młodej kobiety, kiedy wsadzali ją do worka. Miał ochotę go zaczesać, odsunąć go z jej oczu.

Tana Butler nadal cytowała statystyki.

- W przybliżeniu pięć tysięcy mężczyzn zalogowało się na stronę Penny podczas ostatniej godziny jej występu. To nie znaczy, że wszyscy oglądali ją do końca. Niektórzy niewątpliwie odeszli od komputerów, bo akurat zadzwonił telefon albo żona wróciła do domu, albo po prostu nie byli już w nastroju. Nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, ilu mężczyzn widziało ostatnie piętnaście minut, kiedy zachorowała. Ale z całą pewnością włączali się w różnych momentach jej występu. Zwykle trwał on co najmniej półtorej godziny. Penny poczuła się źle po czterdziestu pięciu minutach.

- Ci faceci siedzieli przed monitorami, wlepiali wzrok w nagie piersi Penny, jej szeroko otwarte oczy i wilgotne wargi, słuchali jej jęków i przekleństw, widzieli, że coś jej się stało, i żaden z nich nie zareagował? Co oni sobie myślą?

- Cóż, niektórzy może pomyśleli, że złapała grypę albo się czymś zatrula - odparła Tana Butler.

- Albo że to jakaś nowa chora zabawa – dodał Perez.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego tak długo trwało, zanim ją odnaleźliśmy - zauważył Noah. - Z raportu wynika, że w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin odebrano pięćdziesiąt telefonów. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin były ich już setki. Wiem, że telefony nic nie znaczą bez nazwiska i adresu kobiety. Ale występowała na żywo przed kamerą internetową, na Boga. Czy nie było sposobu, żeby do niej dotrzeć?

- Jasne, że tak, gdyby była nadal podłączona - odparła Tana.

- Nic o tym nie wiem. A co się stało? – spytał Noah.

Tana Butler włączyła przewód od laptopa do gniazdka. Zapaliła się czerwona lampka.

- Prawdopodobnie bateria jej padła.

Więc zabrało to pięć dni od pierwszego telefonu, żeby znaleźć kobietę, która w sieci nosiła pseudonim Penny Whistle i twierdziła w swoim ogłoszeniu, że jest „taka dobra, że zmoczy ci się gwizdek”.

Godzinę i trzy kwadranse temu policja zdała sobie sprawę, że Penny to ta sama kobieta, której zaginięcie zgłoszono trzydzieści sześć godzin wcześniej - dokładnie dwanaście godzin przed czasem, po jakim nowojorska policja rozpoczyna poszukiwania zaginionej osoby.

- Czy istnieje choćby najmniejsza szansa, że mogła zostać uratowana, gdyby ktoś dotarł do niej w porę? - spytał Noah, kiedy wynosili ciało.

Gordon, który stał w drzwiach, odwrócił się i pokręcił głową.

- Nie będę tego wiedział, dopóki nie ustalę, co ją zabiło. Poza tym co to da, że będziesz wiedział?

Nikt nie musiał na to odpowiadać.

- I nie ma absolutnie żadnych śladów włamania?  
- spytał znów Noah, chociaż znał i tę odpowiedź.

- Ani żadnego śladu, który świadczyłby o tym, że ktoś z nią tu był - powiedział Perez.

Noah nie mógł oderwać wzroku od martwej kobiety. Chciałby jej zadać całą masę pytań.

Zabiłaś się sama? Czy zachorowałaś? Ale to nie mogło być takie nagłe. Dlaczego nie zadzwoniłaś do kogoś, kiedy jeszcze nie było za późno? Nie zdawałaś sobie sprawy z powagi sytuacji? A może ktoś ci to zrobił?

Potrząsała głową, ale ten gest nie był chyba skierowany do nikogo w szczególności. A może do jej ducha, który i tak nie mógł zaspokoić jego ciekawości. Dowiedzą się tego wszystkiego. Chociaż dla niej to już bez znaczenia. Chociaż to już bez znaczenia dla wszystkich, którzy ją kochali.

Jeśli śmierć nie nastąpiła na skutek choroby albo wypadku - jeżeli ktoś ją zabił - wtedy przynajmniej będą mogli ocalić inne życie. Na tym należy się skupić. Ojciec zawsze mu to powtarzał. A Jordain wiedział, że to prawda. „Twoja praca nie polega na karaniu ludzi, tylko na chronieniu ich”.

Perez wskazał głową na laptopa, przy którym pracowała Tana Butler.

- Musi na tym być coś, co nam pomoże.

Noah spojrzał na Tanę, i równocześnie na podłodze za krzesłem dostrzegł małego, ładnie pomalowanego porcelanowego drozda.

- Widziałaś to? - spytał policjantkę.

Pokręciła głową.

Noah przyjrzał się ptakowi. Zwykły malowany ptaszek z porcelany. Ładny drobiazg. Tylko jedno skrzydełko miał utłuczone. Czy ucierpiał, kiedy spadł na podłogę? Ptak miał przekrzywiony łeppek, a jego czarne oczy błyszczały. Czy ktoś podarował Debrze tego ptaka? Jej prawdziwe imię brzmiało Debra, teraz mógł przynajmniej nazywać ją jej prawdziwym imieniem. Czy ten bibelot coś dla niej znaczył?

Nieważne. To już nie ma dla nikogo znaczenia.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Najukochańsza moja!

Ciemność rozjaśnia tylko jedna świeca, zapach wosku niesie ze sobą obietnicę. Mam na stole jeszcze cztery świece, czekające na swoją kolej. Po jednej świecy dla każdej z tych kobiet - jeśli taka istota zasługuje na to miano. Ja nazywam ją wiedźmą, której śni się zło, a ona pokazuje je każdemu mężczyźnie, który chce na nie patrzeć. Która składa w ofierze własną krew, byle zaspokoić uzależnionych mężczyzn i patrzy, jak ich oczy stają się szkliste, a ich grube palce swędzą, i jak w końcu poddają się i ulegają temu plastikowemu niewiarygodnemu oszustwu. Te, które mają czelność nazywać siebie kobietami, wgryzają się w skórę mężczyzn, którym rzekomo sprawiają przyjemność, i zostawiają w ich tkankach truciznę. To nic więcej jak tylko zbrukanie niewinności i zepsucie czynione w imię wolności. Nic więcej. Nic więcej. Nic więcej. Nic więcej, nic więcej. Nic więcej, nic więcej, nic więcej.

W zeszłym tygodniu nie po raz pierwszy na ekranie mojego komputera występowała twoja przyjaciółka. Czy wiesz o tym? To już chyba trzynasty raz, ale nie mogę tego uniknąć. Muszę zobaczyć, co ona robi, jak wygląda jej pokaz, prawda? Inaczej trudno by mi było ją zrozumieć czy znaleźć jej słabe punkty.

Ona kłamie, sprzedaje się i uwodzi z obłudą, która dla mnie jest tak oczywista, że aż dziw, że ktoś daje się na to nabrać. Czy mężczyźni nie widzą, że ona



tylko się nimi bawi? Czy ty nie zdawałaś sobie sprawy, że to jakaś żalсна farsa? Że te kobiety, które nie są kobietami, lecz tym, co już zostało inaczej nazwane, wyrządzają tylko szkodę i dokonują spustoszenia?

W jej śmierci nie było nic niewinnego, poza tym, że się jej nie spodziewała, i to była moja słodka niespodzianka. Nie odstępowała od rutyny, wciskała tę swoją małą zabawkę do pochwy i nawet do głowy jej nie przyszło, że coś jest nie tak. Nie pomyślała, że to będzie jej ostatnia noc i że jej sługusy, jej armia, jej horda, która znajduje się gdzieś tam, w mroku, ci oglądający ją mężczyźni, z których każdy wyobraża sobie, że ona występuje tylko dla niego, widzą ją po raz ostatni. Po raz ostatni to pewnie najsmutniejsza fraza, jaka kiedykolwiek wyszła spod mojego pióra, nie sądzisz? Po raz ostatni...

Nie, nie cofnę się myślą i nie będę przypominać sobie tej chwili, kiedy obejmowałaś mnie po raz ostatni. To zbyt żalсна. Zresztą człowiek nie zapamiętuje rzeczy, których nie spodziewa się stracić. Stracić. Życie. Stracić życie. Jej stracone życie.

Wiesz, że to nie był dla niej łatwy koniec, to nie była słodka śmierć we śnie, powolne odpływanie, ale śmierć gwałtowna i bolesna, pełna gówna, smrodu, potu i wymiocin. Pod koniec na jej wargach nie został już nawet ślad tej ohydnej plugawej czerwonej szminki. A jej włosy przestały być miękkie, falujące i śliczne. Nie była już tą ładną kobietą, która i tak przestała już być kobietą. Nie była ładna ani miła. Miła. Miłość.

Widzisz, jak bardzo cię kocham? Widzisz? Najgorsza rzecz, jaką jestem w stanie zrobić dla ciebie,

jest najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobię - udowodnię ci, ile dla mnie znaczysz. Nie czuję ulgi ani szczęścia, ale satysfakcję, że dokonała się biblijna sprawiedliwość i zwyciężyła prawda. Nie obchodzi mnie, czy zostanie mi to kiedyś wybaczone. Dopóki człowiek nie straci kogoś, kogo kocha, nie rozumie, jak bardzo ból okalecza nas emocjonalnie. Och, jak ja cię kocham.

Do głowy mi nie przyszło, że będę w stanie obserwować jej umieranie. Z pewnością nie było to łatwe, bo wywołało wiele wspomnień. Ale kiedy nadeszła pora, nie było już ucieczki, ponieważ robię to wszystko dla ciebie.



**Wtorek**  
**Pozostało siedemnaście dni**



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jej oczy błyszczały, na jej gęstych rzęsach topiły się płatki śniegu. Patrząc na nią, od razu zauważało się oczy. Były jasnozielone, w kolorze wiosennych liści. Ale to jej spojrzenie spod rzęs, zadziwiająco niewinne, a równocześnie zmysłowe, zapadało w pamięć. Miało w sobie coś niespotykanego. Skądinąd wiele rzeczy w Blythe było niespotykanych.

- Chryste, ale lodówka na dworze - powiedziała, rzucając skórzany plecak na podłogę.

Z jej ramion i pleców spływała staromodna zielona aksamitna peleryna zapinana na haftki. Rozpięła ją i zdjęła. Pod spodem miała czarne spodnie, białą koszulę do fraka i kamizelkę, która wyglądała, jakby była z prawdziwego lamparta, ale mogłam się mylić. Blythe uwielbiała sklepy z eklektyczną odzieżą vintage i ubierała się z taką fantazją, z jaką malarz miesza kolory.

Zawiesiwszy pelerynę na wieszaku w kącie pokoju, usiadła na kanapie. Jej ruchy były sprężyste i zgrabne.

- Czy możemy dzisiaj nie mówić o moich rodzicach? Potrzebuję pomocy. W tym tygodniu przeżyłam poważny kryzys, naprawdę fatalnie to na mnie wpłynęło - oświadczyła Blythe.

Jej głos był miękki i brzmiał jak opadające płatki róż. Była w nim zmysłowość, subtelna acz niewątpliwa.

Blythe robiła doktorat z psychologii na Uniwersytecie Columbia i specjalizowała się w terapii zaburzeń seksualnych. Biorąc pod uwagę jej własne

problemy, nie był to zaskakujący wybór. Zbyt często okazuje się, że terapeuci najlepiej radzą sobie z tymi pacjentami, których kłopoty w pewnym stopniu odzwierciedlają ich własne. Wszyscy psychologowie rozpoczynający pracę są nadzorowani przez starszych kolegów, tak zwanych superwizorów. Nina na tyle polubiła Blythe, że zatrudniła ją w swojej klinice - Blythe udzielała darmowych porad około tuzinowi pacjentów, których nie stać na opłaty - i poprosiła Simona Weissa, jednego z moich najbliższych przyjaciół i starszego terapeuty w instytucie, żeby został jej superwizorem.

Simon spotkał się z nią tylko raz.

Następnego dnia zaprosił mnie na lunch. Po jednej sesji stwierdził, że nie jest odpowiednim opiekunem dla Blythe. Był czterdziestoletnim facetem, którego małżeństwo chwiała się w posadach, i pomimo że bardzo się starał, uznał, że Blythe jest wyzywająca.

Kiedy ją zobaczyłam, nie byłam tym zdziwiona. A kiedy usłyszałam, na czym polegają jej problemy, zrozumiałam wszystko doskonale.

- Co się stało? - spytałam teraz.

Blythe ścisnęła prawą rękę lewą, aż skóra jej pobieliała. Najwyraźniej celowo sprawiała sobie ból. Powtórzyła to kilkakrotnie, a ja za każdym razem powstrzymywałam się siłą woli, by nie rozłączyć jej dłoni.

- Blythe, karanie siebie nic nie pomoże.

- Karanie?

Wskazałam głową na jej dłonie. Spuściła wzrok.

- Robiłam to nieświadomie.

- Co się dzieje?

- Czuję się taka bezradna. Wszystko jest dobrze, a potem nagle coś się wydarza ni stąd, ni zowąd, i znowu mnie to dopada. I chcę wrócić przed kamerę.

- Co się zdarzyło tym razem?

- Dostałam e-maila od znanej feministki. Zawsze była dla mnie wzorem. Pisze książkę o kobietach, które pracują w biznesie porno, żeby zdobyć pieniądze na edukację - jak sobie z tym radzą, jak to się odbija na ich relacjach z ludźmi, jak to zmienia ich poczucie własnej wartości, a może go nie zmienia. Chce przeprowadzić ze mną wywiad do tej książki.

- Jak cię znalazła? Myślałam, że skończyłaś już z występami przed kamerą internetową.

- Nie robiłam tego od pięciu, sześciu miesięcy. Musiała widzieć mnie wcześniej. Pisałam wtedy, że jestem studentką. Powiedziała, że zachowała mój adres e-mailowy. Na stronie znajdowały się nasze adresy, e-maile były przesyłane do naszej prywatnej skrzynki. W każdym razie podała mi numer swojego telefonu z prośbą, żebym do niej oddzwoniła.

- I co o tym sądzisz?

Blythe znowu złożyła dłonie, tym razem ścisnęła je jeszcze mocniej.

- Nie jestem pewna. Istnieje wiele różnych powodów, dla których chcę to zrobić. I wiele powodów, dla których nie chcę. Już... już sama rozmowa o tym... powrót do tego sposobu myślenia niedługo po...

- Pokręciła głową, a jej jasne loki opadły na twarz.

Nie odgarnęła ich. Dlaczego? Przecież włosy wchodzą jej do oczu. Powinno jej to przeszkadzać.

- Blythe, jak się czułaś, występując przed kamerą internetową ze świadomością, że tyłu mężczyzn cię ogląda?

- Nośiłam maskę. - Zacisnęła i rozluźniła dłonie.

- Maskę? Po co? Nie chciałaś, żeby widzieli twoją twarz?

Pochyliła głowę.

- Blythe?

- Bałam się, że ktoś mnie rozpozna. Pewnie szansa była niewielka, ale istnieje coś takiego jak zbieg okoliczności. Wyobraża sobie pani, że jeden z moich profesorów... albo kolega ze studiów... - Urwała i siedziała ze spuszczoną głową i wzrokiem wlepionym w dłonie.

Blythe przypominała mi teraz reprodukcję obrazu jednego z prerafaelitów na okładce książki o dziewczynkach w okresie dojrzewania, którą kiedyś czytałam. Malarz przedstawił nieszczęsną Ofelię, która utopiła się w rzece. Jej ręce były ułożone wzdłuż ciała, włosy pływały wokół ramion, a jedyną barwną plamą na jej bladej twarzy były wciąż czerwone wargi.

- Masz nadal tę maskę?

Przytaknęła.

- Zakładałaś ją od czasu, kiedy przestałaś występować?

- Dopiero wczoraj wieczorem. Wyjęłam ją po rozmowie z tą kobietą. Wyjęłam ją, założyłam i przejrziałam się w lustrze. Patrzyłam długo, próbując zobaczyć się oczami tych wszystkich mężczyzn. Po kilku chwilach odniosłam wrażenie, że w tym lustrze jest ktoś zupełnie obcy. Jakbym istniała w dwóch różnych osobach.

Zacisnęła dłonie w pięści i zmarszczyła czoło.

- O czym myślisz? Wyglądasz na zdenerwowaną.

Wykrzywiła wargi w grymasie złości.

- O co chodzi?

- Co z tego, jak wyglądam?

- Nic.

- Powiedziała pani, że wyglądam na zdenerwowaną. Co to znaczy? Jak wygląda moja twarz?

Złość Blythe ucieszyła mnie. Posuwamy się do przodu.

- Wydajesz się czymś zirytowana. Widzę to na twojej twarzy - powtórzyłam, spodziewając się, że te słowa wywołają jakąś reakcję.

Potrząsnęła głową.

- Co jest nie tak z twoją twarzą? Co jest nie tak z twoimi oczami? Dlaczego wyglądasz inaczej?

- Mówiła to wszystko fałszywym śpiewnym głosem, wyraźnie zestresowana.

- Blythe, o czym myślisz?

Kolejna chwila ciszy. Przygryzła dolną wargę, przez moment jej nie puszczała, potem w końcu nabrała powietrza i zdobyła się na wyznanie.

- Urodziłam się z kataraktą. Wspominałam już pani o tym?

- Nie.

- To bardzo rzadkie, ale się zdarza. Przeszłam trzy operacje przed ukończeniem dziesiątego roku życia. Musiałam nosić okulary. Zwykle okulary nie są najgorszą rzeczą. Kilkoro innych dzieciaków też nosiło okulary. Ale takie normalne. Moje miały najgrubsze, najbrzydlwsze szkła, jakie kiedykolwiek widziałam. To nie wszystko. Chodziło o moje oczy. Wyglądały dziwnie. - Zrobiła dłuższą pau-



zę. - To było okropne. Wie pani, jakie są dzieci. Gdyby w klasie była dziewczynka z jakąś gorszą wadą, to ją by prześladowali. Ale moja klasa liczyła niewielu uczniów, a ja byłam jedynym dzieckiem z jakąkolwiek deformacją. Więc zostałam wyrzutkiem, którego nie zaprasza się na popularne dziewczynskie imprezy. A kiedy klasa dzieliła się na zespoły, zawsze zostawałam na końcu, bo nikt mnie nie chciał. - Łzy napłynęły jej do oczu.

Blythe nigdy dotąd przy mnie nie płakała. Zdumiało mnie, że nagle wydała mi się o wiele młodsza. Byłam poruszona.

- Kiedy miałam czternaście lat, dostałam korekcyjne szkła kontaktowe - podjęła. - Musiałaby pani widzieć wtedy moje oczy, żeby zrozumieć, o czym mówię.

To, co stało się później, kompletnie mnie zaskoczyło. Spodziewałam się, że zamierza opisać mi, jak wyglądała, a ona zamiast tego opuściła głowę i z prawego oka wyjęła szkło kontaktowe.

Potem spojrzała na mnie.

Jej lewe oko, to, które wciąż zakrywało szkło, było zielone, intensywnie zielone i bardzo ładne, za to tęczęwka prawego oka była dwa razy większa niż normalnie, a czerń nie tworzyła koła, tylko rozlewała się paskudnie na otaczającą ją zieleni. Blythe patrzyła prosto na mnie, a mimo to odnosiłam wrażenie, że jej prawe oko wcale mnie nie widzi. Nie mogłam znaleźć z nią kontaktu wzrokowego.

Tak, wada była wyraźna. Być może nie posunęłabym się tak daleko, by nazwać to kalectwem, ale młoda dziewczyna właśnie w ten sposób musiała to odbierać.

Blythe nie pozwoliła mi zbyt długo obserwować jej nagiego oka. Włożyła z powrotem kolorowe szkło kontaktowe, jakby fakt, że na nią patrzę, sprawiał jej zbyt duży ból. Szkło ukryło wadę.

- Wszystko się zmieniło, jak dostałam te szkła. Po raz pierwszy, kiedy przeglądałam się w lustrze, widziałam kogoś, kogo rozpoznawałam, i ta dziewczyna nagle okazała się ładna, doktor Snow. Chłopcy zaczęli zwracać na mnie uwagę. Nikt już ze mnie nie kpiał. Z dnia na dzień z dziwoląga zmieniłam się w normalnego człowieka, jak wszyscy.

Przesunęła się na kanapie i usiadła wygodniej.

- Nie potrafię nawet opisać, jak wielka to była zmiana, kiedy już nikt się na mnie nie gapił. A tyle lat wstydziłam się swojego wyglądu.

- Czy istnieje jakiś związek między tym, co powiedziałaś, i twoimi występami w Internecie? Zapraszaniem mężczyzn, żeby cię podziwiali?

- Czy to nie oczywiste?

- Tak, ale chcę, żebyś to wyraziła.

- Mój ekshibicjonizm polegał na powiedzeniu: „pieprz się” do wszystkich, którzy kiedykolwiek patrzyli na mnie krzywo. To był dla mnie dowód, że już nie jestem dziwolągiem. Ilekroć otwierałam stronę i stawałam przed moim komputerem, i patrzyłam w kamerę, jakbym patrzyła w oczy kochanka, testowałam rzeczywistość, mówiłam do siebie: To prawda. Jestem wystarczająca ładna, żeby zawiesić na mnie oko.

Obiema rękami zebrała z tyłu włosy, zwinęła je, a potem znowu puściła luźno.

- Ale miałaś maskę.

- Taką jak to. - Blythe wskazała na szklane pudełko, które stało na mojej półce.

W środku znajdował się opalizujący niebieski motyl, jakby zawieszony w powietrzu - jeden z wielu motyli artefaktów, jakie posiadałam. Zbierałam je od lat. Nawet na moim balkonie w pracy hodowałam kwiaty i rośliny po to, by latem przyciągały motyle.

- Mój motyl pochodzi z Wenecji, jest zrobiony z jedwabiu i ma z tyłu przyczepioną nitkę. - Blythe uniosła ręce do twarzy, rozłożyła palce i patrzyła pomiędzy nimi. - Sięga mi do warg. W skrzydłach są dwa otwory. Przez tę maskę widać tylko moje oczy.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Detektyw Mark Perez wszedł do pokoju, który dzielił z Noahem Jordainem, kiedy ten właśnie przygotowywał kolejny dzbanek czegoś, co w wydziale nazywano „błotem Jordaina”. Perez zdążył już to polubić.

Pokój był typowy, ale bardzo przydałoby mu się malowanie i sporo nowych mebli, za to okno wychodziło na ulicę, a nie na j jakiś zaułek czy ceglana ścianę, jak w pozostałych pomieszczeniach komisariatu.

- Nie uwierzysz - zaczął Perez.

Usiadł, położył na swoim biurku pogniecioną kartkę papieru i próbował ją wygładzić.

- Założymy się? - Jordain dodał miarkę cykorii do świeżo zmielonej kawy.

- Debra Kamei została otruta - stwierdził rzeczowo Perez.

- Dobra - odparł Jordain, przeciągając drugą sylabę. - Braliśmy to pod uwagę. Co w tym dziwnego? Jaka to trucizna? Czy Gordon uważa, że sama się otrula?

- Trucizna nazywa się atropina - czytał Perez.

- Należy do rodziny leków antycholinergicznym, często popularnie zwana jest belladonna. Łatwo wchłania się przez błony śluzowe, skórę, drogi pokarmowe czy płuca. - Podniósł wzrok. - W tym przypadku mówimy o błonach śluzowych. Może być toksyczna, jak powiedział Gordon, nawet w bezpiecznej dawce. Na przykład człowiek, któremu okulista rozszerza atropiną źrenice do badania, może wylądować na kardiologii. To się zdarza.

- Rozszerza źrenice? Nie rozumiem. Co to ma wspólnego z jej oczami?

- Nic, to tylko wprowadzenie. To jedno z głównych zastosowań atropiny. Może też spowodować atak serca. Och, posłuchaj, dawniej belladonnę stosowano jako środek pobudzający seksualnie.

- I po co ta ironia?

- Myśl sobie, co chcesz, a ja uważam, że jeśli ktoś jej to podał, to może ten osobnik ma chore poczucie humoru i specjalnie posłużył się tym alkaloidem, ponieważ był znany jako środek pobudzający.

- Okej. Czy w jej przypadku tak to właśnie wyglądało? Reakcją na truciznę było zatrzymanie akcji serca?

- Wiesz, że jest już gotowa, prawda? - Perez wskazał głową na dzbanek z kawą.

- Zapomniałem, tak mnie wciągnęła twoja opowieść. - Jordain odwrócił się, nalał kawę do dwóch kubków i podał jeden partnerowi.

Perez wypił łyk, po czym kontynuował:

- Najprawdopodobniej zaczęło się od takich symptomów jak wyschnięte wargi, wysoka gorączka... - Zerknął znowu na kartkę. - Nieostre widzenie, rozszerzone źrenice, rozszerzenie naczyń, szybka akcja serca, podniecenie, zawroty głowy, delirium, zmieszanie, halucynacje, i w końcu śmierć na skutek niewydolności krążeniowej i oddechowej.

- Jak długo to trwa?

Perez znowu zerknął na kartkę.

- Początek jest szybki, od piętnastu minut do dwóch godzin, zgon następuje w czasie od godziny do jednego dnia, zależnie od wielu czynników: drogi kontaktu, dawki, wrażliwości, stanu zdrowia.

- Biorąc pod uwagę godzinę, o której zanotowano pierwszy telefon w Sarasocie na Florydzie i domniemaną godzinę śmierci według Gordona, od początku ataku do zgonu minęło od dwóch i pół do trzech godzin maksimum. Więc o jakiej dawce mówimy?

- Śmiertelna dawka atropiny to - Perez poszukał wzrokiem na kartce - piętnaście miligramów, to znaczy pięć kropli skoncentrowanego wyciągu.

Jordain ze zdziwieniem przekonał się, że jego kubek jest pusty. Wstał i napełnił go ponownie.

- I przypuszczam, że można to dostać zdumiewająco łatwo.

- Nie uwierzysz, jak łatwo.

- No to wal.

- Atropina wchodzi w skład wielu leków, na przykład na chorobę Parkinsona, ale też środków rozkurczowych, stosowanych między innymi w przypadku schorzeń dróg moczowych. Jest obecna w lekach gastrycznych, lekach na kolkę, chorobę lokomocyjną, zaburzenia układu wydzielania, no i tych stosowanych w okulistyce. Znajduje się w środkach podawanych przed i po zabiegach operacyjnych. Stosuje się ją w bradykardii i jako antidotum na zatrucia fosforanami organicznymi używanymi w środkach owadobójczych. Jest także odtrutką na zatrucia gazem bojowym. Warto zauważyć, że podczas wojny w Zatoce zanotowano o wiele więcej zatruć spowodowanych niewłaściwym użyciem strzykawek z atropiną, które żołnierze posiadali w zestawach pierwszej pomocy, niż gazem paraliżującym.

Przerwał, podniósł wzrok znad kartki i pokręcił głową.

- Ale uważaj. Najłatwiej dostać to gównu w postaci kropli do oczu przepisywanych na receptę. Każdy, kto pracuje w szpitalu, może podwędzić kilka fiolek i wsunąć je do kieszeni czy torebki. Nikt nie zauważy ich braku. Typowy pojemnik zawiera około dwustu pięćdziesięciu takich fiolek, zresztą nie uważa się ich za niebezpieczne. Leczy się nimi stany zapalne, poza tym to podstawowy środek wykorzystywany w diagnostyce okulistycznej.

Noah otworzył usta, by zadać następne pytanie, kiedy zadzwonił telefon. Odczekał do trzeciego dzwonka, chwycił słuchawkę, przedstawił się, chwilę słuchał, krótko przytaknął, a później się rozłączył.

- Dalszy ciąg sprawy Bullard. Może poczekać. Właśnie chciałem cię zapytać, czy atropinę można jeszcze gdzieś dostać tak łatwo jak w szpitalu.

- Tak. - Perez zerknął znów na swoją ściągę. - Na pewno jest w magazynach wojskowych. No i każdy lekarz może ją przepisać. Krople do oczu na receptę najczęściej noszą firmową nazwę Homatropine albo Isopto Atropinę, możesz je zamówić w internetowej aptece. I wiesz co? Możesz kupić atropinę w każdym sklepie czy na stronie internetowej sprzedającej artykuły związane z białą magią wicca. Używają jej do wywoływania halucynacji. Butler sprawdziła na eBayu i znalazła trzy strzykawki z atropiną na sprzedaż.

- Droga donikąd - mruknął Jordain.

- Istnieje jeszcze prostszy sposób na zdobycie atropiny. Można to sobie wyhodować. Albo pojechać ze scyzorykiem na wycieczkę do jednego z wielu medycznych ogrodów, prowadzonych przy rozmaitych muzeach i szkołach. W wielu z nich hoduje się trujące rośliny...

- Cholera, Perez, rozumiem. To jest po prostu wszędzie, ja też mogę to mieć, Butler może to mieć. Bez żadnego wysiłku. Pewnie rośnie nawet w Central Parku.

- Niewykluczone.

- Świetnie, więc już wiemy, co. Czy wiemy cokolwiek na temat: jak? Znasz jakieś szczegóły?

- W to akurat na pewno nie uwierzysz. Poważna twarz Noaha wyrażała teraz zniecierpliwienie, zabarwione odrobiną irytacji.

- Trucizna dostała się do jej organizmu przez błony śluzowe. Ściśle mówiąc, przez błonę śluzową waginy...

Jordain dał mu znak ręką, żeby się nie ociągał.

- Atropina była zmieszana ze środkiem nawilżającym, którym smarowała sztuczny penis.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

O piątej dwadzieścia pięć otworzyłam drzwi do pracowni języka angielskiego i znalazłam tam troje członków mojej grupy terapeutycznej. Siedzieli w półmroku. Hugh bawił się notesem elektronicznym, Barry sprawiał wrażenie, jakby spał z głową na rękach splecionych na biurku, Amanda także zamknęła oczy, ale miała słuchawki na uszach i kołysała ramionami w rytm muzyki.

Pierwotnie grupa składała się z ośmiu chłopców w wieku od piętnastu do osiemnastu lat. Spotykali się ze mną od początku listopada w każdy wtorek późnym popołudniem, po lekcjach w Park East School na Upper East Side na Manhattanie. Po sześciu tygodniach dyrektorka szkoły poleciła, żeby do grupy dołączyły cztery dziewczynki. Wszystkie poza Amandą były seksualnie związane albo z chłopcami z grupy, albo z ich przyjaciółmi. Trzy zaadaptowały się dobrze. Pomagały nawet chłopcom trochę się otworzyć.

Natomiast Amanda podczas każdej sesji siedziała biernie - bawiła się czymś nerwowo, czekała na coś, gotowa w każdej chwili poderwać się na nogi i wyskoczyć z sali. Ponieważ była jedyną nastolatką, która sama prosiła o przyjęcie do grupy, jej zachowanie i milczenie nieco mnie martwiły.

Zapaliłam światło i weszłam do pracowni.

Hugh podniósł wzrok, Barry nadal spał, Amanda przestraszyła się i otworzyła oczy.

- Może obudziłbyś Barry'ego - powiedziałam do Hugh, zdejmując płaszcz. - Potem pomożecie mi ustawić krzesła w półkole.

Amanda spojrzała na swój palec. Na jej lewym kciuku widniała mała świeża ranka, półksiężyc ciemnej zaschniętej krwi. Dotykała go delikatnie palcem wskazującym prawej ręki. Znałam ten kształt - taki ślad zostawia dłuto na drewnie albo marmurze, w którym rzeźbisz.

- Nie powinnaś przesuwac krzesel skaleczoną ręką. Boli cię? - zapytałam.

- Bolało.

- Jak to się stało?

- Na zajęciach plastycznych.

Podczas minionych trzech tygodni nigdy nie wypowiedziała tylu słów naraz.

- Rzeźbiłaś coś?

Wydawała się nieco zdziwiona.

- Lubisz zajęcia plastyczne? - spytałam znów.

Wzruszyła ramionami w sposób, który oznaczał raczej potwierdzenie niż zaprzeczenie.

- Chętnie obejrzałabym twoje prace. Można powiedzieć, że jestem rzeźbiarką amatorką.

- Nie pokazuję nikomu swoich prac. Nigdy.

To zdanie było zbyt naładowane emocjami, mimo to bardzo się ucieszyłam, że je usłyszałam.

- A ja czasami pokazuję. Ponieważ jeśli je ukrywam, stają się dla mnie zbyt ważne.

Amanda wpatrywała się we mnie.

Podczas gdy trzej chłopcy ustawiali krzesła, reszta grupy powoli się schodziła. Timothy, jeden z najbardziej inteligentnych, ale też najbardziej zaburzonych

dzieciaków, wszedł, rozmawiając przez komórkę. Kiedy mnie spostrzegł, zakończył rozmowę.

Amanda powiodła za nim wzrokiem. Teraz, gdy się pojawił, jakby się uspokoiła. Zerknął w naszą stronę, zobaczył ją i posłał jej prawie niewidoczny uśmiech. Coś ich łączyło, ale jeszcze nie rozumiałam, na czym ta więź polega.

Poprosiłam Timothy'ego, żeby pomógł ustawić ostatnich parę krzeseł, na co on niechętnie rzucił kurtkę i plecak na podłogę i zabrał się do pracy. Jeremy przyszedł razem z Charliem. Obaj byli schludni i dobrze wychowani, zawsze pojawiali się i wychodzili razem. Brali czynny udział w sesjach, byli aktywniejsi niż pozostali, a ja miałam nadzieję, że będą mieli dobry wpływ na kolegów, którzy siedzieli tam obecni tylko ciałem.

Kilka sekund później zjawiała się Jodi, fanka gotyckiego rocka w długim czarnym płaszczu, który zamiatał podłogę. Zawsze przychodziła wystrojona i umalowana. Tuż przed nią dołączyły do nas Ellen i Merry. Stanowiły przeciwieństwo Jodi, uśmiechały się grzecznie, były opanowane i ubrane w ciuchy, które na dorosłej kobiecie wyglądałyby na absurdalnie drogie. Razem stanowili reprezentatywny przekrój młodzieży: miłośniczka gotyckiego rocka, mądrała, dwóch chłopców z dobrego domu, hippis, studentka sztuk pięknych, muzyk, dwie niewolniczki mody.

Wszystkich łączyło zainteresowanie, które poważnie wpłynęło na ich życie. Chłopcy byli niebezpiecznie uzależnieni od internetowej pornografii, bez zahamowań ignorowali zasady obowiązujące w szkole i otwierali zakazane strony. Żadnego z nich nie

przyłapano na gorącym uczynku, ale istniało dość dowodów ich niedozwolonych wycieczek w sieci, by uznać, że to dla nich groźne. I tylko dzięki spotkaniom ze mną nie zostali wydalenii ze szkoły.

Uzależnienie chłopców nie pozostało bez wpływu na dziewczynki. Ich poczucie własnej wartości zostało brutalnie zaniżone. Robiły wszystko, co mogły, byle chłopcy zwrócili na nie uwagę. Rodzice i nauczyciele poważnie się tym niepokoiili.

No i była jeszcze Amanda.

Tego wtorku zaczęliśmy tylko z pięciominutowym opóźnieniem, lepiej niż zwykle. Od początku było jasne, że wszyscy są roztrzęsieni, zwłaszcza Timothy, który dosłownie nie mógł spokojnie usiedzieć. Hugh zerkał na niego bez przerwy, jakby chciał się upewnić, czy nic mu nie dolega. Amanda także na niego spoglądała, ale tak, jakby wiedziała, że coś jest nie w porządku. Jeremy rytmicznie przytupywał, zaś Charlie obgryzał paznokcie.

Kiedy Timothy po raz piąty z rzędu pstryknął długopisem, poprosiłam go, by powiedział, o co chodzi.

Wzruszył tylko ramionami.

Charlie odchrząknął.

Jeremy odwrócił się i wyjrzał przez okno. Nie widziałam jego twarzy.

Amanda otworzyła torebkę i grzebała w niej przez kilka sekund, potem wyjęła plaster z opatrunkiem i zaczęła przyklejać go na skaleczony palec.

- Timothy? - powtórzyłam.

Milczał.

Jodi, fanka gotyckiego rocka, pochyliła się i szepnęła coś do niego. Wydawało mi się, że mówiła:

„Powiedz jej”, ale nie byłam pewna, więc poprosiłam, by powtórzyła na głos swoje słowa, żebyśmy wszyscy je usłyszeli.

- Nic takiego.

- Timothy, chcesz nam przekazać, co szepnęła ci

Jodi?

Wzruszył znów ramionami.

- Chyba słyszałam: „Powiedz jej”. Czy tak?

Timothy milczał.

- Jodi, czy to twoje słowa?

Spojrzała na mnie, ale się nie odezwała. A ponieważ miałam w domu nastolatkę, wiedziałam, że brak reakcji najczęściej oznacza odpowiedź pozytywną. Ale dlaczego Jodi milczy? Czego się obawia?

- Timothy, nic się nie stanie, jak powiesz to głośno.

- Wszedłem do Internetu, okej?

Zignorowałam jego sarkazm.

- Dziękuję, że się przyznałeś. Próbowalesz do kogoś dzwonić, zanim to zrobiłeś?

Ustanowiliśmy system koleżeńskiej pomocy. Polegał on na tym, że każdy z nich, kiedy ciągnie go do Internetu, do chat roomu czy na stronę pornograficzną, ma zadzwonić do jednego z kolegów i porozmawiać o tym. Do tej pory nie bardzo nam to wychodziło. W innych programach dotyczących uzależnień takie zatrzymanie się na chwilę, by wykonać telefon, sprawdzało się, i liczyłam na to, że zadziała także i tutaj. Trzeba tylko skłonić dzieciaki do sięgnięcia po słuchawkę. Kłopot w tym, że ci chłopcy nie rozumieli, co jest złego w ich postępowaniu, poza tym, że dorośli im tego zakazują.

- Nie, nie próbowałem do nikogo dzwonić - odparł zirytowany Timothy.

- To może chociaż pomyślałeś o tym, żeby do kogoś zadzwonić?

- Nie chodzi o to... co zrobiłem. Chodzi o to, co widziałem.

- Co takiego widziałeś?

Chłopiec znowu zamilkł.

Amanda bawiła się brzegiem plastra z opatrunkiem, który właśnie przykleiła.

- Timothy, co powinieneś mi powiedzieć według Jodi?

- Widziałem w Internecie coś dziwnego, okej? To było złe. Możemy już zakończyć ten temat?

- Złe?

- O Jezu. Mówi się pani coś, a pani i tak zadaje kolejne pytanie - zniecierpliwził się Hugh.

- Nikt z was nie musi odpowiadać na moje pytania. Zresztą przeważnie nie odpowiadacie. Wiem, że niektórzy z was nie mają ochoty tutaj siedzieć. Zdaję sobie sprawę, że wolelibyście być zupełnie gdzie indziej. O tym nie będziemy jednak dyskutować. Hugh, jak myślisz, dlaczego tutaj jesteście?

- Bo surfujemy po Internecie.

- Tylko dlatego?

- Nie.

- Więc dlaczego?

- Bo za często wchodzimy do Internetu. Pani uważa, wszyscy uważają, że nie mamy nad tym kontroli.

- Kiedy siedzisz przy komputerze i jeszcze nie kliknąłeś myszką, ale już wpisałeś adres strony pornograficznej, o czym wtedy myślisz?

Ograniczył się do wzruszenia ramionami.

- To nie jest test, to tylko pytanie. Wyobraź sobie, że siedzisz przed komputerem. Na pozór odrabiasz zadanie domowe, ale już wpisałeś adres strony pornograficznej. Nie musisz klikać... nie musisz temu ulegać... Co wtedy myślisz?

- Tu nie chodzi o uleganie - rzekł Hugh. - Chodzi o to, że to tam jest. I że tak łatwo się do tego dostać. Dlaczego miałbym nie wejść na tę stronę? Czy ja robię komuś krzywdę, do diabła? Właśnie tego w tym wszystkim nie rozumiem. Kogo to obchodzi?

Rozejrzałam się po sali, ciekawa, czy któreś z nich zechce zareagować.

Ellen patrzyła badawczo na Hugh. Spotykała się z nim, tworzyli parę. Ściągnęła brwi. Zaciśnęła wargi. Zamierzała coś powiedzieć, ale się powstrzymała.

- Ellen? Czy chcesz to skomentować?

- Jeśli potrafisz nad tym zapanować, dlaczego tego nie robisz?

Hugh milczał.

Amanda uniosła róg plastra, po czym znowu go przykleiła. Wówczas Barry wyskoczył z odpowiedzią.

- Nikogo nie krzywdzę - oznajmił ostrym tonem.  
- Nikt z nas nikogo nie krzywdzi. Lubię zobaczyć, co jest w Internecie, i nie ma w tym nic złego.

Powiedział „nikogo nie krzywdzę”. Amanda w dalszym ciągu skubała brzeg plastra, odklejała go i przyklejała na zmianę.

- Wiem, że nikogo nie krzywdzisz, Barry. Wiem, że nikt z was celowo nie robi nikomu krzywdy.  
- Potoczyłam wzrokiem po sali, próbując złapać kontakt wzrokowy z każdym z nich po kolei.

Meny przesunęła się odrobinę do przodu.

- Nie mogę... To trudne... To znaczy nie chcę tego robić tylko po to, żeby ktoś mnie polubił.

- Masz na myśli seks? - spytałam.

Skinęła głową.

- Czy cierpisz z tego powodu, Meny?

- Nie tak, jakby ktoś mnie fizycznie zranił. Ale niezależnie od tego, co robiłam, oni i tak woleli te dziewczyny z Internetu niż mnie. Sama nie wiem. To jakoś tak wciąga.

Pozostali siedzieli w milczeniu.

- Więc nikogo nie krzywdzisz, Timothy, czy tak? Nie odpowiedział.

- Czy sądzisz, że wchodząc na tę stronę, skrzywdziłeś kogoś?

- Może - wyrwało mu się.

- W jaki sposób?

- Nic nie zrobiłem.

Jego odpowiedź nie miała dla mnie sensu, ale nie chciałam zmuszać go do wyjaśnień i ryzykować, że go zastopuję.

- Co powinienesz był zrobić?

- Nie mogłem nic zrobić. Gdybym powiedział komuś, co widziałem, wiedzieliby, że wchodzę na tę stronę. Do trzech razy sztuka i jestem wyrzucony. To pieprzona głupia zasada mojego ojca. Jak pani im powie, wywalą mnie stąd.

- Nie powiem. Zawarliśmy przecież umowę, prawda? Możesz mówić o wszystkim, co chcesz, a ja zatrzymam to dla siebie. Obiecałam wam to na pierwszej sesji i nie złamałam obietnicy.

Ktoś po lewej stronie Timothy'ego coś mruknął, ale ja to zbagatelizowałam.



- Timothy, co zobaczyłeś?

- Nic - rzucił zbyt szybko.

Reszta najwyraźniej wiedziała, co oglądał. Domyślałam się, że rozmawiali o tym przed spotkaniem.

- Niech pani da mu spokój - odezwał się Hugh.

- Dlaczego?

Hugh, Timothy i Barry niezmiennie podczas naszych sesji się wspierali, bronili jeden drugiego, jeśli czuli, że jestem dla kogoś z nich zbyt surowa. Tym razem dwaj pozostali siedzieli cicho.

- Dlaczego chronicie Timothy'ego przede mną?

- spytałam, przynaglając Hugh bardziej, niż robiłabym to w innej sytuacji.

Teraz Barry pochylił się do przodu, zaciskając dłoń.

- Niech pani go zostawi. On mało nie zwariował.

- Nie chcę go zostawić, chcę pomóc.

- Już za późno - oświadczyła Amanda. - Znowu.

- Dlaczego? Co znaczy znowu?

Dziewczyna odwróciła się do Timothy'ego i wymienili pełne bólu spojrzenia.

- Amanda?

Nadal bawiła się plastrem.

- Sądysz, że to pomoże Timothy'emu, jak powiem nam, co widział? - spytałam.

- To bez znaczenia. - Zostawiła plaster w spokoju. - Już nieważne. Nikt nie może już pomóc.

- No wiesz, to głupie - stwierdziła Ellen. - Ci faceci wcale nie chcą naszej pomocy. Nic od nas nie chcą. Poza robieniem laski. Nawet wtedy, jak im obciągamy, gapią się na te dziewczyny na ekranie. Równie dobrze mogłybyśmy nie żyć... - zasyczała.

Amanda szeroko otworzyła oczy, przestraszona i blada. Na nowo skubała brzeg plastra z opatrunkiem.

- Amanda, o co chodzi?

Pochyliła, a potem uniosła głowę.

- O nic. - Jednym gwałtownym ruchem zerwała plaster, odkrywając linię zaschniętej krwi.



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Pięć godzin później moja córka stała przy wyspie pośrodku kuchni, podczas gdy ja szukałam w lodówce jakiegoś gotowego dania, którego nie mogłabym zepsuć.

Kiedy Dulcie wracała wieczorem z teatru, jadłyśmy razem kanapkę, co zastępowało nam wspólne kolacje. Rozmawiałyśmy o tym, jak nam minął dzień, a Dulcie wyciszała się po spektaklu.

- Gorąca czekolada czy gorący jabłecznik?
- Zdecydowanie czekolada.

Wyjęłam mleko z lodówki i kakao w proszku z szafki.

- Czy możemy zrobić taką prawdziwą czekoladę? - Dulcie miała na myśli sposób, którego nauczyła ją Nina: rozpuszczała dobrej jakości czekoladę, do której dodawała odpowiednią ilość mleka, i tak uzyskiwała właściwą konsystencję.

Dulcie sięgnęła do szafki po podwójny garnek. Kiedy przemeblowałam kuchnię, kupiłam też nowe garnki, patelnie i inne sprzęty. Wszystko było super-nowoczesne. Fronty były z nierdzewnej stali, podłoga wyłożona białymi kafkami w czarne romby, a blaty z granitu. Bardzo elegancko. Marzenie szefa kuchni. Tyle że ja nie miałam pojęcia o gotowaniu. Byłam od tego bardzo daleka. Prawdę mówiąc, ledwie potrafiłam upiec kurczaka, i w zasadzie nie używałam podwójnego garnka.

Tak to jest, kiedy pragnie się zostać drugą Martha Stewart, a nie posiada się żadnych talentów w tym kierunku. Oczywiście, moja kuchnia lśniła czystość-

cią. Wchodząc do niej, człowiek od razu widział w wyobraźni świeżo upieczone ciasto, które stygnie na desce i domowy sos z pomidorów, pykający na wolnym ogniu. W rzeczywistości potrafiłam zepsuć nawet tuńczyka z puszki, dodając do niego za dużo soku z cytryny, i zwykle za długo podgrzewam mrożone dania.

Z kolei Dulcie świetnie radzi sobie w kuchni. Odziedzyczyła te zdolności po babce ze strony ojca, a ciocia Nina zachęcała ją, by je rozwijała. Od premiery w teatrze brakowało mi jej w kuchni, ponieważ zagrzewała mnie do walki, żartowała sobie ze mnie i więcej niż raz uratowała naszą kolację.

- Nie mam prawdziwej czekolady. Musisz się zadowolić czekoladą w proszku - oznajmiłam, stawiając puszkę na blacie.

Dulcie wzięła mleko, podeszła do kuchenki, wlała mleko do rondla i zapaliła gaz.

- Ja to zrobię - zaprotestowałam.

- Przypalisz, mamu. Wiesz, że tak się skończy.

Podczas gdy Dulcie mieszała mleko, ja pokroiłam dwa jabłka i otworzyłam paczkę Pepperidge Farm Milanos. Były to ulubione ciasteczka Dulcie, a mimo to żałowałam, że nie należę do matek, które pieką swoim dzieciom ciastka.

- Więc - powiedziała, kiedy znowu stałyśmy przy wyspie z parującymi kubkami. - Jak ci minął dzień?

Od czasu gdy Dulcie była mała, podczas kolacji wymienialiśmy się wrażeniami z całego dnia, chociaż z pewnym zastrzeżeniem. Dla każdej rzeczy, która nam się nie powiodła, na którą się uskarżaliśmy, musiałyśmy znaleźć jedną rzecz, która nam się

udała albo sprawiła nam radość. Zawsze musiała panować równowaga.

Dulcie wzięła kolejnego herbatnika i przeżuwała go zamyślona.

- Nie lubię naszej nowej nauczycielki. I to wcale - oświadczyła z akcentem na „wcale”.

Moja mała gwiazda.

- Dlaczego?

- Każe nam czytać powieść pod tytułem „Wojna i pokój”. Masz pojęcie, jaka to cegła? Jak ją skończę, będę miała czternaście lat.

Zaśmiałam się.

- Na pewno nie zabierze ci to tyle czasu. Najtrudniej jest nie pogubić się z rosyjskimi imionami, ale ty masz zdolności językowe.

Przewróciła oczami.

- Czytałam to wiele lat temu. Może zdobędę egzemplarz dla siebie i będziemy czytać razem? Potem będziemy mogły o tym porozmawiać.

Wykonała głową przytakujący gest, ale nie uległo wątpliwości, że to ja jestem bardziej zainteresowana na pomysłem równoczesnego czytania tej powieści.

- No a co dobrego się dzisiaj zdarzyło?

Spojrzała na mnie nieśmiało spod lekko opuszczonych powiek. Przybierała taką minę, kiedy nie chciała się przechwalać, a jednak była z siebie dumna.

- Sześć razy wywoływano nas do ukłonów.

- To cudownie.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Prawda?

Odpowiedziałam jej uśmiechem.

- A jak minął dzień doktor Grzech? - spytała.

Moja córka nigdy nie przyznała wprost, że wstydzi się tego, czym ja się zajmuję. Nie musiała tego robić. Wiedziałam to od pewnego dnia przed trzema laty, kiedy przedstawiając mnie matce swojej koleżanki, oznajmiła, że jestem lekarzem od leczenia serc. Przydomek „doktor Grzech” wymyśliła pewnego wieczoru, gdy kłóciłyśmy się o to, o której Dulcie powinna wracać do domu, a ona zarzuciła mi, że nie mam do niej zaufania.

„Dlaczego tak się martwisz, że zrobię coś głupiego? Jesteś doktor Grzech. Powinnaś rozumieć takie rzeczy”.

Rzadko tak mnie nazywała w obecności innych, za to często robiła to w domu, żeby mnie zdenerwować.

- Zacznijmy od tego, co się nie udało? - zapytała teraz. - Czy od tego, co się udało?

Wypiłam parę łyków kakao, by zyskać na czasie. Myślałam tylko o tym, jak fatalnie poszła mi dzisiejsza sesja terapii grupowej. Bardzo martwiłam się, że te dzieciaki mają o wiele poważniejszy problem, niż sądziłam, i że nie będę w stanie im pomóc. Ale ponieważ nie mogłam podzielić się tym z córką, oświadczyłam, że nic złego się nie stało, a miłą rzeczą była jazda na łyżwach z Niną w porze lunchu.

- Tak, wierzę, że dobrze się bawiłaś na łyżwach. Ale nie wierzę, że nie wydarzyło się nic złego. - Dulcie patrzyła mi prosto w twarz, ten mój mały gnóm z elektryzującymi niebieskimi oczami, ciemnymi kręconymi włosami i szelmowskim uśmiechem na wargach różowych jak u małego dziecka. - Masz tę swoją zasłuchaną minę, mamo.

„Zasłuchana mina” to było kolejne z powiedzeń Dulcie. Twierdziła, że czasami, nawet po powrocie

do domu, kiedy na pozór skupiam się na niej, miałam taką minę, jakbym nadal słuchała zwierzeń moich pacjentów.

- Jakbyś nie mogła przestać ich słuchać. Bo gdybyś przestała, a im coś by się stało, uznałybyś, że to twoja wina.

Po takich słowach Dulcie wstawałam i przeglądałam się w lustrze, ale nie dostrzegałam w swojej twarzy niczego takiego, co zauważała moja córka. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że zawsze miała rację, kiedy tak mówiła, i tego wieczoru też się nie myliła.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Timothy siedział w swoim pokoju przy biurku, wpatrzony w ekran komputera, i czytał filmowy blog kolegi. Poza nastrojowym blaskiem ekranu w pokoju było ciemno. Przez minione piętnaście minut powoli sączył piwo i zastanawiał się, czy wejść do Internetu. Na samą myśl o tym czuł, że członek mu nabrzmiewa, ale próbował się powstrzymać. Doktor Snow mówiła, że trzeba nad sobą panować. On nad sobą panuje. Z całą pewnością. Panuje nad wieloma innymi rzeczami, więc może zapanować także nad tym. Zwłaszcza teraz. Po tym, co zobaczył w zeszłym tygodniu. To było obrzydliwe. Wciąż go to męczyło.

Czy ta dziewczyna była ciężko chora? Co się z nią stało? Kiedy powiedział o niej Amandzie, ta zamilkła. Przestraszyła się. Rozumiał, dlaczego. Wiedział, że nie powinien był jej nic mówić.

Przełknął kolejny łyk piwa. Wejdzie na stronę tylko na parę minut. Nikt się nie dowie. Rodziców nie ma w domu - znowu - w mieszkaniu panuje martwa cisza.

Przez okno widział padający śnieg. Zdawało się, że tam wysoko w niebie są niezliczone zapasy białych płatków.

Doktor Snow mówiła, że powinien zadzwonić do kogoś, kiedy ma na to ochotę. Minęło wpół do dwunastej, a on nie chciał z nikim rozmawiać, nie pragnął niczego poza tym, by wejść do Internetu, znaleźć jakąś dziewczynę, i żeby go podnieciła. Jego penis zeszytniał. Wpisał adres strony pornograficznej, lecz nie posunął się dalej.



Powstrzymał go obraz skrecającej się z bólu Penny sprzed tygodnia. Śniła mu się każdej pieprzonej nocy i budził się złany potem, ponieważ nawet we śnie palcem nie kiwnął, by jej pomóc.

Co się z nią stało?

Chciał przekonać się, że wyzdrowiała i wróciła do pracy. To dlatego wszedł do Internetu, by upewnić się, że z Penny wszystko w porządku, chociaż jakiś cichy głos w jego głowie podpowiadał, że stało się coś złego. Bał się, że Penny nie żyje.

Jeśli tak, byłaby już drugą znaną mu kobietą, która zmarła. Tak powiedziała mu Amanda. Przypomniała mu. Jakby ktoś musiał mu o tym przypominać.

Schował twarz w dłoniach i usiłował przywołać w pamięci obraz Simone. Przychodziło mu to z coraz większym trudem. Obrazy straciły ostrość. Jej twarz stała się mniej wyraźna. Blakła. To także go przerażało. Czy tak dzieje się z człowiekiem po śmierci? Rozpływa się, aż nikt już o nim nie pamięta? Dziewczynę z Internetu, którą oglądał w czwartkową noc, pamiętał lepiej niż Simone. Ale Simone była żywa, i on jej dotykał. Czuł zapach jej skóry, wargi na swoim członku.

Próbował odsunąć od siebie ducha Simone, lecz nie był w stanie. Nie chciała go opuścić.

Czasami nie mógł się od niej odczepić, tak jak teraz, i denerwował się tym, co się wydarzyło. Serce zaczynało mu walić, odczuwał nudności, wpadał w panikę. Nie chciał przeżywać tego wszystkiego. Dla Simone nic już nie może zrobić. Jest za późno.

Timothy najpierw kliknął na ikonkę twardego dysku, a potem otworzył dokument. Następnie kliknął na ikonkę pracy trymestralnej. Potem na „Histo-

rię Ameryki”. Dalej na folder nazwany „Prezyden-  
ci”, w którym mieściły się dziesiątki JPEG-ów, pod  
nazwą GW1, GW2, GW3, GW4, i jeden MPEG.  
Przesunął na niego kursor i tam go zatrzymał.

Nikt nie wiedział, że nadal to ma. Skłamał, mó-  
wiąc Amandzie, że się tego pozbył, a ona mu uwie-  
rzyła. Od minionej wiosny nie otwierał tego pliku, bał  
się, że przy okazji niechcący uruchomi jakiś program  
szpiegujący, i dyrektorka szkoły oraz jego rodzice,  
i rodzice dziewczyn, i każdy college, do którego  
wyśle papiery, będą wiedzieć, że on to ogląda.

To idiotyczne. Był komputerowym maniakiem.  
Wiedział równie dobrze jak inni, jak działa sieć. Nie  
istnieje nic takiego, co sobie wyobraża. Mimo to się  
bał.

Cholernie chciał kliknąć na to MPEG. Wiedział,  
co by zobaczył. Wypełniłyby jego ekran. Obie  
nagie, dotykałyby się, jedna jasna, druga ciemniejsza.  
Pamiętał, jak się ku sobie pochylały, żeby się  
pocałować i...

Czuł zbliżającą się erekcję.

Jak to możliwe? Co z niego za bydlę, że podnieca  
się, mając świadomość, że ona nie żyje? Ale skoro  
zaczął, musi skończyć. Poza tym to nie jego wina.  
Nie kazał im przecież tego nagrywać. To był ich  
pomysł, żeby go podkręcić i pokazać mu, jakie są  
seksowne i jak bardzo chcą to dla niego zrobić. I dla  
Hugh. I dla Barry'ego. Dla nich wszystkich.

Jego rozum walczył z chucią.

Naciśnij klawisz, obejrzyj to.

Nie oglądaj tego.

Nie dotykaj się.

Muszę.

Muszę.

W końcu pokazały się na ekranie. Przesunął szybko obraz do sceny pocałunku, gdzie nie było widać ich twarzy. Nie chciał widzieć ich twarzy. Tylko pieprzony pocałunek.

No i jest. Długi, powolny pocałunek. Pocałunek, który ciągnie się w nieskończoność. Siedział jak sparaliżowany. Zauroczony. Pochłonięty zmysłowym doznaniem, jakie w nim budziły. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że się onanizuje. Zaszedł za daleko. Ciśnienie narastało.

W chwili orgazmu, kiedy eksplodował w swoją własną dłoń, film trwał nadal. Szybko nacisnął klawisz stop. To wszystko trwało mniej niż minutę.



**Środa**

**Pozostało szesnaście dni**



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Bob przyszedł wcześniej na swoją drugą sesję w tym tygodniu, lecz Allison zatrzymała go zgodnie z moimi instrukcjami. Kiedy w końcu wpuściła go do gabinetu, stanął, patrząc na mnie ze złością.

- Jest gorzej. Wszystko jest gorzej - warknął.

- Chyba powinien pan usiąść.

- Jaka to różnica, czy siedzę, czy leżę? To niczego nie zmienia. Moja żona nie chce ze mną rozmawiać, a kiedy wychodzę z domu, weszły w moim gabinecie. Po powrocie zastałem poprzesuwane papiery na biurku, a zdjęcie w ramce leżało na podłodze. Szkło się stłukło.

- Co to było za zdjęcie?

Spojrzał na mnie, jakbym mówiła w obcym języku.

- Jej zdjęcie. Z jakiejś wycieczki.

- Jakiej wycieczki?

Zamyślił się na chwilę. Zmarszczył czoło.

- Z naszego miesiąca miodowego.

Skinęłam głową.

- Rozmawiał pan z nią o tym, co zobaczył pan w gabinecie?

- Próbowałem, ale ona tylko kręci głową i wychodzi z pokoju.

Podszedł do drzwi, które prowadziły na mój mały balkon, i stał tak tyłem do mnie. Za nim widniało ciężkie, szare, bezlitosne niebo. Bob otworzył połowę drzwi i do środka wpadł lodowaty podmuch wraz ze śniegiem.

- Może pan zaniknąć drzwi? - Wstałam, gotowa, żeby do niego pospieszyć, gotowa na wszystko, ale Bob sam zamknął drzwi i zaczął do mnie mówić.

- W dzisiejszej porannej gazecie piszą o młodej kobiecie, którą znaleziono martwą w jej mieszkaniu. Leżała tak kilka dni, zanim ją znaleźli.

Odwrócił się do mnie twarzą.

Kiwnęłam głową. Wspomniał o sprawie, którą zajmował się Noah. Dzwonił do mnie poprzedniego wieczoru i opowiadał mi o tym, chociaż bez szczegółów. Był jeszcze w pracy i zrobił sobie tylko krótką przerwę, by zdać mi relację z tego, co się dzieje.

- Ta młoda kobieta...- Bob zawahał się.- Zamieścili jej zdjęcie...

W milczeniu wrócił na kanapę, usiadł, złożył dłonie i pochylił się do przodu. Zmarszczki na jego czole wyglądały tak, jakby jakiś rzeźbiarz w czasie weekendu je pogłębił.

- Według gazety ona miała na imię Debra. Ja znałem ją jako Penny. Rozumie pani?

Bob miał zwyczaj wymuszania na mnie, żebym wykonała za niego ciężką pracę.

- Nie, chyba nie.

- Ja ją oglądałem, doktor Snow. Na jej stronie w Internecie. Nie zliczę nawet, ile razy ją widziałem. A teraz... - Mówił tak cicho, że musiałam się nachylić, by go dobrze słyszeć. - Tamtej nocy, kiedy zmarła, wiele osób ją oglądało, tak piszą. Wielu mężczyzn widziało, że coś się z nią dzieje... - Urwał. Potrząsnął głową. Zamknął oczy.

- Pan też to widział?

Minęło pół minuty. Czterdzieści sekund. Minuta. Potem się odezwał:

- Faceci siedzieli przed monitorami, podłączeni do Internetu, patrzyli na nią, i nawet nie zdawali sobie sprawy, że ona umiera. - Bob był zaskakująco zdenerwowany.

- Co pana w tym tak niepokoi?

Pokręcił głową.

- Czy pańska żona też kiedyś miała podobne objawy?

- Oczywiście.

- I co pan wtedy zrobił?

- Zawiozłem ją do lekarza. Dałem jej lekarstwo. Jedzenie. Wszystko, co trzeba.

- Skąd pan wiedział, czego potrzebowała?

- O co pani chodzi? Każdy chory potrzebuje tego samego. Ze mną byłoby podobnie.

- Jak pan się czuje, kiedy jest pan chory, a pańska żona przynosi panu wszystko, co potrzeba?

- Ja nie choruję.

- Nigdy? Żadnej grypy? Przeziębienia?

- No jasne, ale to nic poważnego.

- Okej, mimo wszystko. Proszę mi powiedzieć, co pan czuł ostatnim razem, kiedy zdrowie trochę panu szwankowało, a żona przyniosła panu zupełną albo chusteczki?

- Nie zgodziłbym się, żeby została w domu i opiekowała się mną. Jestem dorosły.

- A wieczorem, kiedy wraca z pracy?

Zastanowił się przez chwilę.

- Czy podaje panu coś? Choćby szklanek wody? Lekarstwa na kaszel?

- Ma dość roboty. Nie chcę, żeby pielęgnowała mnie jak jakaś kura domowa. Nie jestem taki wymagający.

- Ale tak zachowują się ludzie żyjący w związku.  
To element wspólnego życia.

Znów potrząsnął głową.

- To nie jest konieczne. Sam damę sobie radę.

- Więc pewnie czuje się pan samotny.  
Wyglądał na skonsternowanego.

- Co ma pani na myśli?

- To, że pan jej nie potrzebuje, nie jest pan zdolny  
do tego, żeby się na niej oprzeć.

Nosił przyciemnione szkła, więc nie widziałam,  
że jego oczy napełniły się łzami. Zdałam sobie z tego  
sprawę dopiero wtedy, kiedy uniósł rękę i otarł  
policzek. Zażenowany odchrząknął, jakby jego emo-  
cje wcale nie doszły do głosu.

- Ależ oczywiście, że mogę się na niej oprzeć.

Oboje wiedzieliśmy, że kłamię.

Okłamuje siebie i mnie.

A potem, jakby nie mógł tego znieść, jakby  
kłamstwo go przegoniło, Bob wstał i wyszedł z moje-  
go gabinetu. Bez słowa wyjaśnienia. A tyle pytań  
pozostało bez odpowiedzi.



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tego popołudnia, po powrocie do komisariatu, funkcjonariuszka Tana Butler przeczytała kartkę leżącą na jej klawiaturze i natychmiast zrobiła to, o co ją tam proszono: udała się do wspólnego pokoju Jordaina i Pereza. Kiedy tam dotarła, obaj rozmawiali przez telefon.

Perez wskazał jej krzesło. Po kilku sekundach Tana Butler zorientowała się, że to konferencja telefoniczna. Rozmawiali z kimś o poszukiwaniu następcy Freda Randalla, psychologa kryminalnego, który przeszedł z czynnej służby na emeryturę, by uczyć w akademii policyjnej.

Podczas gdy wymieniali powody, z których nie akceptują ostatniego kandydata, Tana Butler przyglądała się porysowanemu drewnianemu stolikowi, przy którym siedziała. Nic w tym pokoju nie było w tak oplakany stan jak ten stół, ale Jordain za skarby świata nie godził się wymienić go na nowy.

- Dzięki niemu pokój ma charakter - mówił zawsze, kiedy ktoś zwracał mu uwagę.

To w nim lubiła. Był wymagającym szefem, ale miał też artystyczną duszę, którą tak podziwiała. Podziwiała go również jako detektywa, a jednak niewielu oficerów policji gra na pianinie i gotuje dania kuchni kreolskiej. I niewielu obchodzi takie rzeczy jak stół z charakterem.

Jej chłopak droczył się z nią, że podkochuje się w szefie, chociaż to nie była prawda. Jordain był zbyt ponury, za dużo było w nim tej mrocznej strony. Za

mało żartował, żeby go aż tak polubiła. Ale jako szef był w porządku.

- Okej, posłuchajmy, co tam masz - powiedział Jordain uspokajającym głosem, jakby wiedział, że potrzeba jej trochę zachęty.

Otworzyła teczkę i zaczęła swoje sprawozdanie.

- Samobójstwo, rzecz jasna, jest mało prawdopodobne, ale żeby je całkiem wykluczyć, powiem, że nikt z jej rodziny, żaden z przyjaciół nie sądzi, żeby była w depresji. Wszyscy mieli z nią niedawno kontakt i w ogóle często się spotykali. Miała mnóstwo dobrych koleżanek, była blisko z owdowiałą matką i jej młodszą siostrą, a jej nauczyciele wyrażają się o niej w samych superlatywach.

- Nauczyciele? - przerwał Jordain. - Cofnęłaś się tak daleko?

- Nie. Ona jeszcze się uczyła. Była na dyplomowym roku w Pratt, w Brooklynie, studiowała sztuki piękne. Tylko jedna z jej przyjaciółek wiedziała o tej stronie internetowej. Podobno Debra zamierzała z tym skończyć za parę miesięcy, kiedy spłaci ostatnią pożyczkę.

Tana Butler spojrzała na Pereza, który ołówkiem z ogryzionym końcem zanotował kilka słów na żółtej kartce z bloczku. Nigdy nie pisał niczym innym, i zawsze na żółtym bloczku.

- Czy to były jej obrazy? - spytał Jordain.

Butler stwierdziła, że jego głos posmutniał jeszcze bardziej, kiedy poznał przedmiot studiów dziewczyny.

- Tak.

- Całkiem niezłe.

Skinęła głową. Nie zdziwiło jej, że zauważył takie detale.

- Jej mama powiedziała, że Debra sprzedała ostatnio dwa obrazy, i że zainteresowała się nią jakaś galeria z Chelsea. Była pewna, że od połowy lata Debra zacznie utrzymywać się ze sztuki.

- Matka wiedziała o tej stronie?

Spojrzała Jordainowi prosto w oczy.

- Nie. I tak ciężko było powiedzieć jej, że jej córka nie żyje... - Potrząsnęła głową.

Jordain dał jej chwilę oddechu. Wiedział, że jest profesjonalistką i poradzi sobie z tym. Każdemu z nich to się zdarza, po prostu od czasu do czasu ktoś bardziej niż inni zapada im w pamięć. Może o tym zdecydować drobiazg - choćby medalion z wyblakłym zdjęciem dziecka na szyi starszej kobiety. Poczucie bliskości czasem pomagało sprawie, kazało bowiem bardziej przykładać się do pracy, nawet kiedy niełatwo było sobie wyobrazić, że można pracować ciężiej.

- Nic nie sugerowało, że występy przed kamerą internetową wprawiły ją w depresję? - spytał Perez.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Przyjaciółka, która o tym wiedziała, niczego takiego u niej nie zauważyła. Jeśli już, to coś wręcz przeciwnego. Odkąd Debra szykowała się do zakończenia tych występów, była szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

- A co z facetami? Zwykle jest jakiś facet. Tak przynajmniej powtarzają mi kobiety. Że to zawsze nasza wina. - Perez się zaśmiał.

- Był taki jeden. Jakies pół roku temu. Zerwała z nim. To był pasożyt. Maxi, ta przyjaciółka, twierdzi, że Debra nie przeżywała rozstania. Od tamtej pory spotykała się z różnymi mężczyznami, ale

z żadnym się nie związała. Chyba malowanie było dla niej najważniejsze.

- To brzmi dobrze - mruknął Perez, po czym znów coś zanotował. - Ale to nie znaczy, że jest dobrze. Nieraz ktoś twierdzi, że jest czyimś przyjacielem i wie, co dzieje się w duszy tej drugiej osoby, kiedy tak naprawdę nie ma o niczym pojęcia. Więc osobiście nie wykluczałbym samobójstwa.

- Jak na samobójstwo, to dość skomplikowane - zauważyła Tana Butler.

- Wcale nie, jeśli chcesz światu coś powiedzieć. Jeśli praca, jaką wykonujesz, sprawia, że zaczynasz siebie nienawidzić - odparł Perez. - Robisz to po to, żeby wszyscy w tym cyberlandzie mogli patrzeć, jak smarujesz sztuczny penis środkiem nawilżającym i bawisz się nim, a potem umierasz odrażającą śmiercią.

- Ale ona nie była w depresji!

- Dość tego zgadywania. Porozmawiajmy o szczegółach. Czy w jej mieszkaniu znaleziono atropinę? Czy była niedawno w szpitalu? Dostała jakieś recepty na krople do oczu? - pytał Jordain.

Butler kręciła głową.

- Nic?

- Nic.

- Moim zdaniem artystka nie wybrałaby takiej śmierci - stwierdził Jordain. - Przed kamerą? Nagrywać tak okropną śmierć? Osoba wrażliwa na piękno nie chciałaby być widziana w takiej sytuacji.

Butler zgodziła się z nim.

- Czyli pozostaje nam wypadek albo morderstwo. A co ze środkiem nawilżającym? Czy jest praw-

dopodobne, żeby producent schrząnił recepturę?  
- pytał dalej Jordain.

- Nie. To środek rozpuszczalny w wodzie, oparty na glicerynie. Producent nie używa atropiny. W ogóle. Nigdy - odparł Perez.

- Więc co my tu mamy? Szaleńca, który robi podróbki? Czy to znaczy, że w najbliższych dniach powinniśmy się spodziewać więcej takich przypadków?

- Co o tym sądzisz, Butler? Jesteś pewna, że nie było w jej życiu nikogo, kto chciałby ją zabić? - spytał Perez.

Dała mu znak, że jest pewna.

- Będę jeszcze szukać, oczywiście, rozmawiać z ludźmi. Zajmuję się tym dopiero od dwóch dni, ale wygląda na to, że to była... miła dziewczyna, która chciała zostać malarką...

- I która przypadkiem zarabiała na życie na internetowej stronie porno? - dokończył Perez.

- To nie znaczy, że nie była miłą dziewczyną, która chciała zostać malarką - oświadczyła Tana Butler nieco spiętym głosem. - Nie była tak skomplikowana. Jezu, miała dopiero dwadzieścia trzy lata.

Nieglupia dziewczyna wychowana w normalnej okolicy na Staten Island. Żadnych narkotyków. Żadnej aborcji. Brak poważnych problemów w relacjach z rodzicami. Miała dobre koleżanki, które znała od dawna. Nawet chłopaka. Nic specjalnego, ale też nic podejrzanego.

- No dobra - rzekł Jordain, coś zapisując.

- Co ja słyszałem w twoim głosie? - spytał Perez.

- Będzie nam potrzebny nakaz sądowy.

- Po co? - zapytała Tana Butler.

- Wiem, że to mógł być podrobiony środek nawilżający i że Debra mogła przypadkiem kupić fałszywą tubkę żelu, ale przecież tysiące... dziesiątki tysięcy... do diabła, nawet setki tysięcy facetów przez ostatnie cztery lata oglądało ją i śliniło się na jej widok. Myślę, że musimy sprawdzić jej internetowych kochanków. Jej adres e-mailowy znajduje się na jej stronie. Każdy mógł się z nią skontaktować. Wolałbym, żeby to nie była prawda, ponieważ znaczyłoby to, że przez następne dwa dni czeka nas prawdziwy koszmar, ale teraz musimy się tym właśnie zająć.

Perez kiwał głową. Tana Butler potarła czoło, jakby dostała migreny.

- Będziemy musieli przeczytać jej e-maile, odsłuchać jej wiadomości, przejrzeć billingi, a potem porównać to wszystko z rejestrami tej spółki pornograficznej, dla której pracowała. Nie będą chcieli udostępnić nam swoich danych. Ale założę się, że jeden z admiratorów Debry wysłał jej ten środek nawilżający z prośbą, żeby posłużyła się nim specjalnie dla niego. Przed kamerą. Żeby mógł na to patrzeć.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wracając do domu tego wieczoru, wstąpiłam do E.A.T., modnego sklepu-restauracji mieszczącego się za rogiem ulicy, przy której mieszkam, i kupiłam na wynos zupę pomidorową z bazylią i bułkę z siedmioma ziarnami. Kosztowało to o niebo więcej, niż było warte, ale ponieważ padałam ze zmęczenia, gotowanie było ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę.

W domu włączyłam wiadomości, usiadłam na kanapie w salonie i zjadłam swoją kolację.

Po dwóch pierwszych informacjach dotyczących polityki prowadzący trzy minuty poświęcił sprawie, o której Noah opowiadał mi w poniedziałek wieczorem: młodej kobiecie z Chelsea, która zmarła w sobotnią noc, występując przed kamerą internetową. Następnie rozszerzył ten temat, mówiąc o pornografii w Internecie, między innymi o tym, że jest bardzo popularna wśród nastolatków.

Przełknęłam ostatni kęs bułki i ostatnią łyżkę zupy. Byłam w domu, po pracy. Po wyjściu z gabinetu powinnam odciąć się od spraw zawodowych. Przebrałam się w dżinsy i koszulkę i wyłączyłam telewizor, włączyłam za to odtwarzacz CD i udałam się do mojej małej pracowni rzeźbiarskiej - tak naprawdę był to tylko stół i szafka na narzędzia w kącie pokoju.

Rzeźbiłam amatorsko, ale dzięki temu zajęciu zapominałam o całym świecie. Dźwięki drewnianego młotka zagłuszały w mojej głowie głosy pacjentów. Rzeźbienie było jedyną rzeczą spośród wielu, jakich

próbowałam, która pozwalała mi zapomnieć o ludziach składających swoje troski i z wątplenia u moich stóp.

Obróciłam wkoło moją rzeźbę i obejrzałam ją ze wszystkich stron. Bładoniebieski marmur, nad którym zęcałam się od kilku tygodni, w końcu nabierał kształtu. Jeszcze jeden wieczór albo dwa i skrzydło, które, jak sobie wyobraziłam, wyfrunie z tego kamienia, będzie wreszcie widoczne.

Drewnianym młotkiem postukałam w drewnianą rączkę dłuta i ostrze odłupało pierwszy nieskończenie mały skrawek kamienia. Kolejne stuknięcie i kolejny odprysk. I jeszcze raz to samo. Fakt, że panowałam nad tym kształtem jak nad niczym innym, przynosił mi pociechę. Nawet jeśli byłam mało kompetentna, każda moja rzeźba spełniała swoją rolę. Pracowałam około dwóch godzin, a potem pojechałam po Dulcie do teatru.

Kiedy o dziesiątej piętnaście weszłam do jej garderoby, nie zaczęła jeszcze zmywać makijażu. Właśnie zdejmowała skrzydło, element kostiumu, jaki nosiła, grając Mary Lennox.

Uśmiechnęła się i przerwała na chwilę, żebym mogła dać jej całusa.

- Jak dzisiaj poszło?
- Dobrze.
- Tak? Coś nowego?
- Może.
- No to dawaj.

Przerwało nam stukanie do drzwi. Czyżby odechnęła z ulgą?

- Tak? - zawołałam.



- To ja, Raul, mogę wejść? - Raul Seeger był reżyserem spektaklu.

- Oczywiście.

Dulcie obserwowała go w lustrze. Kiedy zorientowała się, że na nią patrzę, odwróciła wzrok.

Wkrótce po rozpoczęciu prób zadurzyła się w Raulu, ale sądziłam, że już jej przeszło. Teraz straciłam tę pewność. Raz jeszcze ukradkiem na nią zerknęłam. Powoli zmywała z oka makijaż. Zbyt powoli.

- Morgan, dzisiaj wieczorem odwiedził nas łowca talentów. Dulcie zrobiła na nim wielkie wrażenie.

Spojrzałam na moją córkę. Teraz patrzyła prosto przed siebie, nadal zmywając makijaż z twarzy gęstym kremem.

Stałam po drugiej stronie garderoby, ale nawet z tego miejsca czułam oleisty zapach kremu. Mój zmysł węchu jest nadmiernie rozwinięty, więc zapachy, które inni ledwie zauważają, przyprawiają mnie o mdłości albo też sprawiają mi niebotyczną przyjemność. Noszę miętowe dropsy we wszystkich torebkach i kieszeniach. Jeżeli jakiś zapach jest dla mnie zbyt intensywny, biorę do ust miętówkę, i jej aromat neutralizuje wszystkie inne wonie. Kiedyś nawet pomogłam uratować życie pacjenta, rozpoznając jakiś niewyraźny zapach. Od czasu do czasu jakaś woń przenosi mnie w odległą przeszłość.

Teraz na kilka sekund przemieściłam się z garderoby Dulcie do łóżka mojej matki. Byłam znów siedmioletnią dziewczynką, która późno w nocy, kiedy dawno już powinna spać, przygląda się, jak jej mama zmywa makijaż.

Tego roku, kiedy mieszkaliśmy w czynszówce na Lower East Side, gdzie matka ukrywała się przed moim ojcem, pozwalala mi ze sobą spać. Kiedy wchodziła do sypialni, żeby się rozebrać, budziłam się i przypatrywałam się jej przez półprzymknięte oczy.

Chyba że przyprawiała do domu mężczyznę.

Wtedy brała mnie na ręce, owijała kocami i kładła na kanapie w salonie, potem włączała jakiś stary czarno-biały film, żeby mnie uśpić i żeby żadne dziwne obce dźwięki nie docierały do moich uszu.

- Łowca talentów?

- Nazywa się Hank Riser. Przygotowuje serial telewizyjny luźno oparty na naszej sztuce i szuka odtwórczyni głównej roli.

Obejrzałam się na Dulcie po raz trzeci albo czwarty w ciągu niespełna pięciu minut. Całą uwagę skupiła teraz na Raulu i lekko kiwała głową.

- Zaproponował, żeby pod koniec miesiąca Dulcie poleciała do Los Angeles na próbne zdjęcia do pilota serialu. Bardzo nie chciałbym jej stracić, ale nie chcę też stać jej na drodze. To wielka szansa, Morgan.

- Wyciągnął rękę z wizytówką łowcy talentów.

Nie wzięłam jej.

- Przerabialiśmy to już dwa miesiące temu. Dulcie za ciężko pracuje w tym spektaklu, żeby jej dokładać nowe obowiązki.

- To nie oznaczałoby dodatkowych zajęć. Musiałaby odejść z teatru. Mają umowę na trzynaście odcinków serialu. Na nic innego nie starczyłoby jej czasu.

Nadal byłam nastawiona sceptycznie.

- Nie. Nie jestem pewna, czy podoba mi się ten pomysł.

Raul nie usłyszał mojego niedopowiedzenia. Nawet mnie zdziwiło, że mówię tak racjonalnie i spokojnie o czymś, co wyzwala we mnie lawinę emocji. Tętno mi przyspieszyło, zacisnęłam zęby. Nawet nie spojrzałam na Dulcie po raz kolejny, z obawy, jak zareaguje na jej minę. Wiedziała, co się zapowiada. Znała też moją odpowiedź. Przeżywałyśmy już podobną sytuację, chociaż tamta sprawa była prostsza. Jeżeli wcześniej nie wyraziłam zgody na trzy tygodnie pracy dla telewizji, jakim cudem mogłabym się zgodzić na trzynastcie tygodni?

Raul nie schował wizytówki. Dulcie zaskakująco szybko poderwała się z krzesła i chwyciła prostokątny kartonik.

- Jestem absolutnie zachwycona - powiedziała.

- To byłoby cudowne. Pracować cały sezon w serialu! - Wszystko to mówiła bardziej do Raula niż do mnie.

Patrzyłam, jak moja trzynastoletnia córka tak po prostu schowała mały prostokąt z białego papieru i wcale jej nie obchodzi, że być może chowa do kieszeni bombę.

Wsiadłyśmy do samochodu, który każdego wieczoru nam podstawiano. Nie była to limuzyna, nic podobnego, tylko czarny czterodrzwiowy sedan, który czekał przy wyjściu z teatru, żeby zawieźć mnie i Dulcie do domu - albo Dulcie i jej ojca, zależnie od tego, u kogo akurat mieszkała.

- Mamo, to dla mnie bardzo ważne.

Samochód zjechał z krawężnika i ruszył na wschód. Nie miałam zamiaru prowadzić z nią poważnej rozmowy, dopóki nie znajdziemy się w domu. Dulcie jej oczekiwała, więc na mój brak odzewu odwróciła się i wyglądała przez okno. Jej przesadnie dramatyczna reakcja rozbawiłaby mnie, gdybyśmy mówiły o czymś innym. Ale w tym punkcie nie zgadzałyśmy się i o to właśnie toczyłyśmy wszystkie nasze boje.

Po drodze mieliśmy szczęście do zielonego światła, toteż szybko pokonywaliśmy drogę, a im bardziej zbliżaliśmy się do naszego mieszkania, tym moje postanowienie było mocniejsze. Wiedziałam, że Dulcie także. Mój empatyczny związek z córką miał się świetnie i wyraźnie czułam jej emocje. Nikt nigdy nie znaczył dla mnie tyle co Dulcie. Nie istnieje nic, czego bym dla niej nie zrobiła, z radością poświęciłabym wszystko, byle zapewnić jej szczęście.

Nie zamierzałam jednak, w żadnych okolicznościach, pozwalać mojemu dziecku na przesłuchania do serialu telewizyjnego. Ona zdawała sobie z tego sprawę. Mimo to wzięła wizytówkę.

Moja córka ma trzynaście lat.

A ja jestem terapeutką i mam świadomość, jakie są współczesne nastolatki, ale istnieje różnica między wiedzą zawodową i byciem matką. Rzeczywistość poddaje mnie próbie. I chyba robi to codziennie.

Gdy tylko weszliśmy do holu, zanim jeszcze miałam okazję się odezwać, Dulcie odwróciła się do mnie i głosem tak dojrzałym, jakiego u niej dotąd nie słyszałam, oznajmiła:

- Nie zabronisz mi castingu tylko z powodu tego, co spotkało moją babkę pięćdziesiąt lat temu. Przedtem ci uległam, bo tamto nie było takie ważne. Ale to

jest wielka sprawa. Chcę to zrobić, mam. I byłoby bardzo niesprawiedliwe, gdybyś próbowała mnie powstrzymać. Jeśli spróbujesz, i tak to zrobię.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dulcie poszła spać, a w każdym razie tak mi oświadczyła. Nalałam sobie kieliszek merlota i usiadłam na kanapie w pokoju, skacząc po kanałach, szukając programu, który by mnie rozerwał, odwrócił moją uwagę. Niestety, niczego takiego nie znalazłam.

Zostawiłam włączony telewizor, chociaż bez głosu, i zaczęłam myszkować na półkach z książkami. Na jednej półce trzymałam nowe, jeszcze nieprze czytane powieści, ale jakoś żadna z nich mnie nie skusiła. Myślałam tylko o tym, by pójść do pokoju córki, usiąść obok niej, pomasować jej plecy i sprawić, żeby się do mnie uśmiechnęła z absolutną miłością i zaufaniem, tak jak robiła całe życie.

Aż do teraz.

W końcu wyciągnęłam jeden z tomów, który rozpoznawałam dotykiem, nawet nie widząc zniszczonej skórzanej oprawy.

Usiadłam znowu na kanapie i ostrożnie otworzyłam album. Górny prawy róg był przetarty, zaś dolny lewy podarty. Na środku pierwszej strony widniała pojedyncza fotografia. Białoczarne zdjęcie dwumiesięcznej dziewczynki zrobione w atelier. Pod spodem atramentem napisano datę, która zbladła na tyle, że wyglądało, jakby powoli zniknęła. 16 maja 1944.

Przewróciłam stronę. Moim oczom ukazały się ułożone w rzędach zdjęcia. Wszystkie przedstawiały to samo dziecko, jak dorastało, miesiąc po miesiącu,

a każde zdjęcie podpisane było tym samym fantazyjnym charakterem pisma.

Moja babka bardzo skrupulatnie prowadziła album z fotografiami swojej jedynej córki. Jako mała dziewczynka byłam nim zafascynowana, uwielbiałam oglądać podobizny mojej matki, dopatrywać się w obliczu tego dziecka jej twarzy, pięknej twarzy, którą tak dobrze znałam. Kiedy skończyła pół roku, jej brwi tworzyły już idealne łuki, i taki kształt zachowały do końca jej życia. Niebieskie oczy były już tak okrągłe i błyszczące jak wtedy, kiedy po wielu latach patrzyły na mnie. Z jakiegoś powodu pewność, że to dziecko to moja własna matka, miała dla mnie wielkie znaczenie. Fakt, że kiedyś była mała, a potem dorosła, dodawał mi otuchy.

Dopiero gdy moja matka skończyła dziesięć lat, jej wargi zaczęły przypominać te, które każdego wieczoru mnie całowały. W dwunastym roku życia mocniej zarysowały się jej kości policzkowe, a jako szesnastolatka była już tą osobą, którą znałam.

W owym roku moja matka została jedną z bohaterek „Zagubionych dziewcząt” - serialu telewizyjnego o nieszczęśliwych przypadkach dwóch osieroconych nastolatków, wychowywanych przez małżeństwo nauczycieli.

Serial natychmiast zdobył ogromną popularność, a moja matka zyskała status gwiazdy w takim wieku, kiedy jeszcze nie potrafiła sobie z tym poradzić. Sukces jednocześnie stworzył ją i zniszczył, ponieważ serial zdjęto z anteny, kiedy miała zaledwie dziewiętnaście lat, a później nie osiągnęła już podobnego powodzenia. Nie rozwinęła się aktorsko, jej małżeństwo z moim ojcem, którego poślubiła kil-

ka lat później, okazało się niewypałem, i w końcu uzależniła się od leków i alkoholu. Ojciec próbował jej pomóc, ale ona wzięła nogi za pas, zabrała mnie ze sobą i ukryła się w mizernej klitce na Lower East Side.

Przetrwałyśmy tam tylko rok.

Kilka razy przestawała pić. Przez pięć albo sześć dni nie sprowadzała do domu mężczyzn, którzy wzbudzali we mnie lęk, częściej się uśmiechała i nawet gotowała kolacje. Te dni były najlepsze. Lecz nigdy nie wytrzymała długo w trzeźwości. Wreszcie pewnej nocy połknęła za dużo pigułek, popiła je zbyt dużą ilością alkoholu i zapadła w śpiączkę. Miałam osiem lat, kiedy ją znalazłam i zadzwoniłam do ojca z prośbą, żeby przyjechał i ratował matkę.

Ale na to było już za późno. Ojciec zabrał mnie do siebie i robił wszystko, by mnie uratować. Jego druga żona wspierała go w tym z całej mocy, ale to Nina Butterfield, najstarsza przyjaciółka matki, naprawdę mnie ocaliła, otoczyła mnie opiekuńczymi ramionami i obdarowała bezwarunkową miłością, która trzymała mnie przy życiu.

Przebiegłam palcami po długich falujących włosach mojej matki na fotografii, zrobionej, kiedy miała osiemnaście lat. Była śliczną dziewczyną, z miękkimi lokami i elektryzującymi niebieskimi oczami, które tak bardzo przypominały oczy mojej córki, że czasami, kiedy patrzyłam na Dulcie, ogarniała mnie wielka tęsknota za matką.

Na tym zdjęciu, u szczytu kariery, matka prezentowała się jak najprawdziwsza hollywoodzka gwiazda. Żałuję, że wtedy jej nie znałam, gdy była najszczęśliwsza, kiedy jej śmiech jak dzwoneczek, który



słyszałam tylko z rzadka, był dźwiękiem, jaki najczęściej płynął z jej ust.

Czego szukałam tego wieczoru w pokoju? Czegoś, co pomogłoby mi wytłumaczyć Dulcie, dlaczego za żadne skarby świata nie pozwolę jej pójść w ślady mojej matki.

Kiedy zadzwonił telefon, niemal z ulgą odłożyłam album i wróciłam do terażniejszości.

- Morgan?

Głos był niski, sylaby ciągnęły się jak ciagutka. To był głos Noaha Jordaina.

- Co robisz? - spytał tym swoim powolnym luizjańskim akcentem, który przywoływał w wyobraźni jego dłonie na moim ciele.

- Siedzę i użalam się nad sobą.

- Zmarnowałaś kolejne danie?

- Bardzo jesteś miły. Nie. Zjadłam zupę na wynos. Założę się, że ty w ciągu półtorej minuty upitrasilesz sobie coś egzotycznego.

- Nie, kochanie, nie dziś wieczorem. Właśnie przyjechałem do domu. To jakaś pokręcona sprawa. Ale nie chcę teraz o niej mówić. Tęsknię za tobą.

Te słowa równocześnie rozgrzały mnie i wywołały dreszcze. Zawsze mi to robił. Działał na mnie jak nikt inny, nawet mój były mąż.

- Morgan?

- Jestem tutaj.

- Ale jakoś tak zamilkłaś. O czym myślałaś?

- Jakie okropne rzeczy oglądasz codziennie, i jakich okropnych rzeczy ja wysłuchuję.

- Ale słuchając ich, pomagasz ludziom.

- Wiem.

- Jesteś bardzo przygnębiona. Co się stało? Powiedziałam mu o zaproszeniu Dulcie na casting do serialu telewizyjnego. Wiedziałam, że mnie zrozumie. Był świadkiem naszego poprzedniego sporu.

- Nie chcę automatycznie stawać po twojej stronie, ale ona jest zdecydowanie za młoda, żeby jechać do Hollywood.

- Dzięki. Problem w tym, jak ją o tym przekonać.

- Nie jestem pewien, czy ci się uda.

- Więc jak długo tym razem mam znosić jej kamienne milczenie i obrażone spojrzenia? Pamiętasz, jak koszmarnie było ostatnio. Wolałabym, żebyśmy to przegadały, ale ona jest uparta. Tak bardzo podobna do mojej matki. Po prostu zimna jak lód.

- Potrzebujesz kogoś, kto by cię rozgrzał?

Zaśmiałam się.

- Wiesz, że nie widziałem cię już trzy tygodnie. Powiedział te słowa w taki sposób, że zadrżałam.

Serce zabiło mi tak mocno, że prawie zabolęło, a potem pojawiło się ostre ukłucie strachu. Zawsze tak było. Czerwona flaga. Alarm. Ostrzeżenie. Nie miałam w zwyczaju nikogo pragnąć. Ani otwierać się przed nikim. Bo wtedy czułam się kompletnie bezbronna, a tego nie lubiłam.

Zmusiłam się do odpowiedzi.

- Ja też za tobą tęsknię, Noah. - Słowa zabrzmiały głośniejsz w moich uszach niż w rzeczywistości.

- Miło mi to słyszeć, kochanie. To znaczy, że zaakceptujesz moją propozycję.

- Tak.

- Zdziwiasz mnie, Morgan. Nawet nie wiesz, co to za propozycja.

- Nie, ale chciałam się przekonać, jak to będzie, kiedy tak powiem. Po prostu zaryzykowałam. Więc na co się zgodziłam?

- Na weekend ze mną, jeśli Dulcie spędza go w tym tygodniu u ojca.

- No to masz szczęście. Albo ja mam szczęście. Mitch odbierają z teatru w piątek wieczorem i Dulcie zostanie u niego do poniedziałku. Jakie mamy plany?

- Ty mnie zaskoczyłaś, to teraz ja zaskoczę ciebie. Zdradzę ci dopiero w piątek wieczorem. Ale do piątku zostały jeszcze dwa dni. Co ja mam biedny robić w międzyczasie? - zażartował. - Może posiedzimy przy telefonie przez najbliższe trzy godziny? Pogadamy, dopóki nie zapadniemy w sen, a potem będziemy spać ze słuchawką przy policzku.

- Mężczyźni nie mówią takich rzeczy. Jesteś absolutnie zbyt romantyczny. To rodzi we mnie podejrzenia.

- Ależ nie. To przyprawia cię o zawrót głowy. Słyszę to w twoim głosie. Poza tym mężczyźni mówią takie rzeczy. Przynajmniej jeden z nich tak mówi.

Już miałam mu odpowiedzieć, kiedy u niego zadzwoniła komórka.

- Cholera, zaczekaj.

Noah nie używał komórki do prywatnych rozmów, a zatem jeśli już ktoś dzwonił do niego na komórkę, prawie zawsze przynosił złe wiadomości.

- To Perez. Przepraszam, Morgan, muszę kończyć. Zadzwoń później, jak mi się uda.

- Uważaj na siebie - powiedziałam, nie całkiem pewna, czy mnie usłyszał, kiedy się rozłączał.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Najukochańsza moja!

Najbardziej tęsknię za tobą nocami. Czasami towarzyszy temu lekki ból, ale dziś w nocy mam wrażenie, jakby ktoś wbijał mi ostre szpikulce w każdy staw. Tyle że teraz mam cel, który trzyma mnie przy życiu - wiem, że robię coś, co musi zostać zrobione. Do dnia twoich urodzin całą piątkę spotka kara. Zostało szesnaście dni. Szesnaście. Szesnaście słodkich dni. Nie mogę pozwolić sobie na błędy, i dlatego muszę się kryć, gdziekolwiek się udaję, cokolwiek robię, nawet kiedy wchodzę do Internetu. Nikt nie może mnie widzieć. Dość, że te kobiety są widoczne. Zbyt widoczne. Zbyt widoczne w całej swojej okazałości.

Przed pojawieniem się Internetu istniały oczywiście inne koszmary, inne słabości, inne potworne nadużycia. Wiem, że pornografia od zawsze znajduje dla siebie miejsce w czasopiśmie i filmach dla dorosłych, i w podejrzanych teatrzykach, gdzie kobiety rozbierają się i tańczą nago, podczas gdy mężczyźni w ciasnych kabinach za szklaną ścianą masturbują się, i jeszcze za to płacą.

Jednakże te kobiety nie są ograniczone czasem ani miejscem, one fruują, one rozkładają skrzydła, i nie tylko skrzydła, i pokazują się dziesięciu tysiącom, dwudziestu tysiącom, pięćdziesięciu tysiącom par oczu równocześnie. Mężczyznom, którzy siedzą w salonach, sypialniach i biurach. One jednocześnie mówią, kuszą, wystawiają się na pokaz, bezpiecz-

ne, bo dalekie, a jednak groźne, bo tak bardzo prawdziwe.

Czasami siedzę przed ekranem twojego komputera, oglądam je i próbuję dokładnie zrozumieć, o co tu chodzi, dlaczego od tych kobiet nie można się uwolnić. Siedzę przy twoim biurku, z palcami na klawiaturze, i usiłuję to pojąć, i w końcu moje wysiłki prowadzą mnie z powrotem do ciebie.

Tęsknię za tobą i kocham cię. Jak mogłaś kiedykolwiek w to wątpić? Ty. Ty. Wszystko, co posiadam i wszystko, co się dla mnie liczy - co się kiedykolwiek liczyło - to ty. Czy już to ode mnie słyszałaś? Czy wiesz, że mam nagrany ten moment, kiedy Penny poczuła się źle, ale brak mi odwagi, żeby obejrzeć go po raz drugi? Bawiła się sama ze sobą, a ból zaatakował ją znienacka, bez uprzedzenia. Zaskoczył ją tak samo jak ty mnie zaskoczyłaś, uderzył w nią i wciąż uderza we mnie. Straciła swoją rolę w tym ordynarnym seksualnym spektaklu. Jej nagie ciało lśniło od potu. Spływał kroplami po jej szyi jak lzy, na piersi i brzuch, aż dotarł do włosów łonowych, gdzie zniknął. Kręciło jej się w głowie i patrzyła rozbieganym wzrokiem. Nie miała pojęcia, jak sobie pomóc, kiedy zgięła się w pół, a jej skóra zrobiła się kredowobiała. Sutki jej sterczały podczas występu i tak pozostały nawet wtedy, gdy źle się poczuła, więc wyglądało to, jakby wzięła jakiś narkotyk, który ją podniecił.

Kiedy wszystko dobiegło końca, przez dłuższy czas towarzyszyło mi wrażenie, że to, co nas dzieli, zniknęło, i znowu jesteśmy razem. W tej jednej chwili, w momencie jej śmierci, nie było wątpliwości, że ja żyję, ani że ty wiesz, że cię kocham, bo

przecież właśnie ci to udowadniam. Penny zmarła za naszą miłość i to samo spotka kolejną kobietę. Robię to tylko dla ciebie.



**Piątek**

**Pozostało czternaście dni**



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

W przerwie o dziesiątej czterdzieści pięć chciałam porozmawiać z Niną, ale okazało się, że brała w tym czasie udział w jakimś pogrzebie. Tak więc dopiero po południu złapałam ją w jej gabinecie. Właśnie nalewała sobie filiżankę gorącej, parującej herbaty z imbirem i miodem. Codziennie przygotowywała ją w domu i przynosiła w dużym termosie. Mnie także zaproponowała filiżankę tego napoju, a ja przyjąłam ją chętnie, po czym usiadłam na skórzanej kanapie w wielbłądzim kolorze i zapytałam, kto umarł.

- Nie mówiłam ci wczoraj?

Pokręciłam głową.

- Musiałam to wyprzeć. Nikt nie jest w tym lepszy niż terapeuci.

Roześmiałyśmy się, bo była to prawda, nawet jeśli banalna i ogólnie znana.

Zmarł Josh Cohen, profesor pracujący niegdyś w Columbia Law School, który od lat chorował na alzheimera. Jego rodzina i przyjaciele tracili go dwa razy; po raz pierwszy, kiedy jego umysł zaczął gasnąć i Cohen przestał ich poznawać, i po raz drugi, kiedy poddało się jego ciało. Nina przyjaźniła się z jego żoną Claire, która także była terapeutką. Liczba żałobników zrobiła na niej wrażenie.

- Wszystkie ważne umysły prawnicze z miasta, a do tego wszyscy psychoterapeuci. Jest w tym jakiś żart, ale w tej chwili nie potrafię o tym myśleć. Chodzi o to, że to dziwnie dobrane towarzystwo. Stacey O'Connell i ja siedziałyśmy tuż za parą, która



od dwóch lat przychodzi do niej na terapię. Ja z kolei widziałam trzech prawników, z którymi kiedyś pracowałam. Dwaj z nich mnie zauważyli, ale unikali. Kira Rushkoff wylądowała za Stellą Dobson, a Stacey i ja martwiłyśmy się, że Stella to spostrzeże.

- Dlaczego?

- Kira Rushkoff to adwokat, która wygrała sprawę o naruszenie prywatności przeciw Stelli.

- No fakt - przyznałam. - Wyleciało mi z głowy. Wiesz coś o nowej książce Stelli?

- Nie, nie miałam okazji z nią porozmawiać. A ty skąd o tym wiesz?

- To małe miasto. Mały świątek. Stella zgłosiła się do Blythe. Chce przeprowadzić z nią wywiad.

Nina spojrzała na mnie bardzo skonsternowana.

- Chce przeprowadzić wywiad z terapeutką zaburzeń seksualnych? W takim wypadku na pewno zadzwoniłaby do mnie. Znamy się całe wieki.

- Sęk w tym, że ona nie interesuje się jej pracą w charakterze terapeutki. Zresztą nie sędzę, żeby miała pojęcie, że Blythe tutaj pracuje. Chce z nią rozmawiać o jej występach przed kamerą internetową. Pewnie nie zna nawet prawdziwego nazwiska Blythe. W Internecie Blythe nazywała się Psyche, jak grecka bogini.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia jej przeszłość nie okaże się problemem dla jej pacjentów. - Nina się zadumała.

- Nie powinna - odparłam, myśląc o masce, przekonana, że mam rację.

**Sobota**

**Pozostało trzynaście dni**



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Patrząc przez okno w drodze z lotniska, spodziewałam się, że w Dzielnicy Francuskiej zastanę o wiele więcej zniszczeń po huraganie, niż ostatecznie zobaczyłam.

- Czarujące miejsce - stwierdziłam, kiedy taksówka sunęła wysadzaną drzewami ulicą, mijając rząd bogato zdobionych fasad z żelaznymi balustradami, architekturę, która należała do innej epoki. Okno z mojej strony było otwarte, ciepłe powietrze wydawało się dość egzotyczne po mroźnej temperaturze w Nowym Jorku. - To miasto jest wyjątkowe, prawda?

Noah uśmiechnął się.

- Tak. Jest szalone i leniwe, ma własny rytm, smak i charakter. Ale nie chcę ci o nim opowiadać. Jesteś tutaj po to, żebyś się sama dowiedziała. - Ścisnął moją dłoń.

Rano Noah po mnie przyjechał. Poprzedniego wieczoru zadzwonił z prośbą, żebym była gotowa nazajutrz o siódmej trzydzieści, spakowana na dwa dni i przygotowana na dwadzieścia kilka stopni ciepła. Dopiero gdy znaleźliśmy się na lotnisku, odkryłam, że lecimy do Nowego Orleanu. W poniedziałek Noah miał stawić się w tamtejszym sądzie i wpadł na pomysł, że spędzimy razem weekend. Ja miałam wrócić do Nowego Jorku w niedzielę wieczorem, a on zostać jeszcze na rozprawę.

Wysiedliśmy z taksówki w małej bocznej uliczce, która wyglądała tak, jakby od stu lat nic się tam nie zmieniło, i weszliśmy do hotelu Saint Dennis.

Na moje mało wytrawne oko przypominał on idealnie odrestaurowaną rezydencję z końca dziewiętnastego wieku. W holu pyszniły się wysokie palmy w donicach i aksamitne kanapy, wysokie okna zasłaniały firanki z organzy, lejące się na lśniący parkiet. W powietrzu unosił się zapach słodkich kwiatowych perfum. Stałam nieruchomo i wdychałam go przez kilka sekund.

- To magnolia - powiedział Noah.

Uśmiechnęłam się, ponieważ odgadł, co robię.

Recepcjonista zadzwonił po boya, który zawiózł nas wyłożoną lustrami windą na drugie piętro. Nasz pokój był urządony w tym samym klimacie co hol. Podczas gdy Noah dawał napiwek boyowi, rozejrzałam się szybko dokoła. Podwójne łóżko przykrywała ciężka lawendowa narzuta z adamaszku, antyczne biurko stało w rogu, na ścianach zaś wisiały uroczyste ryciny przedstawiające sceny uliczne z Nowego Orleanu z belle epoque. Ogromny bukiet frezji, róż i irysów stał nad kominkiem, roztaczając w pokoju silną woń. Ale najbardziej zauroczył mnie nieduży balkon z kutą żelazną balustradą, wiklinowymi fotelikami, bluszczem oplatającym trelią, doniczkami geranium i wspaniałym widokiem.

Na dole znajdowało się niewielkie podwórze z drzewami liściastymi i grządkami, na których tłoczyły się ciemnofioletowe, lawendowe i niebieskie kwiaty, przetykane gdzieniegdzie żółtymi. Była tam również kamienna fontanna z aniołem, woda tryskała z trzymanej przez niego muszli. Stałam na balkonie, a woda rozpryskiwała się w kamiennej misie, skądś płynęła jazzowa melodia. Cieszyłam się zapachem wilgotnego powietrza i lekkim wiatrem,

ciepłym i delikatnym jak dotyk Noaha, kiedy podszedł do mnie i otoczył mnie od tyłu ramionami. Trwaliśmy tak przez chwilę, a potem on opuścił ręce.

- Chodźmy na spacer. Nie mogę się doczekać, żeby pokazać ci Nowy Orlean.

W samolocie, siedząc obok śpiącego Noaha, wyobrażałam sobie, że gdy tylko zamkniemy za sobą drzwi pokoju, rzucimy się na łóżko. Wyobrażałam sobie ten pokój - jakie szerokie będzie łóżko, jakie miękkie poduszki, jak świeżo pachnąca pościel. Spodziewałam się, że zamkniemy żaluzje, żeby światło nie było zbyt jaskrawe, ale okno zostawimy uchylone, by czuć świeże powietrze wokół nas. Kiedy samolot płynął nad chmurami, widziałam siebie i Noaha, jak szybko zrzucamy z siebie ubrania i w chłodnym, zacienionym pokoju przytulamy się, dopasowujemy do siebie swoje ciała, nie tracąc ani sekundy, jak nasz oddech przyspiesza, i nic innego już się nie liczy.

Chociaż z całego serca pragnęłam, żeby tak się stało, nie mogłam zamienić tej fantazji w rzeczywistość, i chociaż bardzo chciałam, by Noah został ze mną na balkonie, nic nie powiedziałam. Byłam naprawdę onieśmielona. A potem zezłościłam się na siebie za te myśli, za fantazje, które zrodziły się w mojej głowie, i za rozczarowanie, że się nie spełniły. To do mnie niepodobne. W każdym razie nigdy taka nie byłam przed spotkaniem Noaha.

To bez znaczenia. Ta chwila już minęła. Noah czekał na mnie, gotowy pokazać mi swoje miasto.

W windzie spojrzał mi w twarz.

- Co robisz?

- Szukam jakiejś wskazówki, żeby wiedzieć, jak się czujesz.

- Próbujesz odgadnąć mój nastrój ze sposobu, w jaki na ciebie patrzę, jak trzymam ręce, czy mrużę oczy. Posługujesz się metodami, jakie ja stosuję wobec pacjentów, odgadując ich stan psychiczny, czując, że ich słowa są sprzeczne z ich zachowaniem. To niesprawiedliwe.

- Dlaczego? Skoro ty robisz to cały czas. Zaśmiałam się. On ma rację.

- No dobra, więc powiedz mi, jak się czuję.

- Nic ci nie będzie, kochanie, obiecuję.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

To jest noc pracy. ZaZa siedziała przy stoliku ze szklanym blatem w jadalnej części swojego strychu, z kieliszkiem taniego białego wina, które wcale nie było takie złe, i czekała na Tanie. Denerwowała się, ponieważ bardzo chciała ją zobaczyć. Od ponad roku, co sobotę, Tania Hutchison zjawiała się u niej około północy, wypijały trochę wina, zapalały jointa, a kiedy się już rozluźniły, zdejmowały ubranie i brały się do pracy.

Spojrzała na zegarek. Dlaczego Tania się spóźnia? ZaZa wstała, schowała butelkę do lodówki i usiadła z powrotem przy stole.

Podjęła decyzję. Musi jej to wreszcie powiedzieć. Zbyt długo już trzyma to w sekrecie. Od wielu miesięcy przestał to być wyłącznie sposób na zarobienie dodatkowej kasy, na dorobienie do żalostnej pensji kelnerki, która próbuje zostać aktorką.

Jak całe rzesze innych kobiet, ZaZa przyjechała do Nowego Jorku pełna nadziei i marzeń, a trzy lata później zdołała jedynie wystąpić jako statystka w parunastu reklamach. Co parę miesięcy postanawiała, że spakuje manatki, wyprowadzi się, znajdzie sobie normalną pracę, a jednak coś ją tam trzymało. Nienawidziła kelnerowania. Nienawidziła strychu w tym zapyziałym gównianym budynku w Hell's Kitchen. To jest ruina i nie pomagają nawet obrazy i dekoracje. Nienawidziła nadziei, która towarzyszyła jej za każdym razem, kiedy wybierała się na przesłuchanie, a potem jeszcze większej nadziei, ilekroć ktoś do niej oddzwonił, a później katuszy oczekiwania na telefon,

że dostała rolę. Z taką informacją nikt nigdy do niej nie zadzwonił.

Początkowo opierała się, kiedy Barbara, koleżanka aktorka, wspomniała jej o tej pracy. Ale ZaZa potrzebowała kasy na nowe ciuchy i fryzjera, który by ją porządnie ostrzygł i zrobił przyzwoite pasemka. Musiała dobrze wyglądać, by dostać jakąkolwiek rolę. A zatem odparła, że spróbuje. W końcu czy to coś bardzo złego? To też gra, prawda? Obie z Barbarą były aktorkami, w szkole razem przygotowywały scenki. Polubiły się, chodziły na kawę, rozmawiały o chłopakach, kiedy ich miały, albo braku chłopaków, kiedy były same. Zostały przyjaciółkami, łączyło je coś więcej niż aktorstwo.

ZaZa podskoczyła. Cholera. Za głośno dzwoni ten domofon. Poskarżyła się już gospodarzowi co najmniej tuzin razy. Ilekroć widział ją w holu, wycierał ręce w te swoje brudne dżinsy, lypał na nią okiem - nie aż tak, żeby ją zdenerwować, ale wystarczająco pożądliwie, by ją przestraszyć i dać jej do myślenia, czy przypadkiem nie widział jej w Internecie - i obiecywał, że jak tylko skończy podłogę w 4-B i malowanie w 6-A, naprawi domofon. Dotąd jednak nie spełnił swojej obietnicy.

Tania wniosła ze sobą powiew lodowatego powietrza. Kiedy zdjęła szalik i włosy jej opadły, ZaZa udawała, że na nią nie patrzy, choć nie mogła oderwać od niej oczu. Nos Tanii był trochę za długi i nie zasługiwał na miano pięknego, a jej szczeka była za mocno zarysowana, ale właśnie dzięki temu robiła wielkie wrażenie. Kobiety nie ucałowały się na powitanie, ale obie były szczerze zadowolone ze spotkania. Podczas gdy Tania zdejmowała płaszcz, ZaZa nalala jej kieliszek wina.



Kiedy po prawie dwóch latach Barbara w końcu porzuciła nadzieję, że będzie zarabiać aktorstwem i wyjechała z Nowego Jorku, ZaZa zatrudniła nową partnerkę. Spotkała Tanie, statystując, poznały się bliżej, chodząc wspólnie na castingi. Po paru tygodniach ZaZa stwierdziła, że ich przyjaźń jest dość zażyła, by mogła pozwolić sobie na taką sugestię, a zatem, tak jak poprzednio Barbara, poruszyła temat występów w Internecie. Z początku Tania zareagowała śmiechem. Potem odparła, że chce zobaczyć, co ZaZa robi przed tą kamerą. Usiadły przed komputerem ZaZy, każda z kieliszkiem wina, a kiedy ZaZa nacisnęła klawisz, Tania się nachyliła.

Do końca nagranych materiału nie powiedziała ani słowa. Nie wstała, nie odsunęła się, nie wyglądała na zakłopotaną. Im dłużej patrzyła, tym bardziej rosła nadzieja ZaZy. Kiedy nagranie dobiegło końca, Tania podniosła się i oznajmiła, że musi to przemyśleć. Po tygodniu zadzwoniła z informacją, że się zgadza, że to zrobi, ponieważ potrzebuje pieniędzy. Cały nacisk w tym zdaniu położyła na słowie pieniądze.

Od tamtej chwili minął ponad rok.

Teraz już po raz pięćdziesiąty trzeci rozbiórą się i będą udawać kochanki, by sprawić przyjemność tysiącom mężczyzn, którzy siedzą gdzieś tam w czarnej otchłani i je oglądają. ZaZa nie lubiła o nich myśleć. Nie, raczej nie była w stanie o nich myśleć. Nie była w stanie wyobrazić ich sobie, zastanawiać się nad tym, co robią - to zabiłoby jej występ. Zamiast tego, ilekroć się spotykały, ZaZa i Tania przez pierwszą godzinę popijały wino i improwizowały historię, którą za chwilę miały odegrać. ZaZa przejmowała się tymi scenariuszami, zupełnie jakby grały na Broadwayu.

Ale w końcu to jest sprawdzian ich aktorskich umiejętności. Tak twierdziła Tania.

ZaZa się z nią zgodziła.

- To dla nas znakomite doświadczenie. Równie dobre, jak wszystkie warsztaty, w jakich uczestniczyłam.

- Więc kim będziemy tej nocy? - spytała Tania, kiedy wypila nieco wina i się rozgrzała.

ZaZa kupiła w antykwariacie tanie wydanie wierszy Safony i przeczytała dwa z nich na głos.

- Są przepiękne. Wykorzystajmy je - powiedziała Tania.

- Nie sądzisz, że nasza widownia nic z tego nie zrozumie?

- Nie będzie im to przeszkadzać, o ile wirtualnie zrobimy im loda, prawda? - Tania zaśmiała się, wstała i zaczęła rozpinać czarny kardigan.

- Zostaw. - ZaZa wyciągnęła rękę, by powstrzymać przyjaciółkę. - Pozwól, że ja to zrobię. To im się spodoba.

I w tym momencie włączyły kamerę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Noah zabrał mnie na kolację do małej knajpki, której nie było w żadnym przewodniku, a która mimo to pękała w szwach. Przedstawił mnie właścicielce o imieniu Bella, kobiecie po sześćdziesiątce z burzą tlenionych włosów i kolczykami, które zwisały jej do ramion.

Natychmiast dostaliśmy stolik, chociaż przy barze kłębił się tłum oczekujących, i przyniesiono nam koszyk gorących, ociekających masłem kukurydzianych kolb oraz talerz pikantnej marynowanej okry, na którą nie bardzo miałam ochotę. Ale kiedy już jej spróbowałam, nie mogłam się nią nasycić.

Pozwoliłam, by Noah zamówił dla mnie duszonego kraba na ryżu gotowanym z kurzymi wątróbkami, a potem zjadłam więcej, niż powinnam. Wino było orzeźwiająca i zimne, i przyniosło ulgę po jedzeniu, które paliło wargi.

Później wybraliśmy się do Blues Pałace, skromnego, bezpretensjonalnego klubu. Po pięciu kawałkach saksofonista wypatrzył Noaha pośród widzów i poprosił go na scenę, nalegając, by z nimi zagrał. Noah spojrział na mnie, a ja skinęłam głową. Kiedy znalazł się na scenie, usiadł przy pianinie i jego palce zabrały się do dzieła.

Nigdy nie słuchałam muzyki dla samej muzyki. Dopóki nie poznałam Noaha, muzyka zawsze stanowiła dla mnie tylko tło. Ale potem odkryłam, że jeśli człowiek oddaje się jej całkowicie i słucha całym sobą, ciało zaczyna rezonować, i słyszy się muzykę

w sobie, bo staje się ona w równym stopniu dźwiękiem, co zmysłowym wrażeniem.

Noah improwizował przez ponad godzinę, toteż wróciliśmy do hotelu nieco po pierwszej w nocy. Przez otwarte okno wpadało światło księżyca, tak intensywne, że doskonale widzieliśmy się nawzajem. Noah bez słowa wyciągnął ręce, objął mnie i przyciągnął do siebie.

Zdawało mi się, że poruszam się w zwolnionym tempie. Najpierw ujrzałam jego twarz, łagodne błękitne oczy, które na mnie patrzyły, a potem ta twarz znalazła się tuż przy mojej twarzy. Czułam jego oddech na policzkach, a on ścisnął mnie, dokopywał się do mnie przez bluzkę z siłą kontrastującą z jego łagodną twarzą. A później było już nic prócz czerni w moich oczach i jego ust, które zmuszały mnie, bym rozchyliła wargi. Jego ust, które sprawiały ból zakończeniu moich nerwów. Pieściły mnie tak, że ciarki przechodziły mi po plecach. Nakrywały moje wargi i przekomarzały się z nimi. Nie ustawały nawet wtedy, gdy jeden pocałunek przechodził w następny, a ten znów w następny.

Czułam ten pocałunek całym swoim ciałem, zupełnie jakbym go doświadczała każdym porem skóry i jakby każdy por mojej skóry na niego reagował. Teraz wydaje mi się, że plotę bez sensu, ale wówczas dokładnie tak to odbierałam. Jakby jego palce całowały moją talię, jakby nasze uda się całowały, jakby moje piersi, schowane pod bluzką, całowały jego klatkę piersiową, a kości moich ramion całowały jego ramiona.

Jego wargi wciąż do mnie powracały, nawet gdy zaczął popychać mnie w stronę łóżka, i kiedy już

mnie położył i przytrzymał moje ręce przy moim ciele. Na chwilę wsparł się na łokciach i trwał tak nade mną, przyglądał mi się z uśmiechem, a potem opadł i skradł mi całusa, i mi go oddał.

- Nie ruszaj się - szepnął z tym swoim przeciągłym akcentem. - Nie ruszaj. Chcę cię rozebrać. - Po czym rozpiął pierwszy guzik bluzki i przycisnął wargi do mojego obojczyka.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ZaZa powoli zdejmowała Tani sweter. Jej palce zatrzymywały się na moment przy każdym guziku, każda chwila trwała boleśnie długo. Ale tak właśnie miało być. Tego właśnie pragnęła. Ta noc i tak skończy się za wcześnie. Wszystkie ich noce kończą się za wcześnie. Nie będzie o tym teraz myśleć. Nie będzie myśleć o niczym, ponieważ to ją przyciągnęła. Znajdzie radość w tym, co zostało jej dane, i na razie zapomni, że jej partnerka w tej grze nie odwzajemnia jej uczuć. To wszystko teraz nieważne. Że jest zakochana w kobiecie, że nigdy nie ma jej dość, jej skóry, ust, włosów i jej cipki. W tej chwili nie liczy się, ile to dla niej znaczy. Nieważne, co to o niej mówi. Nie zamierzała tego nazywać, w końcu to tylko rola. Tyle że ZaZa miała świadomość, że nie gra, że ona to wszystko czuje i przeżywa. Już dawno przestała to robić dla widzów i dla pieniędzy.

Tania stała bez ruchu, kiedy ZaZa ściągała sweter z jej ramion, zsuwając go powoli do talii. Nabrała gwałtownie powietrza, gdy odkryła jej nagie piersi. Potem Tania rozebrała ZaZę.

Po kilku sekundach ZaZa poczuła na karku pocałunki - wargi Tani przesuwwały się szybko od jej obojczyka do góry, aż za ucho, a tam włączył się język, który sprawił, że zadrżała, wzdrygnęła się i cicho jęknęła.

Język Tani poruszał się w tę i z powrotem, a potem krążył, rysując małe kółka, aż ZaZa straciła świadomość.

mość, gdzie się znajduje i kto jej dotyka. To było czyste zmysłowe doznanie.

Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby Tania już zawsze była tak blisko niej, ale Tania się odsunęła, a ZaZa poczuła się opuszczona. A kiedy język i wargi Tani zaczęły z kolei sunąć w dół jej karku, to opuszczone miejsce na jej skórze poczuło zazdrość.

ZaZa zadrżała z zimna, gdy Tania zdejmowała jej figi.

- To nic - szepnęła Tania. - Rozgrzeję cię. Będę cię rozgrzewać tak długo, aż nie będziesz czuła niczego prócz własnej gorączki. - Nachyliła się i sięgnęła po buteleczkę olejku, a jej jedwabiste włosy musnęły nagi brzuch ZaZy.

ZaZa się uśmiechnęła. Nic nie sprawiało jej takiej przyjemności jak dłonie Tani wcierające wonny olejek w każdy centymetr jej ciała. Zamknęła oczy i czekała, aż ciepło wniknie w pory jej skóry.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Noah przesunął palcami po mojej szyi i po dekolcie. Zamknęłam oczy i skupiłam się na swoich doznaniach. A raczej próbowałam się na nich skupić.

Jeżeli jesteś terapeutą zaburzeń seksualnych, ludzie zakładają jedną z dwóch rzeczy: że seks jest dla ciebie wyjątkowo ważny, do tego stopnia, że wszystkie inne emocje w zasadzie się nie liczą, albo też że masz z nim problem i tylko dlatego wykonujesz ten zawód, by przekonać samego siebie, że jest wręcz przeciwnie.

Tymczasem sytuacja większości z nas przedstawia się całkiem inaczej. Najpierw zostajemy terapeutami, a dopiero później wybieramy specjalizację z zaburzeń seksualnych, ponieważ ta właśnie dziedzina fascynuje nas z wielu różnych powodów, których zazwyczaj nawet sobie nie uświadamiamy. Mój wybór był podyktowany przede wszystkim tym, że przez całe moje życie Nina Butterfield była dla mnie wzorem, a ona zajmowała się terapią zaburzeń seksualnych. A zatem zanim jeszcze rozumiałam, co się za tym kryje, pragnęłam robić to, co ona.

- Jestem lekarzem, który pomaga leczyć ludzkie serca - mówiła mi, kiedy byłam mała.

A gdy moja córka po raz pierwszy zapytała mnie, czym się zajmuję, odpowiedziałam jej tak samo.

Nigdy, w żadnym momencie życia, seks nie był dla mnie najważniejszy, nie uważałam się też za osobę zmysłową czy o silnym popędzie seksualnym. Spotykałam kobiety, które posiadały takie cechy, leczylam je i wiem, jak bardzo się różnimy. Oczywiście, lubiłam seks z mężczyzną, którego poślubiłam,



mimo to ledwie zauważałam, kiedy przeżywaliśmy okresy bez seksu.

Ale teraz, z Noahem, było inaczej.

Jego palce wędrowały wzdłuż mojego ciała i zataczały kółka na moim brzuchu. Tam też się zatrzymały. W ciemności całą minutę rysowały niewielkie koło na mojej skórze, normalnej skórze, której nigdy nie byłam świadoma, a która teraz z rozkoszy aż bolała.

Palce Noaha poruszały się tak powoli, że czułam fakturę jego opuszków, nieco zgrubiałą i szorstką. Intensywność jego dotyku zwiększała się przez to setki razy. Patrząc na płatek śniegu przez szkło powiększające, dostrzega się miriady kryształków tworzących jedyny w swoim rodzaju skomplikowany wzór, którego nie widać gołym okiem. Podobnie było z palcem Noaha w tym szczególnym miejscu na mojej skórze. To nie był pojedynczy ruch, który wywołał specyficzną reakcję, ale bogactwo nieustająco zmieniających się wrażeń, które dotyczyły nie tylko tego miejsca, gdyż wysyłały elektryczne impulsy do całego mojego ciała.

W ramionach Noaha mięklam.

Za każdym razem wyglądało to tak samo. Zawsze z początku byłam sztywna, na pół zamrożona, a on musiał ciężko się napracować, żebym się rozluźniła.

- Nie myśl o niczym innym, Morgan, tylko o moich palcach. O niczym, tylko o moich palcach i twojej skórze. - Jego głos hipnotyzował tak samo jak dotyk. Napięcie rosło aż do bólu. Skuliłam się. - Czego byś chciała? - spytał cicho.

- Więcej.

- Czego jeszcze pragniesz?

Pokręciłam głową.

- Powiedz mi.

Znowu odmówiłam.

Przycisnął wargi do mojego ucha.

- Odpuść, Morgan. Odpuść. Przestań myśleć. - Rytm jego słów był hipnotyczny, im więcej razy je powtarzał, tym słabiej je słyszałam, tym bliższa byłam oddania się emocjom.

- Odpręż się, Morgan, odpuść sobie.

Jego palce kreśliły teraz większe koło. Bez ustanku. Widziałam te koła jako jaskrawoniebieskie kręcące się neony, które zachodzą jedno na drugie. Obnażały kolejne warstwy zakończeń moich nerwów, przesyłając tę swoją gorączkę przez moją skórę do samego rdzenia. Tam zamieniały się w jeszcze bardziej jaskrawe błękitne i rozpalone do czerwoności błyskawice, koła, a potem linie, które z kolei przesuwały się w górę moich rąk i w dół moich nóg. I zawsze wracały, żeby zagnieździć się głęboko w moim łonie, które wciągało je i chciało więcej.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ZaZa pojękiwała, kiedy Tania gładziła palcami jej skórę, od ramion w dół pleców, wzdłuż kręgosłupa, wokół pośladków, a potem, posługując się tym samym rozgrzanym olejkim, wracała tą samą drogą do punktu wyjścia.

Teraz przysła kolej na ZaZę. Wzięła buteleczkę, nalala trochę olejku na dłonie, a następnie wmasowała go w piersi Tanii, kreśląc koła.

Na zmianę masowały się olejkim. W tę i z powrotem. ZaZa użyła więcej olejku, przesuwając dłonie wzdłuż nóg Tani, w górę i w dół. Potem Tania stanęła za plecami ZaZy i wcierała olejek w jej piersi. Ujmowała je w dłonie i delikatnie, z nabożeństwem krążyła palcami wokół sutków. Równocześnie przycisnęła swoje łono do pośladków ZaZy.

ZaZa odepchnęła ją. Napięcie rosło. Jej piersi płonęły. I nagle odsunęła się i odwróciła. Tania przysiadła na piętach, patrzyła i czekała, co jej partnerka zamierza zrobić. Obydwie instynktownie trzymały się pod pewnym kątem do kamery, by żadna z nich nie zasłaniała za bardzo tej drugiej.

ZaZa myślała o tym, jak bardzo kocha tę kobietę. Jak bardzo pragnie wszędzie jej dotykać, i żeby Tania też jej dotykała. I jakie to trudne, ponieważ nigdy dotąd nie chciała być z kobietą, a teraz żaden mężczyzna nie wzbudzał w niej takiego pożądania.

Tania wyciągnęła rękę i dotknęła małej łechtaczki swej partnerki. ZaZa odrzuciła do tyłu głowę i zamknęła oczy, czując pulsowanie w środku. Szybciej,

chciała krzyknąć, ale wiedziała - w końcu robiła to tak długo, że stało się to jej drugą naturą - że nie można przyspieszać. Wszystko ma swoje tempo i swój rytm, i należy się tego trzymać.

Chociaż czy naprawdę zrobiliby tak dużą różnicę, gdyby szczytowała wcześniej? Może oni - anonimowi oni, którzy nie posiadają twarzy ani imion - chcieliby zobaczyć więcej niż jeden orgazm.

ZaZa położyła dłonie na dłoniach Tanii, które bawiły się między jej udami, i zachęciła swoją partnerkę, by robiła to energiczniej i mocniej.

Potem wsunęła dłonie między uda Tani. Wiedziała, że Tania nie będzie miała nic przeciwko temu odstępstwu od ich ustalonego porządku, i chętnie się jej podda.

ZaZa wśliznęła posmarowany olejkiem palec do pochwy Tani. Tania wśliznęła posmarowany olejkiem palec do pochwy ZaZy. Obie naśladowały swoje ruchy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Mój z trudem osiągnięty orgazm był silny i gwałtowny. Noah czekał na mnie, wstrzymywał się, aż poczuł, że moje ciało sztywnieje, dopiero wtedy odpuścił, jęcząc mi do ucha. Do tego samego ucha, do którego tak cierpliwie i delikatnie szeptał - wlewał słowa będące tą samą mantrą, która w końcu wywołała u mnie orgazm.

Kiedy stoczył się ze mnie, nie odsunął się daleko. Nasze ciała nadal się dotykały, nasze nogi się krzyżowały. A gdy złapał oddech, wyciągnął rękę i zaczął bawić się moimi włosami.

- Nie mogę przestać - oznajmił. - Jestem wykończony, ale nie mogę oderwać od ciebie rąk.

- Miło mi to słyszeć. - Pocałowałam go lekko w usta.

Odchyliłam głowę i zobaczyłam, że jego wargi się poruszyły, jakby zamierzał coś powiedzieć, lecz zmienił zdanie. Czasami żałowałam, że jestem taka cholernie spostrzegawcza. Nie chciałam być ekspertem w wyczuwaniu, dostrzeganiu i rozumieniu stanów emocjonalnych ludzi, z którymi byłam związana. Zamknęłam oczy.

- Wiesz, że nie dam sobie z tobą spokoju - rzekł Noah.

- Co to znaczy?

- Nie domyślasz się?

Podniosłam powieki i spojrzałam na niego.

- Pojęcia nie mam. - Nie kłamałam. Jego słowa mnie zaskoczyły.

- Boisz się tak bardzo, jak mi się wydaje?

- Wiesz, detektywie Jordain, że nie jesteś seksowny, kiedy tak leżysz i psychoanalizujesz mnie.

- *Au contraire*, moja droga. To bardzo seksowne. Leżymy nadzy i lśniący od seksu, a ja staram się rozgryźć twój bardzo skomplikowany umysł. Na nic innego bym tego nie zamienił.

Zaśmiałam się. Noah pochylił się i pocałował mnie. Nie był to delikatny całus, jak mój chwilę wcześniej, ale długi pocałunek z wargami przyciśniętymi do moich warg, tak długi, że zabrakło mi tchu. To także wiedział.

- Teraz jesteś już całkiem zrelaksowana, prawda?

- Uhm.

- To dobrze. Leż i nie ruszaj się. Chcę ci coś jeszcze pokazać.

Kiedy poczułam znów jego dłonie na moim ciele, gdy znów mnie obejmował, nie byłam w stanie myśleć o niczym innym, nawet gdybym chciała.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Tania z trudem łapała oddech, a ZaZa uśmiechała się zadowolona, że dała jej taką rozkosz, i jeszcze mocniej naciskała jej łechtaczkę. Nie miała zamiaru przestać. Gdy tylko jej partnerka będzie znów normalnie oddychać i jej orgazm dobiegnie końca, zacznie wszystko od nowa. Chciała, by Tania onie-miała. A potem, po wyłączeniu kamery, wyzna Tanii, co naprawdę do niej czuje.

Skupiona, zasłuchana w oddech drugiej kobiety, ZaZa czekała, aż usłyszy, że napięcie opada. Cholera, to trwa tak długo. Czekala, a jednak napięcie nie opadało. Coś jest nie tak. Może to wcale nie orgazm spowodował ten urywany oddech? Może Tania z jakiegoś powodu się dusi?

- Co się dzieje? - szepnęła ZaZa.

Z powodu tych wszystkich mężczyzn, którzy je oglądali, nie chciała psuć nastroju, a jednak bardzo zaniepokoił ją stan przyjaciółki.

Kiedy Tania nagle się osunęła, a jej oddech pozostał chrapliwy, ZaZa zaczęła się poważnie martwić. Z całą pewnością trudno to uznać za reakcję wywołaną seksem. Zanim zdecydowała, co robić, poczuła pierwszą falę nudności, która zaatakowała ją wyjątkowo mocno. Nie zdołała jej opanować i zwymiotowała na swoje własne łóżko. Potem w jednej chwili rozboleła ją także głowa. I to bardzo. Nie mogła oddychać. Chryste. Przedmioty przed jej oczami traciły ostrość, stały się zamazane, a ona nie miała pojęcia, co się dzieje. Usiłowała coś powiedzieć. Przekazać Tani, że ona też jest chora, ale za bardzo

kręciło jej się w głowie. Widziała Tanie na drugim końcu łóżka, leżała zwinięta w kłębek, trzęsła się. Chciała się do niej zbliżyć, lecz nie mogła się zorientować, jak się tam dostać. Odnosiła wrażenie, że nic nie jest na swoim miejscu, a wszystko jest jakieś wykrzywione.

- Naprawdę fatalnie się czuję - szepnęła Tania.

ZaZa nie miała siły odpowiedzieć. Patrzyła tylko na nią, czując, że oczy jej płoną.

- Ty też jesteś chora - zauważyła Tania. Próbowała się podnieść, lecz nie mogła utrzymać równowagi.

ZaZa życzyła Tani, by zdołała jakoś wstać. Nigdy w życiu nie czuła się tak okropnie. Chciała napić się wody. Odetchnąć świeżym powietrzem. Chciała oddychać. Bardziej niż wody potrzebowała pomocy. Tania również potrzebowała pomocy. ZaZa zdawała sobie z tego sprawę.

W końcu, opierając się najpierw o krzesło, a potem o skraj stołu, Tania zdołała dotrzeć do biurka, na którym stał komputer. Na którym znajdował się również telefon.

ZaZa otworzyła usta. Chciała poprosić Tanie, by kazała im się spieszyć. Z jej gardła wydobył się tylko niski zachrypły jęk. Nie wypowiedziała ani słowa, lecz jeszcze nie straciła przytomności.

Widziała, jak Tania podnosi słuchawkę. Mimo że była tak bardzo chora, myślała w tej chwili o tym, że Tania wyłączyła komputer, a program ZaZy zniknął z ekranów tysięcy monitorów w domach, pokojach hotelowych i biurach. Przy okazji Tania przewróciła kieliszek z winem, które wylało się na klawiaturę



i płytę główną. Tak czy inaczej, los tego występu w sieci był przypieczętowany.

W chwili, kiedy ZaZa traciła przytomność, zobaczyła jeszcze, że Tani udało się wybrać numer 911.



**Niedziela**

**Pozostało dwanaście dni**



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Dzwonek telefonu wyrwał mnie ze snu. Z trudem podniosłam powieki i sięgnęłam po komórkę tam, gdzie zawsze ją kładę, kiedy jestem daleko od córki, czyli na nocny stolik. Ale nim ją w ciemnościach znalazłam, dobiegł mnie głos Noaha.

To jego telefon dzwonił.

Leżałam zatem, słuchając jednej części rozmowy, i nie potrafiłam uzupełnić padających po drugiej stronie słów. Mogłam tylko zgadywać, o co chodzi.

- O której?

Pauza.

- W którym szpitalu?

Pauza.

- Jak się czują?

Pauza.

- Która? - Ostatnia pauza. - Okej. Będę za kilka godzin. Mogę tutaj wrócić w poniedziałek.

Usłyszałam kliknięcie, kiedy zamykał telefon, i głuchy odgłos, kiedy odłożył go na nocny stolik.

Potem Noah się położył. Oddychał szybciej, był wyraźnie spięty.

- Noah? Co się stało?

- Słyszałaś? Przepraszam, że cię obudziłem.

- Nic nie szkodzi. Ale co się stało? O co chodzi?

- Prawdopodobnie mamy kolejne zatrucie.

Uniosłam się i oparłam na łokciu. W nastrojowym świetle brzasku widziałam, że Noah wygląda kiepsko.

- Muszę dziś rano wracać do Nowego Jorku  
- oznajmił.

- Polecę z tobą.

- Wiesz, że możesz zostać. Masz bilet na jutro wieczór i jest mnóstwo...

- Nie chcę zostać tutaj bez ciebie. Przyjedziemy kiedy indziej i wtedy pokażesz mi resztę miasta. Opowiedz mi o tej kobiecie. Czy ona żyje?

- Kobiety. Tym razem są dwie. Jedna ma szansę z tego wyjść, druga... raczej nie, jak twierdzą.

- Co to było?

- To szaleństwo. To czyste szaleństwo. - Przetarł oczy i przecesał dłonią zmierzwione włosy. - Chryste, przepraszam, Morgan. W końcu doczekaliśmy się wspólnego weekendu i akurat wypadło coś takiego.

- Nic nie szkodzi. Powiedz mi tylko, co się wydarzyło.

- Faceci, którzy tym razem oglądali pokaz w Internecie, zorientowali się, że one źle się poczuły i zaczęli wydzwaniać... dziesiątki facetów... tak jak poprzednim razem... Moglibyśmy znowu szukać tych kobiet całe wieki, gdyby jednej z nich nie udało się połączyć z dziewięćset jedenaście, zanim straciła przytomność. Karetka dotarła do nich po czterech minutach.

Jeszcze raz przetarł oczy.

- Zamówić ci kawę? - zapytałam. - Już szósta. W menu jest napisane, że obsługa działa od piątej.

- Tak, poproszę kawę. I coś do jedzenia. Zadzwoń do linii lotniczych i spróbuję nas stąd wydostać. - Wziął znów telefon do ręki, ale tylko na niego patrzył. - Dwie kobiety. Jedna ma dwadzieścia

dwa lata, druga dwadzieścia trzy. I Bóg wie ilu facetów, którzy się temu przyglądali.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Najukochańsza moja!

Zapłonęły kolejne dwie świece, teraz to już razem trzy. Dzisiaj wieczorem zapach knotów jest nieco gorzki, a zapach wosku słodkawy. Przesuwam palec nad płomieniem i czuję, jak mnie parzy. To dla mnie szok. Zaskakujące, że jeszcze cokolwiek odczuwam. Te kobiety z obnażonymi rękami i nogami, z wygłodniałym wzrokiem i wargami, one czują gorąco, namiętność i ból, i czują też, jak dopada je choroba. Obserwuję je, przypatruję się im z uśmiechem, zupełnie jakby robił to ktoś inny, nie ja. Obcy w mojej skórze. One płoną z fałszywej namiętności, a moja pasja jest prawdziwa. To potrzeba, i to rozpaczliwa potrzeba zemsty, która wśliznęła się w pęknięcia mojej psychiki niczym śliski szlam, wypełniła je, a potem się rozpanoszyła i zamieniła te szczeliny w stale powiększające się otchłanie.

Nie ma w moim życiu miejsca dla nikogo prócz ciebie. Dlaczego tego nie rozumiesz? Nikogo prócz ciebie nie kocham. Mam na myśli prawdziwą miłość, oczywiście, a wiem, co to znaczy prawdziwa miłość. Poderżnę sobie gardło i utopię się we własnej krwi, żeby ci udowodnić, jak bardzo jest prawdziwa. Jak możesz nie zdawać sobie z tego sprawy?

Tajemnica tego, co stało się z tobą, przemieniła mnie w kogoś, kogo byś nie poznała. Moje serce, pełne miłości do ludzi - a najbardziej do ciebie - i troski o ich los, teraz ziele pustką.

Trzy z nich spotkała już kara, zostały tylko dwie. Czy moje wysiłki, które niczym papier ścierny mają na celu zdarcie naskórka, zdarcie tej zewnętrznej warstwy i dostanie się do mięśni, do kości, do samego jestestwa, do mojego prawdziwego ja, mają jakiś sens?

Znam już granice własnego rozumu i nieobce mi są zakamarki mojego piekła. To małe pomieszczenie, na wszystkich ścianach wiszą lustra, ale kiedy w nie patrzę, nie widzę własnego odbicia, tylko ciebie.

Nie pamiętam swojego odbicia w twoich oczach, kiedy na mnie patrzyłaś, ale teraz widzę twoje oczy, które mnie oskarżają.

Myliłaś się, wiesz, niczego nie zrozumiałaś - byłaś dla mnie wszystkim, nie mam żadnych innych pragnień.

Ostatniej nocy jedna kobieta zmarła, a druga trwa jeszcze przy życiu w szpitalu, w stanie krytycznym, jak donoszą w wiadomościach. Dotykały się na moich oczach. Smarowały się olejkami - olejkami, który otrzymały ode mnie - odgrywając swój obrzydliwy scenariusz dla setek tysięcy wygłodniałych mężczyzn. Dotykały się zwinnymi palcami nie dla przyjemności, jaką im to sprawiało, ale po to, by podniecić innych.

Napisałaś mi, że nie umiem kochać, że to nie ty, ale jakaś wymyślona idea twojej osoby była moją miłością. Jak mogłaś w ogóle tak pomyśleć? Odetnę sobie dłonie i stopy, żeby udowodnić ci, jak wielka jest moja miłość.

Minionej nocy dostałaś ode mnie kolejny dowód. To była ciężka noc, brakło mi tchu z przejęcia, kiedy one wymiotowały, ich skóra poczerwieniała, zalewa-

ły się potem i skręcały z bólu. Taki los spotyka ludzi, którzy robią coś podobnego. Taki właśnie los. Blondynka pełzła po podłodze do telefonu, próbowała ratować swoje życie, kpiąc z naszego życia, wyśmiewając się z tego, co stało się z naszym życiem. A to wszystko ode mnie dla ciebie.





**Poniedziałek**

**Pozostało jedenaście dni**



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Bob przyszedł na sesję punktualnie, ale wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego niż w minionym tygodniu. Położył się na kanapie i na zmianę zaciskał i prostował palce. Czekając, aż się odezwie, popijałam gorzką letnią kawę z kubka.

Kawa w Nowym Orleanie była o niebo lepsza.

Słońce przebiło się przez chmury i na kilka sekund mój gabinet zalało światło. Może śnieg na zewnątrz wreszcie zacznie się topić. Od ponad tygodnia Nowy Jork ani razu nie cieszył się pełną godziną słońca.

Nowy Orlean wydawał się tak bardzo odległy.

- Moja żona znowu używała mojego komputera - oznajmił Bob. - Węszyła, otwierała wszystkie strony, na które wchodziłem.

- Powiedziała panu o tym?

- Oczywiście, że nie. Zapomniała skasować pamięć podręczną. Widziałem wszystko, co robiła, kiedy byłem w pracy. Zostawiła ślady.

- Rozmawiał pan z nią o tym?

- Nie miałem okazji. To ona mnie zaatakowała.

Wie pani, że kiedyś ją zdradziłem. W przeszłości zdarzało mi się romansować. Dlatego uważałem, że to jest o wiele bardziej do przyjęcia. O wiele bezpieczniejsze. Mniej szkodliwe. Nie znam tych kobiet. Nie rozmawiam z nimi. One mnie tylko podniecają. I zawsze są tam, kiedy mam ochotę je oglądać. Piękne, seksowne kobiety, które niczego ode mnie nie chcą.

- Niczego?

Spojrzał na mnie.

- A czego one chcą?
- Nic panu nie przychodzi do głowy?
- Nic.
- Co pan im daje?
- Nic. One nie są prawdziwe.
- Bob, one są prawdziwe.

- Miałem na myśli, że nie uprawiamy ze sobą seksu w rzeczywistości. Nie tworzymy żadnej relacji. Nic nas nie łączy. Są dla mnie anonimowe. A ja dla nich. Płacę im... - Urwał.

- Proszę mówić dalej.

Potrząsnął głową.

- Nie wiem. Co mówiłem?

- Bob, czego one od pana oczekują?

Zaśmiał się gorzko.

- Chcą pieniędzy, a nie tego, czego kobiety zwykle pragną.

No wreszcie. Brawo.

- A czego kobiety zwykle pragną?

- Chcą poznać moje myśli. Chcą mnie posiadać na własność. Każda chce być tą jedyną, o której myślę. Jakby można było myśleć tylko o jednej kobiecie.

- Ale dostrzega pan różnicę między myśleniem o kimś a uleganiem chuciom, prawda?

- Tak, i właśnie dlatego Internet jest dobry. Ja tylko myślę o tych kobietach. Nie uprawiam z nimi seksu.

- Ale nie kocha się pan też ze swoją żoną?

- Nie.

- Dlaczego, Bob? Dlaczego nie kocha się pan z żoną?

- Ponieważ ona jest taka jak inne. Znam jej zwyczaje i pragnienia. Wiem, co każe mi robić przez dwanaście do piętnastu minut, zanim będzie miała

orgazm, a jak już będzie go miała, łaskawie pozwoli mi na mój orgazm.

Przerabialiśmy to już. Prawdę mówiąc kilka razy. Bob opisywał bezbarwny i nużący seks ze swoją żoną, który nie dawał mu przyjemności. Jednak do tej pory nie powiązał tego ze swoją złością na brak zainteresowania żony jego osobą. Nie ujawnił związanych z tym emocji. Po prostu zaakceptował to i tym właśnie usprawiedliwiał swój internetowy nałóg. Do chwili, kiedy nie pozwolił sobie poczuć wściekłości, która narosła w nim dlatego, że żona nie wykazywała najmniejszej chęci wzbogacenia ich życia seksualnego, i dopóki nie porozmawia z nią i nie powie jej, co naprawdę czuje, nie będzie w stanie rozpocząć pracy nad swoim uzależnieniem, w sprawie którego zgłosił się do mnie.

- Słyszała pani o tych dwóch dziewczynach? - spytał. Nagle jego głos stał się przyciszony i konspiracyjny.

Nie chciałam niczego z góry zakładać, więc zapytałam Boba, co miał na myśli.

- Tych dwóch z Internetu. Jedna zmarła, druga jest jeszcze w szpitalu.

- Tak - odparłam, przypominając sobie tę chwilę, kiedy obudził mnie telefon Noaha.

- To bardzo dziwne, ale oglądałem je w sobotę w nocy.

- Widział pan, jak to się stało?

Milczał przez kilka sekund, a potem jego palce zaczęły maszerować po skórzanym oparciu.

- Oglądałem je, a potem usłyszałem, że moja żona wstała. Słyszałem, że idzie do gabinetu. Było późno. Koło północy. Sądziłem, że spała. Powiedziała mi, że położy się o wpół do jedenastej. Czasami

tabletki antydepresyjne nie pozwalają jej zasnąć, tak właśnie było poprzedniej nocy, i w końcu wstała zmęczona bezsennością.

- Co pan zrobił, kiedy pan usłyszał jej kroki?
- Wyłączyłem komputer i poszedłem do łóżka.
- Jak pan się czuł?

Zastanowił się - jakby dotąd nie przyszło mu do głowy, że w związku z tym w ogóle mógł coś czuć.

- Byłem zły.
- Dlaczego? Co pana zezłościło, Bob?

- Bo chciałem dalej oglądać te dziewczyny. Kiedyś już je widziałem. Ich pokaz nazywa się The Saturday Night Specials. Pracują tylko w soboty w nocy.

- I nie mógł pan ich oglądać z powodu żony?
- No właśnie.

- Ale czy pańska żona nie ma prawa oczekiwać, że nie będzie pan jej obrażał, folgując swojemu uzależnieniu za ścianą w jej domu? - Nie to zamierałam powiedzieć, ale uznałam, że właśnie te słowa zbliżą Boba do konfrontacji z emocjami.

- Moja żona ma wszystko, czego tylko zapagnie. Czy to dla niej taka cholernie wielka sprawa pozwolić mi onanizować się w moim gabinecie, w samotności? Niczego więcej od niej nie chcę, tylko tego.

W jego głosie rozpoznałam silne wzburzenie. Jego oczy błyszczały najprawdziwszą złością. Świetnie, coś nam się udało. Osiągnęliśmy pewien postęp. Bob w dalszym ciągu na pozór panował nad sobą, ale w środku niewątpliwie złość go roznosiła. Odetchnęłam z ulgą.

- Dlaczego to takie ważne, żeby wolno było panu robić tę jedną rzecz?

- Ponieważ wszystko inne jest tak, jak ona sobie życzy. Zawsze wszystko było tak, jak chciała. Nie chciała od razu dzieci, bo marzyła jej się kariera i wołała z tym poczekać, no więc czekaliśmy. Chciała mieszkać na Upper East Side, chociaż ja wołałem zostać w Village, i mieszka. Ona chce... chce... chce, żebym trzymał wacka w spodniach i wyjmował go tylko na jej życzenie. - Krzyczał, a ja go nie powstrzymywałam.

Posuwaliśmy się w stronę nowego etapu, kiedy Bob przypuszczalnie będzie zdolny do tego, by spojrzeć prawdzie w oczy i uświadomić sobie, jak bardzo czuje się zraniony. Czekał nas jeszcze kawał drogi, ale przynajmniej już zaczęliśmy podróż. Siedziałam w milczeniu, zostawiłam Boba z jego emocjami, pozwoliłam, żeby jego głos wypełnił pokój, a potem ucichł, aż jedynym dźwiękiem pozostało tykanie niedużego zegara na stoliku obok mojego fotela, no i jeszcze hałas z ulicy.

- Te dziewczyny nie wychodzą mi z głowy  
- oznajmił tym razem smutnym i cichym głosem.

- Dlaczego?

Na to pytanie mi nie odpowiedział.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Niespełna dwadzieścia cztery godziny po przylocie do Nowego Jorku detektyw Noah Jordain wrócił do Nowego Orleanu i stawił się w sądzie na sprawie Hatterly'ego. Miał nadzieję, że po raz ostatni. Zeznawał pół godziny, a gdy tylko opuścił miejsce dla świadków, znów pomyślał o dwóch ofiarach w Nowym Jorku. Jadąc taksówką na lotnisko imienia Louisa Armstronga, zadzwonił do Pereza, by poznać najnowsze wiadomości.

- ZaZa, która naprawdę nazywa się Cindy Connors, przez ostatnie dwa lata pracowała dla Global Communications. To ta sama spółka, dla której pracowała Debra Kamei. Connors była aktorką. Pewnie traktowała to jako łatwy zarobek między castingami. Nigdy nie złapała poważnej roboty - głównie statystowała - ale brała dużo lekcji. Tania też jest aktorką.

- Dzięki temu się poznały?

- Jeszcze nie wiemy, ale możemy tak założyć.

Noah patrzył na mijany krajobraz. Wyjazd z Nowego Orleanu był zawsze słodko-gorzki. Rodzinne strony niezmiennie człowieka przyciągają, nawet gdy już dorośnie.

- Czy technicy znaleźli coś w mieszkaniu?

- Jeszcze nie. Ale jeśli ktoś zostawił tam choćby nitkę, jeden włos, drobinę ziemi przyklejonej do podeszwy, na pewno to znajdą.

- Czasami mi się zdaje, że przyjmujesz za prawdę filmy kryminalne, które pokazują w telewizji. Nawet jeśli ktoś zostawił pojedyncze włókno, to dla nas bez znaczenia. Chyba że ta sama osoba zostawiła iden-

tyczne włókno w mieszkaniu Debry, i tamto też trafi do naszych rąk.

- Filmy sensacyjne w telewizji są wzorowane na naszej pracy, a nie odwrotnie. Coś ci się pomyliło - wtrącił Perez.

Jordain uśmiechnął się i przełknął łyk chłodnej kawy z plastikowego kubka. To był jego narkotyk, skuteczny niezależnie od temperatury.

- Poza tym nie, nie mamy jeszcze niczego z mieszkania Debry Kamei. Wiem, że o to chciałeś teraz zapytać.

- Nie, prawdę mówiąc, zamierzałem zapytać o zdrowie Tani.

- Nadal nie wiadomo, czy z tego wyjdzie.

- A Butler poszczęściło się z komputerami?

- Pracuje nad tym.

- Musimy znaleźć coś w komputerach.

- Też na to liczę. Ale laptop ZaZy w zasadzie nadaje się na szmelc.

- Nie mamy innej opcji, trzeba coś znaleźć, i to szybko. - Jordain nie był zdziwiony, że Perez nie zapytał, dlaczego. Obaj znali odpowiedź.

Ile jeszcze dziewcząt stanowi cel zabójcy? Ile mogą uratować?

Cholera. Ta sprawa zaczyna działać mu na nerwy. Przy każdej sprawie się wkurzał. Ale w tej jest coś, co napęlnia go odrazą. Może chodzi o cały ten widowiskowy charakter tego procederu. Przerażało go, że kiedy te dziewczyny, nagie i bezbronne, walczyły o życie, tysiące facetów gdzieś w sieniei dali, rozsianych po całej kuli ziemskiej, gapilo się na nie. onanizowało i zbierało nasienie do własnej dłoni, nie mając pojęcia, że one na ich oczach tracą życie.



- Jeżeli mają umrzeć, należy im się przynajmniej trochę szacunku.

Noah nawet nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to głośno, dopóki nie usłyszał westchnienia Pereza.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Bob raptem wstał, oświadczył, że musi pójść do toalety, i wyszedł z gabinetu. Po pięciu minutach zadzwoniłam do Allison z pytaniem, czy przypadkiem nie opuścił budynku. Już kiedyś tak się zdarzyło - pacjent wypadł z pokoju podczas sesji, gdyż przestał radzić sobie z emocjami.

Allison nie widziała Boba. On wrócił jednak po kilku minutach i w milczeniu zajął miejsce na kanapie. Zamknął oczy. Jego twarz była prawie nieczytelna.

- Kiedy po raz pierwszy zobaczył pan nagą kobietę? - Od dawna chciałam poruszyć z nim ten temat.

- To znaczy żywą kobietę?

- Cokolwiek przychodzi panu do głowy.

- Jak miałem dwanaście lat, znalazłem kolorowe pisma pod łóżkiem ojca. Dosłownie pożerałem wzrokiem pełne kobiety na zdjęciach. Te piękności patrzyły na mnie, leżały tam nagie, pokazywały mi to, co chciałem zobaczyć - i to w taki sposób, że czułem to fizycznie. Chryste. Ten ogień, który mnie powoli ogarniał, to rosnące napięcie. Chowałem się w swoim pokoju i skrycie je podziwiałem. Rezygnowałem z kolacji, byle jak najszybciej pójść do siebie na górę. Przez pięć minut w jednej ręce trzymałem stosowny magazyn, a w drugiej penis. Z dołu dobiegały odgłosy domowej krzątaniny. Czy o to pani chodziło?

- Świetnie panu idzie.

- Ojciec zachowywał się tak, jakby nie zauważył, że podbierałem mu te pisma.

- Myśli pan, że w rzeczywistości zauważył?

- Nie wiem, ale chciałbym wiedzieć, czy był taki sam jak ja.

- Czy wtedy oceniałby go pan inaczej?

- Nie jego. Siebie.

- Jak?

- Ale to były tylko zdjęcia. Nie do porównania z pierwszą żywą kobietą, którą zobaczyłem nago.

Już się zdarzało, że Bob pomijał pytanie bezpośrednio odnoszące się do jego uczuć, a ja nie chciałam mu przerywać i wymuszać na nim odpowiedzi.

- To było w takim teatrzyku dla dorosłych. - Jego wargi ułożyły się w uśmiech, który był także grymasem. Zacisnął palce. - W piątek po południu, kiedy akurat wcześniej skończyliśmy lekcje, zabrało mnie tam dwóch kolegów. Oni znali już to miejsce i tygodniami mi o nim opowiadali. Wciąż pamiętam, jak bardzo chciałem tam pójść. Bo to oznaczało coś naprawdę złego. Złamanie najważniejszych zasad. Wiedziałem, że gdybym został przyłapany, wpadłbym w nie lada kłopoty.

Teatrzyk nazywał się Playpen. Budynek, w którym się mieścił, nadal istnieje. Zabity deskami, ale stoi. Była to jedna z naprawdę wspaniałych starych sal kinowych, w której przestano wyświetlać filmy. I kino zamieniło się w sprośny show. - Ostatnie dwa słowa wypowiedział powoli, niemal z miłością. Potem zmarszczył czoło.

Tę samą reakcję, połączenie przyjemności z wyrzutami sumienia, zaobserwowałam już u innych pacjentów. Podobnie jak tamci, Bob znajdował

w swoim uzależnieniu zarówno rodzaj uwolnienia, jak dotkliwego piekła. Jego potrzeby orgiastyczne brały górę nad jego poczuciem moralności, a on przeżywał z tego powodu katusze. Sprzeczne pragnienia ciągnęły go każde w swoją stronę.

- W środku to była ruina. Brud i smród. Kompletnie wytarty dywan. Czy to nie szalone, że pamiętam dywan? Był ciemnoczerwony. - Pokręcił głową, jakby zdumiała go jego własna pamięć.

Nie powiedziałam mu, że nie ma w tym nic dziwnego, że człowiek pamięta najróżniejsze szczegóły swojej seksualnej inicjacji.

- Właściciele podzielili dawną salę projekcyjną na dwie mniejsze salki. W jednej pokazywali filmy porno, w drugiej odbywały się pokazy na żywo. Tam właśnie poszliśmy. Każdy z nas miał swój mały boks. Zaciągnąłem dokładnie złachmanioną zasłonę. Potem widziałem już tylko scenę.

Tamta kobieta siedziała na krześle, ubrana w obcisłą spódnicę, opięty sweter i buty na wysokich obcasach. Podnieciłem się w chwili, kiedy ją ujrzałem. Koledzy mówili mi, że podczas tego występu wszyscy się onanizują, ale ja uważałem, że to nie w porządku. Robiłem to tylko w domu, w pośpiechu, podczas gdy wokół mnie świat toczył się naprzód. Teraz nie musiałem się spieszyć. A ta kobieta nie była modelką ze zdjęcia w magazynie, tylko patrzyła mi prosto w oczy.

Oblizwał wargi. Oczy miał nadal zamknięte.

- Czy mogę... chce pani, żebym opowiedział, co się tam działo?

- Tak, jeśli pan tego chce.

- Zaczęła się rozbierać. Najpierw zdjęła bluzkę. Potem stanik. Jej sutki zakrywały srebrne kółka. Boże. Wciąż ją widzę. Przez te kółka była jeszcze bardziej seksowna, niż gdyby była całkiem naga. Potem podchodziła po kolei do każdego boksu i przyciskała piersi do szyby. Kiedy zbliżyła się do mnie, wyciągnąłem rękę. Dotyk zimnego szkła i widok tych fantastycznych piersi. O mój Boże.

Nie mogłem uwierzyć, że tak szybko się to skończyło. Ale potem ona zdjęła spódnicę. Pod spodem miała koronkowy pas i pończochy. Znowu się podnieciłem. Natychmiast. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło. Może nigdy nie dałem sobie szansy. Zawsze się spieszyłem, ze strachu, że ktoś zapuka do mojej sypialni. Tam było inaczej. Ona nie miała na sobie nic prócz tych srebrnych naklejek na sutkach i pasa do pończoch, i znowu przyciskała swoje ciało do szyby. Wstałem i przyłożyłem do szyby swojego penisa, czułem się prawie tak, jakbym ją pieprzył. - Westchnął i nabrał głęboko powietrza. Raz. Potem jeszcze raz. - Jak już wspomniałem, ten budynek wciąż tam jest, na rogu Czterdziestej Czwartej i Ósmej. Kilka lat temu ktoś kupił go z zamiarem urządzenia w nim schroniska dla kobiet. Znaczące, prawda? Toczyła się w tej sprawie prawdziwa bitwa prawna i... - Urwał nagle. Chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. Co takiego zamierzał mi przekazać?

- Bob?

- Czytałem o tym. To miałem na myśli. Czytałem o tym i słyszałem o tym w wiadomościach, i na sam dźwięk nazwy tego teatryku dostawałem wzvodu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

To był długi dzień. Kiedy wyszedł mój pacjent z godziny szesnastej, wstałam i rozprostowałam kości. Na dworze zapadła już ciemność, latarnie uliczne rzucały ciepłą różową poświatę, która sączyła się do gabinetu.

Głowę kazał mi odwrócić zapach czekolady. Był intensywny. Gorzki. Pomarańczowy. Ostry, a równocześnie słodki.

- Upiekłam je wczoraj wieczorem i pomyślałam, że będą pani i Dulcie smakować. - W drzwiach stała Blythe. Miała na sobie lawendowy sweter, spod którego wystawały śnieżnobiałe mankiety i kołnierzyk bluzki, a do tego wąskie czarne spodnie i kowbojskie botki z czubkiem. Jasne włosy ściągnęła w koński ogon, jej twarz była niemal przejrzysta.

Niektórzy ludzie mają dosłownie przezroczyste twarze. Wystarczy na nich spojrzeć i bez pytania wiesz, jak się czują. Blythe do nich należała. Była naprawdę zadowolona, że może mi coś ofiarować. To mnie wzruszyło.

- Słodka jesteś - powiedziałam, a nie była to zamierzona gra słów.

Uśmiechnęła się. Wzięłam od niej talerz i odwinęłam brzeg folii.

- Zjesz jedno? - spytałam, odłamując kawałek miękkiego czekoladowego ciastka.

- Mam tylko chwilkę. Zaraz przychodzi do mnie pacjent - powiedziała zdenerwowana.

Coś nie dawało jej spokoju.

- Pierwszy dzisiaj?

- Nie, w poniedziałki mam dwóch.

Przeżuwałam czekoladowy smakołyk. Blythe patrzyła na mnie i czekała, co powiem.

- Przepyszne. Wielkie dzięki. Dulcie będzie zachwycona. A jak ci poszła pierwsza sesja?

- Nie najlepiej. W dalszym ciągu jestem zbyt emocjonalna. Usiłuję zachować obojętność, ale mi się nie udaje. W pewnym momencie musiałam przygryźć policzek, żeby się nie rozplakać.

- Popracujemy nad tym. Rozwiążemy ten problem.

- Naprawdę potrafi pani wyłączyć uczucia, słuchając pacjentów?

- Nie o to chodzi. Rzecz nie w tym, żeby odciąć się od swoich uczuć, ale żeby wykorzystać je w terapii, żeby pomogły nam wybrać właściwy kierunek w postępowaniu z pacjentem. To jest normalne. A celem naszej terapii nie są twoje uczucia, tylko co innego.

Skinęła głową, lecz nadal wyglądała na przegraną. Tak bardzo chciała zostać dobrym terapeutą.

- Czasami myślę, że nigdy tego nie osiągnę, i że to szaleństwo podejmować te wszystkie próby.

Miałam chęć wyciągnąć rękę, dotknąć jej dłoni i dodać jej otuchy. O ironio, Blythe walczyła z tym, z czym ja borykałam się w jej przypadku - ze zbyt głębokim zaangażowaniem się w sprawy pacjentów. Co takiego Blythe miała w sobie, że tak mnie to dręczyło i szarpało, i że chciałam ją chronić?

Bałam się, że ona zbyt wiele gotowa była poświęcić dla osiągnięcia celu. Z początku przypuszczałam, że Blythe ma problem z poczuciem własnej wartości. Teraz, kiedy zrozumiałam, że nie o to chodzi, jeszcze bardziej się o nią martwiłam. A prze-

cież nie powinnam. Czyż nie powtarzałam jej, że na tym właśnie polega jej problem?

Nie powinniśmy przejmować się sprawami pacjentów do tego stopnia, żeby nie sypiać w nocy, a mimo to niektórzy z nas właśnie w ten sposób to przeżywają, ponieważ wiemy, że nasz wysiłek może przynieść zmianę. Widzieliśmy to już. Braliśmy w tym udział. Potrzeba tylko odrobiny nadziei, nie wolno się poddać, nawet jeśli czekanie na to, by znów być świadkiem przemiany, niszczy nas samych.





## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

- Metalowe kulki rozkoszy posmarowane trucizną - powiedział Perez.

- Skórzane ciuchy z nałożoną punktowo trucizną po wewnętrznej stronie - dodała Tana Butler.

- Brawo. A co z pejciami moczonymi w truciznie, która przenika do krwioobiegu, kiedy pasek zrani skórę?

Tana Butler dopisała je do wydłużającej się listy erotycznych zabawek, które mogą zamienić się w śmiertelną broń.

- Przerażasz mnie - powiedziała. - Sztuczne penisy ze środkiem wybuchowym.

- Przerażam cię? - zażartował Perez.

Pochyliła się na krzesło i spojrzała przez szklaną przegrodę, która udawała ścianę. W komisariacie panował wielki ruch, jak w środku dnia, a minęła już jedenasta w nocy. Tana Butler pracowała od ósmej rano, po pięciu godzinach snu, i była wykończona.

Do niedzielnego ranka śledztwo skupiało się na Debrze Kamei, kiedy to zakładali, że jej śmierć to odosobniony przypadek. Teraz próbowali rozwikłać sprawę dwóch morderstw, a na dodatek wymyślali strategię, jak zapobiec kolejnym niezliczonym zbrodniom.

Tana podniosła wzrok, kiedy Jordain wszedł do pokoju. Po powrocie z Nowego Orleanu zapoznał się z rozwojem wydarzeń, a następnie udał się na naradę z porucznikiem. Mieli uzgodnić, co mogą przekazać opinii publicznej.

- Nie ujawnimy, w jaki sposób dochodzi do zatrucia - oznajmił teraz Jordain. - Nikt - ani burmistrz, ani komendant policji - nie chce, żebyśmy wywołali panikę, a ja nie chcę, żebyśmy odkryli karty i stracili tropy, na jakie możemy trafić.

- Wszystkie trzy ofiary pracowały dla tej samej internetowej firmy pornograficznej. Czy nie moglibyśmy przynajmniej ostrzec kobiet, które dla nich pracują? - spytała Tana Butler. - Bóg jeden wie, ile z nich ma teraz w rękę zabójcze erotyczne zabawki.

Noah skinął głową.

- Jasne, proszę bardzo. Jeśli tylko wymyślisz, jak to zrobić, bo do diabła, nie znamy nazwisk ani adresów tych kobiet.

Był zirytowany. Co prawda dostał nakaz sądowy w sprawie listy zatrudnionych oraz danych wszystkich klientów spółki pornograficznej Global Communications, jednak mężczyzna w Singapurze, z którym rozmawiali, nie był chętny do współpracy. Mieli świadomość, że w Stanach jest ktoś, kto kręci tym interesem, ale nie złamali szyfru i nie wiedzieli, kim jest ten człowiek.

- Możemy już określić w przybliżeniu, ile czasu zajmie porównanie danych w dwóch komputerach?

Perez przytaknął.

- Jeszcze z godzinę albo dwie, może trochę dłużej. Pliki w komputerze Penny są w porządku, ale u ZaZy prawie wszystko zostało uszkodzone.

- Założmy, że nic nie znajdziemy. Czy któreś z was ma wątpliwości, że oba morderstwa zaaranżowała ta sama osoba? - spytał Jordain.

Nikt z nich w to nie wątpił.

- Żadnych zaskakujących szczegółów?

- Nie ma żadnych szczegółów. Kompletnie nic - powiedział Perez.

- A czy to mógł być naśladowca?

Perez zaprzeczył ruchem głowy.

- Więc mamy absolutną pewność, że żadna informacja na temat sposobu zatrucia Debry nie przeciekła do prasy? Nikt prócz nas nie wie, że trucizna znajdowała się w środku nawilżającym? - spytał Jordain.

- Nikt. I zakładamy, że nikt tego nie odgadł i nie wykorzystał, dodając truciznę do olejku do masażu - rzekł Perez.

- Okej. To znaczy, że ktoś wybiera te kobiety z jakiegoś konkretnego powodu. Jakies przypuszczenia? - pytał dalej Noah.

Tana Butler dopiła resztę wody sodowej, ziewnęła i na moment zamknęła oczy. Kiedy podniosła powieki, spojrzała na zegar. Wpół do dwunastej w nocy. Noah nawet nie wygląda na zmęczonego, pomyślała. Jest zupełnie przytomny i gotowy rozpocząć burzę mózgow.

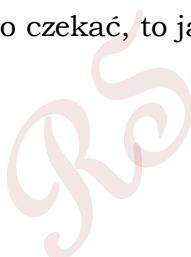
Nazywali go Detektyw Szczegół, pół żartem, pół serio, ponieważ miał obsesję na punkcie drobiazgów. Ale często to właśnie owe drobiazgi pozwalały rozwiązać sprawę. Nie te na pozór znaczące, poważne ślady, lecz nieskończenie drobne szczegóły, które umykały uwadze wszystkich innych. Noah Jordain był spostrzegawczy, przy nim wszystko zdawało się takie łatwe i prawdopodobne. Był niez mordowany i zdeterminowany, a przede wszystkim sprawiedliwy. No i miał serce. Kierował się w równym stopniu współczuciem i rozumem, i nigdy się nie wahał.

Perez też nie był głupi, a jednak nie wyrastał ponad przeciętną. Tana Butler darzyła go szacunkiem, ale nigdy go nie podziwiała. Zresztą nie spotkała w swoim życiu wielu mężczyzn godnych podziwu. Perez był dobrym człowiekiem, lecz tylko jednym z wielu. To dla Noaha Jordaina tak wiele znosiła. A kiedy on pochwalił twoją robotę, to się naprawdę liczyło.

Znowu ziewnęła.

- Może powinnaś iść do domu, Butler. Długo już tu siedzisz? - spytał Noah.

- Nieważne. Niewykluczone, że jeszcze dzisiaj poznamy jakieś nazwisko z komputerów obu kobiet, a skoro ty możesz na to czekać, to ja też mogę.



**Wtorek**

**Pozostało dziesięć dni**



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Od momentu, kiedy detektyw Jordain otrzymał telefon ze szpitala, do chwili, kiedy dotarł tam z Perezem, minął niespełna kwadrans.

Doktor Fred Klein przywitał ich na siódmym piętrze i krótko opowiedział, co się wydarzyło. Tania miała już za sobą najgorsze i wyglądało na to, że zdrowieje. Klein pozwolił im porozmawiać z nią przez dziesięć minut.

Jordain usiadł przy jej łóżku. Tania spała. Była blada, ale oddychała równo. Minęło pięć minut. Potem kolejne pięć minut. Kiedy w końcu otworzyła oczy, przekonał się, że były duże, w kolorze oceanu podczas sztormu. Jej wargi, chociaż spękanne i blade, otworzyły się, by coś powiedzieć, ale wydobył się z nich tylko słaby szept. Nie był pewien, ale zdawało mu się, że pytała go, kim jest.

- Wie pani, gdzie się pani znajduje?

Skinęła głową.

- Wiem... - Zakasłała. - Budziłam się już wcześniej. - Rozglądała się po pokoju, potem trzy razy zamrugła powiekami.

Dojrzał w jej oczach panikę.

- Moja matka...?

- Jest na dole z moim współpracownikiem, detektywem Perezem. Zaraz wróci. Poprosiłem, żeby z panią została. Wie pani, że siedzi tutaj od niedzieli rano, kiedy panią przywieźli? Nie ruszyła się stąd na krok.

Tania znowu skinęła głową i zwilżyła wargi.

- Chce pani wody?

Przytaknęła, a on nalał jej trochę wody z plastikowego dzbanka na stoliku - takiego samego, jakie stały we wszystkich szpitalnych salach, które odwiedzał. Ile razy już to robił? Ile razy uprawiał ten rytuał uspokajania pacjenta? A potem czekał, aż on czy ona poczuje się dość komfortowo, by mógł zadać kolejne pytania, przerwać kruchy proces rekonwalescencji ostatnią rzeczą, jakiej życzy sobie pacjent: namawianiem go, by jeszcze raz przeżył swoją traumę.

Kiedy Tania piła wodę, wszedł Perez.

Jordain przedstawił go dziewczynie, a Tania przywitała go nieco silniejszym głosem. Cały czas się rozglądała.

- Moja matka?

- Udało mi się ją namówić na małe śniadanie. Właśnie je owsiankę. Wróci za jakiś kwadrans.

Tania pokiwała głową.

- Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań - zaczął Jordain. - Nie za wiele, i nie za długo. Zgadza się pani?

- Chyba tak. Ale najpierw proszę mi powiedzieć, co z ZaZą. Pytałam pielęgniarkę, ale ona nie wiedziała, o kim mówię.

Perez zerknął szybko na Jordaina, dając mu do zrozumienia, że on nie ma ochoty na to pytanie odpowiadać.

Jordain prawie niezauważalnie skinął głową. Cholera. Tak, robi to, choć nie miał pojęcia, jak blisko były ze sobą te kobiety. I jak ta informacja wpłynie na Tanie. Żałował, że matka nic jej nie powiedziała. Chociaż może nawet matka nie знаła prawdy. Jeżeli teraz odpowie Tani, może stracić ją na godzinę, na

parę godzin, a nawet cały dzień, ale przecież kłamstwo na nic się nie zda.

Tani wystarczyło jego wahanie.

- Nie przeżyła, tak?

- Tak, przykro mi.

- Domyślałam się. Obie zachorowałyśmy od tego samego. Gdyby żyła, nawet w tak złym stanie jak ja, nikt by tego przede mną nie ukrywał. Jakie to głupie. Jak w jakimś niemym filmie... - Urwała i zamknęła oczy. Łzy popłynęły po jej policzkach, ale jej stan się nie pogorszył. - Zmarła od tego samego, od czego ja zachorowałam, prawda?

- Tak - odparł Jordain.

- Wie pan, co to było?

- Jeszcze nie. Nie jestem pewien. Robimy testy. Chcielibyśmy, żeby pani opowiedziała nam, co się stało. Dobrze?

Tania przytaknęła, ale teraz płakała tak rozpaczliwie, że łzy zatykały jej gardło.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Tego dnia wyszłam z gabinetu dopiero na sesję w Park East School. Pięć minut wcześniej, kiedy wyglądałam przez okno, śnieg nie padał, a teraz znowu zaczął sypać. Nie miałam już czasu wracać po parasol, gdyż mogłabym spóźnić się do szkoły. Pomyslałam jednak, że jeśli nie złapię taksówki - a było mało prawdopodobne, że złapię ją w taką okropną pogodę - i będę musiała brnąć na piechotę, przemoknę do nitki.

Zawróciłam zatem w pośpiechu i chwyciłam jedną z parasolek, które Allison trzymała na wszelki wypadek w stojaku obok biurka. Allison rozmawiała właśnie przez telefon, i pomachała mi na do widzenia. Niemal w tej samej chwili zobaczyłam Blythe, która schodziła na dół, owijając się szalem.

- Na dworze jest paskudnie - powiedziałam, otwierając i przytrzymując dla niej drzwi.

- Nic nowego.

Ona także wybierała się poza centrum, więc szłyśmy razem Park Avenue, z nadzieją, że znajdziemy taksówkę i pojedziemy nią razem. Tuliłyśmy się pod jednym małym składanym parasolem i mrugałyśmy bez przerwy, bo śnieg wpadał nam do oczu. Wiał zachodni wiatr, toteż musiałam manipulować parasolem, by go nie porwał. Zresztą to niewiele by zmieniło, gdyż i tak nie chronił nas przed śniegiem, który szczypał w policzki i wargi.

Chodniki zasypała świeża warstwa białego puchu, przykryła pryzmy starego śniegu i lodu. Chodzenie

po nim było niebezpieczne. W połowie ulicy Blythe pośliznęła się na zamarznętej kałuży. Chwyciłam ją za rękę, żeby nie upadła.

- Nie do wiary, że dojdzie do rogu niesie ze sobą tak wielkie ryzyko. - Zaśmiała się i podziękowała mi za pomoc.

Pięć minut później szczęście nam dopisało. Młoda kobieta z małym dzieckiem wysiadła z taksówki przed apartamentowcem na Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy.

Kiedy już siedziałyśmy w ciepłym wnętrzu samochodu, powiedziałam Blythe, że jadę na Osiemdziesiątą Ósmą, a ona odparła, że mnie tam podrzuci. Wybierała się dalej, aż na Sto Trzecią Ulicę.

- Do szpitala Mount Sinai? Coś się stało? - Mój żołądek natychmiast zareagował skurczem, gdy usłyszałam ten adres. Nie było tam nic prócz szpitala.

- Leży tam dziewczyna, która została otruta w sobotę w nocy. Nie sądzę, żebym mogła coś dla niej zrobić, ale chcę tam pojechać, na wypadek, gdyby jednak miała ochotę z kimś porozmawiać.

- Znasz ją?

- Nie. Osobiście nie. Ale... czuję, jakbym ją znała.

Zadrżałam, chociaż w taksówce było ciepło, a ja miałam na sobie gruby płaszcz i ciepłe rękawiczki. Blythe, niezależnie od swoich stopni naukowych i szans na zostanie terapeutką, oraz pragnienia wyróżnienia się w dziedzinie, którą się zajmowałam, czuła się blisko związana z tą tragedią.

Kiedy taksówka z trudem opuszczała śródmieście, poinformowałam Blythe, dokąd się wybieram, i opowiedziałam co nieco o sesjach, które prowadziłam w szkole.

- Mam nadzieję, że im pani pomoże - odparła z powagą.

- Ja też.

- Zabrzmiało to tak, jakby pani w to nie wierzyła.

Nie wiem, czy Blythe była szczególnie spostrzegawcza, czy może ton mojego głosu zbyt wiele zdradzał.

- Te dzieciaki są jak z kamienia. Każdego tygodnia odłupuję jakiś skrawek, ale prawie nie robię postępów. Nie mogę znaleźć szczeliny, która pozwoliłaby mi je otworzyć.

- Nigdy wiele o tym nie myślałam, ale co będzie, jeśli przyjdzie mi pracować z pacjentką, która ma ten sam problem? To znaczy ten sam co ja?

- Będziesz o tyle bardziej wrażliwa i współczująca.

Zaśmiała się.

- Współczucie to akurat nie mój kłopot.

- Jesteś dla siebie zbyt surowa. Dopiero od paru miesięcy przyjmujesz pacjentów. Z czasem nauczysz się radzić sobie z tymi wszystkimi emocjami. Obiecuję ci. Dlatego właśnie razem nad tym pracujemy.

Spojrzała na mnie w taki sposób, w jaki patrzyła Dulcie, i może nadal będzie patrzyła, kiedy osiągnie wiek Blythe.

Wszyscy potrzebujemy kogoś, kto naszym zdaniem potrafi odpowiedzieć na każde pytanie i kto w razie czego nam pomoże. Ale gdy ta osoba znika z naszego życia, nawet w powiewie wiatru widzimy zagrożenie - stajemy się jedną z zagubionych dziewcząt.

Tak było ze mną po śmierci mojej matki. Blythe też należała do zagubionych dziewcząt, potrafię rozpoznać charakterystyczne symptomy. W jakimś momencie życia straciła swoją kotwicę. Ale to był temat do rozmowy podczas sesji, a nie w samochodzie z zaparowanymi szybami.

Taksówka zatrzymała się na światłach na Osiemdziesiątej Siódmej. Miałam wysiąść na następnej przecznicy. Sięgnęłam po torebkę, otworzyłam portfel, wyciągnęłam banknot dziesięciodolarowy i zwróciłam się do Blythe.

- Weź to.

- Nie, ja zapłacę.

- Nie ma powodu, żebyś to na siebie brała. To podróż służbowa. Jadę na sesję.

Wcisnęłam jej banknot do ręki. Światła się zmieniły. Kierowca przystanął znów w połowie kolejnej przecznicy. Położyłam rękę na klamce i spojrzałam na Blythe.

- Dziękuję - rzekła.

- Naprawdę nie ma za co. I tak jechałam w tym kierunku.

- Nie, nie mówię o taksówce. Tylko że powiedziała pani, że jestem w porządku. Dzięki pani zawsze czuję się lepiej. Jakby wszystko miało się udać.

Uśmiechnęła się. Był to szeroki uśmiech. Na moment mnie zatrzymał.

Stałam na rogu w padającym śniegu. Płatki lądowały na moich włosach i przyklejały się do policzek. Jeden, dosyć spory, przysiadł na mojej dolnej wardze. Kiedy patrzyłam, jak taksówka odjeżdża, Blythe odwróciła się i pomachała mi ręką.

Przez moment ja też to poczułam - że może wszystko, co jest nie tak, faktycznie da się naprawić.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

- Wszedłem do Internetu, ale tylko tak sobie, dla wyglądu. Nie surfowałem. Nie oglądałem ich... - Barry urwał. Zaczął niemal obsesyjnie pocierać jakieś miejsce na lewej ręce.

W grupie obowiązywała zasada, tylko jedna zasada, że jeśli już któreś z nich oglądało pornografię, to musi się do tego przyznać. Nikt ich za to nie obrażał ani nie wygłaszał im kazań. Nie informowałam także rodziców, ale delikwent musiał wyznać prawdę przede mną i całą grupą. A ponieważ uczestnictwo w tych sesjach ratowało ich przed wydaleniem ze szkoły albo zawieszeniem w prawach ucznia, zwykle się do tego stosowali.

Czekałam, nie zdejmując wzroku z Barry'ego, starając się, żeby język mojego ciała był neutralny.

- Ale kumpel wysłał mi e-maila i napisał, że te dwie laski robią coś naprawdę odjazdowego, więc kliknąłem, żeby sprawdzić. Nie rozumiałem, co miał na myśli, pisząc, że robią coś odjazdowego. Myślałem, że chodziło mu o jakieś perwersje.

- Jak długo je oglądałeś? - spytałam.

Wlepił wzrok w podłogę.

- Niedługo. Zrobiło mi się niedobrze.

- Niedobrze?

- Jakbym miał zwymiotować, nie rozumie pani? - Był zażenowany.

- Wiesz, dlaczego tak się czułeś?

- Bo one cierpiały. Okropnie cierpiały, to było widać.

Chciałam znaleźć sposób, by uświadomić mu, że identyfikował się z tym, co oglądał - rozumiał, że dotyczy to dwóch żywych kobiet, a nie jakichś istot z Internetu. Nie patrzył już na nie obojętnie, jak robił przez dwa ostatnie lata.

- Ale skąd miałeś pewność, że naprawdę coś im dolega?

- Bo one nie grały. Nie wiem. Po prostu, jak się je widziało, to było oczywiste.

- Więc oglądałeś to wszystko? - spytała Jodi. - To obrzydliwe. Do końca?

Wzruszył ramionami.

- Zrobiłeś coś? - spytała znów.

- Niby co? Czy się onanizowałem?

- Nie. Czy zadzwoniłeś, cholera, na policję czy gdzieś?

Potrząsał głową, a ja czekałam, aż kolejna osoba włączy się do rozmowy.

- Patrzyłeś na to do końca? - spytała z kolei Ellen.

W przeciwieństwie do Jodi nie była zła, w jej głosie brzmiało raczej niedowierzenie.

- Taa.

- Uważasz, że jedna z tych dziewczyn chciała zabić tę drugą? - Ellen bawiła się guzikiem żakietu, kręciła nim bez końca.

- Daj spokój - powiedziała Amanda. - To podłe.

Wszyscy zamilkli. Nadal czekałam. Patrzyłam w twarz Amandy. Czułam jej ból przez szerokość sali. Dlaczego tak trudno było jej o tym mówić?

- Czemu sądzisz, że rozważanie takiej ewentualności jest podłe? - zapytałam w końcu.

- Bo one by siebie nawzajem nie skrzywdziły  
- odparła Amanda tak cicho, że musiałam nadstawić uszu. - Przyjaźniły się.

Wydawała się pewna swoich słów. I tak udręczona.

- Amando, widziałaś te dwie dziewczyny w sobotę w nocy?

Pokręciła głową.

- Widziałaś inne dziewczyny, takie jak one?

Amanda milczała.

Kogo ona widziała? I kiedy? Jak miałam sprawić, żeby poczuła się wystarczająco swobodnie, by podzielić się ze mną swoimi problemami?

Minęło kilka sekund.

- Kiedy oglądacie te kobiety w Internecie, to według was co one myślą? Co według was czuły te dwie kobiety, zanim się rozchorowały? - spytałam.

- Nic. Dobrze się bawią. Są naprawdę napalone. To wszystko - odparł na ochotnika Paul, a potem wzruszył ramionami.

Zobaczyłam, że Amanda się wzdrygnęła.

- Czy w ogóle zastanawiasz się nad tym, Paul?

- Nad czym? Co one czują?

Przytaknęłam.

- Nie wiem, kurczę.

- Spróbuj teraz. Wszyscy spróbujmy. Pierwsza rzecz, jaka przychodzi wam do głowy. Co one myślą?

- Pewnie że tyle ludzi się na nie gapi. - Paul uśmiechnął się znacząco. - One...

- Może to było samobójstwo - powiedziała Amanda bardzo cicho.



Nie zdawała sobie sprawy, że przerwała Paulowi. Nie podniosła głowy, kiedy to mówiła, wciąż wlepiła wzrok w swoje buty, zamszowe botki na grubych gumowych podeszwach. Większość dziewcząt nosi takie buty. Moja córka także je ma. W szkołach na Manhattanie są najmodniejszym dodatkiem.

Timothy popatrzył na nią z zatroskaniem w oczach.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytałam.

- Bo człowiek dochodzi do punktu, w którym jedynym sposobem na to, żeby przejść na drugą stronę, jest samobójstwo.

Ton i brzmienie głosu Amandy ostrzegły mnie, że poziom jej stresu jest wysoki. Wszystkie dzieciaki wyczuwały, że coś się dzieje i wszystkie czekały. Musiałam zmobilizować ją do mówienia.

- Amando, czy kiedykolwiek tak się czułaś? Jak gdybyś musiała przejść na drugą stronę?

Wzruszyła ramionami.

Pochyliłam się w jej stronę.

- Co robisz, kiedy tak się czujesz?

- Przeważnie zajmuję się sztuką.

Skinęłam głową.

- Ja też. Kiedy tak się czuję, rzeźbię. Wiem, jak to działa. To pomaga, prawda?

Patrzyła na mnie - tyle zostało niewypowiedziane, tylu rzeczy nie potrafiłam wyczytać z jej oczu, i tyle powinienam powiedzieć, żeby do niej dotrzeć.

- Tak. W pewnym sensie.

- Amando, co złego musiałoby dziać się z tymi dziewczynami w Internecie, żeby chciały się zabić?

- Fakt, że dostawały za to pieniądze, wcale nie świadczy, że chodziło im tylko o kasę. Z początku

pewnie je kręciło, że faceci je oglądają. Tak jak mówił Barry. Pewnie cieszyły się, że przyciągają uwagę. - Już na mnie nie patrzyła, nie patrzyła na nikogo w tym pokoju. Znowu wlepiała wzrok w swoje buty.

- A potem? - spytałam, zachęcając ją.

Wszyscy skupili na niej uwagę i czekali, co wydarzy się dalej. Amanda zelektryzowała grupę.

- Bo tak właśnie było, prawda? Udawały prostytutki. Każdy facet ma takie fantazje, i one o tym wiedziały. Dwie laski. No to weszły w to... i zrobiły show. Ale to nie znaczy... - Jej głos zadrżał. Nie podniosła wzroku, dłonie zacisnęła w pięści. - Pewnie na początku nie miały z tego przyjemności, nawet o tym nie myślały. Tylko się dotykały. Dotykały się, takie czułe, miękkie i nagie jak...

Hugh gwizdnął. Barry dołączył do niego. Amanda się skrzywiła.

Timothy obrzucił kolegów wściekłym spojrzeniem i syknął:

- Zamknijcie się, gówniarze.

Byłam zdziwiona. Pokazał prawdziwe emocje.

I opiekuńczość.

Dojrzałam łzę spływającą po policzku Amandy i wsiąkającą w materiał jej džinsów. Potem kolejną. Nie otarła ich.

Timothy wstał, przeszedł przez salę, przyklęknął przed Amandą, położył ręce na podłokietnikach jej krzesła i szepnął do niej coś, czego nie usłyszałam. Chyba nikt w sali tego nie słyszał. Nie odpowiedziała mu, za to kolejna łza wypłynęła spod jej powieki i wylądowała na ręce Timothy'ego. Spuścił wzrok i patrzył na nią, ale jej nie wytarł.

- Amanda?

Wszyscy wyszli z sali i ruszyli w stronę swoich szafek. Amanda obejrzała się, powiedziała coś do Jodi i podeszła do mnie.

- Chciałam ci to dać. - Wyciągnęłam do niej rękę z moją wizytówką.

Nie wzięła jej.

- Trzy tygodnie temu, kiedy dołączyłaś do grupy, zostawiłaś ją na krześle. Wszyscy chłopcy mają mój adres i numer telefonu. Dziewczeta też.

- Tak. I co z tego?

- To z tego, że nigdy nic nie wiadomo. To nie znaczy, że musisz do mnie zadzwonić, ale jeśli jej nie weźmiesz, nie będziesz miała wyboru.

Amanda wpatrywała się w wizytówkę. Byłam przekonana, że chciała o czymś porozmawiać, ale powstrzymuje ją przed tym jakiś lęk. W innym wypadku wzięcie wizytówki byłoby dla niej bez znaczenia. Gdyby jednak miała ją przy sobie, mogłoby ją kusić, by się ze mną skontaktować, a przerażało ją właśnie to, że wtedy mimo woli mogłaby się otworzyć.

- Obiecałam to całej grupie. Żadne słowa, które tutaj padną, nie wyjdą poza ten pokój. Nigdy nie zawiodę waszego zaufania. Na tym między innymi polega moja praca.

- Wiem.

- Dlaczego mi nie ufasz?

- Nie o to chodzi.

- Więc o co?

Wzruszyła ramionami, a ja postanowiłam wykorzystać okazję.

- Bardzo chętnie obejrzałabym twoje prace plastyczne.

Skinęła głową, jakby się nad tym zastanawiała.

- Dlaczego?

- Bo interesuję się sztuką. Mówiłam ci już, że trochę rzeźbię. Moim zdaniem tworzenie to jeden ze sposobów na zgłębienie naszych uczuć. W obrazie czy rzeźbie możemy wyrazić coś, czego nie potrafilibyśmy ująć w słowa.

- W zdjęciach także.

Przytaknęłam.

- Robisz zdjęcia?

- Tak. I krótkie filmy.

W korytarzu panowała cisza, głosy i kroki pozostałych członków grupy już się oddaliły. Słowa Amandy zawisły w powietrzu, niezupełnie jak echo, raczej jak gasnąca nuta zagrana na pianinie.

- Krótkie filmy?

Cofnęła się przestraszona.

- Amanda. O co chodzi?

Potrząsnęła głową.

- Nie oczekuję, że zaczniesz mówić o czymś, o czym nie jesteś gotowa powiedzieć. Ale chciałabym, żebyś to wzięła. Wiem, że coś cię dręczy, że to coś wydaje ci się beznadziejne i przytłaczające.

- Skąd pani wie?

Uśmiechnęłam się do niej. Wolałabym ją przytulić, ale tego właśnie nie mogłam zrobić.

- To moja praca, Amando. Mogę pomóc ci poradzić sobie z tym. Nie pomogę ci się tego pozbyć. Ani uwolnić się od bólu. Ale pomogę ci nabrać do tego dystansu, żebyś mogła z tym żyć.

Amanda poruszyła się. Skorupa opadła. Amanda postąpiła krok do tyłu.

- Tak samo jak pomaga pani chłopakom zapanaować nad tym, jak często wchodzi do Internetu? Oni dalej nie potrafią trzymać się od tego z daleka. Nie pomaga im pani.

- Jeszcze tego nie wiemy. Potrzeba sporo czasu, żeby zerwać z nałogiem.

- Amanda? - To wołała Ellen, która stała w końcu korytarza. - Idziesz czy nie?

- Muszę iść.

Nadal wyciągałam do niej rękę z wizytówką.

- Weź to.

Patrzyła na wizytówkę kilka sekund.

- Im dłużej trzymasz coś w tajemnicy, tym ta sprawa wydaje się trudniejsza. - Podsunęłam jej biały kartonik, który w ciemnym korytarzu niemal świecił.

- Amanda? - To znowu była Ellen.

Amanda odwróciła się, zerwała ze mną kontakt wzrokowy, ale potem wyciągnęła lewą rękę i chwyciła wizytówkę, jakby po krótkim namyśle wykonała gest pozbawiony większego znaczenia.

A jednak to miało znaczenie. I to ogromne.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Moja matka miała szklaną kulę, która stała na jej zniszczonej toalecie w naszym obskurnym mieszkaniu w śródmieściu. W środku znajdował się miniaturowy teatralny neon z tytułem „Zagubione dziewczęta” oraz nazwiskiem mojej matki, wypisanym małymi żółtymi żarówkami.

Teraz kula zajmowała miejsce na mojej toalecie, pośród butelek perfum i oprawionych fotografii. W dzieciństwie Dulcie lubiła ją tak jak ja niegdyś. Potrafiła przez długi czas siedzieć i bawić się nią, oczarowana płatkami śniegu opadającymi na markizę.

Zamówiłam dla niej podobną szklaną kulę na jej kolejne urodziny - z teatralnym neonem, zawierającym jej imię i nazwisko oraz tytuł sztuki, w której występowała.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed teatrem, neon był przysypany śniegiem, identycznie jak w szklanej kuli. Dulcie i ja rozmawiałyśmy ze sobą, aczkolwiek z rezerwą, lecz Dulcie zaakceptowała już moją decyzję zakazującą jej udziału w castingu do serialu.

Po raz pierwszy od wielu godzin zapomniałam o dzieciakach z Park East i dziwnym przeczuciu, że Amanda i Timothy wiedzą coś, o czym i ja powinnam się dowiedzieć - im szybciej, tym lepiej.

Drzwi do sali były zamknięte. Harold, bileter, zobaczył mnie, uśmiechnął się i pozwolił mi po cichutku wśliznąć się do środka.

Stałam z tyłu, za rzędami foteli, i obserwowałam moją córkę na scenie. Niezależnie od tego, ile razy oglądałam już tę sztukę, widząc Dulcie w światłach rampy, byłam zdziwiona. Zawsze, jak na początku, ogarniało mnie wielkie zdumienie, że ona tam jest, na Broadwayu - a nie w auli swojej szkoły, nie w jakimś przedstawieniu na letnim obozie, ale w zawodowym teatrze, gdzie każdego wieczoru występuje dla obcych ludzi.

Równocześnie byłam niesamowicie dumna - kiedy Dulcie skończyła swoją przedostatnią piosenkę, zerwała się burza oklasków - i czułam głęboko skryty niepokój trzepoczący gdzieś pod żebrami. Dulcie była taka bezbronna. Kiedy przedstawienie zbliżało się do finału, widziałam na scenie jakąś nastolatkę, nie moją córkę, nie wnuczkę mojej matki, ale zupełnie niezależną istotę - jak dzieciaki, z którymi wcześniej pracowałam. Każdy z nich nosił w sobie jakieś tajemnice, których ich rodzice, ich nauczyciele, ich krewni nie znali i nawet się nie domyślali.

Co ukrywa przede mną Dulcie? Przed Mitchem?

Nie zgadłabym, chociaż ja też kiedyś miałam swoje sekrety. Zachowywałam je tylko dla siebie, nie zdradzając niczego mojemu ojcu ani macosze, ani Ninie.

Ale to wcale nie pomagało mi zaakceptować faktu, że moja córka coś przede mną skrywa. W wieku lat trzynastu mogła jeszcze mieć niewinne i nieszkodliwe tajemnice, a jednak każde nowe doświadczenie, które przede mną zatajała z obawy, że jej nie zrozumie albo że wtrącę swoje trzy grosze, oddalało ją ode mnie.

Była w wieku, kiedy pojawiają się przepaście. A ja wiedziałam, ponieważ pomagałam w tym pacjentom, jak ważne jest kochać swoje dziecko takie, jakie jest, i nie czuć się zawiedzionym, że nie spełniło naszych marzeń. Wiedziałam, że najlepsze, co rodzic może zrobić, to słuchać, być wrażliwym i się nie poddawać. Ale kiedy chodziło o moją córkę, trudniej mi było wprowadzać w życie moje własne zalecenia, niż sobie wyobrażałam.

Orkiestra zagrała pierwsze nuty finału. Dulcie zajęła swoje miejsce. Skończyła kwestię, wzięła oddech i zaintonowała ostatnią piosenkę tego wieczoru. Jej głos, jak płynne złoto, przelewał się ze sceny. Bogaty i czysty połączył się z orkiestrą i wznosił się na sam szczyt melodii, zlewając się z nią, lecz nie ginąc. Dulcie śpiewała sama pierwsze dwanaście zwrotek, po czym dołączali do niej pozostali wykonawcy.

Po zakończeniu piosenki nuty i głosy wygasły, został tylko pogłos. Wreszcie i on zniknął. Przez dziesięć, piętnaście sekund panowała cisza, przerwana w końcu wybuchem entuzjazmu. Włączyłam się do tej euforii bardziej poruszona, niż przypuszczałam, bardziej przejęta, niż chciałam być, bardziej zaangażowana w ten moment triumfu Dulcie - i odczuwająca jej radość - niż byłam do tego przygotowana.

Powinnam się cieszyć, że jest szczęśliwa. I byłoby tak, gdybym nie zdawała sobie sprawy, że stanie na scenie uszczęśliwia moją trzynastoletnią córkę bardziej niż cokolwiek innego. Rozpoznałam to spojrzenie w jej oczach podczas ukłonów. Już kiedyś je widziałam.



Miałam świadomość, że nie należy ich bezkrytycznie łączyć. Mojej matki i mojej córki. Są osobnymi jednostkami. Od ostatniego razu, kiedy widziałam moją matkę, do dzisiejszego wieczoru, gdy oglądałam moją córkę, minęło trzydzieści lat.

Jak mogłam żałować Dulcie tej admiracji widzów tylko z powodu mojej porażki i mojego braku pewności siebie?

Mitch powiedział mi, że jestem nadopiekuńcza matką. Tak samo twierdziła Nina. Ale w godzinach między snem i czujnością, kiedy rozmawiałam w myślach z moją matką, ona zapewniła mnie, że mam rację. Że Dulcie jest za młoda. Że muszę trzymać ją z daleka od rzeczy, przed którymi jej, czyli mojej matki, nikt nie przestrzegł.

Kiedy tłum zaczął się przersedzać, ruszyłam głównym przejściem i weszłam na scenę, a potem udałam się za kurtynę i w kulisy. Zapukałam do garderoby mojej córki i czekałam na jej odpowiedź.

Nikt mi nie odpowiedział.

Zapukałam ponownie. Może siedzi w łazience? Otworzyłam drzwi garderoby i natychmiast tego pożałowałam. Dulcie nie jest już dzieckiem. Nie mogę do niej wparować jakby nigdy nic.

- Dulcie. Przepraszam, pukałam, ale..

Nie zastałam jej tam.

Podeszłam do drzwi małej łazienki. Były zamknięte. Zapukałam. Żadnej odpowiedzi. Zapukałam jeszcze raz. Wciąż cisza. To do niej niepodobne. Nawet kiedy była na mnie zła, odpowiadała, głosem, w którym słyszałam wysiłek udawania dorosłej wścikłości.

W końcu nacisnęłam klamkę. Drzwi ustąpiły. Łazienka była pusta.

Pewnie Dulcie jest w innej garderobie, pomyślałam. Usiądę i poczekam. Zwykle nie ociągała się po zakończeniu przedstawienia. Żadne z dzieci nie zostawało dłużej. Wszystkie były zmęczone i głodne, spędziły ze sobą cały dzień. Ale to nie znaczy, że to się nigdy nie zdarzało.

Odczekałam jeszcze parę minut, po czym wyszłam do holu szukać Dulcie. Samochód z kierowcą, który każdego wieczoru zapewniał nam teatr, na pewno czeka przed budynkiem. Robiło się późno, i Bóg wie, ile śniegu spadło w międzyczasie, i jak fatalnie jeździ się teraz na Broadwayu.

Pytałam o Dulcie każdą napotkaną osobę, ale nikt nie widział jej od ostatniego wyjścia do ukłonów.

W końcu trafiłam na Raula, reżysera, który rozmawiał przez komórkę przy wyjściu dla personelu. Nie od razu skończył rozmowę, ponieważ jednak nie odeszłam, rozłączył się po krótkim czasie.

- Coś się stało?

- Widziałeś Dulcie? Nie mogę jej znaleźć.

- Nie widziałem jej od ostatnich ukłonów. Sprawdziłaś w samochodzie?

Zasugerował najbardziej logiczne miejsce, i kiedy wracałam do garderoby po swój płaszcz, czułam się głupio. Oczywiście. Przecież Dulcie nie wie, że byłam na widowni. Nie zawsze wchodziłam do środka. Dulcie pewnie tak spieszyła się do domu, że wybiegła z garderoby i czeka na mnie w samochodzie, zastanawiając się, gdzie jestem.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Nie zobaczyłam jednak czarnego samochodu w miejscu, gdzie zazwyczaj stał.

Spojrzałam na drugą stronę ulicy.

Nie, tam też go nie było.

Czułam, jak gdzieś głęboko w mojej piersi rośnie panika.

Pobiegłam możliwie najszybciej po śniegu, dwadzieścia metrów w jedną, a potem w drugą stronę.

Nigdzie ani śladu samochodu.

Adrenalina mi podskoczyła, serce zaczęło walić. Stałam na lodowatym zimnie i usiłowałam zdecydować, od czego zacząć. Potem pomyślałam o telefonie. Zadzwoiłam na komórkę Dulcie, a czekając, aż moja córka odbierze, próbowałam wyobrazić sobie jej głos, w którym słychać uśmiech, kiedy nazywa mnie doktor Zgryzotą i jednym prostym zdaniem wyjaśnia tajemnicę swojego zniknięcia.

- Cześć...

- Dulcie, gdzie do diabła...

Dulcie coś mówiła. Cholera jasna. To nie ona, to jej nagrany głos, informujący, że w tej chwili nie może odebrać.

- Dulcie? Gdzie jesteś? Oddzwon do mnie. Martwię się. Raul nie widział, jak wychodziłaś z teatru. Ja... - Nie ma sensu mówić dalej. A jeśli coś się stało? Jeżeli...

Nie byłam w stanie zebrać myśli. Wiatr hulał, śnieg wpadał mi do oczu. Zaczęłam trząść się z zimna, bo nie zapięłam płaszcza.

Co do diabła mam począć?

Dulcie jest dość duża, by wracać do domu sama wynajętym samochodem, mimo to zwykle ja albo Mitch odbieraliśmy ją z teatru. Nie chcieliśmy zostawiać jej samej po spektaklu. To była dobra pora na to, by pogadać, dowiedzieć się, jak jej minął dzień, zbliżyć się na nowo. Jeśli akurat żadne z nas nie mogło po nią jechać, wtedy wolno jej było wrócić samej. Ale przecież mówiłam Dulcie, że tego wieczoru się pojawię.

Patrzyłam na telefon, połyskujący w ciemności niebiesko i zielono. Zadzwoń na 911. Powiedz im, co się stało. Nie, mogę zrobić coś lepszego. Wybrałam numer komórki Noaha. Odezwał się szybko, wysłuchał mnie, po czym poprosił o nazwę firmy przewozowej.

- Poczekaj, Morgan.

Słyszałam, jak rozmawia z drugiego telefonu, a kiedy skończył, powiedział do mnie:

- Jeszcze chwileczkę, dzwonimy do kierowcy.

Nie dość, że byłam spanikowana, to jeszcze poczułam się jak idiotka. Dlaczego nie przyszło mi do głowy, żeby skontaktować się z tą firmą? Dlaczego...

- Morgan, wszystko w porządku. Samochód odwiózł ją do domu.

Nie mogłam wykrztusić słowa. Ulga była przeogromna. Wreszcie podziękowałam Noahowi, obiecałam mu, że zadzwonię później, a następnie wystukałam swój domowy numer.

Tym razem, kiedy włączyła się automatyczna sekretarka, wpadłam w złość. Dulcie unika mnie, w ten sposób uzewnętrznia swoje emocje związane z castingiem do serialu.

- Oddzwoń do mnie. Natychmiast.

Jaskrawe neony i mrugające światła przytłumił śnieg. Samochody posuwały się naprzód tak powoli, jakby ich kierowcy nie byli pewni, co dzieje się za przednią szybą. Miasto otuliła cisza. Zamiecie Manhattan wyciszyły.

Włożyłam rękawiczki i z telefonem w dłoni ruszyłam na zachód, z nadzieją, że być może złapię taksówkę albo autobus.

Na rogu bezdomny kulił się w bramie ciemnego, zabitego deskami teatru. Prawie cały neon był przy-sypany śniegiem, ale wiatr zdmuchnął białą pierzynkę z jednej różowej nogi w czerwonym pantoflu. Innego wieczoru zatrzymałabym się i próbowa-ła przekonać tego człowieka, żeby udał się do schroniska, ale teraz musiałam szybko dostać się do domu.

Minęłam pięć przecznic bez żadnej wiadomości od mojej córki. Wchodząc do przedsionka zatłoczo-nej i dobrze oświetlonej japońskiej restauracji, otrze-pałam śnieg z włosów i wybrałam numer naszego dozorca.

- Dobry wieczór, pani doktor. Mam nadzieję, że wraca pani już do domu. Pogoda jest obrzydliwa.

- Tak, wracam. Posłuchaj, Gus, dzwoniłam do Dulcie, ale ona nie odpowiada. Dawno przyjechała do domu?

- Nie widziałem jej, pani doktor.

- A jak długo tam jesteś?

- Mam zmianę od szóstej.

- Ale kierowca twierdzi, że podrzucił ją do domu.

Gus coś mówił, ale go nie zrozumiałam. Skoń-czyłam rozmowę i szybko zadzwoniłam do mojego byłego męża.

Noah powiedział, że moja córka pojechała do domu.

Dulcie ma dwa domy.

Cholera. Jak mogłam być taka głupia?

- Mitch, to ja. Czy Dulcie jest u ciebie?

- Tak. Nie uprzedziła cię, że dzisiaj będzie u mnie?

- Nie. - Wiedziałam, że krzyczę do słuchawki. Właściciele restauracji gapili się na mnie. - Wyszła z teatru bez słowa. Nie wyobrażasz sobie, co przeżyłam, obdzwoniłam wszystkich, w tym policję. Co jest, do diabła? Chodzi o ten cholerny serial telewizyjny?

- Myślę, że dobrze byłoby, gdybyś tu przyjechała.

- Najpierw powiedz mi, czy nic jej nie jest.

- Nie jest chora ani ranna. Wszystko w porządku. Ale może lepiej, żebyś...

- Będę najszybciej, jak to możliwe. Nie ma tak-  
sówek. Idę na piechotę - odparłam i się rozłączyłam.

Młody mężczyzna i kobieta stali na ulicy, po prostu stali, dwie twarze uniesione do nieba, oczarowane i zdumione burzą śnieżną, z niedowierzaniem patrząc na opadające na nich płatki śniegu.

Ja też byłam szczerze zdumiona burzą, ale ta, która rozpętała się w mojej rodzinie.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

- To niemożliwe - powiedział Alan Leightman do swojego dozorcę przez domofon.

- Przepraszam, panie sędzio, ale widzę ich odznaki.

- Okej, Jimmy, przyślij ich na górę.

Stał w holu, czekając, aż winda zatrzyma się na jego piętrze. Był sędzią Sądu Najwyższego Nowego Jorku. Policja traktowała go z szacunkiem. Nie powinna nachodzić go w domu o jedenastej w nocy, i to bez zapowiedzi. Ale najwyraźniej tak się właśnie stało.

Patrząc na podświetlone numery pięter, śledził podróż detektywów i usiłował sobie wyobrazić, co sprowadza ich o tak późnej porze.

Pewnie ktoś, kogo wsadził za kratki, został wypuszczony na wolność. Wysłucha ich, pokiwa głową, zapewni detektywów, że jest nie tylko ostrożny, ale też dobrze strzeżony, zarówno w swoim luksusowym apartamencie na Piątej Alei, jak w biurze w centrum miasta. W Nowym Jorku po jedenastym września dba się o bezpieczeństwo miejskich urzędników.

Winda zatrzymała się i wysiedli z niej dwaj mężczyźni. Ich płaszcze wciąż były pokryte śniegiem. Alan skinął im głową, kiedy wycierali resztki brei z butów. Rozpoznał obu mężczyzn, przywitał się z nimi, a potem zaprosił ich do środka.

Lubił obserwować reakcję osób wkraczających po raz pierwszy do jego apartamentu. Chociaż zajmował wysokie stanowisko, to pensja jego żony umożliwiała im mieszkanie w chmurach. Wszyscy goście byli pod wrażeniem okien sięgających od podłogi do sufitu,

wychodzących na Central Park. W nocy widok z okien zaskakiwał, uwodził, pociągał. Iskrzące się światła tysięcy apartamentów po drugiej stronie parku, na West Side, wyglądały jak gwiazdy.

Leightman zaprowadził detektywów do swojego gabinetu i poprosił ich, by usiedli.

Jordain i Perez zajęli miejsca na kanapie, sędzia usiadł na krześle naprzeciwko. Dzielił ich niski stolik z gazetami i oprawnymi w skórę książkami.

- Czy któryś z panów ma ochotę na drinka? Może kawę albo cygaro?

- Chętnie napiłbym się kawy - odparł Perez, zacierając ręce, by je ogrzać.

Leightman skinął głową i przeniósł wzrok na Jordaina.

- A pan, detektywie?

- Poproszę, jeśli to nie kłopot.

- Żaden kłopot. Mam tylko nadzieję, że wasza wizyta nie pociągnie za sobą żadnych kłopotów.

- Zaśmiał się.

- To niewykluczone, panie sędzio.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Czekając na powrót Leightmana z kawą, Jordain rozejrzał się po pokoju i zwrócił uwagę na piękną bibliotekę z orzecha, zajmującą dwie ściany.

- Jak myślisz, ile tu jest książek? - spytał Perez, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Więcej, niż zdołasz przeczytać, mój przyjacielu.

Perez zerknął na niego z ukosa.

- Okej, nie doceniam cię. Jakies trzy tysiące więcej, niż mógłbyś przeczytać.

- To ile według ciebie byłbym w stanie przeczytać?

- Może dziesięć.

Teraz do spojrzenia z ukosa dołączyły uniesione brwi. Perez był znany z bardzo wymownych spojrzeń. Jordain zaśmiał się cicho.

- Zasłużyłem sobie na to.

Sędzia wrócił ze srebrną tacą, na której Jordain rozpoznał klasyczny wzór żołądzi sławnej firmy Georg Jensen, który cieszył się ogromną popularnością jakieś pięćdziesiąt lat wcześniej. Łyzeczki do herbaty, łyżka do cukru i serwis do kawy należały do tego samego kompletu. Jordain nie był zdziwiony. Nie każdego stać na korzystanie na co dzień z tego rodzaju serwisów, ale w takich apartamentach są one w zasadzie normą.

- Trochę późno na towarzyską wizytę - zauważył Leightman, nalewając kawę. - Więc zakładam, że to pilna sprawa.

- Pilna i odrobinę przykra, obawiam się - odparł Jordain, biorąc do ręki filiżankę z pięknej chińskiej porcelany.

Unosząc ją do warg, spróbował gorącej kawy, i znad złoconego brzegu filiżanki obserwował reakcję Leightmana. Na twarzy sędziego malowała się ciekawość i troska, ale nie było paniki, żadnego zakłopotania. Nie odwracał też wzroku.

- Panie sędzio, czy pański adres e-mailowy bob205 kończy się standardową kropką i com? - spytał Jordain.

Leightman zawahał się. Korzystał z tego adresu tylko wtedy, kiedy chciał uzyskać dostęp do stron pornograficznych. Skąd oni go znają? Dlaczego o to pytają? Przez chwilę rozważał ewentualne powody, dla których mógłby zakończyć tę rozmowę, zanim się rozwinie. Czy dowiedzieliby się, jaki jest jego adres e-mailowy, gdyby się nie przyznał? Co pomyśla, jeśli odmówi rozmowy na ten temat?

- Tak, to jeden z moich adresów.

Jordain i Perez nie wymienili spojrzeń, ale broda Jordaina zdrząła, a Perez ledwie zauważalnie pokiwał głową.

- Dysponujemy e-mailem, który wysłał pan do kobiety o pseudonimie Penny Whistle, i drugim, wysłanym przez pana do innej kobiety, o imieniu ZaZa, bez nazwiska. Odzyskaliśmy je z twardych dysków komputerów tych kobiet.

Noah Jordain przyglądał się, jak sędzia przyjmuje nowe informacje. Najpierw twarz Leightmana wyrażała uznanie. Potem ulgę, co było dość zaskakujące. A na końcu skrzępowanie.

- Macie e-maile, które ja wysłałem do tych dwóch kobiet?

Zanim któryś z detektywów odpowiedział, Leightman wstał i podszedł do swojego biurka, gdzie leżał srebrny laptop. Położył dłoń na pokrywie komputera i go zamknął.

- Tak - odrzekł Jordain przeciągle, lecz stanowczo. Sędzia stał jakieś dwa metry dalej i patrzył na nich z góry z lekceważeniem, którego nie było w jego oczach, kiedy witał ich w drzwiach.

- Czego chcecie?

- Wie pan, kim są te kobiety? - zapytał Perez.

- Czy możecie mi dokładnie wytłumaczyć, dlaczego przyszliście do mojego domu w środku nocy, żeby mnie o to spytać? - zwrócił się do nich Leightman.

- Ponieważ te kobiety nie żyją i ponieważ w ich komputerach są e-maile od pana.

- Dlaczego to jest takie ważne? Pewnie w ich skrzynkach jest mnóstwo e-maili.

- Charakter tych e-maili sugeruje, że osoba, która je wysłała, ma związek ze śmiercią tych kobiet.

Sędzia otworzył i zamknął usta, jak ryba, która łapie powietrze, ale szybko odzyskał pewność siebie.

- Ktoś chce mnie zrobić. Zdajecie sobie sprawę, ile osób zna mój adres e-mailowy? Tym właśnie powinniście się zająć, odszukaniem tych osób. Pochwalam was za to, że najpierw przyszliście do mnie, ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Sędzio Leightman, zaoszczędzi nam pan mnóstwo czasu, a sobie sporo zażenowania, jeżeli porozmawia pan w tej chwili...

- Nie - przerwał sędzia. - Proszę stąd natychmiast wyjść. Nigdy w życiu nikt mnie tak nie obraził.

Jak śmiecie przychodzić tutaj i wypytywać mnie w ten sposób? Nie wiecie, jak łatwo jest o oszustwo komputerowe? - Leightman wyrażał swoje oburzenie szeptem, lecz jego słowa były pełne wściekłości.

- Będziemy musieli zarekwizować pański komputer - oznajmił Jordain.

- Absolutnie się nie zgadzam. Nie pozwolę naruszać mojej prywatności dla jakiejś mrzonki. A teraz proszę wyjść. Jutro z rana możecie zgłosić się do mojego biura, gdzie moja sekretarka poda wam nazwisko mojego adwokata i jego numer telefonu. Możecie ciągnąć tę farsę za jego pośrednictwem.

- Bardzo mi przykro, panie sędzio, ale mamy nakaz rewizji. Jest nam potrzebny pański komputer. - Noah Jordain patrzył w zmrużone oczy Leightmana i na jego zaciśnięte wargi. Widział pulsującą żyłę na jego szyi.

Noah poczuł się fatalnie. Niechętnie robił coś takiego człowiekowi, który cieszył się opinią sprawiedliwego sędziego.

- Chcę zobaczyć ten nakaz - rzekł Leightman. Perez przeszedł przez pokój i podał mu dokument.

Przez kolejne pół minuty Leightman uważnie czytał każdą linijkę, jakby nigdy dotąd nie widział nakazu rewizji.

- Więc podpisał to Larry Rosen. - Zaśmiał się złośliwie. - Pewnie był zachwycony. No cóż, możecie mnie aresztować, wsadzić za kratki i radzić sobie z reperkusjami, ale nie pozwolę wam zabrać mojego komputera, niezależnie od tego, czym mi tu wymachujecie.

Jordain i Perez rozmawiali wcześniej o tym, że sędzia może nadużyć swojego stanowiska i załatwić ich odmownie.

Przypuszczali, że tak właśnie się zachowa, jeżeli jest winny. Nie mieli wyboru, mogli tylko naciskać. Jeśli nie wezmą komputera, sędzia będzie miał okazję w nocy wykasować swoje pliki albo zniszczyć twardy dysk. Nie mogli na to pozwolić. Dwie młode kobiety nie żyją. Trzecia nadal przebywa w szpitalu. Jedyne, co je łączy, to e-maile od mężczyzny, którego adres doprowadził ich do Alana Leightmana. W obu e-mailach prosił kobiety, by podczas swojego występu posłużyły się prezentem, który im wysłał. Te prezenty je zabiły.

Jordain skinął głową Perezowi, który ruszył szybko w stronę biurka. Leightman rzucił się na niego. Byli jednakowo silni. Jordain podbiegł do nich, wyciągnął kajdanki i założył je sędziemu, zanim obaj z Perezem zdążyli zrobić sobie krzywdę. Zgrzyt metalu powstrzymał Leightmana, który spuścił wzrok ze szczerym przerażeniem.

- Co do kurwy nędzy...

- Naprawdę nie chciałem tego robić, ale aresztuję pana, jeśli przeszkodzi nam pan w zabraniu komputera. - Jordain myślał teraz o tych kobietach, o tym, jak zgubna okazała się dla nich trucizna. Wiedział, jakie katusze przeżywały w ostatnich godzinach życia. Jak bardzo chora była Tania.

Na czoło sędziego wystąpiły krople potu.

- Okej. Zabierzcie to pieprzone urządzenie, ale ostrzegam, detektywie, nogi panu za to z dupy powyrywam. Jutro rano obu was czeka prawdziwa

niespodzianka. A teraz, w tej chwili, niech pan to zdejmie.

Kiedy Perez wyciągnął wtyczkę laptopa z gniazdka i chował go do torby, którą przyniósł, Jordain szukał w kieszeni kluczyka do kajdanek.

W tym samym momencie wszyscy trzech usłyszeli otwierające się i zamykające frontowe drzwi, a zanim któryś z nich wykonał jakiś ruch, w progu stanęła Kira Rushkoff. Wyras jej twarzy był spokojny.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

- Dulcie, twoja matka ma rację - Mitch upomniał córkę. - Jesteś jej winna wyjaśnienie. Prawdę mówiąc, mnie też. Nie miałem pojęcia, że mama nie wie, że tutaj przyjedziesz.

Moja córka obrzuciła swojego ojca miażdżącym spojrzeniem - człowiek nie spodziewałby się czegoś podobnego nawet od starszej od niej nastolatki. To spojrzenie nie tylko oskarżało go o zdradę, ono wyrażało rozczarowanie Dulcie, że nie stanął po jej stronie.

Siedziała na wielkiej białej kanapie w salonie ojca, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i wysoko uniesioną głową. Mitch siedział obok niej, a ja, outsider, wróg, zajmowałam miejsce na kanapie naprzeciwko.

W ciągu minionych dziesięciu minut nie powiedziała do mnie ani słowa.

Taktykę polegającą na ignorowaniu ludzi uprawiała moja matka. Nie wiem jednak, skąd nauczyła się jej Dulcie. Na pewno nie ode mnie, gdyż tak bardzo nie znosiłam podobnego sposobu bycia, że nigdy nie przejęłabym go od matki.

A zatem jakim cudem znalazło się to w repertuarze zachowań mojej córki? Niezależnie od tego, co wiedziałam na temat genów i dziedziczenia, wciąż mnie zaskakiwało, jak bardzo moja córka przypomina swoją babkę, mimo że urodziła się osiemnaście lat po jej śmierci. Sposób, w jaki trzymała głowę, wysuwając naprzód brodę, jak odrzucała włosy, szeroko otwierała oczy, jak zaprzeczała triumfującym

słowom słodką minką - wszystko robiła dokładnie tak, jak moja matka.

Czasami znajdowałam pocieszenie w tym, że moja matka żyje w mojej córce. Innym znów razem, jak na przykład tego wieczoru, doprowadzało mnie to do furii. Wściekłość, która mną owładnęła, kiedy weszłam do mieszkania Mitcha, podsycona dwudziestoma minutami paniki wywołanej brakiem wiedzy, dokąd Dulcie udała się z teatru, jeszcze mnie nie opuściła. Miałam ochotę nawrzeszczyć na córkę, potrząsnąć nią i wykrzyczyć jej w twarz, jak to jest, kiedy człowiekowi serce zamiera ze zmartwienia.

- Tato, chcę znowu tutaj mieszkać. Na stałe.

- Nawet jeśli tu zostaniesz, nie zagrasz w tym serialu. W tej sprawie twój ojciec zgadza się ze mną w stu procentach. Prawda, Mitch?

- Absolutnie.

- Wiem - odparła, mówiąc do ojca, jakby był jedyną osobą, która siedzi z nią w pokoju. - Nie dlatego chcę tutaj zostać. Ty mnie rozumiesz. Jeśli nie pozwolisz mi zagrać w serialu, to nie z powodu twoich problemów, tylko ze względu na mnie. Więc już postanowiłam.

- Mów do nas obojga, Dulcie. Nie tylko do mnie.

- Mitch podniósł głos. - Zanim zaczniemy cokolwiek rozważać, chcę, żebyś przeprosiła matkę za to, że ją śmiertelnie przestraszyła. I proszę, żebyś zrobiła to w tej chwili.

Popatrzyła na niego nieprzyjaźnie. Mitch zmusił ją do odwrócenia wzroku.

- Przepraszam - mruknęła cicho, nie patrząc na mnie.



- Jeśli się nie odwrócisz, nie spojrzysz matce prosto w oczy i natychmiast nie przeprosisz jej tak głośno, żeby to usłyszała, to pożałujesz.

W końcu, niechętnie, Dulcie odwróciła głowę w moją stronę, ale jej spojrzenie zatrzymało się po prawej stronie mojej twarzy. Mitch ze swojego miejsca tego nie widział, a ja zastanawiałam się, czy o tym wspomnieć, czy nie.

Głosem całkowicie pozbawionym emocji - jakby brała udział w castingu do roli, na której jej nie zależało - Dulcie powiedziała:

- No więc przepraszam, ale zostaję tutaj. Z rodzicem, który mnie rozumie, a nie z rodzicem, który chce rządzić moim życiem z powodów, które wcale mnie nie dotyczą. Wcale.

Wstałam z kanapy. Znałam Dulcie, znałam siebie, i znałam Mitcha. Ten problem nie zostanie tego wieczoru rozwiązany.

- Mitch, czy możemy zamienić kilka słów na osobności?

Tak, chciałam z nim porozmawiać, ale chciałam też, by moja córka wiedziała, że chociaż bardzo się stara, nie uda jej się nas poróżnić.

Mitch wyszedł za mną z salonu i zaprowadził mnie do swojej sypialni. Był to w sumie dość dziwny wybór, ale wtedy o tym nie myślałam.

Usiadł na tapicerowanej ławie w oknie wykuszowym, ja zaś na skraju łóżka, na wprost niego. Narzuta na łóżku była chłodna w dotyku, moje palce w tej miękkiej tkaninie zatonęły. Nagle owładnęła mną chęć, by położyć się na tym łóżku, przykryć się i zasnąć. I żebyśmy znowu znaleźli się wszyscy pod

jednym dachem. To było ostatnie uczucie, jakiego się spodziewałam, i kompletnie mnie zaskoczyło.

- Moim zdaniem nie powinnaś jej na siłę ciągnąć ze sobą do domu - powiedział Mitch.

Na łóżku leżały cztery poduszki. Gdybym się położyła, mogłabym się w nich ukryć.

Spojrzałam w twarz Mitcha, mojego byłego męża. W wieku czterdziestu dwóch lat miał gęste ciemne włosy i chłopięcy uśmiech z dołeczkami w policzkach. W ciągu paru minionych trudnych lat nie zmienił się tak, jak wydawało mi się, że ja się zmieniałam. Nagle wyobraziłam go sobie w szpitalu, trzymającego Dulcie w swoich dużych dłoniach ledwie kilka minut po jej narodzinach. Jego policzki były mokre od łez, kręcił głową i powtarzał: „Spójrz na nią... tylko na nią spójrz...”

- Miałam wrażenie, że już to sobie wyjaśniliśmy.

- Ja też.

- No cóż, nie wyszło nam. Ale teraz sprawa jest poważniejsza, bo ona po raz drugi próbuje nami manipulować. Musimy to rozwiązać raz na zawsze. Ona nie może uciekać ode mnie za każdym razem, kiedy nie dostaje tego, czego chce.

- Wiem, ale nie dzisiaj. Jesteś wykończona. Ona jest wykończona.

- Tak się przeraziłam. Poprzednio, kiedy tutaj była, po prostu nie chciała ze mną wyjść. Ale kiedy nie mogłam jej znaleźć... nie przyszło mi do głowy... myślałam... - Byłam zdziwiona, że płacę. Nie płakałam często, ale też nieczęsto drżałam o życie swojej córki.

Mitch podniósł się, podszedł do łóżka, usiadł obok, przytulił mnie i głaskał po głowie. Przez parę

minut uspokajał mnie tak, jak robił to, kiedy byliśmy razem. W naszym małżeństwie nie brakowało problemów, ale nigdy nie przeszkadzały nam one troszczyć się o siebie i pozostawać w przyjaźni. Nie płakałam długo - ból i strach szybko znalazły ujście, a potem wzięłam się w garść i otarłam oczy.

- Morgan, często spotykasz się z Noahem Jordainem?

To pytanie zbiło mnie z tropu.

- Czemu pytasz?

- Wydaje mi się, że to może mieć jakiś związek z nastawieniem Dulcie.

Zastanowiłam się nad tym.

- Nie chcę w to wierzyć. Ale faktycznie pierwszy raz zrobiła taki numer niedługo po tym, jak zaczęłam się z nim spotykać.

- A teraz ten związek już trochę trwa. Moim zdaniem ona martwi się coraz bardziej, że nigdy nie będziemy razem.

- Myślisz, że ona robi to, żebyśmy spędzali razem więcej czasu? Że chce mnie zdenerwować, żebyś mnie pocieszał?

- Ty jesteś terapeutką, nie ja.

- Nie jesteś zły, jak na amatora. - To był nasz stary żart. Nikt nie jest dobrym terapeutą, jeśli chodzi o własną rodzinę, i to Mitch częściej miał pełną świadomość tego, co się z nami dzieje.

Spojrzał na mnie z takim wyrazem twarzy, którego od bardzo dawna nie widziałam.

Ilekczo Mitch chciał się ze mną kochać, jego twarz się wyciszała, a powieki wydawały się cięższe. Żartowałam z niego, że ćwiczył tę minę, ale oczywiście nie była to prawda. Dostrzegałam to pełne seksu

spojrzenie u niektórych moich pacjentów, kiedy opowiadali o swych związkach. Nie przypuszczałam jednak, że jeszcze kiedykolwiek zobaczę je u Mitcha. Wyciągnął prawą rękę i zaczął masować mi kark, bo wiedział, że tam gromadzi się moje napięcie. Był w tym dobry. Robił to przez lata. Pozwoliłam mojej głowie opaść. Pozwoliłam, żeby Mitch mnie dotykał i rozluźnił moje zaciśnięte więzadła. A później jego wargi znalazły się na mojej skórze, którą właśnie rozgrzał, i poczułam znajomy ambrowy zapach wody kolońskiej.

Przez kilka sekund siedziałam zaczarowana wspomnieniami czasów, kiedy wszystko zdawało się prostsze - zanim Dulcie stała się nastolatką, zanim Mitch oznajmił mi, że oczekuje od związku czegoś więcej, niż dostaje ode mnie, zanim materia naszej rodziny została rozerwana.

Ale potem uniosłam głowę i odsunęłam się od Mitcha.

- Co się dzieje?

- Jesteś jakaś inna - stwierdził, a potem się skrzywił. - Nie mogłem wymyślić nic gorszego. Nie wierzę, że to powiedziałem. Posłuchaj, nie wiem, jak to wyrazić. I wiem, że to niedobra pora, żeby poruszać ten temat, ale ostatnio pomyślałem sobie, że może nie powinniśmy byli tak szybko się rozstawać...

- Mitch, nie rób tego. - Wstałam. - To nie było szybko. To trwało rok. I tego właśnie chciałeś. Nie możesz zmieniać zdania teraz, kiedy...

Wyciągnął rękę i ujął moją dłoń.

- Nie możemy o tym nawet porozmawiać?

- Dałeś się nabrać. Nasza córka siedzi tam i manipuluje nami. Sam to zauważyłeś.

- Wiem. Ale uważam, że pomysł, żebyśmy zamieszkali znowu razem, jest wart rozważenia. Przyjmijmy na próbę.

- Nie. Nie teraz. Teraz mamy poważny problem. Nasza córka ze mną nie rozmawia. Dziś wieczorem uciekła z domu.

- Tak naprawdę nie uciekła...

- Uciekła, Mitch. Musimy porozmawiać o Dulcie. O tym, jak bardzo zależy jej na tych przesłuchaniach do serialu, i jak mamy jej wytłumaczyć, tak, żeby to do niej dotarło, dlaczego to nie jest dla niej dobre. A ty w takiej sytuacji myślisz o nas? Mieliliśmy na to wiele miesięcy.

Starałam się mówić spokojnie, lecz przychodziło mi to z trudem.

- Wiem, ale może to wszystko nie jest konieczne. A gdybyśmy się tak znów zesłi? Zmieniłaś się, nie jesteś już taka jak kiedyś. Nie przypuszczam, żebyśmy przeżywali te same dylematy. A rozwiązaliibyśmy problem, który dręczy Dulcie. Przestałaby w ten przykry sposób uzewnętrzniać swoje emocje. Uwierz mi, jestem bardziej zdziwiony niż ty. Nie spodziewałem się, że będę jeszcze kiedyś czuł do ciebie to co dawniej, ale tak właśnie jest.

Dlaczego Mitch tak naciska w samym środku tego kryzysu, w środku tego koszmarnego wieczoru? Wiem swoje i nie muszę słuchać mojego byłego męża, ale naprawdę nie podobał mi się pomysł, żeby wyjść z jego mieszkania i zostawić tam Dulcie. Poprzednim razem tak bardzo za nią tęskniłam. Miała dopiero trzynaście lat. Nie byłam gotowa pozwolić jej odejść. Czy istnieje jakakolwiek szansa, by mię-

dzy mną i Mitchem na nowo się ułożyło, i żebyśmy we troje stworzyli znów rodzinę?

Wszystko bym dla tego poświęciła.

Wszystko? A Noah?

Noah, który, gdy tylko o nim pomyślałam, wywoływał w mojej duszy zamęt i radosne podniecenie. Który działał na mnie jak nikt inny, nawet Mitch, i nie chciał mi wyjść z głowy? Czy porzuciłabym Noaha, żeby zobaczyć znowu uśmiech Dulcie i mieć ją w domu przez następne pięć lat? Nawet jeśli Mitch nigdy nie zrozumie ciemności, jaką w sobie noszę, tak jak rozumie ją Noah?

Czy cokolwiek kiedykolwiek miałoby jakieś znaczenie, gdybyśmy tylko potrafili sprawić, by życie Dulcie było łatwiejsze?



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Amanda siedziała w domu sama. Jej ojciec wyjechał gdzieś służbowo - ciągle gdzieś wyjeżdżał - a matka była na spotkaniu klubu książki. Została dłużej w pracy, skąd pojechała prosto na spotkanie. Zadzwoniła do Amandy o siódmej, by upewnić się, że córka jest w domu i że znalazła kolację, którą zostawiła dla niej gospoia.

Amanda powiedziała matce, że nie jest głodna. Że boli ją gardło. Że może coś się z tego rozwinie. Nie była pewna, dlaczego skłamała, poza tym że naprawdę nie czuła się najlepiej. Ale nie z powodu gardła - chodziło o coś dużo gorszego. Chodziło o to, co przeczytała w Internecie, na stronach bieżących wiadomości, na temat Penny Whistle, ZaZy i Tani, i co chłopcy mówili w szkole przed przyjściem doktor Snow.

No i na domiar złego doktor Snow rozmawiała z nią tak, jakby wszystko wiedziała. Jakby naprawdę potrafiła zajrzeć w głąb ludzkiej duszy i zobaczyć, jakie tam wszystko jest pokręcone i przerażające.

Z palcami na klawiaturze patrzyła na komputer, wahając się, zanim kliknęła ikonkę Internetu. Myślała, że ma to już za sobą, a jednak za każdym razem, kiedy się logowała, czuła skurcz żołądka. Czasami trwał on kilka sekund. Czasami był tak silny, że musiała się położyć. Nigdy nie wiedziała, dlaczego niektóre dni są gorsze od pozostałych. Chciała dzisiaj powiedzieć o tym doktor Snow. Mało brakowało. O mały włos nie zapytała, jak długo to będzie boleć. Ile jeszcze czasu musi minąć, zanim przestanie tęsk-

nić za Simone? Jak długo potrwa, nim przestanie o niej myśleć, ilekroć robi coś, co niegdyś robiły razem.

Simone żyła w sieci.

Amanda logowała się i natychmiast pojawiał się skrót komunikatora internetowego IM.

Co robisz?

Kiedyś przesyłały sobie wiadomości, odrabiając lekcje, rozmawiając przez telefon z innymi kolegami i oglądając telewizję. Stale były w kontakcie.

A więc gdy teraz Amanda wchodziła do sieci i od razu nie pojawiło się IM, rzucało jej się to w oczy. A kiedy ktoś inny się z nią kontaktował, czuła rozczarowanie, widząc imię użytkownika, które nie brzmiało Simonesez.

Dłonie Amandy pocily się i lekko drżały, gdy wpisywała adres. Nie musiała nawet myśleć - robiła to machinalnie. Jakby miała go dosłownie pod palcami.

Wstrzymała oddech, gdyż nie wiedziała, czego się spodziewać. Nie wchodziła tu od śmierci Simone. Minęło wiele miesięcy, a ona wciąż tęskniła za swoją najlepszą przyjaciółką równie mocno, jak pierwszego tygodnia po jej odejściu. Ale musi to sprawdzić.

Jeśli ma powiedzieć doktor Snw, musi mieć pewność, że ma rację.

Strona Web pojawiła się bezgłośnie. Amanda wpatrywała się w szachownicę zdjęć kobiet. Jak ma znaleźć dwie pozostałe dziewczyny? Te, które z Simone znalazły wcześniej. Nie pamiętała ich imion. Ona i Simone po prostu klikały na fotografię każdej, która pisała, że jest z Nowego Jorku, a potem oglądały ją. Czasami śmiały się, czasami były zdegustowane, a czasami przyznawały, że było to trochę podniecające. Później siadały i rozmawiały o Timo-



thym, Hugh i innych chłopakach, o których wiedziały, że bez przerwy oglądają te rzeczy, i zastanawiały się, dlaczego chłopcy wolą te dziewczyny z Internetu od nich. W końcu poszły na zakupy do Victoria's Secret, żeby wystroić się jak tamte dziewczyny. Pozowały jedna drugiej przed kamerą internetową. Amanda kupiła ją specjalnie do tego celu za swoje oszczędności. Oglądały się na ekranie, żeby przekonać się, czy prezentują się równie dobrze, jak tamte dziewczyny.

Nigdy im nie dorównały.

Z początku wydawało im się, że nie robią nic złego. Zdawało im się zupełnie normalne, że chcą wiedzieć, od czego chłopcy nie mogą oderwać oczu. Były ciekawe. Nie ma w tym nic złego, prawda?

Amanda broniła w myślach tego, co robiły, przed kimś, kogo tam nie było. Tłumaczyła się, jakby zeznawała podczas procesu.

Nie, nieprawda.

Próbowała wyobrazić sobie, jak wyjaśniłaby to doktor Snow. Ale najpierw musi zyskać pewność.

Zacząła klikać po kolei na zdjęcia dziewczyn z Nowego Jorku. Wszystkie wydawały się jej znajome. Ona i Simone wchodziły na dziesiątki tych stron po tym, jak pewnego wieczoru przypadkiem nakryły chłopców surfujących w sieci na imprezie w domu Hugh. Ona i Simone nie zostały nawet zaproszone. Zabrał je tam ze sobą jej brat Les, który przyjaźnił się z Timothyem i Hugh. Timothy był dla niej miły. Był jedynym chłopakiem, który je zauważył i traktował normalnie. I później też był dla nich miły. Poszedł z nią nawet na pogrzeb Simone. Siedział obok niej. Nie żeby to coś znaczyło. Ale i tak było miłe.

Tamtej dawno minionej nocy wraz z Simone zajrzały do ciemnej sypialni i zobaczyły trzech chłopców przyklejonych do monitora. Na ich twarzach odbijało się światło ekranu. Natychmiast wyczuły, że są intruzami, ale ciekawość nie pozwoliła im wyjść. Chłopcy ich nie słyszeli - byli zbyt zajęci gapieniem się na dwie kobiety, które uprawiały seks w wannie z pianą.

- Ale laski - powiedział Hugh głosem, od którego Amanda dostała gęsiej skórki. - Chciałbym być tym kawałkiem mydła.

- Opleć mnie tak nogami. No super - powiedział z kolei Barry.

Tylko Timothy milczał. To drobiazg, ale dla niej coś znaczył.

Wielkie rzeczy. Wtedy, w wieku lat szesnastu, Amanda niejedno już widziała. Nie była wkurzona. Kiedy ma się naście lat i brata osiemnaście miesięcy starszego, wie się już prawie wszystko. Rodzice zrobili jej wykład na temat Internetu i podawania własnego imienia i nazwiska, słyszała też, jak klócili się z Lesem o to, co oglądał w sieci. Przypadkiem weszła nawet na dosyć sprośne strony, ale nigdy jeszcze nie oglądała prawdziwej pornografii. Nigdy nie widziała czegoś równie obsceniczego jak to, co chłopcy tamtego wieczoru podziwiali.

Amanda i Simone wymknęły się chyłkiem, zanim koledzy je zauważyli, ale parę miesięcy później, kiedy Simone spała u Amandy, poprosiły Lesa, by pokazał im strony, na które wchodzi. Odmówił im jakieś sto razy, a wtedy Simone zaproponowała, że zrobi mu laskę w zamian za adres. Wówczas się zgodził.

Amanda osłupiała i siedziała nieruchomo, kiedy Simone i Les wyszli z pokoju.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytała później przyjaciółkę.

- Podoba mi się. Pomyślałam, że może dzięki temu on też mnie polubi - odrzekła Simone beznamyślnie. - Najgorsze było to, że cały czas, jak mu obciągałam, wlepił ślepią w ekran monitora.

Amandę i Simone ogarnęła obsesja na punkcie dziewczyn z sieci. Wciąż się zastanawiały, co jest w nich takiego wyjątkowego, a czego brakuje im samym.

Nie. Nie zacznij tego roztrząsać. To tylko doprowadzi ją do łez. A nie o to przecież chodzi. Musi to rozgryźć. Musi zrozumieć, co się dzieje. To zbyt przerażające. Niemożliwe, żeby to, co robiły z Simone, miało cokolwiek wspólnego ze śmiercią tych dziewczyn. A jeśli jednak?

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Kiedy tego wieczoru weszłam do domu, zobaczyłam mrugającą lampkę automatycznej sekretarki. Rzuciłam płaszcz na kanapę, ale zanim miałam szansę nacisnąć przycisk, telefon zadzwonił.

- Halo?

- Dulcie już się położyła - powiedział Mitch. - Chyba powinniśmy pogadać.

- Mówiła coś? - Zdjęłam szalik i poszłam do kuchni. W lodówce miałam butelkę wina.

- Nie. Prosiła, żebym przywiózł jej jakieś rzeczy od ciebie. Powiedziałem, że tego nie zrobię. Że musi cię sama poprosić.

- Nie zamierzam na nią naciskać - odparłam.

- Potrzebuję czasu, żeby to przeanalizować, wymyślić, jak się z nią porozumieć.

- Jak będziesz o tym myśleć, chciałbym, żebyś przy okazji pomyślała też o nas.

- Okej.

- To wszystko? Okej?

- Tak. To wszystko. Padam z nóg. Jestem zła na Dulcie. Nie mogę jeszcze myśleć o nas. Nie dzisiaj.

W mieszkaniu było strasznie duszno. Z telefonem przy uchu i kieliszkiem wina w ręce wróciłam do pokoju i podeszłam do okna. Postawiłam kieliszek na podłodze, otworzyłam okno, a kiedy poczułam silny zimny podmuch, nabrałam w płuca haust ostrego powietrza.

- Co to za hałas?

- Otworzyłam okno.

- Morgan, na dworze jest mróz.

- Wiem, ale tutaj jest gorąco. Za bardzo odkręciłam ogrzewanie. Mitch, ledwo żyję. Daj mi już spokój, pogadamy jutro.

Usiadłam na kanapie, mając w głowie słowa, którymi go pożegnałam. Nic nie jest przypadkowe. Poprosiłam, żeby zostawił mnie w spokoju, ale tak naprawdę miałam na myśli: Chcę mieć święty spokój.

Nie miałam ochoty rozmyślać o Mitchu.

Chciałam rozstrzygnąć, co począć z Dulcie.

Co musiałabym jej powiedzieć, by zrozumiała, że cokolwiek robię, mam na uwadze wyłącznie jej dobro?

Czerwona lampka nadal mrugała. Nie odsłuchiłam wiadomości. Stanawszy przy biurku, spojrzałam na automatyczną sekretarkę. Mrugający wyświetlacz pokazywał, że mam piętnaście nowych wiadomości. To z całą pewnością jakiś pacjent, który przeżywa kryzys. Nacisnęłam przycisk Play.

- Morgan? Jesteś tam? - To był Noah, mówił łagodnym, cichym, nieco zatroskanym głosem. - Jestem w robocie. Oddzwoni, jak wrócisz do domu, jeśli będziesz mogła.

Poczułam chęć sięgnięcia po słuchawkę i wybrania jego numeru, ale już zaczęła się kolejna wiadomość, tak głośno, aż się przestraszyłam.

- Doktor Snow, mówi Bob. Proszę do mnie zadzwonić, jak tylko odsłucha pani tę wiadomość.

Mechaniczny głos automatycznej sekretarki poinformował mnie, że Bob dzwonił o dwudziestej trzeciej czterdzieści.

Następne dwanaście wiadomości, nagrywane co parę minut, pochodziło od Boba. W każdej kolejnej

sprawiał wrażenie bardziej zaniepokojonego i wzburzonego.

No i wreszcie ostatnia wiadomość, która brzmiała:

- Chryste, gdzie pani się podziewa? Musi mi pani pomóc, nie umiem sobie z tym poradzić. Muszę się z panią zobaczyć. Muszę pani powiedzieć, jakie to wszystko straszne. Muszę pani powiedzieć, kim naprawdę jestem.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

O pierwszej trzydzieści w nocy Yasmine spuściła żaluzje, żeby nie widział jej nikt z budynku po drugiej stronie podwórza. W nocy bardzo łatwo jest zajrzeć do okien cudzego mieszkania. Nawet kiedy wszystkie światła są wyłączone, ktoś tam może nie spać. Ktoś mógłby zajrzeć do niej, gdy nie zwracała uwagi.

Kiedy skończyła, podeszła do stołu, gdzie czekało wszystko, co było jej niezbędne. Jej puls przyspieszył. Oczekiwanie to miłe uczucie. Jedno z niewielu. Delektowała się nim.

Ból jest taki dotkliwy. Cały dzień dokuczał jej ostro i chyba coraz bardziej. Ale już wkrótce przegoni go srebrnym wybawcą.

Rozebrała się do stanika i fig i obejrzała blizny na udach. Chciała zerwać strupy, ale to nie bolałoby wystarczająco mocno. A ona potrzebowała potężnego wstrząsu. Bo ten dzień był wyjątkowo zły.

Yasmine włączyła internetową kamerę.

Usiadła na podłodze, wyjęła z opakowania nową żyletkę i uśmiechnęła się do swojego odbicia w płaskim ostrzu. Miała świadomość, że chociaż jest w mieszkaniu sama, ktoś ją ogląda, a to było dla niej ważne, ponieważ to znaczyło, że dostanie za to pieniądze. A to przecież fantastyczne, kiedy ktoś płaci ci za coś, co tak czy owak zamierzasz zrobić.

Cholernie proste.

Proste? Oszalałaś?

Nic nie jest proste.

Ale to jest jednak dosyć proste.

W porównaniu z wszystkim innym, to było dosyć proste.

Te głosy nigdy jej nie opuszczały, mówiły jej, jak bardzo się myli, jaka jest zła, jak wszystko zmarnowała. Czasami powracał głos z przeszłości i ciskał w nią słowami znajomej litanii: Wstawaj, posprzątaj ten burdel, nakarm młodszego brata, zajdź do sklepu i kup coś na kolację, i nie zapomnij o piwie dla ojca. Piwo dla ojca. Piwo dla ojca. Mężczyzna w sklepie spożywczym znał ją i jej ojca, i chociaż nie była pełnoletnia, pozwalał jej zabrać sześciopak do domu. Liczy się tylko piwo, żeby mógł utopić się w tym pieprzonym piwie, a potem ci rozkazywać. Połóż się. Otwórz gębę, suko.

Kiedy odmawiała, bił ją. Wnętrze jego dłoni na jej policzku. Jego pasek na jej pośladkach. Raz za razem.

Czasami myślała, że łatwiej byłoby spełniać jego polecenia niż przyjmować ciosy. Ale potem znów myślała, że lepiej niech już ją bije, bo to tłumi prawdziwy ból. Ten głęboko ukryty. Ten, który krzyczy o pomoc do mamy, ale krzyk ginie w szaleństwie napędzanej piwem nocy.

Nie pamiętała już nawet, kiedy wpadła na pomysł, by się pociąć. Może przeczytała o tym w Internecie. Pewnie tak. To było tak dawno temu. Teraz lśniąca żyłka mrugała do niej w świetle, a ona uniosła ją wyżej.

Za moment poczuje przejmujący ból, który zagłuszy wszystkie głosy i wszystkie troski i ten prawdziwy pieprzony ból.

Ta noc jest wyjątkowa.

Tej nocy on ją ogląda.

Nawet przysłał jej prezent.



A ona obiecała mu, że wykorzysta go, kiedy skończy.

Czy ktoś kiedykolwiek troszczył się o nią tak bardzo, żeby robić sobie kłopot i kupować jej opatrunki, którymi opatrzy pocięte ciało?

On jest taki wrażliwy. Napisał jej, że rozumie, dlaczego ona się tnie. I jak pięknie wygląda, i jaka jest seksowna, i jak bardzo boli go, a równocześnie podnieca, świadomość, że ona odczuwa wielką radość, kiedy się tnie. Napisał jej, by wynajęła skrzynkę na pocztę i przysłała mu swój adres e-mailem. Spełniła jego prośbę. A potem czekała. A później nadszedł prezent.

Czy wiesz, że twoje sutki zawsze twardnieją, kiedy robisz pierwsze cięcie na udach? Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Czy wiesz, że twoja mała cipka robi się wilgotna i dosłownie kapie z niej, kiedy kończysz się ciąć?

Co wtedy czujesz?

Przeżywasz orgazm, kiedy żyłeczka dotyka twojej skóry?

Czy za każdym razem czujesz to samo?

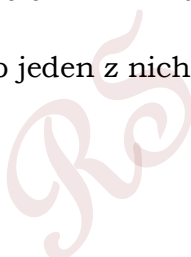
Chcę to wiedzieć. Chcę być tym, który pocieszy cię, kiedy skończysz. Więc użyj proszę tych opatrunków, zrób to dla mnie. Są dodatkowo nasączone specjalnym rzadkim gatunkiem aloesu, żeby twoja skóra goiła się bez blizn. Jesteś zbyt piękna, by mieć blizny. Niech cię nie przestraszy kolor balsamu na opatrunku. Obiecuję ci, że wyleczy twoją cudowną skórę, i znów będzie jednolita i gładka.

Tej nocy cięcie było jak narkotyk. Żyłka narysowała na skórze bardzo cienką linię, krew pojawiła się szybko. Yasmine siedziała przed internetową kamerą i uśmiechała się do jej nieruchomego czarnego oka. Krew kapiała z jej nogi na podłogę, a ona odpływała od wszystkiego, co знаła.

- To dla ciebie - powiedziała głośno, podnosząc znów żyłkę i robiąc kolejne horyzontalne cięcie na udzie. A potem kolejne. I jeszcze jedno.

Wreszcie, kiedy skończyła, kiedy kokon nowego bólu oddzielił ją od starego, zobaczyła opatrunki, które jej przysłał, leżące obok komputera, i przypomniała sobie o swojej obietnicy, że wykorzysta je w czasie pokazu.

Powoli sięgnęła po jeden z nich.



**Środa**

**Pozostało dziewięć dni**



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Jordain zamknął teczkę z życiorysami psychologów kryminalnych. Żaden z nich nie wydał mu się wystarczająco doświadczony. Znał kogoś, kto idealnie nadawałby się do tej pracy. Wprost idealnie, gdyby nie milion osobistych powodów. Poza tym, dlaczego Morgan miałyby chcieć zamienić swój instytut na wydział policji w Nowym Jorku?

To on wolałby, żeby to właśnie Morgan, a nie nikt inny, wyjaśniał mu meandry ludzkiego umysłu.

- Detektywie?

Tana Butler stanęła w drzwiach jego biura ze stertą papierów w ręce. Poprzedniej nocy Jordain dał jej komputer Leightmana i polecił dopilnować, aby informatycy pracowali nad nim dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie spodziewał się, że tak szybko coś znajdą.

- Napijesz się kawy? - spytał, wstając, żeby po raz kolejny napełnić swój kubek. Podziękowała mu. Wiedział, że Butler zawsze odmawia, a mimo to zapytał.

- Leightman jest z całą pewnością klientem Globalu, a także kilku dziesiątek podobnych stron. Wpadł w poważne uzależnienie. Zawsze posługuje się adresem bob205 i...

- Czy na jego twardym dysku są e-maile do tych kobiet? - przerwał jej.

- Nie ma. Ale zawsze istnieje możliwość - informatycy teraz to sprawdzają - że wysyłał e-maile, których szukamy, a potem je kasował. To powinno zająć jeszcze parę godzin.

- Może jednak ktoś chce go zrobić. Tak jak mówił.
- Tak czy owak, dowiemy się tego.
- Tylko szybko. On jest sędzią, Butler.
- Nie musisz mi przypominać. - Zawahała się.
- Coś jeszcze?
- Znaleźliśmy coś, o czym powinieneś wiedzieć.
- Nie podoba mi się twój ton.

Potrząsnęła głową.

- Jeszcze mniej spodoba ci się to, co powiem.
- Okej, napięcie sięgnęło zenitu. Co jest?
- Sędzia Leighman jest pacjentem doktor Snow.

Znaleźliśmy jego e-mail do niej w sprawie sesji. I jej e-mail potwierdzający termin.

- Cholera. - Pomyślał przez kilka sekund. Szukał jakiegoś wyjścia. - Stary e-mail?

- Nowy. Z zeszłego tygodnia. Ale ich korespondencja trwa od miesięcy.

- Dzięki. Daj mi znać, co jeszcze znajdziecie, albo czego nie znajdziecie, jak najszybciej - powiedział Noah, odprawiając Tanę.

Oparł plecy o krzesło i wlepił wzrok w szkaradne wyciszające kafle na suficie. Nie znosił tych białych kwadratów z paskudnymi dziurami, jakby wydrażonymi przez robaki.

Och, Morgan, pomyślał, jak mam usiąść naprzeciw ciebie przy stoliku i nie zapytać cię o to? Uderzył pięścią w biurko i poczuł to uderzenie w nadgarstku.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Kiedy przyjechałam do instytutu o wpół do ósmej rano, otworzyłam bramę swoim kluczem. W holu było jeszcze ciemno. Allison zaczynała pracę o ósmej, a ci, którzy umawiali się na wcześniejsze sesje, musieli radzić sobie sami.

Ciemność ani ogromne otchłanne przestrzenie nigdy mnie nie przerażały, ale tego ranka byłam zdenerwowana i nie podobało mi się, że jestem tam sama i słyszę echo swoich kroków na marmurowej posadzce.

Po drodze zapaliłam wszystkie światła, otworzyłam drzwi aneksu i udałam się na górę do swojego gabinetu. Cienie z wolna rzedły. Meble zaczynały wyglądać normalnie.

W instytucie panował też ziąb, tak jak bywa w pustych budynkach, zanim ktoś przyjdzie i zapełni przestrzeń.

Spałam niecałe cztery godziny, więc powinnam być nieprzytomna. Tymczasem od porannego espresso, które wypiliśmy za szybko, ubierając się do wyjścia, do tej chwili pełnej niepokoju, jaki rodził we mnie pusty budynek, rządziła mną nerwowa energia. Wszystkie moje problemy kłębiły się w mojej głowie.

Usiadłam przy biurku, zerknęłam na zegarek i sięgnęłam po słuchawkę.

Odpowiedział, zanim wybrzmiał pierwszy sygnał.

- Bob, jestem w gabinecie.
- A ja w garażu.

- Zostawiłam otwarte drzwi aneksu, tylko niech pan zamknie je za sobą i przyjdzie prosto do mnie.

Przez pierwsze dziesięć minut mówił bez przerwy, ja zaś siedziałam w milczeniu, starając się nie okazać zdziwienia. Pierwszym szokiem był dla mnie fakt, że tak naprawdę Bob to sędzia Alan Leightman. Gdy tylko to do mnie dotarło, zdałam sobie sprawę, że to on poślubił Kirę Rushkoff.

Kira Rushkoff, żona Alana, była uznaną prawniczką specjalizującą się w kwestiach dotyczących Pierwszej Poprawki. Widziałam ją kiedyś w telewizji - stała na schodach sądu na Dolnym Manhattanie, triumfująca i władcza. Patrzyła w dół do kamery i z pasją opowiadała o sprawie, którą właśnie wygrała. Silny wiatr zdmuchnął jej kasztanowe włosy na twarz, ale ona nie zwracała na to uwagi. Sprawa cywilna - między klientem Kiry, królem pornografii, i Stellą Dobson - przyciągnęła uwagę mediów. Nie zauważyłam, czy Kira była ładną kobietą ani w jakim mogła być wieku, ani czy była wysoka czy niska. Tak bardzo wciągnął mnie jej pełen wigoru wywód, jak ważne jest zwycięstwo jej klienta dla Konstytucji.

A więc mój pacjent - rozpaczliwie uzależniony od pornografii w Internecie - jest mężem tej kobiety? Dotąd miałam możliwość widzieć tę sprawę, tego pacjenta, tylko połowicznie. Teraz musiałam na nowo ocenić wszystko, co mi mówił, w świetle tej nowej i najwyraźniej istotnej informacji.

- A potem detektyw Perez powiedział...

- Co?

- Powiedziałem, że detektyw Perez miał nakaz rewizji.

- Było dwóch detektywów?

- Tak, Perez i Jordain. Już ich kiedyś spotkałem. W sali sądowej, cholera jasna. Co za pieprzone upokorzenie. To katastrofa! O, a najlepsze, że Kira weszła akurat na tę czarującą scenę. Widziała mnie w kajdankach.

- Założyli panu kajdanki? - Z trudem za nim nadażałam i z trudem przerabiałam w głowie wszystko, co od niego słyszałam. Mój pacjent właśnie wymienił nazwisko mojego kochanka.

Czy powinnam wycofać się z tej terapii z powodu Noaha? Nie, jeszcze nie dotarliśmy do tego punktu.

- Tylko dlatego, że próbowałem powstrzymać ich przed zabraniem laptopa. Kiedy się poddałem, zdjęli mi kajdanki i wyszli. Kira zamknęła się na klucz w sypialni. - Jego głos się załamał.

Skupiłam się na jego twarzy, na wyrazie jego oczu, na jego postawie.

- Alan, dobrze się pan czuje?

- Nie zrobiłem nic niezgodnego z prawem. Wie pani o tym.

- Tak.

Nie spał całą noc, pod jego oczami widniały głębokie cienie. Zmarszczki na czole wydawały się dwa razy głębsze niż podczas naszego ostatniego spotkania.

- Więc jak mogli pomyśleć, że mam coś wspólnego z tymi obrzydliwymi zbrodniami?

- Co panu powiedzieli?

- Że dwie ofiary dostały ode mnie e-maile.

- Czy na stronach tych kobiet są ich adresy internetowe?

- Tak.



Obserwowałam go bacznie, kiedy mówił. Nie zauważyłam nic, co wskazywałoby na to, że kłamie. Nie odwracał się ode mnie, patrzył mi w oczy. Nie przygryzał warg. Nie oblizywał ich, nie zakrywał rękami.

- Wysyłał pan w ogóle jakieś e-maile do tych kobiet, Bob? To znaczy Alan? - Potrzebowałam czasu, by przestać myśleć o nim jako o Bobie bez nazwiska.

- Oczywiście, że nie. Wchodziłem na ich strony, ale e-maile? Wyobraża sobie pani, żebym zrobił coś takiego? - Zaśmiał się drwiąco.

- Jeśli nie wysłał pan do żadnej z nich e-maila, to o co chodzi policji?

- Ktoś chce mnie zrobić. To oczywiste. Ktoś szykuje się, żeby mnie oczernić. Mój adwokat rozmawiał z jednym z tych detektywów późno w nocy. Wszystko, co wiem, to że obie dziewczyny otrzymały e-maile wysłane z mojej skrzynki, z adresu, którym posługuję się, żeby uzyskać dostęp do stron pornograficznych. Mój adres jest jedynym, jaki pojawił się w komputerach obu kobiet. I najwyraźniej treść e-maili jest obciążająca.

- Co tam jest?

Pokręcił głową.

- Nie powiedzieli tego Adamowi, mojemu adwokatowi. A ja, ponieważ tego nie napisałem, rzecz jasna nie wiem.

- Jeśli e-maili nie ma w pańskim komputerze, adwokat będzie w stanie pana z tego wyciągnąć. Musi pan na tym się skupić.

Tym razem potrząsnął głową z wściekłością.

- Nie martwi mnie to, że mnie oskarżą. Nie wysłałem tych e-maili. Ale wchodziłem na te strony

pornograficzne i płaciłem za to. Są ślady. Oglądałem te dziewczyny. To wyjdzie na jaw i wszystko trafi szlag. Kiedy ludzie się dowiedzą, że jestem nałogowcem, że spotykam się z panią...

- Do tego nie dojdzie.

- Policja ma mój komputer, doktor Snow. A w nim jest e-mail do pani...

- Wszystko, co dzieje się w tym gabinecie, jest objęte tajemnicą lekarską.

Kropelki potu zalśniły nad jego górną wargą. Wyglądał jak człowiek cierpiący na zawroty głowy, który znalazł się na szczycie Empire State Building.

- Chciałbym, żeby pani mi wyjaśniła, jak pani rozumie tę tajemnicę, która obejmuje relację lekarza i pacjenta. Co się stanie, jeśli panią zapytają, czy pani mnie leczy?

- Nie mogę zdradzić i nie zdradzę im, że jest pan moim pacjentem. Jedyne okoliczności, które usprawiedliwiłyby coś takiego, to na przykład gdyby pan wyznał mi, że zamierza pan kogoś skrzywdzić, a ja bym panu uwierzyła.

Zerwał się wiatr i uderzał małeńkimi płatkami śniegu o szyby. Odwróciłam się do okna. Ogród na małym balkonie był na zimę przykryty grubym workowym płótnem. Warstwa około dziesięciu centymetrów śniegu zamieniła żardynierę i doniczki w nieokreślone niebieskobiałe kształty, abstrakcyjne i dziwnie obce. Prognoza pogody nie wykluczała zamieci nadciągających z północy późnym rankiem, ale wyglądało na to, że już do nas dotarły.

- Jeśli dostaną nakaz sądowy...

- Alan, proszę pomyśleć, przecież pan to wie. Nie mogą mi rozkazać, żebym im cokolwiek powiedzia-

ła. Każde słowo, jakie pada między nami, jest objęte tajemnicą zawodową, chyba że nagle oznajmi mi pan, że planuje pan morderstwo albo że zamierza pan molestować dziecko, a ja będę przekonana, że mówi pan prawdę. W ciągu minionych sześciu miesięcy nie usłyszałam od pana niczego, co choćby sugerowało, że stanowi pan dla kogokolwiek zagrożenie. Poza sobą, być może.

Alan ukrył twarz w dłoniach i siedział nieruchomo w milczeniu przez następną minutę.

To była prawda.

Wiedza, jaką posiadałam na jego temat, nie dawała mi podstaw do przypuszczeń, że Alan mógłby być zamieszany w morderstwo. Chodził już na terapię dość długo, bym zrozumiała jego psychikę. Tak, był zaburzony, ale nie posiadał cech psychopaty. Był uzależniony od internetowej pornografii i miał problem z bliskością. Brakowało mu wiary w siebie, a nawet się nienawdził. Był rozdarty między swoimi potrzebami i wiedzą, namiętnością i logiką. Ale niezależnie od tego, jak głębokie i jak szkodliwe były dla niego wszystkie te problemy, jego wściekłość nie była skierowana na tamte kobiety. Nie potrafił wykonać absurdałnej wolty myślowej, że jeśli pozbędzie się tych kobiet, uwolni się od swoich obsesji. Gdybym się dowiedziała, że popełnił samobójstwo, nie byłabym zaskoczona. Ale żeby odpowiadał za śmierć tych nieszczęsnych dziewczyn?

Nie, to wykluczone.

- Alan, rozumie pan, że panu wierzę?

Wiedziałam, że ze wszystkiego, co mogłam powiedzieć, wszystkiego, o co mogłam zapytać, dla Alana najważniejsze było poczucie, że znajduje się

w bezpiecznym miejscu. Jego żona naruszyła intymny świat jego fantazji, policja wtargnęła do jego domu i zabrała jego komputer. Został zmuszony do tego, żeby wyznać mi nie tylko swoje sekrety, ale ostatecznie także swoją tożsamość.

Wreszcie odezwał się, nadal trzymając głowę w dłoniach, głosem, który brzmiał, jakby dobywał się z głębi wody.

- Tak.

- Nikt nie może tutaj wejść i zabrać pańskiej karty.

Skinał głową.

- Nikt.

Rozluźnił się na tyle, że zdołałam to zauważyć.

- Może pan dzisiaj z mną rozmawiać tak samo swobodnie jak w zeszłym tygodniu, kiedy myślałam, że jest pan Bobem. Nic poza pańskim imieniem się nie zmieniło. Czy dla pana teraz coś się zmieniło, kiedy znam pańskie nazwisko? Czy czuje pan co innego?

- Nie. Nadal uważam, że to, co robię, jest odrażające, i nadal nie mogę się przed tym powstrzymać. Nie, powiem to precyzyjniej. W dalszym ciągu nie chcę przestać. Interesuje mnie tylko to uczucie, które ogarnia mnie, kiedy siedzę przed komputerem, kiedy przywołuję obraz jednej z moich dziewcząt na ekranie, kiedy ona patrzy prosto na mnie, i podnieca mnie. Kira wtedy nie istnieje. Nie istnieje moje biuro ani praca, która na mnie czeka, ani sprawy, które są w toku. To wszystko nie istnieje w mojej świadomości. Nie obchodzą mnie decyzje, które być może były błędne, ani te bez wątplenia złe. Nie myślę o tym, kiedy siedzę w ciemności zupełnie sam.

- Alan, o jakich decyzjach pan mówi?

- Decyzjach?

Powtórzyłam wypowiedziane przez niego zdanie.

- Wszyscy podejmujemy decyzje, które, z perspektywy czasu, okazują się niewłaściwe. Jesteśmy tylko ludźmi. Mając do czynienia z innymi ludźmi, ulegamy różnym wpływom. Pani się to nie zdarzyło, pani doktor? Nie pomyliła się pani co do jakiegoś pacjenta?

Oczywiście, że tak, ale tu nie chodzi o mnie. I nie zamierzałam dopuścić do tego, żeby odwracał kota ogonem.

- Co te decyzje, o których pan wspomniał, mają wspólnego z bieżącymi wydarzeniami?

- Nie pozwolę, żeby jakiś nadgorliwy detektyw zrobił ze mnie pośmiewisko. Rozumie pani, co by mnie spotkało, gdyby mój problem wyszedł na jaw?

Nie odpowiedział na moje pytanie.

- Rozumiem, Alan, ale pytałam...

- Nie wie pani, dlaczego tu dziś przyszedłem?  
- przerwał mi.

- Jestem pana terapeutką. Prosił pan o sesję, żeby..

Znowu nie dał mi dokończyć.

- Nie. Nie dzisiaj. Dzisiaj rano przyszedłem, bo chciałem mieć pewność, że niezależnie od tego, co policja zażąda od pani w mojej sprawie, pani będzie milczeć.

W sposobie, w jaki na mnie patrzył, w przejęciu, z jakim perorował, w jego wzroku, którym mnie przeszywał, było coś, co mnie przestraszyło. Byłam przekonana, że jeśli okaże wahanie, Alan mi zagrozi. Co się z nim dzieje?

Rozległo się pukanie do drzwi.

Sędzia odsunął się gwałtownie do tyłu i wpatrywał się w drzwi.

- Kto tam? - spytałam.

- Terry Meziac.

Alan natychmiast się uspokoił.

- Proszę - powiedziałam.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł młody mężczyzna, którego Alan raz przysłał do mojego gabinetu, by sprawdził, czy nie ma tu podsłuchu. Który był kierowcą sędziego i prawdopodobnie jego ochroniarzem. Nic nie powiedział, tylko spojrzał pytająco na Alana, a ten zerknął na zegarek, po czym przeniósł na mnie wzrok.

- Czas na mnie, doktor Snow. Ale mamy umowę, prawda?

- Zawsze. Nic się nie zmieniło.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Czwarta ofiara mieszkała na rogu Sto Dziesiątej i Park Avenue, w kawalerce w starej czynszowej kamienicy.

- Dlaczego tym razem tak długo jej szukaliśmy?  
- Jordain spytał Pereza, kiedy wspinali się po schodach, usiłując nie zwracać uwagi na smród ani brud.

- Okaleczanie się nie należy do popularnych erotycznych spektakli, poza tym było późno. Mniej mężczyzn ją oglądało. Mniej widzów, mniej telefonów.

O drugiej w nocy operator numeru 911 w Miami przyjął pierwsze zgłoszenie. Ale dopiero po dziesiątej trzydzieści, kiedy zadzwonił piętnasty mężczyzna, tym razem w Georgii, zaalarmowano Nowy York i podjęto próby zlokalizowania kobiety na podstawie adresu IP.

- Do cholery, każdy pieprzony wydział policji w tym kraju zna sprawę. Jeden telefon powinien wystarczyć, żeby uruchomić działania. Jak to możliwe, żeby ta telefonistka z dziewięćset jedenaście nie zorientowała się, o co chodzi, kiedy ktoś opisywał jej kobietę występującą w Internecie, która wygląda, jakby umierała? Mogliśmy ją uratować.

- Tym razem to nie było takie oczywiste, że coś jej się stało. Skończyła się ciąć i zaczęła przyklepać opatrunki. Potem znowu usiadła przed kamerą. Z początku nie robiła wiele, tylko bawiła się żyletką, droczyła się z facetami, którzy ją nadal oglądali. Według relacji, to trwało jakieś dziesięć, piętnaście minut. Tych kilku facetów, którzy jeszcze na nią

patrzyli, nie było pewnych, czy coś więcej się wydarzy. Ale miała w sobie coś hipnotyzującego, jak stwierdził jeden z nich. No i wtedy się zaczęło.

W mieszkaniu na drugim piętrze Jordain wyjrzał przez okno, które wychodziło na sąsiedni budynek. Kobieta w starej kwiecistej podomce gapiła się na nich ze swojego okna.

- Czy można opuścić te żaluzje? - zawołał do techników kryminalistycznych, którzy zajmowali się ciałem.

- Jasne, szefie.

Kiedy Jordain ciągnął za sznurek, kobieta się zezłościła. Jordain dołączył do Pereza, który stał obok denatki.

Yasmine była niezwykle szczupłą, młodą kobietą o bardzo jasnej karnacji. Jej długie ciemne włosy rozsypały się wokół niej jak skrzydła kruka. Poza nogami, skórę miała gładką i błyszczącą.

Za to jej uda szpecily obrzęki, blizny, nacięcia - niektóre z nich były tak świeże, że wciąż widniały na nich ślady zaschniętej krwi, inne znów tak stare, że zostały tylko ledwie widoczne blizny. Linie. Hieroglify bólu opowiadające historię, której Jordain nie potrafił przetłumaczyć na żaden zrozumiały język.

- Nie pojmuję tego. Nie rozumiem, dlaczego to robiła. To znaczy wiem, z jakiego powodu niektórzy się tną, ale kto do diabła podnieca się czymś takim? - spytał Perez.

Jordain westchnął. To był jeden z najcięższych elementów tej roboty. Widząc brutalność perwersji, próbować, zawsze bezskutecznie, nadać temu jakiś sens. Kiedy usiłował wyobrazić sobie umysł osoby, która dopuszcza się takiej zbrodni, widział grzę-



zawisko pełne wijących się robaków, pożerających się nawzajem, obrzydliwych i przyprawiających o mdłości.

- Mamy coś - oznajmił jeden z techników i w ciągu paru sekund obaj detektywi stanęli ciasno wokół wiadra na śmieci, gdzie pracował oficer Keller.

W ręce, w gumowej rękawicy, trzymał zwyczajne opakowanie plastrów z opatrunkiem. Taśmą przyklejono do niego mały bilecik, taki, jakie dołącza się do bukietów kwiatów.

Było na nim wydrukowane: „Chcę ci pomóc zaleczyć rany”. Najprawdopodobniej powstał w komputerze.

- Jeżeli szczęście nam dopisze, coś na tym znajdziemy.

- Znajdziemy pod warunkiem, że morderca jest głupi. - Perez potrząsnął głową. Do rzadkości należało, by klucz do rozwiązania sprawy znajdował się w najbardziej oczywistym miejscu.

Kiedy wracali do centrum samochodem, zadzwoniła komórka Jordaina. Przez kolejne pięć minut stania w korku Noah słuchał porucznika, który radził, by szybko zakończyli tę sprawę, i twierdził, że będzie dla nich lepiej, jeśli Leightman faktycznie okaże się mordercą. Władze wyraziły niezadowolenie z powodu zatrzymania sędziego i rewizji w jego domu.

Jeśli to jest uzasadnione, sprawa zostanie wyciszona. Jeśli nie, będzie wielka draka.

Wróciwszy do komisariatu, Jordain zatrzymał się przy biurku Tany Butler.

- To dla ciebie. - Postawił komputer Yasmine na jej papierach. - Wiesz, czego szukać, prawda? - spytał.

- Tego samego, czego szukałam w poprzednich komputerach.

- Boże, dopomóż, jeśli coś znajdziesz. Boże, dopomóż, jeśli niczego nie znajdziesz.

W drodze do swojego pokoju wyjął z kieszeni małą fiolkę aspiryny extra i wyłuskał trzy tabletki. Kiedy za mało spał, cierpiał na bóle głowy. Fatalna sprawa. Ale przeżyje, niestety. W takie dni jak ten prawie mu na tym nie zależało.

Sędzia Leightman.

To dlatego wszyscy są tacy wkurzeni.

Chociaż przestrzegał zasad i regulaminów, i dostał sądowy nakaz, władze przywołały go do porządku za to, że potraktował Leightmana jak zwykłego obywatela, a nie jak jednego z najważniejszych sędziów miasta Nowy Jork.

Zdaniem wyższych oficerów Jordain postąpił niewłaściwie, pomimo że kobiety występujące przed kamerą internetową otrzymały e-maile wysłane ze skrzynki Leightmana z usilną prośbą, by posłużyły się przedmiotami, które je zabiły.

Perez stał przy tablicy korkowej w ich pokoju, przypinał listy i fotografie przedmiotów znalezionych na miejscu zbrodni.

- Musimy się dowiedzieć, czy ktoś chce załatwić sędziego. Ktoś, kto wie o jego drobnym problemie z pornografią. Trudno sobie wyobrazić, że facet, który siedział z nami wczoraj wieczorem w swoim gabinecie, jest winny tych śmierci, zwa-

szcza czwartego zatrucia, kiedy wiedział już, że jest podejrzany.

- Może nikt nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest chory. Jeśli to ostra psychoza, być może nie jest w stanie się powstrzymać.

- Niewykluczone.

- Lepiej upewnijmy się, czy nie nastąpił jakiś przeciek, zanim stwierdzimy, jak było faktycznie. Ty i ja, partnerze, będziemy maszerować ulicami miasta, wysmarowani smołą i wytarzani w pierzu, jeśli sprawa przecieknie na zewnątrz, a potem okaże się, że popełniliśmy błąd.

Dwaj detektywi nie zdziwili się jednak, kiedy półtorej godziny później Tana Butler zajrzała do ich pokoju i oznajmiła, że w komputerze Yasmine znaleziono e-mail od Alana Leightmana.

- Podobna treść, jak w e-mailach do ZaZy i Pen-ny? - spytał Perez.

Skinęła głową.

- Ten sam adres e-mailowy sędziego?

Znowu przytaknęła.

- Ale informatycy nadal nie znaleźli żadnych skasowanych e-maili do tych dziewczyn na twardym dysku Leightmana? - spytał Jordain.

- Zgadza się. Jest dużo dowodów na to, że odwiedzał ich strony. Ale nie ma żadnych skasowanych e-maili.

- Niech to szlag. - Jordain walnął pięścią w biurko. Spojrzał na swój żółty notes pełen zapisków. - Wiecie, czego nie rozumiem? Co to znaczy, że jak dotąd wszystkie te kobiety były z Nowego Jorku? To nie przypadek. W Globalu są setki dziewczyn. I dla-

czego akurat Global? Myślicie, że ktoś mści się na właścicielach spółki?

Perez pokręcił głową.

- No cóż, zadajesz dobre pytania. Gdybyśmy jeszcze mogli skontaktować się z ludźmi, którzy prowadzą tę firmę. Teraz, kiedy to się znów powtórzyło, musimy naprawdę rozważyć, czy nie ostrzec tych kobiet z Globalu.

- Tylko jak to zrobić bez pomocy spółki?

- Możemy wejść na ich stronę i wysłać e-maile bezpośrednio do zainteresowanych. Po kolei. Moim zdaniem nie mamy wyboru.

- Ja też nie widzę innego rozwiązania, ale muszę uzyskać na to pozwolenie. Nawet jeśli wywołamy panikę, nie mamy wyjścia. Albo roześlemy e-maile, albo powiemy prasie.

- Posłuchajcie, jest jeszcze coś. To trochę bardziej komplikuje sprawę... - zaczęła Tana Butler.

Jordain cicho jęknął.

- Tego nam tylko brakuje. Więcej komplikacji.

- Znaleźliśmy e-mail wysłany z komputera Leightmana do jednego z pracowników jego biura dzień przed e-mailem, który dostała od niego ZaZa.

Butler podała Jordainowi dwa wydruki.

- Co to znaczy?

- Tylko tyle, że był wtedy w sieci. W domu.

- Dlaczego nie możemy znaleźć jego odcisków palców na tubce środka nawilżającego? Czy oczekuję za dużo? A skoro o tym mowa, co z motywem? Wciąż nie mamy nowego psychologa. Nadal czekam, żeby wypożyczyć doktora Schoenfelda na kilka dni.

- Przykro mi, szefie - odparła Tana Butler.

- A czy to twoja wina, do diabła? - Jordain spojrział na nią, jakby widział ją po raz pierwszy.

Oczy Tany były zapadnięte i udręczone. Miała za sobą jakieś przejścia, które zadecydowały o tym, że zatrudniła się w wydziale specjalnym zajmującym się zbrodniami na tle seksualnym, ale nigdy nie opowiedziała mu całej historii, a on nigdy na to nie nalegał.

- Idź dzisiaj wcześniej do domu. Zjedz coś porządnego. Wyśpij się.

- Dobrze.

- Ale?

Uśmiechnęła się do niego, i na minutę jej twarz złagodniała.

- Świetnie czytasz w cudzych myślach. A czy pomyślałeś kiedykolwiek, że nie każdy chce wiedzieć, że potrafisz odgadnąć, co mu chodzi po głowie?

Perez zaśmiał się. Kiedy zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę. Podczas gdy on prowadził rozmowę, Jordain i Butler kontynuowali wymianę zdań.

- W porządku - powiedział Jordain. - Ale coś ci nie daje spokoju, coś cię gnębi. Więc co to jest?

- Wciąż się zastanawiam, czemu padło akurat na te kobiety. Czy kolejność morderstw ma jakieś znaczenie? Dlaczego mają same zaaplikować sobie truciznę? Ktoś chce na to patrzeć, to jasne, ale dlaczego?

Jordain uśmiechnął się i przesunął żółty notes po blacie biurka, żeby Tana Butler go widziała. Policjantka przeczytała listę pytań, które sobie zapisał. Znajdowały się między nimi wszystkie te wątpliwości, które właśnie wyartykułowała, ujęte w podobne słowa.

- Teraz, Butler, wystarczy, że na to odpowiesz, i dostaniesz mój etat. Będę dumny, kiedy będę mógł dla ciebie pracować.

Tana Butler wstała.

- Akurat. Moim zdaniem nigdy nie byłeś dumny z tego, że dla kogoś pracujesz. Za bardzo lubisz rządzić.

- To nieprawda - odparł, ale nie myślał o pracy. W tej chwili pomyślał o Morgan. W tym związku to nie on dowodził. To ona dyktowała tempo, dla niego zbyt wolne. I właśnie, kiedy był gotowy przyspieszyć, pojawiła się akurat ta sprawa. Teraz znowu wszystko się pogmatwa. A kiedy się gmatwało, nie układało im się dobrze. Niestety, nie można było tego obejść. Noah miał zamiar poprosić Morgan o spotkanie jeszcze tego wieczoru.

Chciał powiedzieć jej o Alanie Leightmanie. Niewykluczone, że Morgan znajduje się z niebezpieczeństwem.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

W ostatniej chwili zdążyłam na kurs gotowania, który zaczynał się o siódmej. Budynek na Houston Street był oświetlony i lśnił w śniegu, który wciąż padał tak samo jak wcześniej. Wydawało się, że pada wiecznie.

Wszedłszy do Instytutu Kulinarnego, powiesiłam płaszcz i pobiegłam do sali.

Dopóki Dulcie nie dostała roli Mary Lennox, nigdy bym się na coś takiego nie zapisała, ale ponieważ pięć razy w tygodniu była zajęta w teatrze do dwudziestej drugiej piętnaście, miałam sporo wolnego czasu - i Bóg jeden wie, że potrzebowałam pomocy.

- Dzisiaj popracujemy nad prostymi podstawowymi sosami - oznajmiła Sarah Neery, szefowa kuchni i nauczycielka, kiedy już wszyscy się zebrali.

Gdy tylko zaczęła opowiadać o podstawowych zasmażkach z mąki i tłuszczu, moje myśli odpłynęły w zupełnie inną stronę. Szczerze mówiąc, byłam równie koszmarną kucharką na kursie, jak i w domu. Po trzech tygodniach lekcji powoli uświadamiałam sobie, że tak naprawdę gotowanie wcale mnie nie obchodzi. Interesowało mnie wyłącznie jedzenie.

Ubiłam rozpuszczone masło i dosypałam mąkę. Potem znów ubijałam. Mieszanka nabrała złocistego koloru. To dobrze. Potem złocisty zamienił się w karmelowy. A później karmelowy jeszcze pociemniał. Ubijałam coraz szybciej. Mikstura zrobiła się prawie czarna. No świetnie, spaliłam ją.

- Morgan, nie możesz dopuścić do tego, żeby zasmażka tak bardzo pociemniała. Może spróbujesz

jeszcze raz? Tym razem zakończ, kiedy zobaczysz ładny, ciepły, jasnobrązowy kolor.

Jasnobrązowy? Ciemnobrązowy? Jak szybko to się zmienia? Dlaczego ja to wszystko robię?

Po zakończeniu zajęć Noah czekał na mnie w samochodzie przed szkołą.

- Spaliłam masło - poinformowałam go, gdy wsiadłam. - I to nie raz. Dwa razy przypaliłam masło. Nie, nie masło, spaliłam zasmażkę.

Wyciągnął rękę i strzepnął śnieg z moich policzków, a potem czule pocałował mnie w usta.

- Jesteś zimna jak lód. - Objął mnie i znowu pocałował. Przez kilka sekund nie myślałam o niczym, a świat kończył się na jego ramionach.

- Już nie - powiedziałam, kiedy w końcu odsunęliśmy się od siebie.

- Więc skoro spaliłaś zasmażkę, musisz być głodna. Ja też jeszcze nic nie jadłem, ale mam w lodówce krewetki w maśle czosnkowym.

- Możemy pójść do jakiejś restauracji? Gdzieś niedaleko?

Zerknął na mnie z ukosa, ale nie kazał mi się tłumaczyć, dlaczego nie mam ochoty pojechać do jego mieszkania. Nie byłam pewna, czym bym to uzasadniła. Wiedziałam tylko, że wolę znaleźć się w jakimś neutralnym miejscu. Bałam się, że padnie nazwisko Alana Leighmana. Nie wiedziałam, jak wówczas uniknę rozmowy o nim. W restauracji mogę przynajmniej wstać od stolika, pójść do damskiej toalety, i jakoś się wykręcić.

Pięć minut później ulokowaliśmy się wygodnie w boksie w małej knajpce o nazwie Lucky Strike, w której panował półmrok. Noah wiedział, że to



jeden z moich ulubionych lokali - francuskie bistro serwujące frytki niemal tak dobre jak te, które można dostać w Paryżu.

Oboje zamówiliśmy wytrawne martini, które od razu nam podano. Noah uniósł kieliszek w milczącym toaście.

- Muszę z tobą porozmawiać - rzekł, kiedy każde z nas wypilo pierwszy łyk. - O Alanie Leighmanie.

Nic na to nie odparłam i żywiłam nadzieję, że na mojej twarzy nie widać żadnej reakcji.

- O kim?

- Dobra jesteś, Morgan, ale nie musisz udawać. Wiem, że jest twoim pacjentem. To nie było pytanie. Muszę powiedzieć ci coś o Leighmanie, a ty nie musisz tego komentować. Tylko mnie wysłuchaj. Niewykluczone, że ten człowiek jest mordercą. Nie mamy jeszcze dosyć dowodów, żeby go aresztować, ale pracujemy nad tym. A ja martwię się o ciebie.

Postukiwałam palcami o brzeg kieliszka.

- Doceniam to, ale nic mi nie grozi. Nie jestem w niebezpieczeństwie.

- Już to kiedyś słyszałem.

Skrzywiłam się. Zawsze byłam pewna trafności swoich ocen, ale rzeczywiście raz zdarzyło mi się pomylić.

- Wiedziałam, że to wyciągniesz.

- Stałam się przewidywalny?

- Tylko w tej jednej kwestii.

- Cóż, martwię się o ciebie. Rozumiesz, jaką on ma władzę? Jeśli wiesz coś, co pomogłoby nam skazać Alana Leighmana...

- Nie wolno mi z tobą o tym rozmawiać. Nie powinnam nawet tutaj siedzieć.

- Przeciwnie. Wolno ci. Masz prawo tu siedzieć i słuchać. Możesz mi pomóc uratować ci życie.

- Dramatyzujesz.

- Nie, Morgan. Nie. Wcale nie. A jeśli nie potraktujesz tego serio, pogadam o tym z Niną.

Zaśmiałam się.

- Za moimi plecami? Jakbym była małą niegrzeczną dziewczynką? Ona jest ostatnią osobą, która stanęłaby po twojej stronie.

- Nie, nie jakbyś była małą niegrzeczną dziewczynką, tylko upartą, nie dość ostrożną kobietą.

Napięcie kłębiło się wokół nas. W czasie naszej znajomości - a znaliśmy się od siedmiu miesięcy - wpadaliśmy już do tej knajpki, ale nasze spotkania w tamtym miejscu rzadko były łatwe i przyjemne

- Wiem. Etyka zawodowa. Rozumiem. Każde z nas ma zasady i granice, których nie może przekroczyć. Podziwiamy się za to, dopóki ta granica nie zagradza nam drogi. Za każdym, cholera, razem. - Był zły. Na mnie. Na nas.

Z moich ust wymknęło się ciche westchnienie.

- Miałam nadzieję, że to się nie powtórzy.

- Ja też.

Nadszedł kelner. Zamówiliśmy, nawet nie zaglądając do karty, frytki i małże w białym winie dla obojga. Po odejściu kelnera wzięłam głęboki oddech.

- Dulcie nadal nie wróciła do domu...

W jego oczach natychmiast pojawiła się troska, co wywołało we mnie falę emocji, na którą nie byłam przygotowana.

- Stwierdziła, że jestem diabłem wcielonym. Mitch uważa, że chodzi o coś więcej niż te przesłuchania, że ona w ten sposób chce ukarać mnie za rozwód...

- Przecież to nie ty nalegałaś na rozwód.

- Wiem, ale łatwiej jej obwiniać mnie... - Przeknęłam kolejny łyk słonawego alkoholu. - Mitch sądzi, że powinniśmy spróbować jeszcze raz. Jest przekonany, że...

- Spróbować jeszcze raz? - przerwał mi. - To znaczy, żebyście znowu byli razem?

Skinęłam głową.

Czekał, aż coś dodam. Zapewnię go, że to idiotyczny pomysł. Zgadywałam, że tego właśnie się spodziewa, znałam go wystarczająco dobrze.

A więc zaczęłam mówić, bo miałam świadomość, że to głupi pomysł. Bo wiedziałam, co czuję d Noaha. Ale co będzie, jeśli to Mitch ma rację? Jeżeli faktycznie jesteśmy winni Dulcie jeszcze jedną próbę?

Noah wyłowił palcami oliwkę ze swojego drinka i ją zjadł.

- No więc, skoro zawsze jestem panem Miłym, powinienem to zrozumieć i wycofać się, i życzyć ci wszystkiego najlepszego. - Jego głos był zabarwiony chłodem.

- Noah...

Myślałam, że nic nie przerazi mnie tak bardzo jak zniknięcie Dulcie poprzedniego wieczoru, i zapewne była to prawda. Ale wyraz twarzy Noaha rozdzierał mi serce, zostawiając poszarpane brzegi, które, wiedziałam, będą bolały mnie przez wiele dni. Przez wiele tygodni. Może zawsze. Nie mogłam tego zrobić.

- Noah...

- Nie przerywaj mi. Pozwól mi to powiedzieć, a kiedy skończę, przyjdzie twoja kolej. Będziemy mówić na zmianę. Będziemy udawać, że jesteśmy cywilizowanymi i dobrze wychowanymi ludźmi, chociaż

w tej chwili mam chęć wstać z tego krzesła, chwycić cię za ramiona i potrzasać tobą, aż ci wróci rozum. A więc czy możesz - ty, która zawsze masz coś do powiedzenia i uwielbiasz wszystko kontrolować - siedzieć cicho dość długo, żebym mógł coś powiedzieć?

On nie rozumie. Muszę mu wyjaśnić. Powstrzymać go, zanim...

Zanim wyrzekłam choć słowo, pojawił się kelner z naszymi daniami. Opalizujące czarne muszle połyskujące w wonnym wywarze powinny mnie kusić, tymczasem nagle zupełnie straciłam apetyt. Na Noaha z kolei nasza dyskusja nie podziałała tak jak na mnie, i włożył parującą małże do ust.

- Nie chcę wracać do przeszłości, Noah.

- Ze mną? Czy z Mitchem? Czego ty chcesz, Morgan?

Nie chciałam nikogo zranić. Nie chciałam złamać żadnych obietnic. Nie chciałam, by moja córka odsunęła się ode mnie. Tak bardzo tęskniłam za Dulcie, że oczy mnie bolały, kiedy wieczorem wracałam do domu i nie widziałam jej tam, ramiona mnie bolały, bo nie mogłam jej objąć i przytulić przed snem.

Bawiłam się małżami, próbowałam kilka przekłnąć, a potem zrezygnowałam.

Kiedy Noah zjadł jakieś pół porcji, odsunął od siebie talerz, wypił powoli duży łyk drinka, usiadł wygodnie i rzekł:

- Nie chce mi się wierzyć, że znowu to przerabiamy. Ale stało się. Posłuchaj, Morgan, nie jestem bezduszny. Rozumiem, że ta sytuacja z Dulcie męczy cię i że zrobisz wszystko, żeby ją wyprostować. Nie będę nawet sugerował, że jeśli wrócisz do swojego byłego męża, to nie poprawi twoich relacji z Dulcie,

ponieważ nie wiem tego na sto procent. Ale to prawdopodobne. Po prostu prawdopodobne.

Urwał, żeby dopić martini, a potem pomachał na kelnera i zamówił dla nas jeszcze po jednym, chociaż ja swojego nie skończyłam.

Zaczęłam coś mówić, ale on uniósł rękę.

- Nie zostało mi wiele do powiedzenia, więc o ile to możliwe, będę wdzięczny, jeżeli w dalszym ciągu nie będziesz mi przerywać, aż skończę.

Nie chciałam tego. Nie byłam w stanie znieść jego cierpienia. Ale to jest takie skomplikowane. Obok tych wszystkich widelców, łyżek i noży, na stole leżało zbyt wiele nieodkrytych kart.

- Powinnaś się teraz zobaczyć. To cię boli jak diabli. Cóż, mnie też to boli jak diabli. Ale wiesz co? To zbyt trudne. Więc pozwól, że ci to ułatwię. - Uśmiechnął się sarkastycznie. - Zrób to, co uważasz za słuszne. Ale pamiętaj, że ja nie uwierzę przez jedną cholerną sekundę, że naprawdę robisz to po to, żeby rozwiązać wszystkie kwestie sporne między tobą i Dulcie. Ona ma trzynaście lat, w tym wieku dzieciaki się buntują. Ona musi walczyć o swoje. Musi chcieć tego, czego ty nie chcesz jej dać. To rytuał przejścia dla was obu. Do diabła, przecież ty to wiesz. Jesteś terapeutką. I dlatego wiesz, że twój powrót do Mitcha nie miałby żadnego sensownego powodu poza tym, że wybierzesz drogę najmniejszego oporu. Bo tak jest łatwiej, do cholery.

Niezły pasztet. Zupełnie jak z tą zasmażką. Była złocista i spaliła się, a ja nawet nie wiedziałam, w którym miejscu popełniłam błąd. Sięgnęłam po torebkę i podniosłam ją z podłogi, gotowa do wyjścia. Nie bardzo widziałam, dokąd pójde, z powodu dur-

nych łez. Chciałam przytulić Noaha i powiedzieć mu, co do niego czuję. Zamiast tego oznajmiłam:

- Nie znasz moich pobudek. Twoje domniemania, którym właśnie dałeś wyraz, są zdumiewające.

Kątem oka zauważyłam, że siedząca obok nas para słuchała moich słów. Ale to nie czas, żeby się tym przejmować.

- Miałabyś rację, gdybym błędnie oceniał sytuację. Ale ja się nie mylę. - Noah potrząsnął głową.  
- Na pewno nie chciałabyś usłyszeć tego akurat ode mnie, ale to ja tutaj siedzę i ja oszalałem na twoim punkcie, i ja jestem owym nieszczęsnym głupcem, który na tym straci. Robisz źle. I nie chodzi o mnie, o Dulcie, czy Mitcha. To jest niedobre rozwiązanie dla ciebie, Morgan.



## ROZDZIAŁ PIĘDZIESIĄTY DRUGI

W mieszkaniu ziało pustką, a na domiar złego chłodem. Przenikliwym zimnem. Dopiero kiedy weszłam do pokoju, przekonałam się, dlaczego tak się działo. Wychodząc z domu tego ranka, spiesząc się na spotkanie z Alanem Leighmanem, zapomniałam, że na noc uchyliłam okno, no i teraz na dywanie leżała kopka śniegu.

Z jakiegoś powodu właśnie to spośród wszystkich zdarzeń, które przyniósł ten dzień, przytłoczyło mnie najbardziej. Zamknęłam okno, potem kopnęłam śnieg gołą stopą, nie przejmując się, że był lodowaty ani że był mokry, ani że jeszcze bardziej napaskudziłam. Śnieg nie należy do tego wnętrza. Jest intruzem w moim domu.

Uklękałam i wycierałam go, mroząc palce, aż się rozpuścił i wsiąkł w dywan.

Później wzięłam kąpiel, a następnie poszłam do kuchni i zaparzyłam herbatę. Wybrałam numer Mitcha, żeby porozmawiać z Dulcie, ale rozłączyłam się, nim uzyskałam połączenie. Zamiast tego zadzwoniłam do Niny. Nie odbierała, a mnie nie chciało się zostawiać jej wiadomości.

W domu panowała cisza, a w mojej głowie wciąż tłukły się słowa Noaha. Nie chciałam myśleć o tym, co powiedział. Nie znał mnie aż tak dobrze. Nie miał pojęcia, o czym mówi. Byłam żoną Mitcha przez czternaście lat. Było mi z nim dobrze. Było nam dobrze. I znowu będzie dobrze. Dulcie odzyska swoją rodzinę. I wszystko zakończy się szczęśliwie.

Nie, to nie będzie szczęśliwe zakończenie, ale szczęśliwy początek. To jeszcze lepiej. Nowy początek.

Tylko dlaczego czuję się jak żałobnica?





**Czwartek**

**Pozostało osiem dni**



## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Najukochańsza moja!

Kolejna świeca została zapalona dla upamiętnienia jeszcze jednej śmierci. To kolejny krok zbliżający nas do wymierzenia pełnej kary i kolejny akt zbliżający nas do spełnienia danej ci obietnicy. Zostało tylko osiem dni. Wtedy będę mieć już za sobą tę zabawę, krew, flaki i krwawą jatkę, i nic już nie będzie ważne, bo ciebie i tak nie ma.

Ogarnęło mnie wielkie zmęczenie. Zmęczenie ciągłym zachowywaniem ostrożności i ciągłym śledzeniem. Mam tyle do zrobienia, tyle muszę obserwować i nadzorować. Milion detali, tak jak na całym świecie są miliony mężczyzn uzależnionych od internetowej pornografii. Uzależnionych od oglądania kobiet, które nie zasługują na to miano. Żal mi mężczyzn borykających się z tym problemem, a jeszcze bardziej żal mi chłopców, którzy inicjację seksualną odbywają z kobietą widzianą na ekranie. Oglądają wirtualne kobiety, wyginające się i szepczące do nich i tylko do nich, na długo zanim zbliżą się do prawdziwej młodej dziewczyny. Przeżywają to wszystko w okresie dojrzewania. Sieć unosi koszulę i pokazuje tym zepsutym chłopcom najładniejsze piersi i najciaśniejsze cipki, i nigdy nie prosi o nic w zamian. Ani o słowo, ani o myśl, ani o współczucie, ani o troskę, o żadną z tych rzeczy, tylko o numer karty kredytowej, którą dali im rodzice, albo którą chłopcy ukradli.

Nikt, żaden terapeuta, żaden prawnik, żaden nauczyciel, żaden rodzic nie dysponuje dostatecznym doświadczeniem ani wiedzą, żeby poradzić sobie z tymi zaburzonymi dziećmi, ponieważ one są mutacją - pierwszym pokoleniem, które przez dwadzieścia cztery godziny na dobę może praktycznie bez ograniczeń, bezkarnie, i to natychmiast zaspokajać swoje zachcianki. Ci młodzi ludzie są karmieni dwudziestoczterogodziną trucizną.

Im dłużej oglądam to, co ty oglądałaś, tym świętsza staje się moja misja, tym bardziej doniosłe rytuały, i tym ważniejsze oczyszczenie. Trzeba spalić je wszystkie na stosie, aż nie zostanie ani jedna z tych, które kuszą, wabiają, nęcą i uwodzą. Niech te młode kobiety, naśladowujące diabła, trafią do piekła.

Przerażające było patrzeć na tę dziewczynę, która kaleczyła swoje ciało, obserwować, jak żyłtka nacina jej skórę i widzieć krew, która tak szybko wypłynęła na powierzchnię, i myśleć, że ty także kiedyś przyglądałaś się temu. Tym razem zrobiła sobie czternaście nacięć, aż jej skóra pokryła się cienkimi smutnymi wstążkami krwi.

Kiedy skończyła się ciąć, ekran nie zgasł, a ona nie zdawała sobie sprawy, co się dzieje. Nie dotarła do telefonu i nikt nie przyszedł jej z pomocą.

Była zła i nie z tego świata - czarownica, która cię zwabiła i omamiła, i zamieniła cię w coś złego i nie z tego świata. Nigdy jej tego nie wybaczę. Nie chodzi tylko o to, że przez te kobiety już cię tutaj nie ma, ale o to, że właśnie przez nie myślałaś, że mnie straciłaś. To one mi ciebie odebrały.

Już wkrótce dotrę do nich wszystkich, dokładnie w ten sam sposób, w jaki one dotarły do ciebie. Obiecuję.

Robię to wszystko dla ciebie.



## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

Alan Leighman siedział przy stole w kuchni naprzeciw swojej żony i patrzył, jak ona miesza kawę. Kręciła łyżeczką w filiżance bez końca, chociaż cukier już dawno się rozpuścił. I cały czas łzy spływały po jej policzkach. Chciał wstać i je wytrzeć, a wraz z nimi ukoić jej ból.

Jeszcze kilka miesięcy temu nieczęsto zdarzało jej się płakać. Mógłby policzyć te chwile na palcach: kiedy zmarł jej ojciec i kiedy poroniła, ale nawet wtedy płakała ledwie przez kilka minut. Zawsze była twarda. Ignorowała nieszczęścia. Miała ważniejsze sprawy na głowie niż osobiste rozczarowania. Musiała bronić Konstytucji. I broniła jej, rok po roku jej broniła. Był taki dumny ze swojej żony. Kiedyś był z niej dumny. Taki dumny.

Ale odkąd przegrała ważną sprawę dotyczącą ochrony prywatności i zaczęła łykać środki antydepresyjne, nie panowała nad emocjami. W jednej chwili płakała, w następnej wpadała we wściekłość. Ten ranek nie należał do wyjątków. Zaczęło się od złości.

Teraz wylewała łzy. Wyglądała na przerażoną, jeśli to określenie nie było zbyt niezręczne w stosunku do jego żony.

Jak bardzo jest niezrównoważona? Czy leki mają na nią aż tak fatalny wpływ? Nie mógł oderwać oczu od jej dłoni z łyżeczką, mieszającej kawę. Bez końca. Tylko ktoś głęboko zaburzony zachowuje się tak obsesyjnie. Kira potrzebuje pomocy. Bardziej odpowiedniej, niż on mógłby jej ofiarować. Ale jak ma jej pomóc? Bo przecież musi.

Ponieważ cokolwiek się stało, to on jest temu winny.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - zapytała.

Łyżeczka zatoczyła kolejne koło, srebrna rączka zaślśniła w padającym z góry świetle.

- Muszę ostatecznie zdecydować, którego adwokata od spraw karnych zatrudnię. Adam nie może się tym zajmować, jeśli to posunie się dalej. Muszę też zaangażować jakiegoś geniusza od oprogramowania komputerowego, który potrafi stwierdzić, jakim sposobem obciążano moją kartę kredytową za wizyty u tych dziewczyn w sieci w dni, kiedy nie wchodziłem na ich strony i...

- To trudne - wtrąciła Kira. Kolejna rewolucja.

- Co?

- To będzie trudne do zrobienia.

- To nie w twoim stylu sugerować, że sprawa jest beznadziejna, zanim podjęliśmy walkę.

- Czy ja powiedziałam, że to beznadziejna sprawa? - Zatoczyła kolejne kółko łyżeczką.

- Słyszałem to w twoim głosie.

- Zdumiewające, że wydaje ci się, że mimo wszystko stanę po twojej stronie.

W końcu odłożyła łyżeczkę, a onomal z radości nie zakrzyknął. Wypiła łyk kawy, a potem się skrzywiła.

- Zimna.

Wstała, podeszła do zlewu i wylała kawę.

Potem postawiła czajnik na kuchence, by znów zagotować wodę, a następnie, stojąc tam, wpatrując się w płomień, które lizały czarną emalię, powiedziała:

- Nieważne, którego adwokata zatrudnisz. Każdy może co najwyżej znaleźć sposób, żeby cię z tego wyciągnąć, ale rozumiesz chyba, że już za późno, żebyś wyszedł z tego zupełnie czysty.

- Uśmiejasz się przez łzy, Kira. Czy moje upokorzenie cię uszczęśliwia?

- Uszczęśliwia? Że twoja opinia zostanie zszargana? Że stanę się pośmiewiskiem? Że świat dowie się, że nasze małżeństwo to fikcja? Nie, Alan. Nie jestem szczęśliwa. Tylko dlaczego akurat w ten sposób musiałeś mnie upokorzyć? Musiałeś wchodzić na te strony? Musiałeś oglądać te kobiety? Akurat te kobiety? Alan? - Krzyczała. - Gdybyś przestał i zastanowił się nad tym przez dwie minuty, zdałbyś sobie sprawę, że to najgorsza rzecz, jaką mogłeś mi zrobić. - Potrząsnęła głową, a potem wyciągnęła rękę i dotknęła czajnika palcem wskazującym, przyciskając go, jakby sprawdzała, jaki jest zimny, a nie jak gorący.

Jak można trzymać palec na rozgrzanym metalu? Wykrzywiła się, ale nie cofnęła ręki.

- Co ty wyprawiasz, do diabła? - wrzasnął Alan, poderwał się z krzesła i odciągnął jej rękę.

Kira szamotała się z nim.

- Zostaw mnie - warknęła.

Odsunął się.

Na twarz Kiry wypłynął uśmiech. Odwróciła się znowu do kuchenki i przytknęła środkowy palec do czajnika.

Alan ponownie chwycił jej rękę, a potem siłą odciągnął ją od kuchenki. Opierała się, okładała go małymi piąstkami. Ledwie czuł te ciosy. Zachowy-

wała się jak szalona. Spodziewał się złości i oskarżeń. Nawet łez. Ale ona zachowywała się nieracjonalnie.

- Puść mnie. Nie masz prawa mnie dotykać. Już nigdy więcej, skoro przestałeś mnie kochać. Skoro wolisz tamte kobiety. Ponieważ już mnie nie kochasz.

Nawet jej głos, zamiast grzmieć wściekłością, był teraz cichy i miał w sobie jakąś nutę szaleństwa. Puścił ją.

Wyprostowała się, nie zwracając uwagi na swoje palce, chociaż przypuszczał, że musiały ją mocno boleć.

Chciał ją zapewnić, że nadal ją kocha. Nigdy nie przestał jej kochać. Niezależnie od tego, co robił w sieci - to było zupełnie co innego. Ale wiedział, że w tym momencie takie słowa nie sprawią żadnej różnicy.

- Czy nic nie mogę dla ciebie zrobić, Kira? Nie pozwolisz, żebym ci pomógł?

- Pomógł? Ty miałbyś mi pomóc?

Zaśmiała się dziwnie. Jej śmiech był niespodziewany i zupełnie wyrwany z kontekstu. Przypominało to wesołość sześciolatki, która ni z tego ni z owego chichocze w środku kazania ciskającego gromy czterdziestopięciolatka.

- Ja to wszystko przeżyję, ale ty chyba nie. Nie sędzę, żeby stwierdzili, że ktoś inny logował się na te strony, wykorzystując twoje hasło. Moim zdaniem odkryją, że łączyłeś się ze swojego własnego komputera. Czy to przekona ich, że jesteś także odpowiedzialny za śmierć tych kobiet? Kto wie? Prasa niszczy wszystko, Alan. Nie ma gazety, która nie zajmowałaby się tymi morderstwami. Nie odpuszczają



sobie żadnych nieobyczajnych detali. To staje się już medialną sensacją. Wyobraź sobie tylko, jak dadzą ci się we znaki, kiedy twoje małe brudne sekrety wyjdą na jaw i twoje nazwisko zostanie połączone z morderstwami tych kobiet z sieci. To koniec twojej kariery.

- Nie mam nic wspólnego ze śmiercią tych dziewcząt. Wiesz o tym, prawda? - Słyszał swój własny błagalny głos, proszący tę jedyną osobę, która zawsze stała po jego stronie, by zapewniła go, że nadal go wspiera. - Kira, chyba nie uważasz, że byłbym do tego zdolny?

Ale ku jego zdumieniu i przerażeniu - ponieważ jeśli ona mu nie wierzy, czy ktoś inny mu zaufa? - nie dostał od niej tego, o co prosił. Patrzyła tylko na niego, a on przez te parę minut stracił pewność, czy będzie znowu w stanie normalnie oddychać.

- Kira, naprawdę myślisz, że mógłbym zabić te dziewczęta?

- Oczywiście, że nie.

Oddech wrócił.

- Gdybym nie była twoją żoną, potrafiłabym przekonać ich, że nie jesteś w to zamieszany. Ale ja jestem twoją żoną. Czy to nie największa ironia? Nawet gdybym udowodniła, że nie masz z tym nic wspólnego, nikt by mi nie uwierzył.

Po tych słowach Kira opuściła kuchnię, zostawiając go siedzącego przy stole i słuchającego czajnika, który popiskiwał swoją melodię.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

Blythe przyniosła na swoją sesję dwie filiżanki cappuccino i dwa duże kawałki babki marmurkowej, więc usiadłyśmy naprzeciw siebie z dwóch stron mojego biurka, pijąc kawę i zjadając słodkie ciasto. Wiedziałam, że tego dnia Blythe nie bardzo miała ochotę ze mną rozmawiać. Picie i jedzenie służyły jej jako wymówka.

- Nie chcesz, żebyśmy odbyły normalną sesję, tak? - zapytałam.

- Dlaczego pani tak myśli? - Uśmiechnęła się do mnie trochę tajemniczo, co było dla niej nietypowe.

Kiedy unosiła kąciki warg, na moment zamknęła oczy. Uwaga osoby, która na nią patrzyła, natychmiast przenosiła się z jej oczu na usta.

- Mam rację?

- Może, ale skąd pani... - Spojrzała na ciasto i kawę, i zastanowiła się przez chwilę. Potem się uśmiechnęła. Zrozumiała. - To naprawdę godne podziwu.

- Nie, to tylko doświadczenie. Ty też masz w sobie ten potencjał. I też dotrzesz do tego punktu.

- Chyba przechodzę kryzys wiary w swoje możliwości, jeśli chodzi o tę pracę.

- Okej. A wiesz dlaczego?

Pokręciła głową.

- Przypuszczam, że pani mi to powie.

- Nie, nie mogę. Nawet gdybym była pewna, a nie jestem pewna, to by ci nie pomogło. Pomoże ci, jak sama do tego dojdiesz. Wiesz o tym, Blythe. Ale

pomogę ci uświadomić to sobie. Co się działo w ciągu ostatnich paru tygodni, co wywołało tę niepewność?

- Dziewczyny z Internetu, te, które zostały zamordowane.

Kiwnęłam głową.

- Co jeszcze?

- Jest jeszcze coś?

- Co czujesz w związku z tym, co spotkało te dziewczyny?

- Przecież na litość boską...

- Tak, ale skończyłaś z występami w sieci na długo, zanim to wszystko się zaczęło. Dlaczego teraz dotyka cię to tak bardzo?

Pomyślała przez chwilę. Podniosła na mnie wzrok. Nie zamierzałam ułatwić jej ostatniego kroku. Powinna zrobić go sama. No i wtedy to powiedziała:

- Z powodu wywiadu ze Stellą Dobson.

Nie musiałam jej mówić, że ma rację.

- Ona była moją idolką, doktor Snow. Podjęła strajk głodowy, żeby zaprotestować, kiedy sędzia z Alabamy próbował powstrzymać jakąś nastolatkę przed aborcją, jeśli nie uzyska zgody rodziców. Jak już wszyscy przestali mówić o prawach kobiet, ona mówiła głośniej. A teraz, chociaż nigdy nie pozna mojego prawdziwego nazwiska, i chociaż się przebiore, to będę nadal ja, to ja się z nią spotkam.

- Zrobiła pauzę i odwróciła ode mnie wzrok. - Skąd pani wie, że robi pani to, co należy? - spytała Blythe.

- Z pacjentami?

- Nie. Prywatnie. Kiedy pracuję z pacjentem, dosyć dobrze wyczuwam, czy jego zachowanie jest

destrukcyjne czy nie, ale nie potrafię posłużyć się tą samą intuicją w stosunku do siebie.

Pochyliła się do przodu i splotła dłonie pod brodą, skupiając się znów na mnie. Było to trochę afektowane, ale urocze, i poczułam, że moja odpowiedź bardzo wiele dla niej znaczy. To także przeniosło moją uwagę z jej oczu na wargi.

- Bo to nie jest proste. Na przeszkodzie stają nam nasze własne nerwice i potrzeby.

- Jakiemu procesowi mam się poddać, żeby sprawdzić swoje decyzje i upewnić się, że postępuję właściwie? Jak mogę być swoją własną terapeutką?

Pokręciłam głową. Gdyby istniało takie łatwe ćwiczenie, nie miałabym nic przeciw temu, by je poznać.

- Nie możesz. To dlatego większość terapeutów chodzi na terapię.

- Nie chcę do końca życia chodzić na terapię.

- Nie będziesz chodzić do końca życia. Większość z nas potrzebuje terapii na początku kariery, ale potem, jak wszyscy inni pacjenci, którzy przeszli przez ten proces, kończymy z tym, ze świadomością, że zawsze możemy do tego wrócić, kiedy problem znowu się pojawi.

Blythe sprawiała wrażenie, że robi sobie notatki w myśli. Kiwała lekko głową, wpatrując się we mnie swoimi nieprzeniknionymi zielonymi oczami.

- Powiedziałam Stelli Dobson, że udzielię jej tego wywiadu, i chcę to zrobić ze zwykłej ciekawości. No i pochlebia mi to. Czy to nie szalone? Pochlebia mi, że chce ze mną rozmawiać o największej tajemnicy mojego życia. Ale równocześnie jestem zażenowana. Boję się tego, co powie, jeśli niczego przed nią nie

ukryję. To znaczy, co feministka pomyśli o tym, że uwielbiałam się pokazywać?

- A co twoim zdaniem pomyśli?

- Że to źle zabiegać o uwagę. Że to jeden z tych negatywnych procesów, które zachodzą w naszym społeczeństwie. Że przyczyniłam się do nasilenia tego problemu. Że dałam zły przykład.

- A jak jest twoim zdaniem?

- Nie wiem. Po prostu byłam zachwycona, że ktoś chce na mnie patrzeć. Lubiłam sobie wyobrażać, że dotykają mnie jakieś niewidzialne ręce. Lubiłam te oczy wpatrzone w moje ciało. Mężczyzn pożerających mnie wzrokiem...

- Czulaś wtedy, że masz nad nimi władzę.

Przytaknęła.

- Nie wyobraża sobie pani, jaka silna czuje się kobieta, kiedy wie, że działa na mężczyzn, chociaż dzielą ją od nich dziesiątki kilometrów.

- Mów dalej.

Zawahała się, potem wzięła oddech.

- To niesamowite, kiedy po raz pierwszy dociera do pani, że może pani ich podniecić i doprowadzić do orgazmu tylko tym, że na panią patrzą. Czulałam się taka seksowna...

Znowu się zawahała.

- W porządku. Mów dalej.

- Czasami... zdarzało się, że występ dobiegł końca, a ja wyłączałam kamerę i naprawdę się masturbowałam, taka byłam nakręcona. I... i nigdy, z nikim nie przeżywałam takich fantastycznych, takich intensywnych orgazmów jak wtedy. - Zniżyła głos do szeptu. Jej nieskazitelna skóra zaróżowiła się. Jej oczy błyszczały. - A potem dostawałam

za to pieniądze, czek przychodził pocztą, i czułam się strasznie zniesmaczona.

- Dlaczego?

- Bo to zamieniało mój występ w coś innego.

- W co?

- W coś obrzydliwego.

- Czy podobnie się czujesz, myśląc o tym wywiadzie?

- Martwię się, że tak będzie. Ale pieniądze mi się przydadzą. Odkąd zrezygnowałam z występów w sieci, krucho u mnie z gotówką. Pytałam nawet Ninę, czy mogłaby przydzielić mi więcej pacjentów. Póki co Stella Dobson daje mi pięćset dolarów za wywiad.

- Porozmawiam z Niną. Jeśli chcesz pracować w poradni jeszcze jeden dzień w tygodniu, może uda mi się do tego doprowadzić.

- Tak, to byłoby wspaniale.

- Czy to pomoże ci podjąć decyzję w sprawie wywiadu?

- Pewnie udzielę go tak czy owak. Podnieca mnie spotkanie z tą kobietą, rozmowa z nią, fakt, że pomogę jej pisać tę książkę. Chociaż wiem, że to kolejna forma ekshibicjonizmu. Coś, co muszę u siebie zwalczyć. No i muszę też przemyśleć, jak będę się czuła, kiedy dostanę od niej pieniądze. - Westchnęła głęboko i odrzuciła włosy. - Śniło mi się, że znowu stoję przed kamerą. A kiedy się obudziłam i uświadomiłam sobie, że to tylko sen, ogarnął mnie wielki żal. Brak mi związanych z tym emocji. - Jej oczy napęłniły się łzami, ale jej twarz pozostała gładka. Opanowała się, po czym zaczęła się śmiać.

- Uwierzy pani? Chyba jestem jedyną kobietą na świecie, która się maże, bo już nie robi świństw przed

kamerą. Mam nadzieję, że nie zachowam się tak w piątek, w obecności Stelli Dobson.

- Wtedy masz ten wywiad?

- Tak. Wyobraża sobie pani? - Znowu była podniecona. - Spotkam się z nią. Z prawdziwą bohaterką.



**Piątek**

**Pozostało siedem dni**





## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

Rodzice Amandy wychodzili z domu, ale moment ten odwlekali bez końca. Zaczęło się od tego, że ojciec przyszedł z biura później, niż obiecywał. Potem pokłócili się o rachunek za nową kanapę, która według niego kosztowała tyle, ile wynosi miesięczny czynsz wielu innych osób. Jej matka powiedziała na to, żeby się tym nie martwił, ponieważ zapłaciła z własnej kieszeni.

Amanda wyłączyła się. Rodzice zawsze kłócili się o pieniądze. Nie rozumiała, jak mogą wiecznie kłócić się o to samo. Jej matka za dużo kupowała. Jej ojciec denerwował się tym. Dlaczego któreś z nich się nie zmieni? Dlaczego ojciec w ogóle się tym przejmuje?

Matka, projektantka wnętrz, odnosiła prawdziwe sukcesy. Ojciec kierował dynamicznie rozwijającym się biznesem. Jakie znaczenie ma tak naprawdę dla każdego z nich cena kanapy? Co z tego, że co dwa lata urządzą mieszkanie na nowo? Jej pokój to nie dotyczyło.

Przeciągnęła ojca na swoją stronę, a on przekonał matkę, by pozwoliła Amandzie zachować pokój bez zmian. Taki, jaki lubiła. Ojciec nazywał go jej azylem. Ale azyle nie istnieją. To tylko wymysł dorosłych, którzy wyobrażają sobie świat siedemnastolatków. Czyżby zapomniał, jak to naprawdę wygląda? Ma dopiero czterdzieści cztery lata. Kiedy zapomina się takie rzeczy?

Ona nie zapomni. Ona będzie się tego trzymać. Zapamięta, że wszystko wydawało się niezmierną

szarością. Ponurym, niekończącym się dniem, zakłóconym przez emocje, które nie chcą odejść, i zadania domowe, które musi odrobić na zajęcia, które jej wcale nie interesują.

Poza zajęciami plastycznymi. Żałowała, że nie może uczestniczyć tylko w zajęciach plastycznych, a całą resztę sobie odpuścić. Obchodziły ją wyłącznie zajęcia plastyczne, fotografia i film. Uwielbiała ten moment, kiedy siadała w kinie, rozluźniała ramiona, kark i biodra, i zatapiała się w fotelu. Ciemność stawała się drzwiami między światem realnym a tym, co jest od niego o wiele bardziej fascynujące.

Kręciła filmy cyfrową kamerą i montowała je na komputerze. Krótkie filmy. Jej prywatny dziennik. Obrazy, które znaczyły coś tylko dla niej. Simone grała w wielu z nich. Tylko jeden z tych filmów pokazała komuś innemu. I to był największy błąd, jaki kiedykolwiek popełniła, niezależnie od tego, co doktor Snow mówi o tajemnicy. To powinno na zawsze pozostać tajemnicą.

Owinęła szyję długim czarnym szalikiem, kiedy szli do rogu. Na dworze było zimno. W rękawicze miała dziurę na kciuku i czuła lodowate powietrze szczypiące w tym miejscu skórę. Oczywiście padał śnieg, ale niewielki.

- A jeśli się mylisz? - spytał Timothy, gdy przemierzali Park Avenue.

- Nie myślę się.

- Wpadniemy w poważne tarapaty. A już mamy kłopoty. Przynajmniej Hugh, Barry i ja.

- To jest o wiele ważniejsze. - Słowa Amandy popłynęły na białej chmurce oddechu. Patrzyła, jak się od niej oddalają.

W milczeniu przeszli kolejną przecznice, a na następnym rogu natknęli się na potężną zaspę.

- Nie do wiary, że tyle tego pieprzonego śniegu napadało, co? - Timothy przestąpił przez kopę pokrytą warstwą lodu. Amanda ruszyła za nim, stawiając stopy na jego śladach.

- Od ponad dwóch tygodni pada codziennie. - Kiedy brnęli dalej, Amanda owinięła się znów szalikiem, który w międzyczasie się odwinął.

Ten kaszmirowy szalik dostała od matki w zeszłym roku. Nigdy się z nim nie rozstawała. Nie dlatego, że zawsze było jej zimno - choć, szczerze mówiąc, prawie zawsze było jej zimno - ale dlatego, że z owiniętą szyją czuła się bezpieczniej. Czasami podciągała go wysoko, chowając usta i brodę w jego miękkich fałdach. Gdyby mogła zakryć całą twarz, zrobiłaby to. Tymczasem ratowała się długą równo obciętą grzywką, która częściowo zasłaniała jej czoło i brwi, a ostatnio zaczęła też nosić lekko przyciemnione okulary, które znalazła w szufladzie matki.

Miały idiotyczne złote C na brzegach, ale udało jej się kupić czarną farbę i je zamalować. Matka niczego nie zauważyła. Zresztą rzadko zauważała cokolwiek, co robiła jej córka.

Szli dalej na zachód Siedemdziesiątą Siódmą Ulicą, aż dotarli do Piątej Alei, potem przeszli jeszcze dwie przecznice na północ i znaleźli się w Central Parku.

Była ósma wieczorem, niektórzy dopiero wracali z pracy do domu, inni spacerowali z psami albo

biegali. Spotkali też kilka par spacerujących ramie przy ramieniu.

- Dziwne, co? Dlaczego ci ludzie nie siedzą w domu? - spytał Timothy. - W taki ziąb.

Amanda rozejrzała się. Księżyc był w pełni, śnieg wciąż sypał. Wszystko przykrywała połyskująca warstwa bieli. Zupełnie jak we śnie. Tyle że to nie był jej sen.

Im dalej zapuszczali się w głąb parku, tym mniej osób napotykali. Po kilku minutach otoczyła ich cisza, Amanda słyszała tylko skrzypienie ich butów na ścieżce. Podążali na zachód, a następnie na północ. Żadne z nich nie miało wątpliwości, w którą stronę iść. To był ich plac zabaw, w tym parku dorastali. Przyjeżdżali tutaj już w wózkach, bawili się w piaskownicy, popołudniami odwiedzali zoo. Zimą przychodzili z klasą na lodowisko, a wiosną na soft bali. A kiedy osiągnęli pewien wiek, zaczęli przychodzić tutaj sami, uciekając od rodziców. Wsiadali na wzgórzach albo na brzegu stawów czy przy fontannach, znikali z przyjaciółmi w oparach papierosowego dymu.

- Nigdy nie byłam tu tak późno - powiedziała Amanda.

Timothy wzruszył ramionami.

- Wszędzie palą się latarnie.

- Nadal w parku zdarzają się zabójstwa. Zawsze, jak coś takiego się stanie, mówią o tym w wiadomościach.

Timothy skinął głową.

- Ale jak ktoś jest sam. My jesteśmy we dwójkę.

Po kilku krokach dotarli do grani. Staw, na którym dzieci i hobbyści puszczali łódki, był zamarznięty. Na

wszystkich drzewach i gałęziach iskrzyła się świeża pokrywa krystalicznej bieli. Lód wyglądał jak aksamit, pomyślała Amanda, i nagle przypomniała sobie sukienkę, którą nosiła, kiedy miała osiem albo dziewięć lat.

- Amanda, pospiesz się. Zabierajmy to i wynośmy się stąd.

- Więc jednak się denerwujesz. - Uśmiechnęła się. To było dziwne uśmiechać się podczas takiej misji.

- Nie, tylko mi zimno.

- A ja się denerwuję. Jedna z nich wciąż żyje.

Oboje mieli na dłoniach grube rękawiczki, a mimo to Amanda poczuła, że Timothy wziął ją za rękę. Zrobiła łaskę trzem chłopakom, ale dopiero po raz pierwszy jakiś chłopak trzyma ją za rękę.

Potężny Hans Christian Andersen odlany z brązu siedział z książką na kolanach i czytał swoją bajkę. Tego wieczoru jego głowę zakryła śniegowa czapa, a strony książki były schowane pod kilkoma centymetrami puchu.

W dzieciństwie Amanda i jej przyjaciele siadywali u jego stóp, a ich nauczyciel czytał jedno opowiadanie po drugim, i każde miało szczęśliwe zakończenie.

Amanda i Timothy podeszli do pomnika.

Hans siedział na platformie z brązu na potężnym cokole z ciasno ułożonych bloków wapienia. W każdym razie sprawiały wrażenie, że ciasno do siebie przylegają, ale między trzecim i czwartym blokiem po prawej stronie widniała szczelina. Timothy znalazł ją, kiedy był w drugiej klasie, a koledzy urządzili tutaj wyścig łódek. Znudziło mu się sterczenie na

brzegu stawu i oglądanie głupich zabawek śmigających po wodzie, więc oddalił się od grupy.

- Timothy?

Amanda wpatrywała się w niego, szeroko otwierając oczy, jej policzki poczerwieniały z zimna. Zazwyczaj, kiedy na nią patrzył, nie pamiętał o tym filmie. Wyglądała jak każda inna dziewczyna. Zazwyczaj.

Wyjął z kieszeni swój wojskowy scyzoryk, wyciągnął pilnik i wsunął go do szczeliny. Kiedy na coś trafił, pchnął pilnik głębiej. Pokazał się brzeg przezroczystego pudełka CD. Sięgnął po nie i je wydobył.

Potem położył pudełko płasko na dłoni, zaś Amanda wlepiła w nie wzrok. Zauważyła, że odbijał się w nim księżyc. Okragły srebrny księżyc w pełni. W owej chwili pudełko wcale nie wyglądało groźnie.

**Poniedziałek**

**Pozostały cztery dni**



## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

Alan Leightman siedział na kanapie z dużym kubkiem kawy. Wciąż zapominałam, żeby nie nazywać go Bobem. Obejmował kubek to prawą, to lewą ręką, jakby chciał ogrzać dłonie. Ale teraz kawa na pewno już wystygła, a on szukał tylko idei ciepła.

- I bez końca mieszała tą cholerną łyżeczką.

- To panu przeszkadzało?

- Wszystko mi przeszkadzało. Moja żona - ta wspaniała kobieta, z którą żyłem przez tyle lat - zamieniła się w nafaszerowanego prochami zombie, który mnie szczerze nienawidzi.

- Co się zdarzyło w kuchni? - spytałam, starając się, żeby skupił się na czymś innym.

- Powiedziała, że kawa jest zimna i zapaliła gaz, żeby zagrzać wodę w czajniku. Kiedy woda wrzała, i gwizdał gwizdek, zrobiła coś zupełnie nienormalnego: wyciągnęła rękę i dotknęła go.

- Co to znaczy, że go dotknęła? Chciała sprawdzić, czy jest gorący?

- Tak, ale przecież musiała wiedzieć, że jest gorący, skoro słyszała gwizdek. Celowo chciała poparzyć sobie palec. Dwa razy. Dlaczego to zrobiła? A potem powiedziała, że wie coś, co mogłoby mi pomóc. - Potarł twarz. - Ale cokolwiek to jest, powiedziała, to się nie liczy. I ona ma rację. Nikt jej nie uwierzy, bo jest moją żoną. Wszyscy z góry założą, że kłamie, żeby mnie chronić. - Potrząsnął głową. - Ona wymierza mi karę za to, co jej zrobiłem. Zasłużyłem sobie na to.



- Zasłużył pan?

Przytaknął. W jego oczach widziałam ból.

- Alan, jeśli pan chce, porozmawiam...

- Nie. - Poderwał się. - Nie może pani rozmawiać z policją. Rozumie pani? Nie wolno pani z nikim rozmawiać.

- Nie sugerowałam, że pójde na policję. Proszę usiąść. Chciałam powiedzieć, że jeśli pan chce, żebym porozmawiała z panem i Kirą razem, chętnie to zrobię.

Opadł z powrotem na kanapę.

- Ja nie pisałem do tych kobiet. I na pewno ich nie zabiłem.

- Nie mam co do tego wątpliwości. Żadnych.

I faktycznie tak było.

- Doktor Snow, dlaczego ona chciała poparzyć sobie palce?

- Może chciała się ukarać. Czasami człowiek zadaje sobie ból, żeby odsunąć od siebie jakieś głębsze cierpienia.

Kiwał głową i wykręcał dłonie. Założył nogę na nogę. Potem ją zdjął. Nerwowo rzucał wzrokiem po pokoju, jakby zamierzał znaleźć odpowiedzi ukryte po kątach i za książkami.

- Ona oskarża się o moje uzależnienie, tak?

- Niewykluczone.

Skinał głową, raz i drugi. Zadumał się.

Minęła chwila.

- Ona czuje się za wszystko odpowiedzialna. Cholera. Ona czuje się odpowiedzialna za Pierwszą Poprawkę.

Obserwowałam go, jak przeprowadza pewien trudny proces myślowy. Ból w jego oczach nasilił się,

potem Alan zamknął oczy. Kiedy kilka sekund później podniósł powieki, wyglądał, jakby coś rozwiązał, postanowił, niemal emanował radością.

- Alan? O co chodzi?

- Myśli pani, że jej nastroje i nieodpowiedzialne zachowanie mogą mieć coś wspólnego z jej lekami?

- W zasadzie tak. Zdarza się, że leki wywołują efekt przeciwny do zamierzonego. Pacjenci leczeni na depresję mogą popaść w jeszcze głębszą depresję. Albo paranoję. Czy żona pozwoliłaby, żeby pan zadzwonił do jej lekarza i...

- Czy mogą stać się agresywni? Poważnie agresywni? Cierpieć na urojenia? - przerwał mi.

- Tak.

Spojrzał w dół na swoje dłonie, jego obrączka połyskiwała. Zakrył ją prawą ręką.

- Ona bierze te leki przeze mnie.

- Nie, to nieprawda.

Nie słyszał mnie. Widziałam to.

- Alan, wszystko w porządku? - spytałam.

Patrzył na mnie, jakbym była przezroczysta, jakby zapomniał, gdzie jest i co się wokół niego dzieje. Czekałam. Minęła minuta. Potem kolejna. Zaczął coś mówić, ale urwał. Potrząsnął głową, jakby prowadził dialog z samym sobą.

- Podjąłem decyzję.

Nadal czekałam. Milczał. Potem odchrząknął. Kiwnęłam głową, żeby go zachęcić.

- Kiedy stąd wyjdę, pójdę prosto na policję.

- Po co?

- Okłamałem panią. Panią, Kirę i policję. To ja zabiłem te dziewczyny, te dziewczyny z Internetu,

i myślę... Myślę, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli teraz się do tego przyznam, żeby zapobiec dalszemu śledztwu.

Jeszcze kilka dni temu nie znałam prawdziwego nazwiska tego mężczyzny, ale doskonale znałam jego psychikę.

- Alan, pan nikogo nie zabił.

Na jego twarzy nie było żadnych innych emocji poza determinacją.

- Ja je zabiłem. Przyznaję się. I proszę, żeby pani nie rozmawiała na mój temat z policją. Żeby pani nie mówiła im, czy według pani jestem czy nie jestem zdolny do morderstwa, jeśli panią o to zapytają.

- Nie zapytają mnie. Już panu to tłumaczyłam. Nie wolno mi rozmawiać z nikim na temat terapii, chyba że na pańskie wyraźne życzenie.

- Nawet jeśli uważa pani, że stanowią zagrożenie dla społeczeństwa, nie wolno pani powiadomić policji?

- Jestem skonsternowana. Nie rozumiem. Czy przyznaje się pan do winy przede mną po to, żebym to ja poszła na policję w pańskim imieniu?

- Nie, mój Boże, nie. Nie wolno pani z nimi rozmawiać. Rozumie pani? Sam się zgłoszę. Nie musi pani nikogo chronić. Jediną osobą, która wie, że chodzę na terapię, jest Kira. Nikt poza tym. Nie chcę, żeby pani komukolwiek o tym wspominała. Dobrze?

- Alan, dlaczego pan to robi?

- Doktor Snow, najlepsze, co pani może zrobić, to przestać zadawać mi pytania i przestać szukać odpowiedzi. Czy to jasne?

Popatrzył na mnie z napięciem, a ja przez sekundę czułam strach.

- Tak.

Jego wzrok był nieruchomy, bezlitosny.

- Nie będzie pani z nikim rozmawiać o tym, co pani powiedziałem? - Zacisnął szczęki, na jego szyi nabrzmiała żyła.

- Nie, nie będę. Ale chyba my powinniśmy o tym porozmawiać, zanim popełni pan błąd, którego nie da się potem naprawić.

- Teraz muszę już iść. Zadzwoń pani do lekarza mojej żony? Poprosi go pani, żeby pojechał do naszego mieszkania? Żeby dał jej, czego potrzebuje? Zobaczy się pani z nią? Jeśli pani go nie znajdzie, pojedzie pani do niej? Nie chcę, żeby była sama, kiedy podadzą to w wiadomościach.

Mówił jeszcze klarownie, ale dostrzegałam pierwsze oznaki rozszczępienia osobowości.

- Alan, proszę posłuchać. Płaci mi pan za trzy kwadranse, wykorzystajmy je w pełni. Proszę pozwolić mi panu pomóc. Wiem, że pan nikogo nie zabił. Nie sądzę, żeby pan był zdolny nawet do samobójstwa. Pańskie ego jest zbyt silne. Niezależnie od tego, co pan robił w sieci, pańska kariera wciąż jest dla pana ważna. I pańska żona. Nie chce pan zrobić tego Kirze, prawda?

Trzy razy z rzędu zamrugął powiekami.

- Nie robię tego Kirze.

- Nie. Pan nie robi tego Kirze. Pan robi to, żeby ją ochronić.

Spojrzał na mnie zdziwiony, że zgadłam.

- Alan, czy dlatego pan chce iść na policję?

Uśmiechnął się słabo, a potem spoważniał.

- Co ma pani na myśli, mówiąc, że ją chronię? Nie rozumiem, doktor Snow. Przed czym miałbym ją chronić?

- Alan, proszę. Proszę mi powiedzieć, co się dzieje.

- Żałuję, że nie mogę dokończyć terapii, Morgan. Myślę, że dzięki pani znalazłbym się w lepszym miejscu.

Po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu. Potem wstał.

Miałam chęć zamknąć drzwi gabinetu na klucz i zmusić go do mówienia, wyjaśnienia mi, dlaczego zdecydował się na tak drastyczny krok.

- Jeśli będzie pan mnie potrzebował, przyjadę. Gdziekolwiek pan będzie. Rozumie pan? W więzieniu pozwolą panu spotykać się z terapeutą. Pozwolą mi się z panem zobaczyć.

Skiął głową, wyciągnął rękę i uściskał moją dłoń. Jego skóra była sucha i zimna, ale uścisk mocny. Sędzia Alan Leightman nikogo nie zabił. Nie myliłam się co do tego. Ale myliłam się, mówiąc, że nie jest zdolny do samobójstwa. Ponieważ właśnie to robił, na moich oczach. A ja nie mogłam uczynić nic, by go powstrzymać.

Odwrócił się, podszedł do drzwi, otworzył je i opuścił mój gabinet. Odprowadzałam go wzrokiem, kiedy schodził po schodach. Po raz pierwszy wyszedł z Instytutu Butterfielda frontowymi drzwiami.

## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Noah Jordain i Mark Perez siedzieli w pokoju przesłuchań i przepytывali Latynosa, który był o wiele za młody, by zostać oskarżonym o gwałt, a jednak właśnie z tego powodu się tu znalazł.

- Więc z kim tam byłeś, Juan? - spytał Perez.

Żaden z detektywów nie sądził, by chłopak był osobą, której szukali, ale jak dotąd nie potrafili Juana złamać.

- Z nikim. Już ci mówiłem, człowieku.

- No, no! - krzyknął Perez. - Grzeczniej. Nawet jeśli powiedziałaś nam to już dwadzieścia razy, powtórzysz to jeszcze raz. Zrozumiałaś?

Tana Butler otworzyła drzwi i wsadziła głowę do środka. Jordain się obejrzał.

- Potrzebuję was obu na kilka minut - powiedziała.

Jordain przykucnął przed chłopcem. Kiedy Perez grał twardziela, on był niemal łagodny.

- Posłuchaj, Juan, masz dopiero dwanaście lat. Jeśli powiesz nam, co się naprawdę działo tamtej nocy i jak się nazywa przyjaciel, którego kryjesz, unikniesz kłopotów. Ale jeśli nam tego nie zdradzisz, będziesz dorastał za kratkami. - Jego głos był teraz zimny jak lód. - A co z dziewczynami? Do diabła, nie zobaczysz ani jednej przez wiele lat. Pomyśl o tym przez chwilę. Zostawiamy cię z tym.

Detektywi wyszli z pokoju.

- Masz coś dla nas? - zapytali Tanę.

- Lepiej wam to pokażę, niż powiem - oznajmiła i poprowadziła ich korytarzem.

- Żartownisia z ciebie - zauważył Perez.

Tana nie połknęła haczyka. Nie odwróciła się.

Maszerowała przed siebie.

- Masz coś w sprawie tych dziewczyn z sieci?  
- spytał Noah.

- Może.

Noah był zirytowany, gdyż nadal tkwili w martwym punkcie. Oczywiście, podejrzewali Leightmana, ale w dalszym ciągu nie mieli dość dowodów, aby go aresztować. Wiedzieli, że nie mogą oprzeć sprawy o e-maile. To było zbyt proste. Ktoś musiał go zrobić. Gdyby sędzia prosił te dziewczyny w e-mailach, by posłużyły się trującymi środkami nawilżającymi, olejkami do masażu i opatrunkami, czy użyłby adresu, który tak łatwo wykryć? Okej. Więc kto chce go zrobić? Dlaczego sędzia nie drze się wniebogłosy i nie wskazuje winnych palcem? Czy to szantaż? Trup w szafie? Jak mają się tego dowiedzieć?

Tana Butler otworzyła drzwi, patrząc na ich twarze.

- Powiem wam to, co chcecie wiedzieć, powiem wam, kto zabił te trzy kobiety - oświadczył Leightman, gdy tylko zajęli miejsca. - Ale musicie mi przysiąc, że nie będziecie zadawać żadnych pytań ani nie każecie mi niczego wyjaśniać czy rozmawiać na temat żadnych szczegółów.

- Nie pertraktujemy w takich sprawach - rzekł Jordain.

- Gówno prawda, detektywie. Cały czas pertraktujecie. Powiem wam to, co muszę wam powiedzieć. A potem się zamknę. Czy wam się to podoba, czy nie. Resztą zajmie się mój adwokat.

Noah nie znosił takich gierek.

- Sam pan tutaj przyszedł. Nie wzywaliśmy pana. Niech pan mówi albo nie.

- Zgłaszam się dobrowolnie. Jestem odpowiedzialny za wszystkie trzy morderstwa. Tyle mam do powiedzenia do czasu, kiedy pojawi się tutaj mój adwokat.





## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Wychodząc, Nina zapukała do mojego gabinetu, żeby powiedzieć mi dobranoc, ale kiedy na mnie spojrzała, od razu zapytała, co się stało. Opowiedziałam jej o Alanie Leightmanie, który pewnie zdążył już przyznać się do winy na policji. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy przez kilka minut, a potem ona zasugerowała, żebyśmy wpadły gdzieś na drinka.

Zwykle chodziliśmy do Bemelman's Bar w hotelu Carlyle, który znajdował się dwanaście przecznic dalej. Lubiliśmy spacer tą trasą, ale teraz wąskie ścieżki wydeptane w ubitym śniegu nie wyglądały zachęcająco, więc podniosłyśmy kołnierze i udałyśmy się do małego francuskiego bistro cztery bramy dalej.

Na dworze było około minus piętnastu stopni, ale gwałtowny wiatr, który nas osmagał, zwiększał odczucie zimna. Wszyscy mieliśmy już dosyć tej pogody. Aura stanowiła główny temat niekończących się rozmów. Każdego wieczoru wiadomości rozpoczynały się od specjalnych informacji, jak sobie radzić w trudnych warunkach atmosferycznych. Większa niż zwykle liczba moich pacjentów cierpiała na depresję. Zapanowała epidemia sezonowych zaburzeń afektywnych, w tym wypadku depresji zimowej.

Podszedł kelner i przyjął od nas zamówienie - wódka z tonikiem i limonką dla Niny, brudne martini z lodem dla mnie - po czym kontynuowałyśmy rozmowę o Alanie. Wyjaśniłam Ninie, dlaczego jestem taka pewna, że nie mógł popełnić zbrodni, do której się przyznał, i jakie to niedorzeczne.

- On będzie potrzebował pomocy, ale ktoś inny musi się tym zająć. Wiesz o tym. Nie możesz go już leczyć - stwierdziła Nina.

- Dlaczego?

- Jeszcze pytasz?

- Z powodu Noaha?

- Oczywiście.

Kelner przyniósł nasze drinki. Nina przyglądała mi się. Wiedziałam, co myśli.

- Już nie spotykam się z Noahem.

Kelner wrócił z terakotowym dzbankiem czarnych i zielonych oliwek, błyszczących od oliwy, a ja wzięłam jedną z nich.

- Od kiedy?

Zrelacjonowałam jej przygodę z Dulcie, powiedziałam o swojej reakcji na propozycję Mitcha, i zakończyłam na kłótni z Noahem. Staralam się zachować obiektywizm i nie bronić swojego stanowiska, chociaż nie przychodziło mi to łatwo, ponieważ twarz Niny mówiła wszystko: nie podobało jej się to, co usłyszała.

- Jesteś taka dobra w zaprzeczaniu, Morgan. Ale nie uwierzę, że myślisz, że ten cały plan cokolwiek rozwiąże. Tego ode mnie nie oczekuj. - Odsunęła się i odwinęła na nowo mankiety u bluzki na kaszmirowy sweter w wielbłądzim kolorze.

- Dlaczego? Kocham Mitcha. Nigdy nie chciałam, żeby nasze małżeństwo się skończyło.

- Nie, nie chciałaś. Ale się skończyło. A ty poznałaś kogoś innego. - Wyciągnęła rękę i ujęła moją dłoń. - Co się naprawdę dzieje?

Wzruszyłam ramionami.

- Wiesz chociaż, czego się boisz?

- Nie boję się - powiedziałam tylko odrobinę głośniejsz niż szeptem.

- Ależ boisz się.

- Chcesz mnie zmusić, żebym skomplikowała sobie życie.

- Nigdy cię do niczego nie zmuszam.

Zaśmiałam się.

- Nie. Ale nigdy nie odpuszczasz, jeżeli uważasz, że wybieram łatwiejszą drogę. - Wypiłam jeszcze trochę martini, po raz pierwszy zauważając, że jest zimne i smaczne.

- Morgan, czy masz świadomość, dlaczego rozważasz powrót do Mitcha?

- Ponieważ to jest mój mąż i byłam z nim szczęśliwa, i naszej córce będzie lepiej, jak znowu zamieszkamy razem.

Nina pokręciła głową.

- Więc dlaczego? - spytałam.

- Jesteś za mądra, żeby mówić takie rzeczy.

- Chcę dać Mitchowi szansę. Chcę mieć córkę w domu.

- Oczywiście, że chcesz mieć córkę w domu. Ale poza tym cholernie boisz się zaangażowania. Nie, nazwijmy to po imieniu: tak cholernie boisz się zbliżyć z Noahem i żeby cię nie rozczarował, że raczej uciekniesz od niego niż stawisz temu czoło i popracujesz nad tym.

Upiłam kolejny łyk mojego drinka. A potem następny. Starłam się zachować spokój, dopóki ta chwila nie minie i nie poczuje, że mogę dalej prowadzić cywilizowaną rozmowę i nie krzyczeć.

- Dlaczego do diabła nie zezłóścisz się na mnie po prostu? - szepnęła Nina, nachylając się nad stolikiem.

- Dlaczego nie pozwolisz mi zrobić tego, co muszę, żeby odzyskać córkę? Tu chodzi o Dulcie.

- Okej, wróćmy do Dulcie. Takie rzeczy zdarzają się w jej wieku. Bunt jest dla niej zdrowy. Wiesz o tym.

- Mój rozum to wie.

- Dobrze. To już jest coś. Wiesz także, że niełatwo być nastolatkiem. Sam charakter zmian rozwojowych, przez które ona przechodzi, wymaga, żeby walczyła z tobą o swoje. To ostatni etap jej indywidualizacji, i jest więcej niż ważne, żeby przez to przeszła. To ma dla niej decydujące znaczenie. Bez matki, z którą może walczyć... wiesz, jak ucierpiałś, nie mogąc się buntować. Musisz pozwolić jej walczyć z tobą. I żadna twoja decyzja związana z Mitchem nie zapobiegnie temu procesowi. A zresztą ty przecież nie chcesz temu zapobiec. Bo to niezdrowe.

Spojrzałam na zegarek. Nina zmarszczyła czoło.

- Jasne, powiedz mi, że jest późno i musisz iść. Zamiast spojrzeć prawdzie w oczy. - Rzuciła mi gniewne spojrzenie. - Nie przejmuj się. Ja zapłacę.

Pomachała na kelnera, a czekając na niego, wyjęła portfel, otworzyła go i wyciągnęła kartę kredytową. Zobaczyłam zdjęcie Dulcie i moje, które w nim trzymała.

Mój ojciec znał mnie dłużej niż Nina, ale nikt nie znał mnie lepiej od niej, i ona miała rację. Ja się nie buntowałam. Jako nastolatka byłam zbyt nieśmiała, postępowałam zgodnie z zasadami, próbowałam dorównać dorosłym. Naśladowałam Ninę, kończąc tę

samą szkołę i te same studia co ona. Wysłałam za mąż relatywnie wcześniej - za kogoś, kogo znał i lubił mój ojciec. I przez cały ten czas nie zatrzymałam się, by się zastanowić, dlaczego mnie wszystko przychodzi bez wysiłku, a moim przyjaciółom z takim trudem.

Na skutek tego, że się nie buntowałam, nie zawsze byłam świadoma mojego prawdziwego ja - moich najskrytszych myśli, zakamarków mojej duszy, a także mojego fizycznego ja. Pracowałam nad tym podczas terapii po skończeniu college'u, i podczas studiów, ale nigdy tak naprawdę nie rozwiązałam tego problemu. Moje prawdziwe emocje były głęboko zakopane i często brakowało mi siły, żeby je odkopać.

Tylko w wypadku Dulcie moja miłość wypłynęła na powierzchnię bez wysiłku. Trzymałam moje dziecko w ramionach i nie musiałam szukać łączącego nas związku emocjonalnego. A jednak nawet w przypadku Dulcie mój problem zamaniestował się na swój sposób. Może dlatego, że córka należała do bardzo niewielu osób, z którymi czułam się związana, moje uczucia do niej były wyolbrzymione. Reagowałam bólem na ból, którego ona doświadczała. Budziłam się, zanim jeszcze usłyszałam, że Dulcie lekko się poruszyła. To było nie tyle nawet chore, co nieuniknione, skoro skupiałam na niej całą moją uwagę.

Razem z Niną wyszliśmy z knajpki na ulicę. Wiatr powiewał naszymi płaszczami wokół kolan i popychał nas. Maleńkie punkciki śniegu uderzały w moją twarz. Znowu zaczęło mocniej sypać. Tym razem nie były to duże płaskie płatki, które delikatnie łądowały i zamieniały świat w łagodny śnieżny

krajobraz. To był atak lodowych kulek połączony z przeszywającym wiatrem.

Minęłyśmy pół przecznicy do Madison Avenue, a kiedy dobrnęłyśmy do rogu, policzki mnie już szczypały. Wzięłam Ninę za rękę, by pomóc jej przejść przez jezdnię, wiedząc, że pod świeżą warstwą śniegu znajdują się zamrożone kałuże. Na chwilę zapomniałam o naszym sporze. Skręciłyśmy na północ i przeszłyśmy połowę kolejnej przecznicy, a potem wypatrzyłam taksówkę, z której wysiadła jakaś kobieta. W tym samym czasie, po drugiej stronie pod uliczną latarnią, stał jakiś mężczyzna i na nas patrzył. Wyglądał jak Terry Meziac, ochroniarz Alana, ale nie mogłam być pewna, że to on.

Co on tutaj robi?

Zadrżałam, i to nie z zimna. Noah ostrzegął mnie, że to, co wiem o Leighmanie, może narazić mnie na niebezpieczeństwo, a ja zlekceważyłam jego słowa.

Padał śnieg. Było ciemno. Taksówka uciekła nam sprzed nosa.

Może to jednak nie Meziac.

Siłą woli odwróciłam wzrok od mężczyzny i skupiłam się na tym, by złapać taksówkę. Zawołałam:  
- Taxi!

Przyspieszyłam kroku, i wtedy właśnie się pośliznęłam. Puściłam rękę Niny - jakimś cudem miałam świadomość, że inaczej pociągnęłabym ją za sobą - i upadłam.

Wyciągnęłam prawą rękę i poczułam zimny lód. Moje nogi się skuliły, czułam zimno całym ciałem. Ostre szczypiące zimno.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Pięć godzin później opuściliśmy z Niną szpital Lenox Hill. Miałam przemieszczoną i złamaną kość w prawym nadgarstku. Lekarze nastawili ją i założyli mi gips, od kłykci prawie do łokcia.

- Morgan? Chodźmy, kochanie. Chodźmy.

- Gdzie jesteśmy? - Byłam pijana od środków przeciwbólowych. Gdzie ja jestem?

Rozejrzałam się. Siedziałam w taksówce. Przed kamienicą z elewacją z piaskowca, w której mieszkała Nina, na Zachodniej Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy, po drugiej stronie East River.

- Zostaniesz u mnie na noc - oznajmiła Nina.

Pomogła mi pokonać chodnik i dotrzeć bezpiecznie do budynku. Potem, już u niej w domu, położyła mnie w sypialni, gdzie w dzieciństwie spędziłam tyle nocy, i przyniosła mi filiżankę gorącej herbaty z mlekiem i miodem - miksturę, której sama nigdy nie piła, ale którą wmuszała każdemu, kto był chory albo cierpiący. Bardzo ją lubiłam.

Co więcej, mleko z miodem i odrobiną herbaty oznaczało dla mnie spokój, troskę i bezpieczeństwo. Ten sam napój przygotowywałam mojej córce, kiedy czuła się źle, a ona zawsze piła go powoli, tak jak ja, żeby starczyło go na jak najdłużej. Tak samo robiłam w tej chwili.

**Wtorek**

**Pozostały trzy dni**





## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIERWSZY

To nie był moment normalnego przebudzenia. To było powolne wypełzanie ze skomplikowanego snu o gigantycznej szachownicy, na środku której stał Noah i wyciągał do mnie dwa pionki: czerwony i biały, pytając mnie, czy jestem gotowa do gry.

Miałam kaca po środkach przeciwbólowych, łupało mnie w głowie i rwało w nadgarstku.

Usiadłam i spojrzałam na piżamę, w którą byłam ubrana. Nie przypominałam sobie, żebym się rozbrajała. Zapewne Nina mi w tym pomogła. Kiedy wstałam, zakręciło mi się w głowie, więc wolnym krokiem ruszyłam do łazienki.

Okazało się, że było to trudniejsze, niż sobie wyobrażałam. Miałam kłopot ze ściąganiem, a potem podciągnięciem spodni od piżamy wyłącznie lewą ręką.

Zapowiadało się, że czeka mnie sześć ciężkich tygodni.

Znalazłam Ninę w kuchni. Siedziała przy małym stoliku przy oknie, które wychodziło na ogród zimowy.

- Pewnie bardzo cię boli - powiedziała na mój widok. - Chodź, usiądź tutaj. Dam ci trochę soku i jakieś tabletki.

- Nie jest tak źle - odparłam, manewrując krzesłem.

- Ale nie będziesz chyba odgrywać męczennicy, co? - Postawiła na stoliku kryształową szklanekę z sokiem pomarańczowym i talerzyk, na którym leżały dwie białe pigułki. Bez namysłu sięgnęłam prawą ręką po sok i natychmiast przeszył mnie ból.

Skrzywiłam się, położyłam moją złamaną rękę na kolanie i wzięłam głęboki oddech.

- Gdzie masz temblak?
- Zapomniałam.
- Zaraz wracam. A ty połknij te pigułki.

Nina przyniosła piękną jedwabną chustkę od Hermesa, czarną w duże miedziane maki. Udrapowała ją na mojej piersi i zawiązała na szyi.

- Mam temblak ze szpitala.
- Jest okropny.
- Nina, jesteś szalona. - Jak mogła użyć tak kosztownej rzeczy do podtrzymania mojej ręki?
- Jesteś tego warta. - Uśmiechnęła się.

Kiedy wypiłam sok, Nina spojrzała na talerz. Dwie pigułki spoczywały na nim nietknięte.

- Zamierzasz połknąć je z jedzeniem?
- Nie potrzebuję ich.
- Ależ oczywiście, że potrzebujesz.

Potrząsnęłam głową.

- Jesteś najbardziej upartą istotą, jaką znam. Nie boli cię?

- Przejdzie.
- Morgan, nie uzależnisz się od tabletek przeciwbólowych, jeśli połkniesz dwie czy trzy dziennie.
- Jeśli masz dwie ekstramocne sprzedawane bez recepty, wezmę je.

Już to przerabialiśmy. Leki, które sama łykam. Leki, które podaje Dulcie. Bałam się, że odziedziczyliśmy po mojej matce jej skłonność do nadużywania środków odurzających. W czasie naszego krótkiego wspólnego życia matka brała środki pobudzające i uspokajające, rozluźniające mięśnie i przeciwbólowe, a wszystko to popijała wódką.

O ósmej Nina wyszła do instytutu i nie musiała mnie specjalnie namawiać, żebym odwołała swoje sesje i została w łóżku. Przespałam prawie cały rano, obudziłam się w południe, zjadłam trochę zupy i kanapkę, które Nina przygotowała przed wyjściem, a potem spędziłam popołudnie, oglądając stare filmy w telewizji, unikając powtarzanych w kółko wiadomości o wyznaniu sędziego Alana Leightmana.

Miałam wiele rzeczy do przemyślenia, ale ból, który nie ustępował, na krótko pozwolił mi się od tego uwolnić.



## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Kiedy Alan Leightman znalazł się za kratkami, Jordain i Perez cały ranek nadrabiali zaległości w robocie papierkowej. W porze lunchu Perez udał się z dawno odkładaną wizytą do dentysty, Jordain natomiast został przy biurku, i tam właśnie zastał go Ken Fisher, informatyk, który wpadł do niego, by oznajmić, że wreszcie ma jakieś nowe informacje.

- Wszystkie e-maile, które otrzymały te kobiety od nadawcy o adresie bob205, zostały wysłane z komputera należącego do Uniwersytetu Nowojorskiego - oświadczył Fisher.

- To ma sens. Leightman wyklada na Uniwersytecie Nowojorskim. Więc teraz wiemy, dlaczego nie znaleźliśmy nic w jego domowym komputerze.

- Posłuchaj, Noah. Nie chcę ci mówić, co masz robić, ale pewne rzeczy się tu nie zgadzają.

- No to wal.

- Dobra, ale to ci się nie spodoba. Pamiętasz, jak mówiliśmy, że niemal w tym samym czasie, kiedy Debra Kamei otrzymała e-mail od Leightmana, z komputera Leightmana wysłano inny e-mail, który z całą pewnością przeszedł przez jego własne łącze internetowe?

- Zrób mi tę przyjemność i wyjaśnij, co to znaczy.

- To znaczy, że jeśli Alan Leightman wysłał jeden e-mail z uniwersytetu, nie mógł równocześnie być w domu i stamtąd wysłać drugiego e-maila. Przykro mi, szefie.

- Nie trzeba. Jeszcze nie. Może jego żona korzystała z jego komputera i wysłała e-mail, posługując się adresem męża? Czy to prawdopodobne?

- Jasne.

- Więc niewykluczone też, że on był w domu, a ktoś inny, powiedzmy jego żona, był na uniwersytecie i korzystał z jego skrzynki.

Fisher skinął głową.

- Możesz się dowiedzieć, z którego komputera na uniwersytecie wysłano ten e-mail?

- Jasne, to się da zrobić. Potem do ciebie wrócę, jeśli pozwolisz. - Odwrócił się i o mały włos nie zderzył się z Perezem.

- Butler właśnie złapała mnie w korytarzu. Mówią o tym we wszystkich wiadomościach. Kirę Rushkoff zabrano do Bellevue. Chyba przeżyła załamanie nerwowe.

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY TRZECI

Oficerowie Davis i Lynds eskortowali Alana Leightmana na zamożne przedmieście do szpitala Bellevue, a potem zaprowadzili go na górę, do pokoju jego żony. Właśnie mieli go wprowadzić do środka, kiedy spytał, czy nie mógłby wejść tam sam.

Davis pomyślał, że w szpitalnym pokoju niewiele może się stać. Prowadziło tam tylko jedno wejście, w środku była pielęgniarka. Leightman miał na rękach kajdanki. Mogli obserwować go przez szybę w drzwiach. Potem on albo Lynds zapytają pielęgniarkę, co mówił sędzia.

- Dobra, ale my tutaj zostajemy.

Alan wszedł, przystanął i spojrzał na Kirę, która leżała na szpitalnym łóżku podłączona do kroplówki. Wyglądała na wyniszczoną, jakby zapadła na śmiertelną chorobę. Jakby opuściła ją większość sił vitalnych. Czy spała? A może nie? Nie potrafił zgadnąć. Jej oczy były otwarte, lecz nie patrzyła na niego ani się nie odzywała.

Nie zareagowała, kiedy wypowiedział jej imię.

Czuł, że kolana się pod nim uginają, więc chwycił się ramy łóżka, czekał, aż wróca mu siły, a potem poprosił pielęgniarkę, by zostawiła ich na moment, by mógł porozmawiać z żoną sam na sam.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami i wstała, rozprostowała nogi i powoli ruszyła w stronę wyjścia. Odprowadził ją wzrokiem. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, zobaczył, że jeden z policjantów stanął za szybą. Alan nie przejmował się, że na niego patrzą. Liczyło się, że nikt go nie słyszał.

Usiadłszy obok Kiry, wziął ją za rękę, tę, która nie była podłączona do kroplówki, pochylił głowę i ucałował dłoń żony. Jak to możliwe, by ta kobieta, jego żona, popełniła tak wynaturzone zbrodnie?

- Kira? - szepnął.

Nic.

To było możliwe, ponieważ to on doprowadził ją do tego swoim uzależnieniem. Swoim brakiem empatii wobec jej cierpienia, tym, że odwrócił się od niej i co wieczór siadał przed komputerem.

Wyciągnął rękę i delikatnie przyglądził włosy żony, szepcząc znów jej imię, ale i tym razem nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

Kogo należy obwiniać, kiedy dziecko popełnia zbrodnię? Tylko dziecko? Czy może także rodzica? Nie, on nie jest jej rodzicem, ale to nie zmniejsza jego odpowiedzialności. Ilu spraw wysłuchał w swojej karierze? Ilu usprawiedliwień? Potrafił wyważyć racje obu stron w każdym przypadku.

Nawet, a zwłaszcza, w tym.

Całe życie poświęcił wymiarowi sprawiedliwości. I jeśli teraz miano by uczynić zadość sprawiedliwości, to jego należałoby ukarać. Tutaj, teraz, jest sędzią w ich sprawie, i chociaż niewątpliwie Kira popełniła najbardziej ohydny zbrodnię, to on był jej przyczyną.

Nigdy nie naprawi krzywd, jakie wyrządził tej nieszczęsnej kobiecie, ale może zapłacić za to tak, jak na to zasłużył.

Poczuł łzy pod powiekami, lecz starał się je powstrzymać. Co to teraz pomoże?

- Kira, kochanie, słyszysz mnie?

Nic.

- Kira, proszę. - Jego głos prawie się załamywał.

W końcu odwróciła głowę i spojrzała na niego jak przez mgłę, zamroczona lekami.

- Jesteś w szpitalu, ale wyjdiesz z tego. Słyszysz mnie?

Na pewno go słyszała. Na pewno rozumiała, co chciał jej powiedzieć.

- Kira, słyszysz mnie, prawda?

Przytaknęła.

- Nie martw się. Nigdy nikomu nie powiem. Za bardzo cię kocham. Przepraszam, tak bardzo cię przepraszam. Nic z tego, co zrobiłaś, nigdy nie wyjdzie na jaw. To ja to zrobiłem, prawda? To moja wina. Ty tylko odreagowałaś. Nie powinnaś zostać ukarana za to, że odreagowałaś.

Otworzyła szerzej oczy, jakby się przestraszyła. Miała zapadnięte policzki. Bez ciemnoczerwonej szminki, jej znaku firmowego, jej wargi wyglądały na cienkie i wysuszone.

- Nie możesz... - zaczęła słabym głosem.

Pochylił się niezręcznie, bo kajdanki ograniczały mu swobodę ruchów, i pocałował ją w czoło.

- Musisz wydobrzeć. A kiedy wrócisz do domu, pamiętaj, zniszcz wszystkie dowody na piśmie, wszystko, co masz w swoim komputerze, wszystkie możliwe ślady. Musisz się upewnić, że nie zostanie nic, co by cię wiązało z tym w jakikolwiek sposób. Oni nie przyjdą po ciebie. Nie będą mieli powodu. Ale ty musisz pozbyć się najmniejszego śladu. Rozumiesz?

Kira otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale z jej gardła wydobył się tylko szloch.



## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY CZWARTY

O czwartej trzydzieści, zamiast iść na swoje ulubione zajęcia plastyczne, Amanda wyszła wcześniej ze szkoły i wsiadła do autobusu na Piątej Alei. Nikogo nie obchodzi, że opuściła lekcję. Do diabła, nikogo tak naprawdę nie obchodzi, co opuszcza. Była w ostatniej klasie i już złożyła papiery do college'u. Ostatni semestr to tylko formalność.

W autobusie denerwowała się i dwa razy o mały włos nie wysiadła. A jeśli doktor Snow złamie obietnicę i powiadomi jej rodziców? Jeśli pójdzie do dyrektorki szkoły? Jeśli to zniweczy jej szanse na dostanie się do college'u, o którym marzyła? Czy psycholog szkolny napisze o wszystkim do Brown i Cornell?

Niczego nie można wykluczyć.

Nie sposób niczego przewidzieć.

A zatem najpierw każe doktor Snow obiecać, że zachowa to w tajemnicy. Ale czy można jej ufać? Tego też nie wiedziała. Timothy twierdził, że w ciągu minionych paru miesięcy niektórzy z chłopców opowiadali doktor Snow naprawdę obłeśne historie, a ona nikomu się nie wygadała.

Powinna była najpierw zadzwonić, a nie nachodzić ją bez zapowiedzi. Ale nie chciała, żeby doktor Snow wypytywała ją przez telefon.

W końcu autobus zatrzymał się na Sześćdziesiątej Piątej Ulicy. Amanda szybkim krokiem przemieściła się z Piątej na Madison, a potem szła dalej przeczną, aż znalazła bramę z kutego żelaza i małą plakietkę z brązu z nazwą Instytut Butterfielda.

Nacisnęła klamkę, ale drzwi nie ustąpiły.

Zobaczyła dzwonek i przycisnęła go.

Co ona powie, kiedy ktoś zapytają, kim jest? Czy ma podać prawdziwe nazwisko? A może tylko imię? Czy Doktor Snow zorientuje się, o kogo chodzi, jeśli poda tylko imię?

Zaczęła ją ogarniać panika. Potem usłyszała kliknięcie i kobiecy głos spytał ją, jak się nazywa.

- Amanda. Przyszłam do doktor Snow.

- Proszę wejść.

Znalazłszy się wewnątrz, Amanda potoczyła wzrokiem po wysokim suficie i na moment zatrzymała spojrzenie na kryształowym żyrandolu, który rzucał miękkie światło na brzoskwiniowe ściany i brązowe skórzane fotele. Zaskoczona, szukała czegoś, co wskazywałoby, że trafiła do poradni zaburzeń seksualnych.

Ale chyba dobrze trafiła, prawda?

- W czym mogę pomóc?

Amanda podeszła do recepcjonistki, tak mocno ściskając pasek plecaka, że wbijał jej się w skórę.

- Chciałabym się zobaczyć z doktor Snow.

- Nie widzę, żeby była pani zapisana.

Amanda pokręciła głową.

- Nie zapisywałam się.

- Doktor Snow nie ma dziś w pracy. Miała wypadek.

Amanda w zasadzie nie usłyszała niczego więcej po słowach: „nie ma dziś w pracy”. Tak wiele kosztowała ją decyzja, by tu przyjść. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedyś zdobędzie się na to. Pod powiekami poczuła piekące łzy. Cholera, nie będzie się mazać przed tą wyszykowaną laską.

- Doktor będzie w czwartek. Zapisać panią?

Może po prostu powinna zostawić swoją cholerną płytę i poprosić o przekazanie jej doktor Snow. Ale jeśli ta laska ją obejrzy? Jeżeli się domyśli?

- Na kiedy?

- Ma wolną godzinę o piątej trzydzieści. Pasuje pani?

Amanda szybko kiwnęła głową. Tak.

Ale czy ona naprawdę może czekać? Czy należałoby coś powiedzieć? Bała się - bała się dać sobie szansę, żeby powiedzieć nie, żeby stchórzyć, żeby wszystko schrzanić. Już i tak zbyt często to robiła. Musi dostarczyć tę płytę doktor Snow. Doktor Snow będzie wiedziała, co zrobić. Musi jej to przekazać. Już dość osób zmarło. Nic nie wydarzy się do czwartku. Nic się nie wydarzy.

Amanda zadrżała.

- Wszystko w porządku? - spytała blondynka.

- Niezupełnie - odparła Amanda, ale zanim dziewczyna z recepcji zadała jej kolejne pytanie, wybiegła.

## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY PIĄTY

Późnym popołudniem opuściłam dom Niny i pojechałam taksówką do siebie. Wszystko przychodziło mi z niejakim trudem. I wszystko mnie męczyło. Upuściłam torbę na podłogę, płaszcz rzuciłam na oparcie krzesła, a potem opadłam na kanapę.

W pokoju panowała cisza i unosił się lekki zapach ogrzanego powietrza przenikającego przez rury. Wstałam, by zapalić jedną z wielu zapachowych świec, które zawsze miałam pod ręką - nie dla stworzenia nastroju czy atmosfery do romansu, ale ponieważ były mi niezbędne, by pozbyć się niechcianych woni. Nie mogłam jednak poradzić sobie z zapalką jedną ręką.

Kiedy po czterdziestu minutach Mitch zadzwonił do drzwi, nadal siedziałam w pokoju, usiłując nie zwracać uwagi na rwący ból nadgarstka. Dziwnie było otwierać drzwi lewą ręką.

Mitch pocałował mnie delikatnie i czule w usta. Poczułam zimno, które ze sobą wniósł, i lekko zadrżałam, zdumiona, że lodowate powietrze przyszło za nim aż na górę.

- Boli cię jeszcze? - spytał, patrząc na moją rękę w gipsie na temblaku.

- Tak, ale to nic wielkiego.

- Założę się, że udajesz twardziela i nie łknęłaś nic silniejszego niż aspiryna.

Jego komentarz nie zabrzmiał sympatycznie. Czuję się, jakby obrzucił mnie obelgami.

- Nic mi nie jest.

Wzruszył ramionami, jakby już kiedyś to słyszał, co zresztą było prawdą. Nabrałam głęboko powiet-

rza. Oczywiście z początku tak to właśnie będzie wyglądało. Musimy wspólnie popracować, żeby znów się dotrzeć. Musimy znaleźć nowy sposób na bycie razem.

- Masz ochotę na drinka? - zapytałam.

- Ja się tym zajmę, a ty usiądź.

Pozwoliłam, by Mitch przygotował coś do picia dla nas obojga - czystą szkocką dla niego, wodę sodową dla mnie. Bałam się mieszać alkohol ze środkami przeciwbólowymi, które jeszcze nie wypłukały się z mojego organizmu.

Mitch przyszedł z drinkami na kanapę, podał mi szklanekę i wypił łyk szkockiej.

- Jak Dulcie? - spytałam.

- Nieustępliwa.

- Ja też.

- Wiem. - Uśmiechnął się z żalem.

- Chyba nie zamierzasz wchodzić między nas i przekonywać mnie, żebym się poddała? Bo ja nie ulegnę.

Mitch był przystojny w sposób, który powinien robić na mnie wrażenie. Ale siedząc w pokoju, który kiedyś był naszym pokojem, i patrząc na niego, niczego nie zauważyłam. Kiedy mnie pocałował, nie przeszedł mnie dreszcz. No oczywiście, byłam obolała. Dwadzieścia cztery godziny wcześniej złamałam rękę. Jak niby miałam się czuć? Ale moja krew nie krążyła szybciej, moje policzki nie zaróżowiły się, a zapach jego wody kolońskiej kazał mi się odsunąć, ponieważ wydał mi się odrobinę nieprzyjemny, jak bywa z niektórymi wspomnieniami.

- Nie, nie mam takiego zamiaru.

- Mitch, ona nie posiada jeszcze narzędzi, żeby odpierać niebezpieczeństwa, jakie tam na nią czekają.

- Nie musisz mnie pouczać, Morgan. Już powiedziałem, że nie będę próbował zmienić twojego zdania.

- To dobrze. Przepraszam. Bardzo przepraszam. Po prostu nie znoszę, kiedy nie ma jej w domu. Nie znoszę być osobą, która jej odmawia. Znowu jestem złym policjantem.

- Wszystko się ułoży. - Uśmiechnął się ponownie. - Masz ochotę wyskoczyć gdzieś coś zjeść?

Nie miałam ochoty. Chciałam zobaczyć się z Noahem. Chciałam z nim porozmawiać i powiedzieć mu, jak się czuję, i siedzieć z nim w kuchni, i żeby upichcił nam coś do jedzenia. Cholera jasna. Muszę przestać myśleć o Noahu. Oświadczyłam Ninie, że potrafię i muszę to zrobić, i że tego właśnie pragnę.

- Jasne, chodźmy.

- Dokąd?

- Nie ma znaczenia, gdzie chcesz.

- Morgan, wybierz jakieś miejsce. - W głosie Mitcha słyszałam irytację. Tak dobrze to wszystko znałam. Tę presję, która powodowała ucisk w piersi. Rozpoznawałam symptomy. Zapomniałam już, jak to było, kiedy mieszkaliśmy razem.

Moje małżeństwo z Mitchem nie zakończyło się tylko dlatego, że on sobie tego życzył. Ja też nie byłam szczęśliwa, chociaż odsuwałam od siebie tę myśl, choć ukrywałam się za moją córką i moją pracą.

- Mitch - odezwała się. - Boli mnie ręka i czuję się fatalnie po środkach przeciwbólowych. Chyba powinnam zostać w domu. Muszę się położyć.

Wstałam i odprowadziłam go do drzwi, gdzie pochylił się i pocałował mnie w czubek głowy.

- Zadzwoń do mnie jutro. I proszę, Morgan, nie upieraj się tak. Weź sobie coś na ból.

Ale gdy tylko zniknął z moich oczu, gdy tylko drzwi się za nim zamknęły i zostałam znów sama w domu, mój nadgarstek bolał jakby mniej i zmęczenie odeszło.



## ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY SZÓSTY

Z trudem wysupłałam się z ubrań. Każda czynność zabierała mi sporo czasu i kosztowała немало wysiłku, kiedy posługiwałam się tylko jedną ręką. W końcu ubrana w szlafrok podreptałam do kuchni i próbowałam nalać szklankę wody ze zbiornika z dozownikiem, ale nie byłam w stanie nacisnąć dźwignienki i trzymać szklanki jedną i tą samą ręką. Podałam się i nalałam sobie wody z kranu.

Ze szklanką w lewej ręce - z czym nadal czułam się dziwnie - udałam się w stronę mojej sypialni, ale po drodze zatrzymałam się przy drzwiach pokoju Dulcie.

Tęskniłam za nią. Nie za tą zawziętą nastolatką, która patrzyła na mnie zimnymi niebieskimi oczami, zaciskając wargi, ale za małą dziewczynką, która zwijała się w kłębek w moich ramionach, kładła głowę na mojej piersi i zasypiała na moich kolanach.

Dziecięce łóżko miało w sobie coś kojącego. Odstawiłam szklankę z wodą na nocny stolik, włączyłam telewizor Dulcie i skakałam po kanałach, aż znalazłam dziennik. Chciałam sprawdzić, czy od mojego wypadku pojawiło się coś nowego w sprawie Alana.

Na początek podano wiadomości z zagranicy na temat bombardowania na Bliskim Wschodzie. Potem informację z kraju o odrzutowcu jakiejś firmy, który zaginął nad Górami Skalistymi. I wreszcie to, na co czekałam: zdjęcie Alana Leightmana wypełniło cały ekran. Nie powinno mnie to ani trochę zdziwić, ponieważ byłam na to przygotowana, ale kiedy sie-



działałam w pokoju mojej córki, z bolącym nadgarstkiem, słuchając, jak nieznany mi dziennikarz przekazuje wiadomości, które zniszczą mojego pacjenta, lzy napłynęły mi do oczu. Człowiek, który całe życie poświęcił prawu i cieszył się nienaganną opinią, uznawany za sprawiedliwego sędziego, został zdegradowany. Nic, co stanie się później, nigdy nie odbuduje jego pozycji ani, zapewne, jego ducha.

Podniosłam słuchawkę. Nie zamierzałam dzwonić do Noaha, aby powiedzieć mu, jak za nim tęsknię ani że upadłam na ulicy, ani że przemyślałam propozycję Mitcha, ale by mu oznajmić, że bardzo się pomylili. Alan nie mógł nikogo zabić. Byłam o tym przekonana. A to znaczy, że zabójca wciąż przebywa na wolności. Ktoś niebezpieczny. Ktoś, kogo powinni szukać.

Wybrałam numer i usłyszałam pierwszy sygnał.

Ale co będzie, kiedy przekaże to wszystko Noahowi, a on zapyta mnie, skąd ja to wiem? Co mu wtedy odpowiem? Alan zabronił mi rozmawiać o nim z policją.

Usłyszałam drugi sygnał.

Nie, Alan stanowczo prosił, żebym nikomu niczego nie zdradzała. Posunął się tak daleko, że prawie mi groził. Po chwili, po raz pierwszy od wypadku, przypomniałam sobie mężczyznę stojącego w śniegu pod uliczną latarnią. Mężczyznę, który wyglądał jak ochroniarz Alana, Terry Meziac.

- Halo?

Więc zamiast mówić Noahowi to, co chciałam mu oznajmić, opowiedziałam mu, jak się pośliznęłam i złamałam rękę w nadgarstku.

- Płaczesz? - spytał.

Skinęłam głowę, zdając sobie sprawę, że on mnie nie widzi, i już miałam coś dodać, kiedy rzekł:

- Nie powinnaś płakać w samotności. Zaraz do ciebie jadę. Przywieźć ci coś? Jadłaś cokolwiek?

Rozbeczałam się na całego.



## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SIÓDMY

Większość mężczyzn przyniosłaby mi rosół z makaronem z jednego z barów wszechobecnych na nowojorskim Upper East Side. Ale nie Noah. Pojawił się z litrem gęstej zupy z kurczaka z dużymi kawałkami delikatnego białego mięsa oraz małymi okrągłymi plasterkami okry i pikantnie doprawionymi pomidorami, po których płakałam, ale już innymi łzami.

Kiedy siedzieliśmy przy kuchennym stole i jedliśmy z misek gęstą kreolską zupę, odpowiedziałam na wszystkie pytania Noaha i poinformowałam go o wszystkim prócz tej jednej rzeczy, o której najbardziej chciałam z nim porozmawiać - o tym, że widziałam Terry'ego Meziaca na ulicy i odniosłam wrażenie, że mnie śledził. Zataiłam też fakt, że Alan Leightman groził mi w gabinecie. Nie przyznałam, jak trudno mi pogodzić tego Alana, którego leczyłam już tak długo, z tym, który wpadł w panikę na myśl, że mogłabym komuś zdradzić, iż chodzi do mnie na terapię, nawet gdyby działało to na jego korzyść na policji.

Noah ostrzegł mnie kiedyś, że jeśli Alan nie jest winny, to ja znajduję się w niebezpieczeństwie. Miał na myśli, że osobie odpowiedzialnej za zbrodnię zależy na moim milczeniu.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Alan może mieć inne powody, dla których chce, żebym milczała.

- Mocno cię boli? - spytał.
- Nie.
- Nie wierzę ci.

- Naprawdę. Wcześniej było gorzej. Połknęłam jakieś proszki.

- Na receptę?

- Nie. Ale pomogły.

- Okej. A jeśli będziesz potrzebowała czegoś mocniejszego, masz coś w domu?

Skinęłam głową.

Przez kilka sekund oboje milczeliśmy.

- Muszę ci coś powiedzieć o Alanie Leightmanie. Nie wolno mi o tym mówić. Nie mogę ci ujawnić, skąd to wiem. Ani nic innego. Zgoda?

- Nie mam wyboru.

- To niemożliwe, żeby Alan Leightman zabił te dziewczyny.

- Wiem, że tak uważasz, a jednak się przyznał. Mamy dowody świadczące o tym, że oglądał je w Internecie.

- To nie dowód, że jest mordercą, prawda?

Spojrzał na mnie z pełnym zrozumieniem uśmiechem.

- Żaden terapeuta nie chce uwierzyć, że może się mylić co do swojego pacjenta. Nie powinnaś się obwiniać.

- Niech cię szlag. Musisz mnie traktować protekcyjnie? Po pierwsze, nigdy nie powiedziałam, że on był moim pacjentem.

- Nie traktuję cię protekcyjnie. Mówię tylko coś, co jak sama wiesz, jest prawdą. Nie chcesz, żeby on okazał się winny. Nie chcesz, żeby wyszło na to, że się pomyliłaś. Wiem, jak się czujesz. Rozumiem cię.

Wlepiłam wzrok w pustą miskę. Nigdy nie nauczę się dobrze gotować.

Jak miałam powiedzieć Noahowi, że Alan nie zdradzał żadnych cech osoby zdolnej do popełnienia czterech makabrycznych morderstw, nie wyznając równocześnie, że był moim pacjentem, i nie łamiąc danej Alanowi obietnicy, że będę chronić jego prywatność.

Czy to był powód, który powstrzymał mnie przed wypowiedzeniem pewnych słów? A może dałam się Alanowi sterroryzować? Może przestraszył mnie widok Terry'ego Meziaca, czy kogoś, kogo za niego wzięłam?

Nie, Alan nie byłby zdolny do tego, żeby mnie skrzywdzić, nawet po to, by zamknąć mi usta. Pracowałam z nim wystarczająco długo, żeby mieć w tej kwestii pewność. Podniecało go ryzyko utraty reputacji, związane z logowaniem się na stronach pornograficznych. A jednocześnie wstydził się tego, co robił. Ale nie obchodziła go żadna z oglądanych kobiet. Nie czuł potrzeby, by którejkolwiek z nich szukać i poznać ją osobiście, pomóc jej czy przeciwnie - zaszkodzić. Nie postrzegał ich jako prześladowczyń. Zresztą już dość długo wchodził na strony z pornografią, by mieć świadomość, że nawet jeśli pozbędzie się tych trzech, czterech czy pięciu dziewczyn obnażających się przed internetową kamerą, zawsze znajdą się inne, wystarczy tylko kliknąć dalej. Owszem, on potrzebował tych dziewczyn z sieci tak samo jak nałogowy kokainista nie może obejść się bez działki, lecz w jego obsesji nie było śladu agresji. Noah wstał, zebrał miski ze stołu i zapalił gaz.

- Moja matka nigdy nie uwierzyła, że upiłem się i rozbiłem nasz samochód, jak miałem dziewiętnaście lat - oznajmił.

- To na nic.

- Co?

- Opowiadanie mi rodzinnych historyjek, że twoja matka nie mogła uwierzyć, że coś takiego zrobiłeś. To mnie nie przekona, że jestem w błędzie.

Nie spierał się ze mną i nie próbował dokończyć historii, którą zaczął opowiadać. Przy pomocy oryginalnej chochli, której nigdy dotąd nie używałam, napełnił znów nasze miski i postawił je na stole. Unosiła się z nich wonna, pikantna para.

- Jedz - rzucił. - Nic, cokolwiek powiesz, nie zmieni mojej opinii.

- Nic? - spytałam, przelknąwszy łyżkę gęstej zupy.

- Może jest coś takiego, kochanie, ale tego mi raczej nie powiesz.

Zastanowiłam się chwilę. Nawet gdybym się z nim czymś podzieliła, nie dysponowałam żadnymi faktami. Mogłam tylko zgadywać, w oparciu w swoją wiedzę, na podstawie cotygodniowych opowieści Alana o jego demonach.

Tak, Alan ma destrukcyjną osobowość, ale nie zniszczyłby nikogo prócz siebie. Całe swoje życie poświęcił prawu i sprawiedliwości. Obronie niewinnych.

Kogo teraz osłania?

Wzięłam do ust kolejną łyżkę. Jeśli skupię się na jedzeniu, nie będzie mnie kusiło, żeby mówić.

- Jeżeli wiesz coś ważnego, naprawdę nie powinnaś tego przede mną ukrywać.

Nabrałam kolejną łyżkę zupy.

- Morgan.

Dobrze, może wolno mi to zrobić. Może nie wyjawiając wprost żadnych tajemnic, zdołam skierować jego myśli na odpowiednie tory.

- Dlaczego akurat te cztery dziewczyny, Noah? Dlaczego trucizna? Dlaczego robiłby sobie tyle kłopotu, żeby je zabić na oczach całego świata? A jeśli to zrobił, czemu się przyznał? Co zyskał tym wyznaniem? Są miliony pytań. Znasz na nie odpowiedzi?

- Jeszcze nie, ale je poznamy. Wiem, co czujesz, ale naprawdę nie obchodzi mnie, co skłoniło go do przyznania się do winy. Poza tym, nawet gdyby się nie przyznał, istnieje dość poszlak w jego komputerze, żeby większość sędziów go skazała.

- Być może. Ale on tego nie zrobił.

Znowu, mimo woli, wlepiłam wzrok w dno miski.

- Chcesz jeszcze? - spytał Noah.

Pokręciłam głową.

- Trzy miski? O nie. - Zaśmiałam się.

- Więc jak złamałaś sobie rękę?

- Nadgarstek. Pośliznęłam się na lodzie, pomagając Ninie przejść przez zaspę.

- W ciągu ostatnich trzech tygodni w Nowym Jorku połamało się więcej ludzi niż w ciągu minionych dwóch lat. Na pewno cię nie boli?

- Na pewno. Wczoraj mnie rwało, ale teraz to tylko tępy ból. Można się przyzwyczać.

- Można, ale po co?

- Czasami nie ma wyboru.

Czułam podtekst moich słów, i byłam pewna, że Noah także to czuł. Podniósł się z krzesła i zaczął sprzątać ze stołu. Byłam mu bardzo wdzięczna za tę pomoc.

- Napijesz się herbaty? - spytał. - Zaproponowałbym kawę, ale jest dosyć późno, a ty powinnaś się wyspać.

- Dzięki. Niech będzie herbata.

Napełnił czajnik wodą, wyjął kubki i rumiankową herbatę, pokroił cytrynę.

- Słodka?

Przez sekundę pomyślałam, że mówi to o mnie, ale potem zrozumiałam, że miał na myśli miód do herbaty.

- Proszę.

Musiał usłyszeć jakąś nutę w moim tonie, ponieważ jego ręka zawisła w powietrzu i przez kilka sekund patrzył mi w oczy.

- Przeżywasz trudne chwile, co? - spytał.

Skinęłam głową.

- Ty też?

Teraz on przytaknął.

Byliśmy niczym szachowe figury, w milczeniu kiwające głowami.

Wstałam od stołu, podeszłam do niego i odsunęłam go od kuchenki.

- Pozwól, że ja zrobię herbatę.

Przyglądał się, jak niezdarnie wyjęłam dwie torebki i włożyłam po jednej do każdego kubka, a potem zdrową ręką nałożyłam łyżeczką miód. Czajnik zaczął wyśpiewywać swoją melodię.

Bardzo nieporadnie nalałam wrzątek do kubków, zamieszałam i wcisnęłam cytrynę. W końcu podniosłam kubek i podałam go Noahowi.

- Przepraszam za poprzedni wieczór - powiedziałam. - Nie chciałam cię zranić. Nie chodziło o ciebie. Wiem, że czeka mnie wiele pracy z Dulcie,



ale zamierzam zrobić to sama. Mitch niczego nie rozwiąże.

Noah się uśmiechnął.

- Przynajmniej o jednej rzeczy myślisz rozsądnie. Weź herbatę i chodźmy stąd. Chyba powinnaś się położyć, przykryć się po brodę i nastawić sobie jakiś stary film - zasugerował i wyciągnął do mnie rękę.



## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY ÓSMY

Stałam przy łóżku, a Noah mnie rozbierał - powoli, bez żadnych erotycznych podtekstów, za to z niezmierną czułością. Zdjął mi sweter przez głowę, a potem wygładził moje zmierzwione włosy. Jego dłoń działała kojąco jak kołysanka.

- Gdzie masz nocną koszulę?

Pokazałam na drzwi łazienki.

- Wisi z tyłu.

Wysunęłam stopy z butów.

Noah przyniósł mi koszulę i położył ją na skraju łóżka. Rozpiął guzik i suwak spodni. Zaczęłam ścigać je zdrową ręką, ale Noah odsunął ją i sam je zdjął. Potem przytrzymał mnie za łokieć lewej ręki, a ja wyjęłam nogi z nogawek. Wiedziałam, że powinnam się sprzeciwić i zapewnić go, że dam sobie radę, że nie potrzebuję niczyjej pomocy. Zamierzałam to powiedzieć, ale kiedy o tym myślałam, Noah przykłęknął i zdjął mi skarpetki, najpierw prawą, a później lewą. Jego pomoc wcale nie była niemila.

Stając znów obok mnie, rozpiął mi biustonosz i pomógł mi go zdjąć przez gips na prawej ręce. Zsunęłam ramiączko z lewej ręki. Noah nawet nie dotknął mojej skóry, czułam tylko jego oddech na karku i szorstki materiał dżinsów w miejscu, gdzie jego lewa noga stykała się z moją, choć on chyba nie był tego świadomy.

Później stanął za moimi plecami i włożył mi przez głowę koszulę nocną. Kiedy z trudem wsunęłam prawą rękę do rękawa, pociągnął koszulę w dół.

- Gotowe - oznajmił, odsuwając koldrę. - Wskażuj.

Przykrył mnie dokładnie, znalazł pilota, włączył telewizor i tak długo skakał po kanałach, aż trafił na to, czego szukał.

- Idealnie - uznał, zanim spojrzałam na ekran. Miał rację.

„Rzymskie wakacje” z Audrey Hepburn i Gregorym Peckiem. To był najodpowiedniejszy film na ten wieczór, kiedy wszystko się skomplikowało i wydawało się, że niczego nie da się rozwiązać.

- Mógłbyś mi jeszcze podać telefon? Zanim zasnę, muszę zadzwonić do Dulcie. Muszę zacząć porządkować nasze sprawy.

- Co jej powiesz?

- Wyjaśnię jej, co czuję...

- Mogę coś zasugerować?

- Spróbuj.

- Powiedz jej, że za nią tęsknisz i odbierzesz ją w niedzielę po spektaklu. Że wtedy wróci z tobą do domu.

- To chyba nie najlepszy sposób na...

- Morgan, tyle czasu poświęcasz Dulcie i analizowaniu, jak najlepiej sobie z nią poradzić. Nie skrzywdzisz jej, wprowadzając pewne zasady. Jedną z nich to fakt, że ty jesteś jej mamą, a ona ma robić to, co jej każesz. Dzwon.

Już miałam zaproponować, ale to, co powiedział, było takie proste. On nie zastanawiał się bez końca. Nie przejmował się konsekwencjami ani problemami psychologicznymi. Skupił się na istocie sprawy: jestem twoją matką i pewnych rzeczy od ciebie wymagam.

Zadzwoiłam.

Noah podniósł się i stanął przy oknie. Pilnował mnie, tak myślę, a ja patrzyłam na jego plecy i ramiona do chwili, kiedy moja córka podeszła do telefonu.

Spytała mnie, jak się czuję. Odparłam, że dobrze. Nie chciałam mówić jej przez telefon o moim wypadku. Poproszę Mitcha, żeby jej o tym powiedział. Albo zaczekam, aż się z nią zobaczę. Przez kilka minut rozmawiałyśmy o jej przedstawieniu. Nie wspomniała o przesłuchaniach do serialu. Była nieco zdystansowana, ale bez kłótni zgodziła się wrócić do domu.

- Jestem wykończona - powiedziałam do Noaha, kiedy się rozłączyłam.

- To zrozumiałe. - Zbliżył się do nocnego stolika, wyłączył lampkę, zabrał pilota, nastawił timer, żeby telewizor wyłączył się zaraz po filmie, no i w końcu opatulił mnie kołdrą pod brodę.

- Pora spać, kochanie.

- Wracasz do domu?

- Nie, będę spał w salonie. Twoja kanapa jest o wiele wygodniejsza od rozmaitych łóżek, na których spałem. Będzie mi bardzo dobrze.

- Nie, to szaleństwo. Dlaczego nie...

- Ciii. Nie chciałbym, wierząc się w łóżku, przypadkiem rozbić się o twój gips. Nie przejmuj się mną. Śpij już. Nie nastawiam żadnego okropnego budzika. Sam cię obudzę, tylko powiedz mi, o której.

Zamknęłam oczy i słuchałam ścieżki dźwiękowej filmu. Mój nadgarstek nadal bolał, ale tylko tyle, że nie dawał o sobie zapomnieć, i trudno było mi znaleźć wygodną pozycję z ręką w gipsie, a mimo to już dawno tak szybko nie zasnęłam.

**Środa**

**Pozostały dwa dni**



## ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

W momencie przebudzenia usłyszałam muzykę - dobiegał mnie bluesowy jazz, który pasował do tego zimnego zimowego poranka. Najpierw pomyślałam, że to płyta, ale potem uświadomiłam sobie, że to Noah gra na małym pianinie, które należało do mojej babki, a potem matki, a teraz do mnie, i stało w kącie pokoju, niewiele warte jako instrument, raczej sentymentalna pamiątka.

Grał przez dziesięć minut, a ja leżałam pod ciepłą kołdrą, myśląc o nim, o tym, że spał na kanapie, a przede wszystkim o tym, że został ze mną na noc.

- Dzień dobry - powiedział, pojawiając się kilka minut później z kubkiem parującej kawy, która pachniała mocniej niż ta, którą ja parzyłam.

I chociaż w kuchni najlepiej wychodziła mi kawa, w porównaniu z tą, którą robił Noah, moja była ledwie znośna.

Kiedy piłam kawę, Noah przygotował mi kąpiel, a gdy wanna napełniła się gorącą wodą, pomógł mi przejść do łazienki.

- Sama zdejmę koszulę.
- Okej, zawołaj, jak będziesz mnie potrzebowała.

Najpierw zdjęłam koszulę przez głowę, potem ściągnęłam ją z prawej ręki, a następnie ostrożnie weszłam do wanny, kładąc prawą rękę na półce, z nadzieją, że się nie zamoczy. Właśnie zanurzyłam się w gorącej wodzie, kiedy usłyszałam stukanie do drzwi.

- Tak?
- Mogę wejść?

- Jasne.

- Jakbyś usiadła, umyłbym ci włosy. Wiem, jak trudno to zrobić jedną ręką.

Wdzięczna usiadłam, pochyliłam się do przodu i zamknęłam oczy.

Noah masował mi głowę szamponem. To była sama rozkosz. Siedziałam w pachnącej wodzie, a silny mężczyzna zajmował się mną troskliwie. Pomyślałam, że po takich wrażeniach nie będę w stanie pójść do pracy. Kiedy splukał mi włosy, wziął myjkę. Wycisnął na nią trochę żelu o zapachu werbeny i limonki i umył mnie. Robił to delikatnie, ze szczególną dbałością, bez cienia erotyzmu. A potem skończył.

- Zostawię ci tu ręcznik - rzekł, wieszając go na wieszaku obok. - A może pomóc ci wyjść z wanny?

Nie byłam pewna.

- Może. Trochę kręci mi się w głowie.

Wziął znów ręcznik, zarzucił go na ramię, po czym wyciągnął do mnie rękę. Gdy tylko znalazłam się na podłodze, owinał mnie dużym ręcznikiem frotte.

Stanąwszy za moimi plecami, wycierał mnie do sucha. Nigdy w życiu nie czułam się tak rozpieszczana. Następnie zdjął suchy ręcznik z wieszaka i delikatnie wytarł nim moje włosy.

W łazience było ciepło, wilgotno i pachniało miło, a ręce Noaha były duże i pewne tego, co robią. Nie przypominałam sobie, by ktokolwiek kiedykolwiek tak czule się mną zajmował. Moja matka z pewnością wycierała mnie po kąpieli, kiedy byłam dzieckiem, ale już umknęło mi to z pamięci. Poza tym, to była moja matka, a Noah, choć zachowywał się po ojcow-

sku, był jednak mężczyzną. Mężczyzną i moim kochankiem. Stał w mojej łazience bez koszuli, a ja miałam na sobie tylko ręcznik.

Potem Noah włączył suszarkę do gniazdka nad umywalką i suszył mi włosy, czesząc je palcami zamiast grzebieniem.

- Wystarczy. Musimy cię teraz ubrać i przygotować ci śniadanie - powiedział, wyprowadzając mnie z łazienki, jakbym była gościem i nie wiedziała, dokąd się udać.

Kiedy dotarliśmy do mojej garderoby, Noah odwinął mnie z ręcznika. Teraz, w końcu, jego wzrok wędrował po moim ciele. Czułam, jakby dotykał mnie spojrzeniem, ale on udawał, że nie zauważa ani własnego podziwu, ani mojej reakcji. Zamiast tego zaczął grzebać w szufladach, podczas gdy ja czekałam naga. Najpierw znalazł czarny stanik, później czarne koronkowe figi.

A potem zaczął mnie ubierać.

Włożył ramiączko stanika na moją prawą rękę, a potem na lewą, poprawił ramiączka i miseczki na moich piersiach, a kiedy wreszcie zapiał haftki na plecach, odetchnęłam głęboko. Dostałam gęsiej skórki, sutki mi stwardniały. Zastanawiałam się, o czym on myśli. Jeśli w ogóle ma pojęcie, co się ze mną dzieje.

Pochylił się, uniósł moją prawą nogę i wsunął na nią majtki, potem to samo zrobił z lewą. Obiema rękami wciągnął figi przez łydki, kolana, uda, biodra, a na koniec wygładził je na brzuchu i pupie.

Poruszyłam się, mimowolnie zakołysałam biodrami.



Noah znowu przeglądał moje ubrania. Pragnęłam, by się odwrócił i znów mnie dotykał. Ale nie spełnił moich niewypowiedzianych pragnień, dopóki nie zdjął z półki czarnego kaszmirowego swetra. Wówczas, stając do mnie twarzą, zaczął wsuwać mi rękaw swetra na gips, a potem wyżej, poprawiając go obiema rękami, przyglądając palcami, tak że nie byłam już pewna, co wywołuje moje doznania - jego palce czy miękka wełna. Potem włożył mi drugi rękaw. Na zakończenie zapiął sweter, zaczynając od dołu, i lekko ściągnął, żeby dobrze leżał w talii i na biodrach.

Raz jeszcze zabrał się za oględziny mojej garderoby, i tym razem wyjął parę szarych spodni. Położyłam rękę na jego ramieniu, a on powoli wciągnął mi spodnie. Zapiął suwak rozporka i guzik przy pasku.

Teraz oboje byliśmy ubrani, chociaż Noah wciąż nie miał na sobie koszuli, i staliśmy twarzą w twarz w mojej garderobie. Moje włosy były jeszcze wilgotne. Jego dłonie nadal spoczywały na mojej talii, a już w chwilę później nie dzieliła nas żadna przestrzeń.

Obejmowaliśmy się ciasno, a wargi Noaha miażdżyły moje usta. Moja zdrowa ręka znalazła się na jego plecach, przyciągałam go jeszcze bliżej.

Jego dłonie przesuwają się po wszystkich tych miejscach, których przed chwilą dotykał, tyle że nie były już niewinne i pomocne, teraz stały się dociekliwe. Przez sweter ujmowały moje piersi, przesuwały się w górę i w dół po moim kręgosłupie, wślizgiwały się pomiędzy uda, pobudzając mnie przez materiał spodni i bieliznę.

Istnieje taki rodzaj pożądania, który przejmuje władzę nad twoją świadomością, blokuje czas i ro-

zum. Twoje ciało odpowiada na nie automatycznie. Wyłączasz myślenie. Nie obchodzi cię nic poza dotykiem i fizycznym doznaniem. Czujesz pulsowanie w brzuchu. Jesteś w uniesieniu.

Moje biodra wgniatały się w biodra Noaha. Objął mnie, chwycił mocno i przyciągnął tak blisko, że bliżej już nie mogłam się znaleźć.

Powoli, w tym samym porządku, w jakim wkładał mi ubrania, teraz je zdejmował. Rozpiął moje spodnie, rozsunał suwak i ściągnął je, aż opadły do kostek, a potem pomógł mi wyjąć nogi z nogawek. Później uklęknał. Myślałam, że chce mi zdjąć bieliznę, a on wtulił twarz między moje nogi. Czułam jego gorący oddech przez koronkowe figi, aż zaczęłam się wiercić i wysunęłam biodra do przodu.

Z trudem łąpałam powietrze, nie mogłam nabrać go głęboko do płuc. To, czego pragnęłam, nadchodziło powoli. Chciałam, żeby to trwało wiecznie.

Noah rozpiął mój sweter i zdjął go, bardzo ostrożnie ściągając rękaw z gipsu.

Kiedy odpinał haftki stanika, lewą ręką zaczęłam rozpinąć mu spodnie. Nie szło mi łatwo, ale w końcu sobie poradziłam. A kiedy wreszcie zostaliśmy nadszy i nic już nas nie dzieliło, Noah przytulił się do mnie, a ja poczułam przy swoim ciele jego wspaniałe nagie ciało.

- Musisz zrozumieć - powiedział między pocałunkami w kark i za uchem - że nie ma nic złego w tym, że człowiek chce czuć coś więcej oprócz bólu.

Czy mu odpowiedziałam? Czy skinęłam głową? Powiedziałam: „Tak, masz rację”?

Nie sędzę.

Wszystko zawierało się w gestach i ruchach. Wszystko było w doznaniach i zmysłach. Nie musiałam niczego ubierać w słowa. Istniały inne sposoby, by przyznać mu rację - wargami, palcami, tym, jak otworzyłam się dla niego.

Leżeliśmy na podłodze. Czułam wzwód Noaha na swoim brzuchu. Pieścił mnie aż do bólu, aż musiałam poprosić o to, czego pragnęłam, chociaż wciąż nie słowami, tylko obejmując go nogami w talii, przygarbiając go do siebie i unosząc się, aż we mnie wszedł.

Uszczypnęłam zębami miękką małżowinę uszną Noaha, lizałam wnętrze jego ucha. Noah pocałował mnie w usta, ale potem się odsunął.

- Ta chwila należy do ciebie.

I tak było. Kochał się ze mną całym swoim ciałem, i całe moje ciało mu odpowiadało. Moje zmysły tonęły w powodzi zapachów rozmarynu i mięty. Jego miękkie włosy pieściły moje piersi, a jego gorący oddech mój policzek. W tej małej przestrzeni nie istniało nic prócz nas dwojga. W normalnym pokoju, gdzie jest więcej miejsca, natychmiast pojawiłyby się duchy moich pacjentów i ich problemy, żeby się z nami zabrać na tę przejażdżkę. Ale ta podróż była tylko dla nas, w tym ciasnym przedziale brakowało miejsca dla innych podróżnych. Tylko my dwoje. Nasze splecione ciała, moje okrzyki połączone z jego głębokim oddechem, który łaskotał mnie, kiedy jego palce nadszkakiwały moim palcom.

A potem, kiedy nadal byliśmy tylko my dwoje na tej powierzchni, która ledwie nas mieściła, zapomniałam, że jest ranek, i że jest zimno, i że jacyś ludzie będą na mnie czekać, i że bałam się dopuścić kogoko-

lwiek tak blisko. Noah już był we mnie. Wszystko  
wymknęło mi się z rąk. A później już wcale nie myślałam.



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Najukochańsza moja!

To już prawie koniec. Można by się spodziewać radości, przecież wszystko poszło zgodnie z planem, i nadal nikt mnie o nic nie obwinia. Wypadałoby coś czuć, prawda? Przynajmniej jakiś rodzaj spełnienia. Czy jakąś satysfakcję, że udało się przechytrzyć policję.

Tymczasem w środku czuję tylko wielką ziejącą pustkę, a na samym jej dnie siedzi jakieś zdziczałe, wiecznie głodne zwierzę - z szeroko otwartą paszczą - gotowe rzucić się na każdy ochłap. Zatapia swoje ostre zęby w każdym kęsie mięsa, jakim go karmię, a mimo to jego apetyt stale rośnie.

Dlaczego ono nie ma dość? Co jeszcze muszę zrobić, by udowodnić, że cię kocham?

Mam dla ciebie wyłącznie miłość. Tak, tak było i tak pozostało. Nawet szeptem nie próbuj zaprzeczać. Wyrwę swoje trzewia i zjem je na twoich oczach, żeby ci udowodnić, jak bardzo cię kocham.

Nic już nie chcę wiedzieć, niczego już nie muszę robić poza tym, żeby jakoś ci wszystko wynagrodzić i sprawić, żebyś to zrozumiała. Zostały tylko dwa dni do twoich urodzin. Osiemnaście lat temu siła miłości była dla mnie czymś zupełnie nieznanym, a teraz mnie zdumiewa.

Kiedy nocą leżę w łóżku i myślę o tobie, wciąż nie daje mi spokoju wstyd, który cię dręczył. Czy to moja wina, że nigdy nie rozumiałaś, jakie walory posiadasz, kim jesteś, ani że świat szeroko otwierał przed

tobą swoje podwoje? Jak mogło to umknąć mojej uwadze? Musiałaś tak bardzo cierpieć, że to przeze mnie, tak wcześniej niewinna, tak bardzo się obnażyłaś.

Te kobiety, w których nie ma nic z prawdziwych kobiet, polegają wyłącznie na swoich ciałach, wijących się, skręcających, falujących. Wykonują swoje tańce dla tych, którzy na nie patrzą, i nigdy przez myśl im nie przejdzie, że ktoś może cierpieć z powodu ich ekshibicjonizmu.

Nikt nie bierze za to odpowiedzialności i nikogo nie można obwiniać, ponieważ wszystko jest legalne i wszystko jest moralne, a nawet jeśli nie jest, to i tak pozostaje bez znaczenia.

Jesteś ofiarą idei, snem, który zbyt szybko się skończył. Powinnaś była być od tego wolna, powinnaś była być na to odporna. Ty, właśnie ty, nie powinnaś była zostać ofiarą, biorąc pod uwagę to, kim ja jestem, w co wierzę i o co walczę.

A jednak zostałam nią, i dlatego teraz ja domagam się ofiar w twoim imieniu. To za mało, że one umierają. To wciąż za mało, że inni przyglądają się ich śmierci. Teraz pozostała mi tylko jedna. Ona przyniesie mi najwięcej satysfakcji, ponieważ kiedy ją skreślę, wówczas spalę tę listę i zamienię ją w czerwony ogień, a potem popiół, a później popiół w proch się obróci. I kres uwieńczy dzieło. Robię to wszystko dla ciebie.

**Czwartek**

**Pozostał jeden dzień**



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Kiedy rankiem wyszłam z domu, na dworze było jeszcze ciemno. Prognoza pogody zapowiadała kolejny dzień bez słońca. W nocy świeża warstwa białego puchu przyprószyła dachy, drzewa, hydranty i samochody. Detale krajobrazu zniknęły pod śniegiem. Znaki drogowe były nieczytelne.

Podobnie kłamstwa Alana Leightmana kryły prawdziwego mordercę. Nikt nie widział tego, co znajdowało się pod śniegiem. Nikt nie dostrzegał tego, co ukrywało się za wyznaniami Leightmana.

Lekarz Kiry czekał na mnie w holu szpitala. Uścisnęliśmy sobie dłonie - dla mnie było to trochę dziwne, bo musiałam podać mu lewą rękę. Porozmawialiśmy przez kilka minut o stanie Kiry, a potem on zaprowadził mnie na górę.

Alan pozwolił mi z nią porozmawiać. Tego dnia, gdy oświadczył, że zamierza przyznać się do winy, prosił, bym zadzwoniła do doktora Harrisa, a gdybym go nie złapała, żebym pojechała do Kiry i była przy niej, gdy dotrą do niej złe wieści.

To właśnie teraz robiłam, tyle że z pewnym opóźnieniem. Jeżeli przekraczałam jakąś linię, była to bardzo cienka linia. Musiałam zamienić z Kirą kilka zdań. Ktoś musi dojść do tego, co się właściwie dzieje.

Pamiętałam Kirę Rushkoff jako wysoką kobietę o dość szerokich ramionach, tymczasem w fotelu, w którym siedziała, wydawała się o wiele drobniejsza. Chyba nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak się skurczył. Spodziewałam się ujrzeć przystojną kobie-



tę o doskonałej prezencji, której nic nie może wytrącić z równowagi. Teraz to należało już do przeszłości. Jej włosy były brudne i potargane, szpitalny szlafrok był poplamiony i pognieciony. Paznokcie miała połamane, a lakier z nich poodpryskiwał. Nie potrafiła skupić na niczym wzroku, jej spojrzenie wędrowało po całym pokoju.

Zdałam sobie sprawę, że niezależnie od tego, kim niegdyś była, w tej chwili ta kobieta ma bardzo słaby kontakt z rzeczywistością. Od zagubionych dziewcząt oddzielała ją cienka jedwabna nić.

- Jak pani się czuje?

Wzruszyła ramionami.

- Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać.

- Niech mi pani jeszcze nie dziękuję. Nie wiem, czy chcę z panią rozmawiać. Raz chcę, a raz nie chcę. Jestem wściekła na Alana. Ale kocham mojego męża.

- Rozumiem i...

- Po co chciała mnie pani widzieć? - Podniosła zieloną plastikową słomkę, którą zginała i prostowała.

Przez sekundę czy dwie obserwowałam ten ruch.

- Chciałam panią spytać, czy może mi pani powiedzieć, dlaczego Alan przyznał się do zbrodni, której nie popełnił.

- Skąd pani wie, że nie popełnił? - Ścisnęła koniec rurki z całej siły.

- Ponieważ pracuję z nim już sporo czasu i wiem, że nie jest zdolny zrobić tego, do czego się przyznał. Jedyne logiczne wyjaśnienie, jedyne, co nadałoby temu sens, to fakt, że wie, albo zdaje mu się, że wie, kto zabił te kobiety, i woli sam ponieść karę, niż narażać na to prawdziwego sprawcę.

- Szlachetny, co? - Jej sarkazm trwał tylko przez chwilę, a potem się rozpląkała.

Spojrzałam na doktora Harrisa. Skinieniem głowy pozwolił mi kontynuować.

Gwałtowny zwrot od pełnej żalości rozpaczcy do goryczy i łez wcale mnie nie zdziwił. Alan mówił mi, jak bardzo Kira czuła się zdradzona z powodu jego uzależnienia. Ze wszystkich grzeszków, jakie mógł popełnić, wybrał taki, który był dla niej najgorszym policzkiem.

- Wiem, że jest pani zła. I ma pani prawo być bardzo zła. Alan panią upokorzył. Złamał wszystkie obietnice, jakie kiedykolwiek pani składał.

Obserwowałam ją uważnie. Siedziała teraz mniej sztywno. Przygryzła dolną wargę, powstrzymując się przed mówieniem. Minęło kilka sekund. Potem wzięła oddech i zaczęła mówić tym samym sarkastycznym tonem, co chwilę wcześniej.

- On zasługuje na więzienie. Wielki i wyniosły sędzia za kratkami. - Dając upust pogardzie, nie przestawała płakać, co stanowiło kompletną sprzeczność.

- Nie wiem, jakim cudem tak długo pani to wytrzymywała. To musiało być najtrudniejsze doświadczenie w pani życiu. Mąż odwrócił się od pani i wybrał te dziewczyny z Internetu...

- To był koszmar.

- Wiem. Potworność.

Patrzyła teraz na mnie bacznie, nie ocierając łez, które spływały po jej policzkach. Nie zauważała nawet, że cieknie jej z nosa.

- On nie zdawał sobie sprawy, że ja cały czas go kochałam. Powinna być mu to powiedzieć. Powin-

nam była go dotykać. Powinnam była szybciej poszukać pomocy.

- On robił bardzo złe rzeczy, okropne rzeczy - wtrącałam.

- Ale z tego powodu nie powinien trafić do więzienia - szepnęła. - Chcę, żeby cierpiał i zapłacił za swoje sprawy, ale nie powinien znaleźć się w więzieniu.

- On uważa, że powinien. Wie pani, dlaczego?

Skinęła głową.

- Dlaczego?

Milczała.

- Kira, czy on przyznał się do winy, ponieważ myśli, że to pani zabiła te dziewczyny i chce panią chronić?

Spuściła wzrok na filiżankę trzymaną w dłoniach i poruszyła słomką do przodu i do tyłu. Przyglądałam się temu, czekając na odpowiedź.

Po pięciu minutach uświadomiłam sobie, że Kira nie powie mi nic więcej, a zatem wyszłam z jej pokoju.

W windzie męczyłam się z rękawiczką, kiedy zadzwoniła moja komórka. Byłam sama, więc odpowiedziałam. Allison poinformowała mnie, że mój następny pacjent odwołał wizytę, więc nie muszę spieszyć się do instytutu.

Na dole drzwi windy otworzyły się i ruszyłam przez hol. Dotarwszy do wyjścia, zorientowałam się, że nie mam rękawiczki. Czy zgubiłam ją w windzie? A może tuż przed nią? Zawróciłam.

Terry Meziac stał jakieś sześć metrów ode mnie. Zamarłam. Czyżby mnie śledził? Ale dlaczego? A może to przypadek? W tym szpitalu leży żona

Alana. Alan siedzi w więzieniu. Może Terry pilnuje Kiry na prośbę sędziego, i wcale mnie nie śledzi?

Dostrzegłam rękawiczkę na podłodze przed windą. Pochyliłam się po nią, a kiedy się wyprostowałam, Meziac zniknął. Szybko ogarnęłam wzrokiem hol, lecz nigdzie go nie dostrzegłam.

Oczywiście, że chronił Kirę Rushkoff. Jest w końcu ochroniarzem.

Ochroniarzem z kryminalną przeszłością, jak napomknął mi Noah.

Wyszłam w pośpiechu i szczęśliwie złapałam taksówkę.

Kiedy podałam kierowcy adres, odwróciłam się, a gdy ruszyliśmy, patrzyłam przez tylne okno, lecz niczego podejrzanego nie zauważyłam.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

- Wiem, co chciałam z niej wydobyć, ale mi się nie udało.

- Sądziłaś, że ona się przyzna i zamierzałaś uzyskać ułaskawienie dla swojego pacjenta - powiedziała Nina. - Jesteś przekonana, że on nie ma nic wspólnego z tymi morderstwami, że kogoś chroni, i byłoby absolutnie logiczne, gdyby tym kimś okazała się jego żona.

Siedziałyśmy w gabinecie Niny. Było za zimno, żeby wychodzić na zewnątrz, więc Nina zaprosiła mnie na lunch - kanapki z żytniego chleba z tuńczykiem. Właśnie zjadła swoją porcję, a ja ugryzłam dopiero parę kęsów.

- Nie rozumiem miłości ani trochę lepiej niż czterdzieści lat temu, kiedy zaczęłam studia nad psychiką człowieka. Jesteśmy potwornie żalonymi ofiarami własnych emocji.

Nie miałam ochoty filozofować. Należało wymyślić jakiś sposób, żebym mogła porozmawiać z policją o Kirze, nie łamiąc etyki zawodowej.

- A jak twój nadgarstek? - spytała Nina.

Spuściłam wzrok na biały gips. Jak śnieg, z czasem zaczął szarzeć, na długo przedtem niż nadeszła pora, by go zdjąć.

- W porządku.

- Boli cię jeszcze?

- Trochę. Ale to nieważne.

- To ważne. Dla mnie. Jesteś cierpiąca, a ja nie mogę nic na to poradzić.

- Och. Masz rację. Teraz nastąpi krótka przypomnienie. Mów dalej, uczona kobieto.

- Gdybym mogła ulżyć ci w bólu, Morgan, zrobiłabym to. Ty tak samo odczuwasz ból Dulcie. Widziałam cię, kiedy się skaleczyła. Ale nie możesz żywić podobnych uczuć w stosunku do pacjenta.

- Nie mogę też stać bezczynnie i przyglądać się z boku, jak Alan bierze odpowiedzialność za coś, czego nie zrobił. Za coś, co jak przypuszcza, zrobiła jego żona, chociaż nie jestem również pewna, czy jego żona byłaby do tego zdolna. A tymczasem osoba, która zamordowała te dziewczyny, wciąż pozostaje na wolności.

- Na czym polega problem Alana, Morgan?

- Nie jestem neofitką jak Blythe, od wielu lat prowadzę terapie. Nie podoba mi się to, co mówisz.

- Spróbuj zrozumieć mimo wszystko. Więc jaki ma problem?

- Ma problem z bliskością. Jego żona jest prawdziwą żywą kobietą, a zatem kontakt z nią wymaga od niego zaangażowania emocjonalnego. A on nie chce mieć do czynienia z własnymi emocjami, więc unika seksu z żoną. Ona z kolei nie radzi sobie z jego dystansem, więc sama jeszcze bardziej się dystansuje. To była silna kobieta, miała władzę, zarabiała dużo pieniędzy, często pisano o niej w gazetach, i ona postawiła na to. Zdobyła jeszcze więcej władzy, zarabiała jeszcze więcej pieniędzy i miała jeszcze lepszą prasę. Znalazła sobie wymówkę. On nie kocha mnie tak, jak chcę być kochana, ponieważ jestem za silna. Osiągnęłam zbyt duży sukces. To działa. No i tak odsunęli się od siebie. Ona robi karierę, on ma swój Internet, który pozwala mu osiągnąć

fizyczną satysfakcję bez ryzyka emocjonalnego. Znajduje przyjemność i podniecenie bez bliskiego związku, i nie ma wyrzutów sumienia, że zdradza żonę. Jak mi idzie? - zapytałam sarkastycznie.

Zadzwonił telefon Niny. Nie musiałam patrzeć na zegar na ścianie, by wiedzieć, że przyszedł jej kolejny pacjent.

- Staram się ci pomóc - powiedziała.

- Wiem.

Ale idąc do mojego gabinetu, nie miałam pojęcia, jak mogłaby mi pomóc. Nie wiedziałam tego, dopóki nie usiadłam przy swoim biurku. Dopiero wówczas zrozumiałam, dlaczego Nina zadawała mi te wszystkie szczegółowe pytania.

Skąd ona posiada wystarczającą wiedzę o Alanie, by zdać sobie sprawę, że ja się z nim identyfikuję? Czuję, że gdybym go uratowała, gdybym mu pomogła, znaczyłoby to, że potrafię też uratować siebie. Nie przed Internetową pornografią, ale przed zimną, pozbawioną emocji krainą, do której uciekałam, ilekroć znalazłam się zbyt blisko słońca.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Trzymano go w celi w więzieniu Tombs na Dolnym Manhattanie. Odwiedzałam już tutaj pacjentów, ale nikt tak bardzo nie odstawał od tego otoczenia jak Alan Leightman.

- Nie rozumiem, dlaczego pan tu siedzi? Jest pan sędzią Sądu Najwyższego miasta Nowy Jork - powiedziałam, kiedy zajęliśmy miejsca naprzeciw siebie w pomieszczeniu dla gości.

- Jestem mordercą, Morgan. Dlatego tu siedzę. - Mówiąc to, nie potrafił spojrzeć mi w oczy.

- Zasłużyłem sobie na to.

Teraz na mnie popatrzył. To akurat była prawda. Uważał, że nie ma prawa do żadnych wygód czy pobłażliwości. Był człowiekiem sukcesu, który uważał się za niegrzecznego chłopca, którego należy ukarać.

- To miło, że pani się tutaj pofatygowała. Tylko proszę nie myśleć, że poniosła pani ze mną klęskę.

- Nie jestem taka pewna. Moim zadaniem jest pomóc panu zobaczyć się takim, jaki pan jest naprawdę. Zrównoważyć tę osobę, którą pan się stał, z udręczonym dzieckiem, którym był pan wcześniej. Wyposażyć pana w narzędzia, które pozwolą panu wyjść z nałogu. W żadnej z tych kwestii nie odniosłam sukcesu. Gdyby mi się udało, nie brałby pan na siebie winy za to, co się stało.

Znowu odwrócił ode mnie wzrok.

- Nic takiego nie robię.

- Nie przekona mnie pan. Widziałam się z Kirą.



- To miło z pani strony. Jak ona się czuje?  
- Nachylił się ku mnie, zainteresowany. Zatraskany. Znow nawiązał ze mną kontakt.

- Nie wiem, Alan. Nie dysponuję odpowiednimi narzędziami, żeby to ocenić. Nie znałam jej przedtem. Ale chyba nie jest z nią najlepiej.

- Chciałbym, żeby została pani jej terapeutką. Żeby teraz pani się nią zajęła.

- Nie mogę. Formalnie rzecz biorąc, nadal jest pan moim pacjentem. Nie mogę leczyć równocześnie pana i pańskiej żony. Poza tym ona ma już dobrego lekarza.

- Na pewno jest dobry?

- Alan, nikt nie jest dość dobry, żeby pomóc Kirze w jej cierpieniu. Ona wie, że pan nikogo nie zabił, i męczy ją poczucie winy, że pan robi to wszystko po to, żeby ją osłaniać.

Alan zeszywniał.

- O czym pani mówi? Osłaniać ją? - Nagle się zdenerwował, wiercił się na krześle, oglądał się za siebie, rozglądał na boki, sprawdzał, czy nikt nie podsłuchuje.

- Ona chciała pana ukarać. Chciała, żeby pan się martwił, że pański nałóg doprowadził ją do szaleństwa. Ale jeśli tylko tego chciała? Jeśli pan się myli, i ona nie zabiła żadnej z tych kobiet? Rozważył pan to dokładnie?

Zaczął coś mówić, ale zawiesił głos. Niezależnie od tego, w jak wielkim bólu przychodził do mojego gabinetu, niezależnie od tego, jak bardzo był zły i zażenowany, nigdy nie widziałam go w takim stanie jak obecnie. Ten mocno zbudowany mężczyzna wyglądał, jakby się skurczył. W jego oczach, mądrych

oczach, nawet gdy były szklane ze wstydu, teraz widziałam tylko bezradność.

- Alan, dlaczego nie chce pan ze mną o tym porozmawiać?

Szukał słów, mówił z przerwami.

- Jeśli Kira... jeśli ona... cokolwiek musiała zrobić... wszystko to moja wina. Nie potrafię wyjaśnić tego inaczej. Niech pani mnie nie prosi. Niech pani jej nie prosi. Tak musi być, Morgan.

- Pańska żona jest chora z powodu pańskiego zachowania.

Przytaknął.

- A która kobieta nie rozchorowałaby się na wieść o tym, że jej mąż zamordował trzy młode dziewczyny?

- Nie to miałam na myśli.

- Nie chcę rozmawiać o tym, co miała pani na myśli.

Gdzieś ktoś zarechotał i wyrzucił z siebie stek przekleństw. Żadne z nas nie próbowało go przekrzywić.

- Wsadzałem tutaj ludzi - stwierdził Alan.

Spotkaliśmy się wzrokiem.

- Alan, pan nie powinien tutaj siedzieć.

- Skąd pani wie? Nie rozumie pani? Tutaj jest moje miejsce. W moim komputerze znajduje się dowód na to, że oglądałem te kobiety. A w ich komputerach są dowody, że się z nimi kontaktowałem. Prosiłem je, żeby posłużyły się tymi zatrutymi przedmiotami. Jeżeli ja tego nie zrobiłem, doktor Snow, to kto inny, jak nie moja żona, mógł posłużyć się moją skrzynką e-mailową? Kto jeszcze wiedział,

że wchodziłem na te strony? Że rzeczywiście ciągle oglądałem te dziewczyny.

- Ale jeśli jednak jest pan w błędzie? Jeśli żona zamierzała tylko wzbudzić w panu podejrzenie, że to ona? Jeżeli...

- Doktor Snow, proszę mnie posłuchać. - Jego głos był cichy i nagły. - W moim komputerze jest dowód na to, że wchodziłem na te strony nawet wtedy, kiedy faktycznie tego nie robiłem. To znaczy, że wchodziła tam Kira. Szła moim śladem. Oglądała te kobiety. Wspominałem pani o tym kilka tygodni temu. W komputerach tych kobiet znaleziono e-maile ode mnie z prośbą, żeby podczas występu wykorzystały zatrute przedmioty. Czego jeszcze pani nie rozumie?

Zignorowałam fakt, że mi złośliwie przygadał. Tłumaczyła go presja, pod jaką się znajdował.

- Alan, a czy pan rozumie, że policja da sobie spokój z tą sprawą, dopóki pan tu siedzi? Jeżeli pańska żona jest niewinna, i pan też nie jest winny, to znaczy, że morderca przebywa na wolności. Wiem, o co pana proszę, ale jeżeli mam rację? Co się stanie, jak pan wyląduje za kratkami, a potem okaże się, że jednak miałam rację i ten człowiek znowu kogoś zabije? Wtedy naprawdę będzie pan miał czyjaś krew na rękach. Będzie pan sędzią odpowiedzialnym za zbrodnię. Jak będzie pan z tym żył?

Pokręcił głową.

- A jeśli to pani się myli? Co by było, gdyby Kira musiała stanąć przed sądem? Wyobraża sobie pani, co by to dla niej znaczyło? Dla jej opinii? Jej pozycji? Jej zdrowia psychicznego? Przeżyła bardzo ciężkie chwile. I tak wiele poświęciła, żeby zostać Wielmoż-

na Panią Kirą Rushkoff. - Jego głos znów był błagalny. - Nie zostało jej już nic, z czego mogłaby zrezygnować. - Nagle zauważył mój gips. - Co się pani stało w rękę?

Wzruszyłam ramionami.

- Pośliznęłam się.

- Złamała ją pani?

Przytaknęłam.

- Zagoi się. Za sześć, siedem tygodni. - Jego słowa brzmiały poważnie. Patrzył przed siebie, jakby widział już dzień, kiedy zdejmą mi gips i wiedział, gdzie wtedy będzie, jaki los go spotka. - Nie wolno pani rozmawiać o tym wszystkim z policją. Rozumie pani? Niezależnie od tego, czy jest pani pewna swoich racji, ja na to nie pozwalam. Nie chce mnie pani poddawać takim testom, rozumie pani?

- Pan mi grozi, Alan? Próbuje pan mnie nastraszyć?

- Jeśli to konieczne. Nie będzie pani o tym z nikim rozmawiać. Zrozumiano?

- Czy kazał pan Terry'emu Meziacowi mnie śledzić?

Alan zamilkł, identycznie jak jego żona wcześniej tego samego dnia.

Byłam tak sfrustrowana, że miałam ochotę krzyzczeć i płakać równocześnie.

- Chcę, żeby pan wiedział, że nie zamierzam z nikim rozmawiać bez pańskiej zgody. Ale nie musi pan mnie straszyć. A pan to robi.

W tym momencie po raz pierwszy od mojego przyjscia zobaczyłam, że kąciki ust Alana się unoszą. Nigdy nie widziałam smutniejszego uśmiechu.

- Niech pan go zwolni z tego obowiązku, Alan.  
Nie będę już zawracać panu głowy. Niech pan  
radzi sobie sam.



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Przez całą drogę powrotną do instytutu siłą woli zmuszałam się, by się nie odwracać i nie sprawdzać, czy ktoś za mną jedzie. Kiedy wysiadłam przed wejściem do budynku, nie obejrzałam się przez ramię i nie szukałam wzrokiem Terry'ego Meziaca. Wiedziałam, że nawet jeśli mnie śledził, to nie po to, by zrobić mi krzywdę, ale żeby napędzić mi strachu. A to już nikomu by się nie udało.

Bolało mnie gardło, czułam, że nabawiłam się przeziębienia. Miałam ochotę pojechać do domu i zwinąć się pod kocem. Zamiast tego wzięłam pastylkę do ssania, zrobiłam herbatę i przyjechałam kolejnego pacjenta.

A potem następnego. Czekałam właśnie na Blythe, kiedy zadzwoniła Allison.

- Zapomniałam ci powiedzieć, że tego dnia, kiedy cię nie było, Blythe odwołała dzisiejsze spotkanie, i dałam jej miejsce nowej pacjentce. Właśnie idzie na górę.

Kilka chwil później Amanda stanęła w drzwiach mojego gabinetu. Mokry śnieg spływał z jej butów i topił się na jej włosach. Na policzkach miała czerwone plamy. Wydawało się, że nie jest w stanie przekroczyć progu.

- Możesz wejść - zachęciłam ją. - W porządku. Naprawdę bardzo się cieszę, że cię widzę.

Z wahaniem zrobiła mały krok do przodu. Jej chude ciało było szczelnie owinięte wielkim długim czarnym płaszczem, na nogach miała zamszowe

buty. Zostawiała na podłodze kałuże roztopiającego się śniegu.

Kiedy już znalazła się w środku, znowu zamarła, przyciskając plecak do piersi i patrząc na mnie, jakby prosiła mnie, żebym wstała i pchnęła ją dalej na przód.

- Zdejmij płaszcz, tutaj jest ciepło.

Szła powoli i ostrożnie, krok za kroczkiem, jakby stąpała po desce nabitej gwoździami. W końcu przystanęła na środku pokoju, obok kanapy, na którą rzuciła swój płaszcz i na której ostatecznie usiadła. Przez cały ten czas ani na moment nie wypuściła z rąk plecaka.

- Nikt się nie dowie, że tutaj przyszedłam, prawda? To tajemnica, tak jak w szkole.

- Tak. Absolutnie.

Moja odpowiedź nie uspokoiła Amandy.

- Czy muszę pani zapłacić?

- Zastanowimy się nad tym później, dobrze? Skinęła głową.

- To jest trudniejsze, niż się spodziewałaś, tak? Znowu przytaknęła.

- A czego oczekiwałaś?

- Miałam nadzieję, że pani jakoś domyśli się, co chcę pani powiedzieć, i nie będę musiała nic mówić.

Zaśmiałam się.

- Chyba wszyscy moi pacjenci woleliby, żebym czytała w ich myślach i żeby nie musieli mówić. Ale ja nie posiadam takich zdolności, więc będziesz musiała mi powiedzieć, co masz do powiedzenia. Obiecuję ci jednak, że nie będę zszokowana ani zdziwiona, i nie będę cię osądzać.

- To już wiem, bo tak jest w szkole.

Kiwnęłam głową i czekałam. Amanda ani razu się nie rozejrzała. Wciąż zaciskała palce na pasku plecaka. Minęło kilka sekund. Potem jeszcze kilka. Zaczęła bawić się suwakiem, rozsunęła go i zasunęła.

Bardzo pragnęłam ją ośmielić, ale nie chciałam jej przestraszyć. Zwłaszcza że zadała sobie tyle trudu.

W końcu się odezwała:

- To jest naprawdę skomplikowane, doktor Snow. To ma coś wspólnego z czymś, o czym nikt nie wie. - Zmarszczyła czoło. - No, parę osób wie, ale...

- Czy twoi rodzice wiedzą?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Okej. Nie dowiedzą się, dopóki sama nie zechcesz im powiedzieć.

Nie słuchała mnie już, tylko wlepiła wzrok w szklaną gablotkę, która wisiała na ścianie za biurkiem. Wewnątrz znajdował się opalizujący niebieski motyl, prezent od Niny.

- To dziwne - szepnęła.

- Co?

- Że pani ma takiego motyla.

- Czemu?

- Lubi pani motyle?

Skinęłam głową. Dopiero teraz Amanda potoczyła wzrokiem po gabinecie i spostrzegła tapetę w motyle, i szklany przycisk do papieru w kształcie motyla na biurku. Zrobiła udręczoną minę. Bez słowa wstała, sięgnęła po płaszcz, wymamrotała coś niezrozumiale i wybiegła z gabinetu.



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Patrząc z perspektywy czasu, zawsze znajdujemy powody naszego postępowania, wystarczy, że chwilę zastanowimy się nad nimi. Jednak tego wieczoru nie namyślałam się zbyt długo, decydując się wyjść za Amandą z instytutu. Teraz wiem już, że poszłam za nią, ponieważ widziałam, że była bardzo zmartwiona i wzburzona, a ja bałam się o nią. A także z powodu jej wieku. Była ledwie parę lat starsza od mojej córki, i chciałam ją chronić tak samo jak Dulcie.

To był jakiś rodzaj wymiany karmy. Jeśli zaopiekuję się Amandą, myślałam, to ktoś inny otoczy opieką Dulcie, jeżeli kiedykolwiek znajdzie się w podobnym stresie. Ale to również przerażenie na twarzy Amandy na widok uwiecznionego motyla na ścianie gabinetu kazało mi wstać i pójść jej śladem. Dlaczego tak zareagowała? W jakie wpadła kłopoty, że wybrała się aż do mojego gabinetu, by ze mną porozmawiać, a potem uciekła?

Kiedy znalazłam się na ulicy, ona dotarła już do rogu i kierowała się na zachód w stronę Piątej Alei.

Przyspieszyłam kroku, by ją dogonić, zapominając o moim nadgarstku i lekarskim napomnieniu, żebym zachowywała większą ostrożność na zdradzieckich chodnikach.

- Amanda!

Odwróciła się, a gdy mnie zobaczyła, chciała ruszyć biegiem, ale akurat zmieniło się światło i znalazła się w pułapce.

Po czterech krokach stanęłam obok niej, położyłam lewą rękę na jej ramieniu, sugerując tylko, żeby zawróciła.

- Mogę pójść z tobą? - zapytałam w końcu.

- Chyba tak.

Kiedy zapaliło się zielone światło, przeszliśmy na drugą stronę Madison Avenue i szliśmy dalej na zachód w milczeniu, mijając sklep z pozytywkami Rity Ford, jedno z ulubionych miejsc mojej córki w tym mieście.

Amanda szczękała zębami, z nerwów albo z zimna. Nie zapięła płaszcza, nie włożyła rękawiczek i miała gołą głowę. W połowie przecznicy znalazłyśmy się przed szerokimi drzwiami.

- Wstąpmy tutaj na chwilę. Ogrzejesz się, usiądziemy. Nie musisz nic mówić, a ja tylko dotrzymam ci towarzystwa.

Amanda weszła za mną do skromnego przed-sionka.

- Byłaś tu kiedyś? - spytałam.

- Chodziłam tutaj do szkółki niedzielnej - odparła.

Skręciłyśmy w lewo i minęłyśmy kolejne drzwi prowadzące do głównego pomieszczenia synagogi Tempie Emanuel.

- Ja też tutaj chodziłam - powiedziałam.

A teraz moja córka tutaj chodzi, pomyślałam, lecz zachowałam to dla siebie. Chciałam, żeby Amanda czuła się ze mną swobodnie, żeby nie widziała we mnie rodzica, a raczej kogoś, przed kim nie musi strzec tajemnic.

Synagoga na szerokość zajmuje niemal całą przecznicę i ma nad wejściem piękną rozetę ze szkła witrażowego. Wlewa się przez nią do wnętrza mięk-

kie czerwone i niebieskie światło. Wśliznęłam się na jedną z ławek niedaleko ołtarza i podniosłam wzrok na znajome złote drzwi, za którymi znajdowała się Tora. Amanda usiadła obok mnie.

Cisza i pustka świątyni działały kojąco. Liczyłam na to, że uspokoją roztrzęsione nerwy Amandy.

Siedziałyśmy tak może dwie albo trzy minuty, kiedy rozległy się pierwsze donośne dźwięki organów i nas otoczyły. Ktoś ćwiczył, ale bezbłędnie, a gdy muzyka Beethovena wypełniła przestrzeń, Amanda trochę się rozluźniła.

- Tutaj panuje autentyczny spokój, prawda?

Skinęła głową i zaczęła bawić się zamkiem błyskawicznym plecaka, który znowu kurczowo przyciskała do piersi.

- Czy masz w nim coś, co chciałabyś mi dać?

- spytałam łagodnie, z nadzieją, że moje słowa połączą się z muzyką i jej nie przestraszą.

Nie odpowiedziała. Odezwałam się znowu, jakbym przemawiała do trzylatka, którego trzeba nakłaniać pochlebstwami:

- Może mi to dasz, Amando.

Spojrzała na mnie. Próbowałam uśmiechnąć się zachęcająco. W końcu Amanda rozpięła plecak i wyjęła przezroczyste płaskie plastikowe pudełko. Potem odłożyła plecak na bok, jakby był już bezużyteczny, stracił dla niej wartość. Teraz to, co najcenniejsze, ścisnęła w rękach.

- Wie pani, kto to jest Simone? - spytała.

- Nie.

- Żaden z chłopców nie wspominał pani o niej?

- Wydawała się zdumiona.

- Nie. Czy to twoja przyjaciółka?

- Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami.

- Czy coś jej się stało?

Amanda westchnęła, po czym wciągnęła wargi w taki sposób, że prawie nie było ich widać.

- Twierdzili, że przedawkowała. - Ciężar tych słów przygniótł ją, osunęła się głębiej na ławce.

- Co przedawkowała?

- Prochy i wódkę. Ale chodzi o to, że ona nigdy... my nigdy nie brałyśmy narkotyków.

- Kiedy zmarła?

- W czerwcu zeszłego roku. To nie było przedawkowanie. No, może było, ale to nie był wypadek, jak napisali w raporcie. - O ile wcześniej nie chciała mówić, to teraz spieszyła się, by wszystko z siebie wyrzucić. Miałam kłopot ze zrozumieniem jej słów, zagłuszanych przez muzykę.

- Co masz na myśli, mówiąc, że to nie był wypadek?

- Ona prawie przez rok żyła w depresji i czuła się okropnie, i w końcu powiedziała mi, że zamierza to zrobić. Powiedziała mi nawet, co napisze w liście pożegnalnym. Cały dzień próbowałam wybić jej to z głowy, ale bezskutecznie. Nie wiedziałam, jak jeszcze mogę ją powstrzymać, więc zagroziłam, że pójdę do jej matki. Przynależałam, że pomogę jej znaleźć kogoś, z kim będzie mogła porozmawiać. Że zdobędę nazwisko terapeuty, do którego chodziła jedna dziewczyna z naszej klasy. Simone się zgodziła. Obiecała, że tego nie zrobi. Wieczorem zadzwoniłam do Robin. Dostałam od niej numer terapeuty, a on powiedział mi, że przyjmie Simone następnego dnia i nawet da jej zniżkę. Chciał tylko pięćdziesiąt dolarów za wizytę, a ja miałam dużo więcej za-

oszczędzonych pieniędzy. Zadzwoiłam do Simone, była dopiero siódma wieczorem. Mówiła o wiele spokojniej. Zapewniła mnie, że czuje się naprawdę dobrze. Że ze mną pójdzie. - Amanda zaczęła płakać.

Do głosu doszły znów moje macierzyńskie uczucia, których powinnam unikać, jeśli miałam być jej terapeutką. Z drugiej strony nie chciałam nadal jej wypytwać, zachowując dystans. Najchętniej wzięłabym ją w ramiona i zobowiązała się, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, byle już dłużej nie cierpiała.

- Co ją tak dręczyło, Amando?

Spuściła wzrok na przedmiot, który wciąż trzymała w dłoni.

- To. Same to nakręciłyśmy. Ale się rozeszło. Jej matka się dowiedziała. Simone bardzo się wstydziła.

- Przed kolegami.

- Nie, przed mamą. Chciała, żeby jej mama, no wie pani, żeby ją wysłuchała i spróbowała zrozumieć, co się stało i w ogóle... - Przesuwała palcem po grzbiecie plastikowego pudełka.

- Chcesz, żebym to obejrzała?

Skinęła głową, ale jeszcze nie podała mi pudełka.

- Zanim... najpierw... muszę coś wyjaśnić.

Wzięła głęboki oddech, jakby szykowała się do zanurkowania w otchłań, a potem zdradziła mi swój sekret, mówiąc jeszcze szybciej, tak że jej słowa zamazywały się jak pejzaż mijany pociągiem pędzącym ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Zamierzałyśmy tylko przekonać chłopców, że nie jesteśmy gorsze od tamtych dziewczyn. Umieję obsługiwać kamerę cyfrową. Już wcześniej robiłam nią filmy. Wydawało nam się, że to będzie proste.

Doszliśmy do wniosku, że wystarczy zobaczyć, co oni oglądają, i to skopiować. To znaczy, miałyśmy nagrać takie same scenki, jakie odgrywały tamte dziewczyny, a potem wysłać film chłopakom. Myślałyśmy, że jak zobaczą, że też to potrafimy, to zainteresują się nami. Simone podobał się Timothy. Chciała, no wie pani, żeby z nią to zrobił. A ja chciałam... nieważne. No więc najpierw musiałyśmy to obejrzeć i zorientować się, o co chodzi. Kiedy po raz pierwszy spróbowałyśmy naśladować te dziewczyny z Internetu, trochę napawało nas to obrzydzeniem, ale potem, im częściej to powtarzałyśmy, tym łatwiej nam szło. I coraz bardziej nam się podobało. I wtedy... kiedy...

Urwała znowu, a ja pozwoliłam jej płakać. Patrzyłam na jej drżące ramiona, wyciągnęłam rękę i pogłaskałam ją po plecach.

- Nie od razu czułyśmy się ze sobą swobodnie, z początku nagość nas krępowała. No i dziwnie było dotykać się w taki sposób. Ale potem jakoś poszło. - Westchnęła głośno. - Polubiłyśmy to. I nie rozumiwałyśmy, co to znaczy... - Zawiesiła głos.

Uznałam, że to koniec jej wyznania. Oczami wyobraźni widziałam dwie dziewczynki, które udają lesbijki przed kamerą i odkrywają w tym zmysłową rozkosz.

- To znaczy tylko tyle, że ludzie mogą sprawiać sobie nawzajem przyjemność. Że jeśli otworzymy się na różne doświadczenia, wielu z nas odkryje, że w pewnych rzeczach znajdujemy zadowolenie, niezależnie od tego, kto nas zaspokaja.

Amanda wydawała się słuchać mnie z uwagą. Kiwała przy tym głową.

- Nie wiedziałyśmy, czy oznacza to, że jesteśmy lesbijkami czy nie. - Uspokoila się trochę. - Żaden chłopak nigdy nas nie dotknął. A my przecież robiłyśmy im laskę. Na to nam pozwolili. Ale żaden z nich nie dotykał nas tak, jak dotykałyśmy się z Simone przed kamerą. I było nam wtedy dobrze. Ale to nic nie znaczy, prawda?

- Nie, kochanie. - Wiedziałam, że popełniam błąd, używając czułych słówek. Ale w tej chwili nie przejmowałam się tym, cała czułość świata Amandzie by teraz nie zaszkodziła. - To nie znaczy, że jesteście lesbijkami. Seksualność to bardzo skomplikowana sprawa, zwłaszcza kiedy się ją dopiero odkrywa. Czy Simone przestraszyła się, że jest lesbijką? Chyba nie z tego powodu połknęła pigułki?

Trudno byłoby mi w to uwierzyć. W końcu mieszkamy w Nowym Jorku, w dwudziestym pierwszym wieku. Rodzice Simone na pewno pogodziliby się z faktem, że mają córkę o skłonnościach homoseksualnych.

- Nie, nie z tego powodu. Ale przez takie myślenie czułyśmy się jeszcze dziwniej. No i jeszcze bardziej to ukrywałyśmy. Poza tym czasami robiłyśmy to bez kamery. Nazywałyśmy to próbami. A potem Simone zobaczyła tę dziewczynę, która cięła się żyłką. Wtedy się przestraszyłam. No bo żadnego z chłopaków to nie podniecało, a Simone przeciwnie. Zresztą to nie musiało być takie złe, chociaż... nie, to wcale nie musiało być takie złe...

- Kochanie, co się stało?

Amanda zamknęła oczy.

- Najpierw proszę obiecać, że zachowa pani to dla siebie. Nikt w szkole nie wie, że to ja. Ani że to Simone. Nie może pani pokazać tego filmu nikomu w szkole. To znaczy nauczycielom. Timothy wszystko wie. Ale nikt poza tym.

- Dobrze.

- Obiecuje pani?

Spojrzałam na nią z powagą.

- Tak. Bóg mi świadkiem.

- My... my naśladowałyśmy te dziewczyny z Internetu, a potem wysłałyśmy nasz film Timothy'emu. Nie powiedziałyśmy mu wtedy, że to my. Timothy pokazał film Hugh i Barry'emu. Nie rozpoznali nas. Nosiliśmy maski, jak jedna z tych dziewczyn z sieci. I wtedy wpadłyśmy na pewien pomysł. Zamierzałyśmy później przyznać się do wszystkiego. Zależało nam, żeby chłopcy podniecili się naszym występem. I żeby pragnęli tych dziewczyn, które odgrywałyśmy. Ale zanim miałyśmy okazję się przyznać, w szkole zrobiło się głośno o tym filmie. Timothy wysłał go e-mailem do Hugh i Barry'ego, a oni rozesłali go dalej do różnych innych kumpli. I w końcu wszyscy go sobie przekazywali i rozmawiali o tym. Wszyscy chłopcy. Wszyscy oglądali nasz film i zgadywali, co to za dziewczyny. Zrobiło się naprawdę okropnie. Ktoś załadował film do jednego ze szkolnych komputerów.

Amanda powstrzymywała łzy. Była zbyt zajęta opowiadaniem, żeby je przerwać i się rozplakać.

- Timothy został zawieszony na dwa tygodnie. Tak samo kilku innych chłopców. Dyrektorka zagroziła, że wyrzuci ich ze szkoły, jeśli nie powiedzą, kim są te dziewczyny. Ale oni nie mogli powiedzieć.



Nigdy się nie przyznałyśmy. Oni naprawdę nie wiedzieli. Przynajmniej wtedy.

- I co stało się później?

- Byłyśmy bezpieczne. A przynajmniej tak nam się wydawało. Ale potem mama Simone znalazła film w jej komputerze. Rozpoznała ją i wpadła w szal. Simone miała szlaban, mama codziennie odbierała ją ze szkoły i podwoziła ją co rano, zabrała jej komórkę i odłączyła jej komputer od Internetu. Simone była nieszczęśliwa. Jej mama groziła, że pójdzie do dyrektorki, jeżeli Simone nie poda jej nazwiska tej drugiej dziewczyny. A ona tego nie zdradziła. I przez to jej mama jeszcze bardziej się wściekła. Uważała, że popełniłyśmy - że Simone popełniła - poważne przestępstwo, wymierzone przeciwko niej. Przeciwno niej. Jakby Simone zrobiła to celowo, żeby uderzyć w matkę. I bez końca jej powtarzała, jakie to poniżające i jakie jesteśmy żalodne... To znaczy wiem, że większość rodziców by się zdenerwowała, ale ona zachowywała się tak, jakby Simone zrobiła to wyłącznie po to, żeby wprawić ją w zakłopotanie. A nam nie o to chodziło. Robiłyśmy to, żeby chłopcy zaczęli zwracać na nas uwagę. Na nas. Nie na te wirtualne dziewczyny. Chciałyśmy, żeby wiedzieli, że nie jesteśmy od nich gorsze.

Przełknęła kolejny szloch. Czułam, na podstawie tego, jak szybko wyrzucała z siebie słowa, że zbliża się do końca i że musi teraz powiedzieć wszystko, jakby to była trucizna, która zatruwa jej wnętrze.

- Doktor Snow, słyszała pani o tych zamordowanych dziewczynach? Tych z Internetu?

- Tak.

- Te, które zmarły... wszystkie te, które zamordowano, to właśnie dziewczyny, które naśladowaliśmy. Dokładnie te same. I umierały w tej samej kolejności, w jakiej naśladowaliśmy je w naszych filmach. Wszystkie już nie żyją. Poza tą ostatnią. Piątą. Tą, która nosiła maskę.



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

W końcu Amanda wyciągnęła do mnie rękę z płytą. Chwyliłam plastikowe pudełko, ale ona jeszcze go nie puściła.

- Nie wolno pani pokazywać filmu nikomu. Tylko pani może go obejrzeć.

- Jeśli mam pomóc uratować tę ostatnią dziewczynę, muszę udostępnić film policji.

- Nie wystarczy, jak pani im o tym opowie?

- Nie sądzę. Pozwolisz mi go pokazać?

Potrząsnęła głową.

- Moi rodzice nic nie wiedzą.

- To może zrobimy tak. Wezmę płytę, a ty przemyślisz sobie sprawę do jutra. Jutro rano zadzwonię do ciebie, żeby uzyskać twoje pozwolenie, zanim wykonam następny krok.

Amanda cały czas kręciła głową.

- Jak pani przekaże film policji, to już nie będzie tajemnicą. Wie pani, co by było, gdyby ktoś dowiedział się, że to ja? Co zrobiliby mi rodzice?

Muzyka organowa umilkła. Nie od razu zapadła cisza

- nuty wybrzmiewały jeszcze przez moment - ale po chwili w świątyni słyszałam tylko oddech Amandy.

- To nasza wina. Simone i moja. Gdybyśmy tego nie zrobiły, Simone by żyła, a żadna z tych dziewczyn nie zostałaby zamordowana.

- Nie, to nie twoja wina. Nie wiedziałyście, że tak się to skończy. Nie chciałyście nikogo skrzywdzić.

- Ale tyle osób ucierpiało.

Amanda pierwsza usłyszała kroki, poderwała się i w ciągu paru sekund szła już do głównego wyjścia. Chwyciłam płaszcz i z płytą w ręce pospieszyłam za nią.

- Zaczekaj.

- Kto tam jest? - Zza moich pleców dobiegło echo męskiego głosu.

Nie odpowiedziałam, biegnąc za Amandą.

- W czym mogę pomóc? - zawołał mężczyzna.



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Spędziłam z Amandą trzy kwadranse i zostało mi tylko kilka minut na dotarcie do gabinetu, by zdążyć na kolejną sesję. Za mało czasu na rozważenie konsekwencji tego wszystkiego, co powiedziała mi Amanda, czy nawet zadanie sobie pytania, jakie są w tej sytuacji moje prawdziwe obowiązki. Chciałam od razu zadzwonić do Noaha i przekazać mu wszystko. Ale czy ktoś dał mi do tego prawo?

Nie ma nic trudniejszego niż niewłaściwe postępowanie ze słusznych powodów. Miałam zobowiązania wobec osoby, która powierzyła mi swoje sekrety. I miałam obowiązek uratować życie, które byłam w stanie uratować.

Aż do siódmej wieczorem przyjmowałam pacjentów. Dopiero po wyjściu ostatniego z nich połknęłam kilka tabletek witaminy C z nadzieją, że pomogą mi zwalczyć przeziębienie, a potem zrobiłam sobie herbatę i usiadłam przed komputerem z płytą, którą dostałam od Amandy.

W instytucie panowała cisza, chociaż nie był pusty. Dwaj terapeuci prowadzili jeszcze sesje grupowe, a Nina przyjmowała pacjentów aż do dziewiątej. Zamknęłam drzwi, wróciłam do biurka, odszukałam ikonkę CD na pulpicie, a potem na nią kliknęłam.

My w instytucie wiemy prawie wszystko na temat pornografii w sieci. Musimy rozumieć, co stymuluje naszych pacjentów. Musimy poznać z bliska ich uzależnienia. Mam świadomość, że w sieci są filmy przedstawiające wszelkie możliwe perwersje i sadystyczne fetysze znane ludzkiej wyobraźni. Ale nigdy

dotąd nie płakałam, oglądając pornograficzne materiały, do momentu, gdy zobaczyłam film Amandy. Serce bolało mnie z powodu tych dwóch pięknych szesnastoletnich dziewcząt, tak bardzo zdezorientowanych i do tego stopnia zdesperowanych, by ich szkolni koledzy zwrócili na nie uwagę, że posunęły się tak daleko.

Film składał się z czterech części, każda oznaczona była rzymską cyfrą na czarnym tle.

Część pierwsza przedstawiała zapewne Simone, ponieważ dziewczyna miała jasne włosy, zaś Amanda była szatynką, niemal tak ciemną jak Dulcie. Nie widziałam jej twarzy zakrytej czerwoną jedwabną maską. Trzymała rękę między nogami i bawiła się sztucznym penisem.

Po cięciu pokazała się Amanda, w niebieskiej jedwabnej masce, także ze sztucznym penisem.

Doznałam przerażającego *deja vu*. Skupiłam się. Co takiego mnie zaniepokoiło?

Chodziło o maski.

Zatrzymałam film.

Nina powiedziała mi kiedyś, że nie istnieje nic takiego jak zbieg okoliczności. Ale to? Nie, to niemożliwe. Na pewno są inne kobiety, które występują przed internetową kamerą w masce. Blythe nie może być jedyną. Gdy tylko obejrzałam cały film, zaczęłam szukać w Internecie. Powinny tam być dziesiątki kobiet w maskach. Poza tym Blythe była bardzo specyficzna, nosiła maskę w kształcie motyla, a maski dziewcząt to były zwyczajne jedwabne maski na oczy, bez żadnych antropomorficznych cech.

Nacisnęłam przycisk Play.

Druga część filmu przedstawiała Simone i Amandę całujące się powoli i zmysłowo. Niełatwo było mi patrzeć na te młode dziewczęta, tylko parę lat starsze od mojej córki. Wiedziałam, że zaczęły to robić, żeby przyciągnąć do siebie chłopców, rozpoczęły tę desperacką grę, by zwrócić na siebie uwagę, ale to już zamieniło się w coś więcej.

Po cięciu, w następnej części dziewczynki masowały się, smarowały olejkami nagie plecy i długie nogi, dotykały się w intymnych miejscach. Było dla mnie absolutnie oczywiste, że kiedy nakręciły ten fragment filmu, zawstydziły się uczuć, jakie wzbudziły w nich te pieszczoty.

Pierwsza część była dziwaczna i wymuszona. Dziewczynki w jakiś chory sposób przypominały mi Dulcie przebraną w moje buty na obcasach i korale z pereł, wymalowaną moją szminką, kiedy miała zaledwie sześć lat. Ale teraz w ich ruchach dostrzegałam jakąś prawdę. Zapomniały o kamerze, zapomniały o chłopcach, którzy je ignorowali. Te wygłodniałe seksu i uwagi nastolatki, które uprawiały z chłopcami miłość francuską, ale nigdy nie otrzymały od nich nawet pocałunku, całowały się i po raz pierwszy doświadczały erotycznej czułości.

Jak mogłam dalej to oglądać?

Naruszałam ich prywatność, podglądałam chwile, które powinny należeć tylko do nich. Fakt, że ten film znalazł się w Internecie i był oglądany przez niezliczonych uczniów szkół średnich, sprawiał, że było to dla mnie jeszcze bardziej bolesne. A świadomość, że Simone odebrała sobie życie z tego właśnie powodu, w zasadzie nie pozwalała mi dłużej na to patrzeć.

Przynajmniej czuły coś do siebie.

Na ekranie nadal się dotykały, ich skóra połyskiwała w miękkim świetle. Dłoń na piersi. Palce zaciskające się na palcach. Stopa wygięta na biodrze. Kark pochylony nad brzuchem. Włosy zakrywające twarz. Potem Simone jęknęła wtulona w pierś Amandy, przeżywając orgazm.

W trzeciej części Simone kaleczyła się żyletką. Ostrze błyszczało w świetle, kiedy z wahaniem prześliznęła nim po przedniej części uda. Za pierwszym razem nie udało jej się przeciąć skóry. Za drugim także.

Przez sekundę patrzyła w kamerę, twarz za maską, spokojna i pozbawiona cech ludzkich. Poza wargami. Jej wargi drżały. Zdradzały ją. Wyglądały jak wargi małej dziewczynki.

Nacisnęłam klawisz Stop.

Przycisnęłam palce do skroni. Zamknęłam oczy. Obraz nie zniknął. Nie miałam ochoty dłużej tego oglądać. Nie chciałam patrzeć na te biedne małe zagubione dziewczynki.

Było ich tak wiele.

Niektóre z nich leczyłam, niektórym zdołałam pomóc, inne zawiodłam, tak jak dawno, dawno temu zawiodłam moją matkę. Całym sercem przysięgam sobie, że moja córka nigdy nie będzie taka zagubiona.

Czy matka Simone była równie nadopiekuńcza jak ja?

A matka Amandy?

Teraz zostały dwie dziewczyny, które trzeba uratować: Amanda i ostatnia dziewczyna z Internetu, która jeszcze gdzieś jest i jeszcze żyje.



Nacisnęłam przycisk Play i puściłam do końca scenę kaleczenia się Simone.

W końcu zaczęła się czwarta część. Miałam nadzieję, że tutaj znajdę klucz do tego, kim jest czwarta dziewczyna.

Znowu pokazała się Simone, ale teraz jej prosta niebieska maska została zastąpiona wyszukaną maską w kształcie motyla, i po raz pierwszy Simone się odezwała. Szeptła do kamery, stojąc i bawiąc się guzikami zwyczajnej męskiej jasnoniebieskiej koszuli, wsadzonej do obcisłych dżinsów.

- Patrzyć na mnie, prawda? Czekasz, żebym się dla ciebie rozebrała. Żebym pokazała ci swoje piersi i cipkę. Wiem, jak bardzo chcesz je zobaczyć. Zobaczyć mnie naga, z nogami rozłożonymi tylko dla ciebie. Dla twojego kogutka. No cóż, musisz uzbroić się w cierpliwość. Ale nie martw się, rozbiore się dla ciebie. Zrobię dla ciebie różne rzeczy. Ale musisz być cierpliwy.

Odpięła górny guzik, a potem następny, odkrywając lawendowy koronkowy biustonosz.

- Dotykasz się? Siedzisz tam i dotykasz swojego penisa? Czy jest już twardy? Szkoda, że go nie widzę. Chciałabym się nad nim pochylić i wziąć go do ust.

Uśmiechnęła się tajemniczo do kamery. Wyglądała jak doświadczona i zmęczona dziwka. Widziałam taką minę u kobiet, z którymi pracowałam, a które siedziały w więzieniu za nagabywanie mężczyzn w celach nierzędu. Kobiet, które wiedzą, co to znaczy bez końca dawać i nie dostawać nic w zamian.

Nie przypuszczałam, żeby Simone sama wymyśliła scenariusz tego występu. Prawdopodobnie to

samo mówiła ta dziewczyna z motylem, którą naśladowały z Amandą.

Czy tak właśnie wyglądał popis Blythe przed kamerą internetową?

Stwierdziłam, że muszę do niej zadzwonić. Bez wątpienia także inne dziewczyny pokazywały się w masce w kształcie motyla. A jeśli jednak się nie mylę? Nie powiem Blythe, skąd wiem, co robiła. Po prostu ją zapytam.

Na ekranie ujrzałam teraz Amandę, która zaczęła się rozbierać w identyczny sposób jak Simone. Ale ja już nie musiałam tego oglądać. Amanda powiedziała mi, że naśladowały pięć dziewczyn z Internetu. Jedną, która bawiła się sztucznym peni-sem. Dwie, które używały olejków do masażu i pieściły się nawzajem. Tę, która cięła się żyłką. No i tę ostatnią.

Striptizerkę w masce w kształcie motyla.

Przeniosłam ikonkę CD do kosza, wyjęłam płytę ze stacji dysków i schowałam ją z powrotem do pojemnika. Amanda mówiła mi, że płyta była gdzieś ukryta. Dlaczego jej po prostu nie zniszczyła? Spytałam ją o to, kiedy odprowadzałam ją Piątą Aleją, żeby złapać dla niej taksówkę.

- To moja jedyna pamiątka po Simone - odparła.  
- Timothy pomógł mi ją ukryć. - Do jej oczu znowu napłynęły łzy. - Nie mogłam ryzykować i trzymać jej w swoim komputerze. Ale musiałam wiedzieć, że gdzieś jest, na wypadek, gdybym chciała ją znowu zobaczyć.

Teraz ja trzymałam płytę tak jak ona trzymała ją wcześniej, ostrożnie przyciśniętą do piersi.

Otworzyłam swój notes z adresami i znalazłam numer Blythe. Wybrałam go. Kiedy odpowiedziała mi automatyczna sekretarka, zostawiłam wiadomość, prosząc, by Blythe do mnie oddzwoniła.

Nie powiedziałam jej, że to pilne.

Nie byłam tego pewna.

Nie powinnam tak ryzykować.



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

Zajrzałam do Niny, ale nie zastałam jej gabinetu. Światła były wyłączone, a drzwi zamknięte. Wydawało mi się, że tego dnia ma pacjentów do dziewiątej wieczorem. Wróciwszy do siebie, zadzwoniłam na jej numer domowy, a potem na komórkę. Nie udało mi się jednak z nią skontaktować. Niespokojna, zgasiłam światło w swoim gabinecie i wyszłam z instytutu.

Latarnie uliczne rzucały łagodne światło na śnieżne zasy. Przystanąłam na stopniach instytutu i czekałam, aż mroźne powietrze mnie owieje. Nabrałam go w płuca, by rozpędziło uporczywy zapach, jaki mają w zimie przegrzane pomieszczenia. Wiedziałam, że powinnam obejrzeć się, sprawdzić, czy nikt za mną nie idzie, ale stwierdziłam, że nie ulegnę paranoi.

Dotarłam do rogu i nie miałam pojęcia, co dalej. Wracać do domu? Iść coś zjeść? Próbować dodzwonić się do Niny? A może do Noaha?

Nie. Nie mogę się z nim zobaczyć ani rozmawiać. W każdym razie dopóty, dopóki nie postanowię, co począć z tą płytą. Nie potrafiłabym się powstrzymać i powiedziałabym mu, co dostałam od Amandy. A jemu wystarczyłoby jedno spojrzenie i odgadłby, że coś przed nim zataiłam. Miałam świadomość, że w pewnym momencie będę musiała mu powiedzieć, ale chciałam, żeby Nina pomogła mi wymyślić, jak to zrobić, nie narażając na ryzyko Amandy i nie sprzeniewierzając się złożonej jej obietnicy.

Zatrzymałam pierwszą taksówkę, jaka się nadała, i podałam kierowcy adres teatru. Dulcie miała

wrócić do domu po weekendzie, ale musiałam zobaczyć ją wcześniej.

Stałam w tyle sali i patrzyłam na moją córkę na scenie. „Tajemniczy ogród” to na pozór niewinna historia. Dziecko nie potrafi jeszcze dotrzeć do jej ukrytego znaczenia, które ja, jako człowiek dorosły i psychoterapeuta, widziałam całkiem jasno.

Czy Dulcie rozumiała metaforę zarośniętego ogrodu, zaniedbanego, dzikiego, porzuconego? Czy zgadła, że reprezentuje on kobiecą seksualność, ignorowaną przez tych wszystkich, którzy mijają wysokie porośnięte bluszczem mury?

Dulcie stała w scenicznym ogrodzie, pokazując to po raz pierwszy młodemu mężczyznom na widowni. Twarz mojej córki promieniała radością - która nie była radością Dulcie, lecz należała do kreowanej przez nią postaci. Jak ona to robi? Przez jakie metamorfozy przechodzi, żeby stać się fikcyjną Mary Lennox?

Wbrew mojej woli i życzeniom, nie widziałam na scenie Dulcie, lecz Amandę i Simone, doświadczających własnych przemian.

Tymczasem na widowni zerwały się owacje dla mojej córki, a ją rozpierała duma.

Co chłopcy zrobili tym dwóm dziewczynkom, które się rozbierały i tak dobrze udawały, że są kochankami, aż stało się to rzeczywistością?

Kiedy oklaski w końcu ustały, Dulcie bez żadnego problemu wróciła do dialogu ze scenariusza, nie opuszczając ani linijki.

Musiałam mieć pewność, że potrafię ochronić ją przed tym, przed czym rodzice Amandy i Simone nie potrafili uchronić swoich córek.

Za kulisami napisałam parę słów do Dulcie: że jestem z niej dumna, że bardzo podobał mi się jej występ, że jestem bardzo szczęśliwa, bo w niedzielę znowu będę ją miała w domu, i że za nią tęsknię. Obok kartki położyłam bukiet różowych róż, które kupiłam dla niej w sklepie za rogiem.



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Dulcie zadzwoniła do mnie z komórki o wpół do jedenastej, jadąc do Mitcha, i podziękowała mi za kwiaty.

- Mamo?

- Tak, kochanie?

- U ciebie wszystko w porządku?

- Jasne, czemu pytasz?

- Nie wiem. Ale mam takie przeczucie, jakby coś było nie tak. Tak jak ty czujesz, kiedy mnie coś dolega. Rozumiesz?

Pokiwałam głową.

- Tak, kochanie, rozumiem.

- No to wszystko w porządku?

Postanowiłam nie czekać do weekendu i poinformować ją o moim nadgarstku. Kiedy już to zrobiłam, usłyszałam ciche westchnienie.

- Bardzo dziwne. Wydawało mi się, że coś mnie boli, chociaż tak naprawdę nie bolało.

- Och, dziecino, przepraszam. Pewnie się zaniepokoiłaś.

- Tak, ale to ciekawe. Czy miałyście to samo z twoją mamą? Pewnie tak. Założę się, że to dziedziczne.

- Nie wiem. - Przygryzłam dolną wargę, ciekawa, jakie jeszcze zadziwiające rzeczy ma mi do powiedzenia moja córka.

- Jesteśmy na miejscu, mamo. Jutro pogadamy. Mam nadzieję, że twój nadgarstek nie boli za bardzo.

- Po czym, nie dając mi szansy powiedzenia jej dobranoc, rozłączyła się.

Weszłam do domu i odsłuchałam wiadomości z sekretarki automatycznej, zanim jeszcze zdjęłam płaszcz. Spodziewałam się telefonów od Blythe i Niny. Miałam tylko jedno nagranie, od Noaha, który prosił, żebym do niego oddzwoniła. Chciałam to zrobić, ale nie ufałam sobie i bałam się z nim rozmawiać.

Nie mając nic do roboty poza czekaniem na telefon od Niny, poszłam w kątek pokoju, gdzie stała moja rzeźba. Rozpaczliwie pragnęłam dłużyć w kamieniu, zatonać w rytmie młotka, który uderza w dźwięto. Ale nie da się rzeźbić tylko jedną ręką.

Obróciłam moją rzeźbę na podstawie.

Forma wyłaniająca się z kamienia była surowa i amatorska. Kiedyś irytowało mnie, że mój talent nie dorównuje mojej miłości do tej dziedziny twórczości. Ale teraz już przestałam się tym denerwować. Łatwiej było mi zaakceptować moje ograniczenia, niż porzucić jedyną rzecz, która pozwalała mi uciec przed głosami w mojej głowie, fantazjami moich pacjentów, ich fetyszami, cierpieniem, perwersjami, wielkimi stratami i udaremniionymi nadziejami.

Włączyłam telewizor.

W końcu, dwadzieścia minut po północy, zadzwoniła Nina.

Była na koncercie w Lincoln Center, a potem na późnej kolacji. Słuchałam jej pilnie, by przekonać się, czy jest bardzo zmęczona. Nie chciałam jej dodatkowo obciążać, chociaż ogromnie pragnęłam z nią porozmawiać. Z ulgą usłyszałam, że jej głos był pełen energii, a zatem opowiedziałam jej, co wydarzyło się tego popołudnia, kiedy przyszła do



mnie Amanda, a także co od niej dostałam i co zobaczyłam.

- Simone? - spytała Nina, kiedy zamilkłam. - Znasz jej nazwisko?

- Alexander - odparłam. - Zdaje się, że tak powiedziała. A co?

- Masz ze sobą tę płytę?

- Tak. Wolałam nie zostawiać jej w gabinecie.

- Będę u ciebie za kwadrans.

- Nina, jest wpół do pierwszej.

- Muszę to zobaczyć, Morgan. Żeby mieć pewność. Nie wiesz, czyja to córka, prawda?

Nie wiedziałam.



## ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY

Nina nie traciła czasu. Weszła do mojego mieszkania i nawet nie zatrzymała się, by zdjąć płaszcz czy rzucić torebkę w przedpokoju. Idąc dalej, zostawiała mokre ślady na podłodze, bo jej buty były oblepione śniegiem. W pokoju od razu usiadła przed moim komputerem.

- Włącz tę płytę, proszę - powiedziała.

Nacisnęłam przycisk Play, a ona pochyliła się do przodu, wciąż w płaszczu i z torebką w ręce.

Na ekranie pojawiła się Simone w czerwonej masce motyla, a ja usłyszałam ciche westchnienie, które wymknęło się z ust mojej mentorki. Odwróciłam wzrok od ekranu i popatrzyłam na nią.

Nina ściągnęła brwi w napięciu.

- O co chodzi?

Nie odpowiedziała. Nie odrywała oczu od komputera, od tego, co działo się na ekranie. Po drugiej części filmu przeniosła na mnie spojrzenie.

- Możesz wyłączyć, Morgan. To mi wystarczy.  
- Jej głos się załamał.

Przyklękłam, by znaleźć się na jej poziomie i otoczyłam ją zdrową ręką. Nie obejmowałyśmy się zbyt często, zwykle ograniczałyśmy się do całusa w policzek albo kładłyśmy sobie rękę na ramieniu. Nina i ja nie należałyśmy do osób, które potrzebują fizycznego kontaktu, dotyku, dla wyrażenia uczuć. Doleciał do mnie ostry zapach jej perfum i poczułam, że Nina drży.

- Simone Alexander jest córką Stelli Dobson, Morgan. Zmarła w czerwcu zeszłego roku na skutek niezamierzonego przedawkowania.

- Z tego, co mówiła mi Amanda, wynikało, że to nie był przypadek. Myślę, że Simone popełniła samobójstwo.

I wtedy coś sobie przypomniałam, coś, co absolutnie nie mogło być przypadkiem. Coś, co obie, Nina i ja, wiedziałyśmy od tygodni, a jednak do tej pory nie przywiązywałyśmy do tego wielkiego znaczenia.

Stella Dobson zamierzała przeprowadzić wywiad z Blythe do książki, nad którą pracowała. Książki o kobietach i pornografii.

- Blythe... - zaczęłam.

Nina już wiedziała, o co mi chodzi.

- Musi istnieć jakiś związek. Blythe jest w niebezpieczeństwie, Stella także. Musimy je uprzedzić.

Nie chciałam kwestionować założenia Niny na temat Stelli Dobson. W końcu była bohaterką feministek, która nadal liczyła się w postfeministycznym świecie.

- Skąd wiesz, czy to nie Stella...

Nina potrząsnęła głową.

- Ponosi cię wyobraźnia. Stella jest wspaniałą kobietą, która z determinacją dąży do celu, która poświęciła całe swoje życie pomocy innym kobietom. Musimy zrobić jedną rzecz, Morgan, musimy ją ostrzec.

## ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Podczas gdy ja zajęłam się parzeniem kawy, usiłując skupić uwagę na proporcji ziaren w stosunku do wody, Nina dzwoniła do Stelli. Dochodziła druga w nocy, toteż Stella nie podniosła słuchawki. Nie było w tym nic dziwnego. Wiele osób włącza na noc automatyczną sekretarkę. Mój telefon zadzwonił dwa razy od dziesiątej czterdzieści pięć, a kiedy sprawdziłam, kto dzwoni, okazało się, że za jednym i za drugim razem był to Noah, więc ja także nie odebrałam.

Nina zostawiła Stelli wiadomość, prosząc swoją starą przyjaciółkę, by oddzwoniła, gdy tylko odśłucha jej nagranie. Podała też numer swojej komórki, chociaż jak powiedziała mi, kiedy się rozłączyła, Stella go zna i z niego korzysta.

Nalałam kawę.

- Musimy porozmawiać z policją - stwierdziłam.
- Nie wolno nam tego robić. Ty nie możesz.

Wiesz, że nie możesz.

Westchnęłam. Kiedy chodziło o policję, Nina balansowała na cienkiej linie, a potem pogrubiła ją dwukrotnie i trzykrotnie, aż nie była już taka cienka, ale gruba i trudna do przekroczenia. Już to kiedyś przerabialiśmy.

Nie chciałam po raz kolejny wdawać się w ten spór. Nie tej nocy. Nie o drugiej nad ranem.

- Nina, trzy kobiety nie żyją, czwarta jest ciężko chora. Czym usprawiedliwisz milczenie?

Machnęła na mnie ręką.

- Amanda jest twoją pacjentką. Nie wolno ci dzwonić do Noaha.

- Trzeba coś zrobić.

- Pod warunkiem, że nie włączymy w to Amandy i tej płyty.

- Jeśli nie dam im płyty, nic nie będą mieli.

- Bolało mnie gardło, ciekło mi z nosa. Było późno i ledwo trzymałam się na nogach. Ale nie mogłam się poddać. Musi istnieć jakiś sposób, żeby zrobić to, co należy, nie przekraczając tej cholernej linii.

- A może skłonimy Stellę, żeby sama poszła na policję i powiedziała, co robiły Amanda i jej córka?

- Tyle możemy zrobić. Jak się z nią zobaczymy, kiedy zrelacjonujemy jej, co się dzieje, poradzimy jej, żeby zgłosiła się na policję. Żeby im powiedziała o tej płycie, o Simone, o tych dziewczynach z Internetu, które Simone i Amanda naśladowały. W porządku? Czy to zda egzamin? Czy tak nie lepiej?

To był kompromis, ale z takim kompromisem mogłam żyć.

**Piątek**

**Ostatni dzień**



## ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY DRUGI

Noah Jordain miał koszmarną noc. Najpierw zadzwonił do Morgan o dziesiątej czterdzieści pięć, a kiedy nie odebrała, wysłał wóz patrolowy do jej domu, by policjanci spytali dozorcę, czy Morgan jest na górze cała i zdrowa. Kiedy zdali mu raport, mówiąc, że dozorca dzwonił do niej domofonem i dowiedział się, że u niej wszystko w porządku, zrozumiał, co znaczy nieodebrany telefon. Jako bardzo sumienna terapeutka Morgan zawsze odsłuchiwała wiadomości. Z tego wniossek, że go unika. Ale dlaczego?

To pytanie nie dawało mu zasnąć długo w nocy. Był naprawdę zmęczony tymi jej unikami. Tym, że jej praca staje im na drodze. W porządku, jeśli ona mu nie ufa, zaakceptuje to. Odejdzie od niej. Rozumiał aluzje.

Pół godziny po przebudzeniu był już w sali gimnastycznej. Ćwiczył do granic wytrzymałości, a potem pojechał metrem do centrum. Trzy przecznice dzieliły stację metra od komisariatu. Brnął przez śnieg, rozkopując go na boki.

Ktoś, kto by go zobaczył, pomyślałby, że jak miliony nowojorczyków jest już zmęczony niekończącymi się śnieżycami, że ma dość noszenia wysokich butów i wspinania się na zaspę. Tymczasem jemu wcale nie o to chodziło. Był zły, że Morgan nie odbiera jego telefonów. Ale poza osobistym rozczarowaniem, którego doznał, jej zachowanie umocniło go w przekonaniu, że Alan Leightman skłamał, przyznając się do winy.

Cholera. Jaką informację o swoim pacjencie Morgan przed nim ukrywa? Pieprzyć jej zawodową etykę. Potrzebował tej wiedzy, którą ona posiadała.

W biurze Jordain odsłuchiwał wiadomości i sprawdził e-maile. Istniało wiele rozmaitych powodów, dla których kobieta mogła nie odbierać jego telefonów i nie oddzwaniać. Ale on znał Morgan i wiedział, że w tym wypadku liczy się tylko jeden powód. Unika go, ponieważ odkryła coś, czego nie wolno jej mu powiedzieć, a nie chciała narażać się na ryzyko, że wymknie jej się to przez przypadek.

W tym momencie nabrał pewności, że nie chce jej widzieć nigdy więcej.

Sięgnął po żółty bloczek ze swoimi notatkami na temat zabójstw dziewczyn z sieci i jeszcze raz dokładnie je przeczytał. Musi tu coś być. Coś przeoczył. Małeńki okruch informacji, który wszystko zmienia.

Użyte trucizny - ta w środku nawilżającym, i ta na plasterze z opatrunkiem, i ta w olejku do masażu - były zbyt łatwo dostępne, by naprowadzić ich na jakiś ślad.

Atropina ze środka nawilżającego znajduje się w kroplach do oczu dostępnych w każdym szpitalu, a także na receptę, stosują ją miliony pacjentów.

Wywar z nikotyny na opatrunku mógł zostać przyrządzony z kilku zwyczajnych papierosów albo z liści tytoniu. Cyjanek dodany do olejku do masażu ma zastosowanie w dziesiątkach profesji, w tym jubilerskim i ogrodnictwie. Zaś same te produkty można kupić we wszystkich aptekach.

Nic tutaj nie znajdzie.

Wszystkie rzeczy używane przez dziewczyny z Internetu zostały znalezione w ich mieszkaniach, ale policja nie trafiła tam na żadne pudełka ani



koperty, które mogłyby zawierać ważne informacje. A zatem dziewczyny musiały otrzymać te prezenty kilka tygodni albo kilka dni wcześniej, i zdążyły wyrzucić opakowania.

Tania, jedyna z dziewcząt, która przeżyła, nie wiedziała nic o olejku, który posiadała ZaZa. Tak, jakiś fan przysłał im go w podarunku, ale nie wypytywała koleżanki o szczegóły. Nie po raz pierwszy ktoś przysłał ZaZie prezent. Wiele dziewcząt posiadało skrytki pocztowe - faktycznie Global Communications zalecało, by postarały się o takie skrzynki. Klienci lubili wysyłać prezenty i zdjęcia. I należało ich do tego zachęcać, to nakręcało interes. Poza tym zdarzało się, że kobiety otrzymywały kosztowną biżuterię od mężczyzn, którzy ich pożąдали.

W drzwiach jego gabinetu stała Tana Butler.

- Szefie, jest pan zajęty?

- A o co chodzi?

- Właśnie miałam telefon. Komputer w gabinecie Leightmana na uniwersytecie jest czysty. Żaden e-mail nie został z niego wysłany na adres żadnej z ofiar.

- Co do diabła? Zdawało mi się, że Fisher powiedział...

Tana Butler ciągnęła:

- Ale znaleźliśmy komputer, z którego wysłano te e-maile. W bibliotece uniwersyteckiej.

- Więc Leightman pisał na komputerze w bibliotece?

- Albo on, albo ktoś, kto znał jego hasło i posługiwał się jego e-mailowym adresem.

## ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY TRZECI

Najukochańsza moja!

Życzę ci szczęścia z okazji urodzin.

Czyż to nie ironiczne używać słowa szczęście? Ale już wkrótce to słowo będzie uzasadnione, ponieważ znów będziemy razem i wtedy poznamy jakąś formę szczęścia, a jeśli nie, to ulgi - może spokoju, przynajmniej spokoju.

Wkrótce wszystkie kary zostaną wymierzone i wszyscy odpowiedzą za szkody, jakich dokonali. Teraz liczy się dla mnie tylko jedno - że ty, moja ukochana, zostałaś pomszczona.

Kiedy zamykam oczy, widzę cię, nie w chwili twojego odejścia, nie w chwili, kiedy mnie opuściłaś, ale wcześniej.

Pamiętam taki dzień na plaży, cztery, może pięć lat temu. Jest gorąco, ty leżysz w słońcu, pławisz się w nim, a ja pływam, a po wyjściu z wody staję nad tobą. Krople zimnej wody spadają na twoje nogi i brzuch, i twoje ręce, a ty wybuchasz śmiechem.

W mojej wyobraźni, w tym wspomnieniu, mrużysz oczy przed rażącym słońcem i zasłaniasz je ręką, a krople morskiej wody łapią w powietrzu światło i lśnią jak stłuczone kryształki, ładując na twojej skórze. Płynne kryształowe światło czyste jak twój śmiech.

Kłękam obok ciebie, pochylam się i całuję cię, a ty znowu się śmiejesz. Mówisz mi, że moje włosy cię łaskoczą, ale unosisz ręce i obejmujesz mnie mimo wszystko.

To moja kara, że nie pamiętam każdej z tych chwil, kiedy przytulałaś się do mnie albo gdy wyciągałaś do mnie ręce, a musiały ich być tysiące. Jak można zapomnieć choć jedną z nich? Do diabła z tymi, które doprowadziły do tego, że w ogóle muszę je sobie przypominać. Do diabła z nimi.

Te suki czarownice wypychają do przodu swoje biodra, puszczają oko, szepczą plugawe słowa i wysysają życie z mężczyzn. Latają na falach czarnego eteru i lawirują w sieci, zaplatając własną pajęczą sieć. Wynaturzone kobiety czarnej nocy. Pomagam im dostać się do piekła. Inne sposoby, testowane przez lata, prowadziły donikąd. Potem okazało się, że mogę coś stracić. Ciebie. Teraz, kiedy tak się stało, to już nie ma znaczenia.

Nie, to ma znaczenie. Prawdę mówiąc, kiedy zakończę tę misję i przestanę za tobą tęsknić, odczuję wielką ulgę. Poddam się tej otchłani w mojej piersi, która tak bardzo boli, jakby powstała za przyczyną skalpela, a nie twojej nieobecności. Jakby ktoś zrobił cięcie, otwartą ranę, przez którą wycieka wszystko, moje osiągnięcia, moje dobre uczynki, przyspieszone przeze mnie zmiany. Wszystko zostało zdyskredytowane, wszystko to wielki kosmiczny żart.

Napisałaś kiedyś, że to nie ciebie kocham, ale jakieś wyobrażenie na twój temat. Jak mogłaś kiedykolwiek tak pomyśleć? Jestem w stanie zabić, by okazać ci ogrom mojej miłości.

Teraz muszę wziąć prysznic, ubrać się, a potem odebrać twój tort urodzinowy, taki, jaki najbardziej lubiłaś. Biskopt z truskawkami i bitą śmietaną. Nie będzie na nim tylu świeczek, ile lat przeżyłaś, lecz tyle, ile lat nie ma cię już ze mną.

Robię to wszystko dla ciebie.



## ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY CZWARTY

Nina pojawiła się w moim gabinecie po zakończeniu naszych sesji z dziesiątej rano.

- Blythe odezwała się do ciebie? - spytała.

Pokręciłam głową.

- Nie. - Wzruszyłam ramionami. - Nie zamierzam jednak wyciągać pochopnych wniosków. Ona ma dwadzieścia pięć lat. Są miliony powodów, dla których mogła nie odsłuchać wiadomości od wczorajszej nocy. Ale dzwoniłam do niej znowu dziś rano i zostawiłam kolejną wiadomość.

- Do mnie odezwała się Stella. Właśnie przed chwilą. Chętnie się ze mną zobaczy. No, z nami. Chociaż nie wspomniałam jej o tobie przez telefon. Nie byłam pewna, jak to przyjmie.

- Kiedy?

- O wpół do drugiej.

- Gdzie?

- Przy Ósmej Alei. Czterdziesta Czwarta Ulica.

- To blisko teatru Dulcie.

Nina skinęła głową.

- Stella jest współwłaścicielką jakiegoś budynku. Domyślałam się, że jest w remoncie. Zawsze mówiła, że zamierzają coś z nim zrobić. Odremontować i zamienić na biura.

## ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIĄTY

- Tak się cieszę, że pani przyszła. - Blythe uśmiechnęła się i wyciągnęła do niej rękę.

Dłoń starszej kobiety była bardzo zimna. Ale tu w ogóle panuje ziąb. Wręcz lodowaty. Dlaczego spotkały się akurat tutaj? To dziwny lokal na wywiad.

Stella Dobson pokazała jej krzesło. Z góry padało na nie światło lampy, tworząc efekt aureoli i malując długie cienie na ścianie.

Blythe zajęła wskazane miejsce.

Od tygodni niecierpliwie czekała na spotkanie ze Stellą. Nawet jeśli miała świadomość, że będzie zmuszona mówić o tym, co robiła, i dlaczego to robiła, i co to dla niej znaczyło. Morgan pomagała jej uporać się z przeszłością, i pewnego dnia, Blythe była tego pewna, na zawsze zostawi ją za sobą. Na dobre. Może właśnie to spotkanie pomoże jej się oczyścić.

- Wygodnie pani?

- Tak. Ale... strasznie tu zimno. Pani nie jest zimno?

- Wiem. Przepraszam. Ogrzewanie jeszcze nie zaczęło działać. Ale zaraz powinno być cieplej.

Stella podeszła do kulis i wyciągnęła stolik na kółkach, który cicho zaskrzypiał.

Blythe nie była zaskoczona, widząc na nim komputer. W końcu ma udzielić wywiadu. Myślała co prawda, że Stella zechce go nagrywać, ale jeśli woli robić notatki, to też w porządku.

Laptop był tytanowy i najwyraźniej o wiele droższy niż używany laptop Blythe. Za to podobnie

jak jej komputer w domu, miał na górze zainstalowaną kamerę internetową. Dokładnie tej samej marki i ten sam model, co kamera, z którą pracowała Blythe.

- A to zbieg okoliczności - zauważyła.

- Co takiego?

- Kamera. Mam identyczną.

Stella się uśmiechnęła.

- Zamierzam panią sfilmować - odparła, włączając komputer i ustawiając minikamerę. - Chciałabym umieścić część niektórych wywiadów w Internecie po wydaniu książki. Czy ma pani coś przeciwko?

- Nie, świetnie.

- To dobrze. Nie spodziewałam się, żeby sprzeciwiała się pani filmowaniu. W końcu tyle razy występowała pani przed taką kamerą. - Uśmiechnęła się znowu. - Mam nadzieję, że to pani też nie przeszkadza?

Stella sięgnęła do dużej torby. Blythe ujrzała błysk koloru i natychmiast wiedziała, co to jest. Kobaltowo niebieskie pióra z odcieniem głębokiego fioletu i domieszką koloru lawendy.

- Moja maska - powiedziała Blythe, równocześnie zdumiona i skonfundowana.

Stella uniosła kąciki warg.

- No cóż, to nie jest dokładnie ta sama maska, ale podobna. Więc zgodzi się pani ją włożyć?

## ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Perez i Jordain rozmawiali z panią Johanson, pięćdziesięcioparoletnią szefową biblioteki Uniwersytetu Nowojorskiego. Spędzili z nią irytujące pół godziny. W bibliotece znajdowało się ponad pięćdziesiąt komputerów, do których mieli dostęp wszyscy studenci i pracownicy. Poza tym, w ramach dwustronnej umowy, mogła z nich korzystać kadra oraz studenci dyplomowego roku z innych college'ów i uniwersytetów, o ile posiadali odpowiedni dokument tożsamości. Na dodatek były tam dziesiątki specjalnych gniazdek, do których studenci albo pracownicy mogli podłączać własne komputery i korzystać z Internetu. I chociaż, wchodząc do biblioteki, należało okazać specjalną kartę, nikt nie miał obowiązku nigdzie się wpisywać.

- Więc w zasadzie z tego, co pani mówi, wynika, że każda osoba przebywająca w te dni w bibliotece mogła korzystać albo ze swojego, albo z jednego z waszych komputerów, i nigdzie nie ma żadnego śladu na piśmie.

Pani Johanson skinęła głową, jej brązowe loki zakolysały się i podskoczyły. Miała na sobie kremowy sweter z golfem i czekoladowobrązowe sztrukturalne spodnie, a do tego ciężkie zimowe buty, które dawały jej dość drobnej postaci solidną podstawę.

- Przykro mi - odparła szczerze zatroskana.

Jordain uśmiechnął się do niej.

- To nie pani kłopot.

- Doceniamy pani pomoc - dodał Perez.



Dwaj detektywi zeszli na dół, a w drodze do wyjścia minęli wysoką otwartą przestrzeń. Jordain pomyślał, że biblioteka została źle zaprojektowana. W bibliotece potrzebne są mniejsze przestrzenie - przyjazne nisze i wnęki. Miejsca, gdzie można się odizolować i czytać całe popołudnie, gdzie człowiek czuje się swobodnie, gdzie nikt nie narusza jego prywatności i gdzie panuje przynajmniej coś na podobieństwo ciszy.

- Rozejrzyj się - powiedział do Pereza.

- Okej, patrzę.

- Przeszedłbyś tutaj, żeby zaspokoić swój pociąg do pornografii? W poszukiwaniu miłego przytulnego miejsca, w którym mógłbyś się onanizować?

- Nigdy.

- Racja. Człowiek, który wysłał te e-maile, nie wpadł tutaj po to, by wejść do Internetu i oglądać te dziewczyny, bo miał akurat wolne pół godziny. On tutaj pracuje. Albo prowadzi jakieś badania. Było mu po prostu wygodnie wysłać stąd e-maile.

Kilka minut później stali z powrotem w biurze pani Johanson.

- Przepraszam, że znowu panią nachodzimy - rzekł Jordain.

- Nic nie szkodzi. - Uśmiechnęła się. - Zapomnieliście panowie o czymś?

- Nie, ale mamy jeszcze jedno pytanie - wyjaśnił Perez. - Czy moglibyśmy przejrzeć rewersy z tych trzech dni?

- To strzał w ciemno - dodał Jordain - ale podejrzewamy, że osoba, która wysłała stąd e-maile, korzystała z państwa biblioteki.

- Oczywiście, jeżeli nie wyrzuciliście panowie nakazu sądowego. Proszę za mną.

## ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Blythe nie mogła oderwać oczu od Stelli. W końcu była żywą legendą, nieustraszoną bojowniczką o prawa kobiet. Kiedyś w imię swoich zasad o mały włos nie zagłodziła się na śmierć. To wytwarzało wokół Stelli aureę osoby, która przed niczym się nie cofa. A potem zainteresowała się Global Communications. Włamała się do systemu komputerowego firmy, by nawiązać kontakt z kobietami, które dla nich pracowały i zaoferować im pomoc w znalezieniu zajęcia poza przemysłem porno. Blythe otrzymała jeden z takich listów, podobnie jak niektóre z jej koleżanek. I Stella niektórym z nich rzeczywiście pomogła, zanim została pozwana do sądu. Ale dzięki temu stała się jeszcze bardziej kultową postacią, prawdziwą bohaterką.

A zatem jeśli Stella miała życzenie, aby Blythe udzieliła jej wywiadu w swoim starym kostiumie, Blythe wyraziła zgodę. Chociaż to było dziwne. Piórka łaskotały ją za uchem. Pod wpływem miękkiego jedwabistego dotyku jej krew zaczęła szybciej krążyć. Poczowała znajomy dreszczyk. Ta natychmiastowa reakcja przeraziła ją. Zupełnie jakby cofnęła się w czasie. Tak samo czuła się z niezapalonym papierosem w dłoni. Miała ochotę zapalić, a jednocześnie wiedziała, że nie powinna tego robić, jeżeli nie chce na nowo zacząć walki z nałogiem.

- Liczyłam, że pani się zgodzi, zrobi mi pani tę przyjemność. Że wróci pani do tamtej postaci i stanie się znów tamtą kobietą, którą była pani w Internecie. Wenus ukrytą za maską, która marzy o tym, żeby

rozłożyć nogi i pokazać swoim widzom wszystko to, co chcą zobaczyć.

Blythe nie знаła Stelli dość dobrze i mogła się mylić, a jednak odniosła wrażenie, że Stella mówi to pogardliwie. A przecież nie ma powodu. Blythe przyjrzała się jej badawczo. Wargi Stelli były wyschnięte. Pod jej oczami widniały głębokie cienie, a na czerwonej bluzce ślady potu. Coś tu nie gra. A może przesadza?

Morgan nieraz podkreślała, że Blythe posiada nieomylny instynkt, i że powinna mu ufać i polegać na nim. Że to pomoże jej w relacjach z pacjentami.

Stella wyjęła z torby termos oraz dwa papierowe kubki.

- Gorąca czekolada. W teatrze jest tak zimno. Pomyślałam, że nas rozgrzeje.

Podawała kubek Blythe. Wszystko jest w porządku. To tylko jej wyobraźnia. To tylko ten upiorny stary teatr. Gorąca czekolada była pyszna.

Stella włączyła kamerę, usiadła naprzeciw Blythe i zaczęła wywiad.

Rozpoczęła od łatwych pytań: ile Blythe zarabiała, w jakich godzinach pracowała na początku, i ile godzin.

Blythe udzieliła odpowiedzi na te trzy pytania, po czym ziewnęła.

- Przepraszam.

Stella się uśmiechnęła.

- Czy kiedykolwiek zastanawiała się pani, jaki skutek może wywoływać pani praca w życiu młodych mężczyzn, chłopców, którzy nie są jeszcze aktywni seksualnie?

- Skutek? No jasne. Podniecałam ich. To było dla nich bezpieczne i nieszkodliwe.

- Postawiła sobie pani niemożliwy do osiągnięcia cel, prawda?

W jej głosie znowu pojawił się ostry ton.

- Nie jestem pewna, czy rozumiem - rzekła Blythe. Osuwała się na krzesło, coraz bardziej zmęczona.

- Tak ogromnie ułatwiałaś to młodym chłopcom. Połóż się, a ja doprowadzę cię do orgazmu. Odegram twoje fantazje. Nie musisz nawet o mnie myśleć. Nie jestem prawdziwa. Nie znam uczuć. Rozumiesz, jaki to miało wpływ na chłopców?

Blythe trochę się pogubiła. Poruszała tę kwestię z Morgan, ale Morgan była jej superwizorem. Nie była przekonana, czy chce rozmawiać o tym ze Stellą. Zwłaszcza jeśli to ma się znaleźć w książce.

- Spodziewałam się, że wywiad będzie dotyczył innych spraw. Sądziłam, że zajmiemy się tym, jak zarabiałam na studia... - Głos Blythe brzmiał jakoś obco w jej własnych uszach.

Stella wstała i obeszła krzesło, na którym siedziała Blythe, przystanąła za jej plecami.

Blythe próbowała się odwrócić, ale poruszała się w zwolnionym tempie. Zanim zorientowała się, co się dzieje, poczuła, że Stella chwytają w talii, łapie ją za nadgarstki i wykręca jej ręce do tyłu.

## ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY ÓSMY

- Powiedziałam Stelli, że potrzebuję jej pomocy, a ona odparła, że oczywiście chętnie zrobi, co tylko zechcę, ale mówiła jakimś dziwnie zmienionym głosem. Może lepiej zaczekaj na mnie w holu. Wejde pierwsza i wyjaśnię jej, kim jesteś i dlaczego ze mną przysłaś. Niepokoję się. Teraz nie mam wątpliwości, że na pogrzebie w zeszłym tygodniu Stella wyglądała na zestresowaną. Powinnam była wtedy do niej zadzwonić.

Utknęłyśmy w korku na Czterdziestej Dziewiątej, jadąc na zachód. Gdzieś przed nami kierowca oparł się na klaksonie, dokładając swoje trzy grosze do wielkowiejskiego zgiełku. Zaciśnęłam zęby i starałam się zachować spokój. Przeziębienie nie odpuszczało, nadal bolało mnie gardło i w zasadzie czułam się coraz gorzej. Połknęłam tabletkę na kaszel.

- Nie możesz czuwać nad wszystkimi. - Uśmiechnęłam się do Niny. Za swoją powinność uważałam ratowanie ludzkich dusz, Nina zaś miała służyć wszystkim pomocą.

- Przeżyła trudny okres. Najpierw przegrała sprawę, potem straciła Simone. To musiało się na niej odbić.

- Proces, no właśnie. Czy wiedziałaś, że to żona Alana Leightmana wygrała tę sprawę dla firmy pornograficznej?

Nina zmarszczyła czoło.

- Tak. Ależ to było straszne. Stella kompletnie załamała się przegraną. Jakiś tydzień temu jadłam z nią kolację. Powiedziała mi, że czuła się tak, jakby

wszystkie jej wysiłki zostały jednego popołudnia zniweczone. To był potężny cios. A potem, miesiąc później, zmarła Simone.

- Jak ona sobie z tym poradziła? - Siłą woli starałam się nie myśleć o Dulcie.

- Nie wiem, czy w ogóle sobie poradziła. Samochody ruszyły i nasz kierowca też nacisnął gaz. Pięć minut później zajechaliśmy przed budynek, który od razu rozpoznałam.

- Co my tu robimy?

Był to opuszczony Playpen Theatre, a obok występowała Dulcie. Dopóki Alan Leightman o nim nie wspomniał, nie zwracałam na niego specjalnej uwagi, ale od tamtej pory patrzyłam na ten budynek, ilekroć go mijalam, zastanawiając się, dlaczego wciąż stoi, pusty i zaniedbany, pamiątka po tej części Nowego Jorku, której nikt nie chciał zachować dla potomności.

Nina podała banknot taksówkarzowi i czekała na resztę.

- Ten budynek należy do Stelli i grupy feministek. Zamierzały urządzić tutaj ośrodek pomocy dla prostytutek. W związku z tym przeznaczeniem pojawił się jakiś problem, ale kiedy wczoraj zaproponowała, żebyśmy się tu spotkały, stwierdziła, że trudności zostały pokonane i budynek jest w remoncie. Chyba jednak nie jest.

Wysiadłam z taksówki, brnąc między pokrytymi sadzą zaspami śniegu. W tej chwili zdałam sobie sprawę, że nie pada od ponad dwunastu godzin. Niebo nadal było zaciągnięte chmurami, ale może śnieżne oblężenie wreszcie dobiegło końca.

Nina dołączyła do mnie i stanęła obok na chodniku, podnosząc wzrok na markizę i sprośny neon z piersiastą kobietą siedzącą ze skrzyżowanymi nogami, który tworzył literę P w Playpen. Część neonu była stłuczona, mimo to widziałam, że kobieta jest blondynką, ma różowe ręce i nogi i ogromne różowe piersi. Wyobraziłam sobie, jak musiało to wyglądać, kiedy cały neon się świecił, a jaskrawe migoczące kolory rzucały światło na mijających go mężczyzn, zapraszając ich do środka.

Nina pchnęła frontowe drzwi.

W holu było dość ciemno, a kiedy drzwi zamknęły się za nami, zapanowała niemal kompletna ciemność. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i jakaś nuta zapachowa, której nie potrafiłam zidentyfikować moim zapchanym nosem.

Gdzieś z góry dobiegło mnie ciche gruchanie gołębia. Ile ptaków znalazło drogę do wnętrza budynku przez te wszystkie lata? A ile szcurków?

Kiedy moje oczy przywykły do ciemności, zauważyłam cienki snop światła padający spod podwójnych drzwi, obok których pierwotnie znajdował się bufet z wodą sodową i słodyczami. To również tam, jak wspominał Alan, kiedy bywał tutaj jako nastolatek, sprzedawano kasety z filmami i czasopisma dozwolone tylko dla dorosłych. Czulałam duchy mężczyzn, którzy niegdyś chyłkiem wchodzili do teatru, z obawy, że ktoś ich zobaczy. Pragnęli trzymać się od tego miejsca z daleka, a równocześnie mieli świadomość, że wrócą tu następnego dnia, albo dwa dni później.

- Powiem jej, że kogoś ze sobą przyprowadziłam, to mi zajmie najwyżej sekundkę. Poczekaj na mnie, dobrze?

Kiwnęłam głową.

Nina otworzyła drzwi. Ze środka padało słabe migotliwe światło. A potem zniknęła wewnątrz pomieszczenia.





## ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Perez i Jordain przez godzinę przeglądali listę osób, które składały jakieś zamówienie albo wypożyczały książki z biblioteki w ciągu trzech dni, które ich interesowały.

Nie szukali tylko Alana. Szukali również Kiry Rushkoff. A także jakiegokolwiek innego nazwiska, które powtarzałoby się przez te dni.

- Mam jedno - oznajmił Perez, pokazując palcem. - Skądś je znam, ale nie wiem skąd.

Perez obserwował twarz partnera, który przeszukiwał swój działający jak komputer umysł, próbując dopasować do czegoś to nazwisko. Noah Jordain nigdy jeszcze go nie zawiódł. Nie dorównywał innym detektywom, gdy w grę wchodziły przeczucia, ale nadrabiał to niezwykłą zdolnością przyswajania wszystkiego, co dotyczyło osób związanych z każdą sprawą. Wystarczyło, że raz ujrzał jakieś nazwisko, i nigdy go już nie zapomniał.

- To ma coś wspólnego z żoną Alana Leightmana, Kirą Rushkoff. Moment, niech się zastanowię. - Jordain ściągnął brwi.

Perez czekał.

Pół minuty później Noah przypomniał sobie wszystko.

- Mam. Sprawa cywilna. Z zeszłego roku. Wszystkie gazety o niej pisały. Głośne włamanie do systemu komputerowego jakiejś firmy pornograficznej. Cholera, Perez. To był Global. Kobiety, które dla nich pracowały, dostały e-maile, w których ktoś napisał,

że ich szef je wykorzystuje, i namawiał je do buntu. Rushkoff broniła tego drania, właściciela firmy...

Jego twarz wyrażała teraz jednocześnie radość i smutek.

- O kurwa.
- Co?
- Musimy natychmiast znaleźć Stellę Dobson.
- Dlaczego?

Noah Jordain już biegł do samochodu, nawet nie zapinając płaszcza. Przy lodowatym wietrze było dziesięć stopni poniżej zera, ale on wcale tego nie zauważył.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘCDZIESIĄTY

Zanim drzwi zamknęły się za Niną, wsadziłam nogę oddzielając je od framugi, by zostawić w ten sposób choćby szparkę. Niewiele przez nią widziałam: plecy Niny, część foteli, pusty fragment drewnianej podłogi, skraj zniszczonego dywanu.

- Stella? Co się dzieje? - spytała Nina pełna niepokoju.

Działo się coś złego. Ale co?

- Wszystko w porządku. Wszystko w porządku - odparł łamiący się głos.

Długie czarne cienie drgały na ścianie na prawo od Niny.

- Stella, co ty robisz? Nic nie rozumiem.

- Twój dzisiejszy telefon wiele dla mnie znaczył. - Stella mocno podkreśliła słowo „dzisiejszy”.

- Dzisiejszy?

- Myślałam, że wiesz, jaki dziś mamy dzień.

Nina nie odpowiedziała jej od razu. Pewnie zastanawiała się, co to za specjalna okazja, a kiedy wreszcie się odezwała, jej głos był zaprawiony smutkiem.

- Och, Stella, wybaczone. Dzisiaj wypadają urodziny Simone.

- Jej osiemnaste urodziny. Zobacz.

Usłyszałam szelest papieru, a potem znów głos Stelli.

- Kupiłam jej ulubione ciasto. Zaraz zapalimy świeczki. I ja pomyślę życzenie w jej imieniu. Zjesz kawałek tortu, prawda? Zawsze przychodziłaś na jej przyjęcia urodzinowe, jak była mała. Zawsze byłaś moją dobrą przyjaciółką. Teraz możesz być moim świadkiem.

Wsunęłam stopę odrobinę dalej, nieco powiększając szparę. Co się tam dzieje?

- Tak, oczywiście. Chętnie poczęstuję się tortem. Ale, Stella, może zejdziesz ze sceny i usiądziesz ze mną, i najpierw porozmawiamy. Może...

- Nie muszę rozmawiać.

Przestałam przejmować się tym, co powiedziała Nina. I tym, jak bardzo wrażliwa jest Stella. Mówi się, że niektórzy czują kłopoty nosem. Nie wiedziałam, jaki zapach czułam, ale byłam przekonana, że nie wróży on nic dobrego.

Najdelikatniej, jak potrafiłam, otworzyłam szerzej drzwi. Drewno zaskrzypiało. Zamarłam. Stałam tak nieruchomo, że czułam bicie własnego serca. Zaczęłam głośno szczeukać zębami, aż musiałam przygryźć policzek. Pochylając się do przodu, zajrzałam do sali.

Nina stała na prawo od rzędu foteli ze wzrokiem utkwionym w scenę, gdzie znajdowała się Stella, która patrzyła z góry na swoją starą przyjaciółkę. Było dosyć ciemno. Scenę oświetlała tylko jedna słaba goła żarówka, zalewająca wszystko ziemistym światłem. Nie zauważyłam jednak niczego niepokojącego. Po prostu zrozpaczona kobieta stała sama w półmroku sceny.

I wtedy Stella zrobiła krok naprzód, a ja zobaczyłam, co sobą zasłaniała.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

- Nie ma jej w domu ani w biurze. Ale ma tam spotkanie za godzinę i nie odwołała go. - Kilka minut później Tana Butler zdawała Jordainowi raport przez telefon głośnomówiący w jego samochodzie.

- A co z jej komórką?

- Jej asystentka nie chciała dać mi numeru bez nakazu sądowego. Chce pan, żebym się tym zajęła?

- Gdzie jest ta asystentka?

- W biurze. Washington Square Park North numer jeden.

- Jesteśmy w sąsiedztwie. Podjedziemy tam i sami go zdobędziemy. Czego uczy Stella Dobson? - spytał Jordain, zawracając samochód i ruszając z powrotem na zachód.

- Nie wie pan, kim ona jest?

- Wiem, feministką, która robi dużo hałasu. Pytałem tylko, czego uczy.

- To się nazywa studia feministyczne. Dobson jest kimś więcej niż tylko głośną feministką. Jest doskonałą pisarką, która...

- Czytałaś ją, Butler? - wtrącił się Perez.

- Pytasz poważnie czy kpisz?

- Poważnie. Mów szybko, musimy wiedzieć tyle, ile zdołasz nam powiedzieć. Co się z nią ostatnio działo? Dlaczego jest zła? Z czym ostatnio walczyła?

- Jej córka zmarła w czerwcu zeszłego roku. Z przedawkowania.

- To był przypadek? - spytał Perez.

- Tak mówi raport, ale w oparciu o zeznanie Dobson. Kilka miesięcy wcześniej przegrała sprawę cywilną i dostała karę grzywny sześć tysięcy dolarów...

- Jesteśmy na miejscu. Masz coś jeszcze, co powinienem wiedzieć? - Perez wziął telefon i trzymał w ręce, wysiadając z samochodu. Ruszył za Jordainem do biura Stelli Dobson.

- Czytam... moment... tak... O cholera... Ta sprawa jest niepokojąco bliska naszej - powiedziała Tana Butler. - Dobson wynajęła geniusza komputerowego, żeby włamać się do bazy danych Global Communications. Zdobyła adresy e-mailowe wszystkich kobiet, które dla nich pracowały, i napisała do nich, proponując im pomoc w znalezieniu normalnej legalnej pracy.

- To już wiemy. Nie oddalaj się. Dam ci znać, jak będziemy potrzebowali wsparcia.

- Perez, wiesz, że adwokatem, który występował w imieniu tej firmy pornograficznej, była żona Alana Leightmana, Kira Rushkoff? To znaczy...

Ale on już się rozłączył.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Na małym stoliku na środku sceny stał laptop oraz tort urodzinowy. Tort był nieduży, ozdobiony czymś, co wyglądało na bitą śmietaną, z różowymi różyczkami i wystającą ze środka jedną różową świecą.

Blythe miała na twarzy niebieską maskę motyla. Siedziała ponad pół metra od stołu. Jej ręce były związane w nadgarstkach za plecami, a nogi spętane w kostkach, schowane pod krzesłem. Usta zatykała jej jakaś szmata.

- Co robi tutaj Blythe? - spytała Nina.
- Przyszła na przyjęcie, tak jak ty.
- Czy Blythe знаła Simone?

- Nie. Ale Simone знаła Blythe. Ona i ta jej nie-szczesna przyjaciółka znalazły Blythe w Internecie. Ta kobieta nauczyła te dwie niewinne dziewczynki wszystkiego, co umiała. Kiedy ja robiłam, co w mojej mocy, żeby moja córka wyrosła na silną i pewną siebie kobietę, ona siedziała w sypialni i surfowała po Internecie, ucząc się od takich dziwek, jak być dziwką. Kochałam ją. Tak bardzo ją kochałam. A ona zrobiła mi coś takiego. Oto kogo wychowałyśmy, Nina. Ty i ja... my wszystkie, niezależnie od naszych wysiłków, naszego zrozumienia, naszego buntu, naszych krzyków, naszych marszów i odsiadki w areszcie... Ostatecznie wychowałyśmy pokolenie córek, które tak rozpaczliwie pragną zwrócić na siebie uwagę mężczyzn, że są skłonne się poniżyć. Wiesz, co one zrobiły? Moja córka i jej przyjaciółka? Zamieniły się w nowojorskie dziewczyny z Internetu.

Stella podeszła na sam skraj sceny i stamtąd patrzyła na Ninę.

- Nie masz racji - odparła Nina kojącym głosem.  
- To nie jest wina takich dziewczyn jak Blythe. Blythe też jest ofiarą. Kimś, kto wymaga naszej pomocy. Zejdź, usiądź ze mną, porozmawiamy, jak pomóc tym kobietom. Spędziłyśmy całe życie, usiłując im pomóc. Nie możemy się jeszcze poddać.

Nina wyciągnęła rękę do Stelli, chcąc pomóc jej zejść ze sceny. Jej ufność odebrała mi dech. Ona naprawdę wierzy, że nakłoni Stellę do zejścia. O mój Boże, liczyłam na to, że ma rację. Bałam się o nią. I o Blythe.

- Myślisz, że możemy pomóc? - Stella zaśmiała się krótko i nieprzyjemnie. - Przypomnij sobie czasy, kiedy zaczynałyśmy. Co się zmieniło? Jest tylko gorzej, prawda? Kobiety są jeszcze bardziej zepchnięte na drugi plan. Bardziej usługowe. Mężczyźni są bardziej agresywni niż kiedykolwiek przedtem. Teraz już miliony mężczyzn mają do czynienia z pornografią. I czego oni chcą? Kobiet, które rozbijają się na ich oczach. Które niczego od nich nie wymagają. Które akceptują mniej niż nic.

Czułam, że muszę kichnąć, ale wiedziałam, że jeśli to zrobię, Stella mnie usłyszy. A to byłoby niebezpieczne. Z trudem się powstrzymywałam, i na szczęście po kilku sekundach mi przeszło.

- Nina, ona ubierała się jak dziwka. Ona i jej przyjaciółka udawały lesbijki, żeby podniecić tych chłopców. Nagrały się internetową kamerą i wysłały film kolegom, a ci rozesłali go dalej wśród uczniów ich szkoły. I wiesz co? Simone wcale się tym nie przejmowała. Jej się to bardzo podobało. Była pod-



ekscytowana. Nigdy nie widziałam jej szczęśliwszej. Myślała, że jej pragną. Próbowałam jej wytłumaczyć, że oni pragną wyłącznie jej piersi. Jej waginy. Jej jako fantazji erotycznej. Jako obrazka. Że nie chcą z nią rozmawiać, dzielić się z nią czymkolwiek, zrozumieć jej ani pomóc, nie chcą też, żeby ona im pomogła. W niczym. Jedyne, czego pragną, to się przy niej masturbować.

I wiesz, co ona napisała w liście pożegnalnym? Oskarżyła mnie. Napisała, że kochałam ją tylko wtedy, kiedy godziła się być taką córką, jaką sobie wymarzyłam. Napisała, że chciałam, żeby kobiety były silne, a tak naprawdę rozumiałam przez to, że powinny być takie jak ja - silne, to znaczy takie, które nie potrzebują mężczyzn, potrafią wychować dziecko bez mężczyzny, które wolą być same niż komuś podległe. Ona była moim dzieckiem. I myślała, że jej nie Kocham. Wiesz, dlaczego? Z powodu tych kobiet, które nie są kobietami, tych kobiet, które mają kły i pazury. Powiedziała, że byłam na nią zła, ponieważ nie sprostała moim politycznym celom.

Oglądałam ten film i nienawidziłam jej, nienawidziłam własnej córki. Nienawidziłam jej, aż zdałam sobie sprawę, że winne są te wszystkie kobiety. Kochałam Simone. Naprawdę. Kochałam ją i chciałam, żeby wyrosła na godną szacunku kobietę, której nie obchodzą żadne idiotyczne diety, która nie musi malować ust ani stroić się tylko po to, żeby zadowolić jakiegoś mężczyznę. A ona uważała, że nigdy nie kochałam jej tak, jak powinnam.

Przez cały czas, kiedy Stella perorowała, ścisnęła coś i nerwowo przekładała to z ręki do ręki.

Zapach, który wychwyciłam po wejściu do teatru, tutaj był silniejszy, lecz nadal nie umiałam odgadnąć, co to jest. Był tak rzadki, że nie mogłam go rozpoznać. Ale przeziębienie osłabiło mój węch. Tak czy owak nie to było teraz najważniejsze. Musiałam słuchać Stelli. Musiałam pilnować Niny i uważać na Blythe. Musiałam znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

- Rozumiesz chyba, że to, co stało się Simone, nie mogło ująć bezkarnie. To, co wyczyniają te dziwki czarownice, musiało wywołać reperkusje. Ktoś musiał je ukarać.

- Simone nie umarła z powodu przypadkowego przedawkowania, prawda?

- A co to ma do rzeczy? Tu chodzi o kobiety, które nauczyły Simone być dziwką. Które ją zatrwały. - Jej głos w końcu załamał się, ale jej mina pozostała wyzywająca. - Rozumiesz? Podczas gdy ja walczyłam o to, żeby ratować takie dziewczyny, moja własna córka została jedną z nich. Więc wynajęłam kogoś, kto włamał się do serwera tej strony pornograficznej. Wszyscy myśleli, że przejmowałam się tym, że mnie złapali. Że przejmowałam się procesem. Ja nie przegrałam. To ta dziwka Rushkoff przegrała. Dowiedziałam się, że jej mąż ogląda te dziewczyny. Używał w sieci pseudonimu, ale miałam wyciągi z jego karty kredytowej. To było cudowne odkrycie. To było coś, co mogłam wykorzystać.

Stella zaśmiała się. Jeśli planowała jakąś katastrofę, to była bliska jej urzeczywistnienia, i coraz bardziej ją to nakręcało. W międzyczasie dziwny zapach przybierał na sile. Zauważyłam, że Stella także wciągnęła powietrze. A potem się uśmiechnęła.

- Ona nie miała pojęcia, że jej własny drogi mężulek należy do mężczyzn, którzy nie mogą się od tego oderwać. Pieprzony sędzia Alan Leightman. Płacił za to, żeby oglądać te same dziwki, które zabiły Simone. Teraz siedzi w więzieniu. Wiesz o tym? Płaci za swoje grzechy. Swoje i swojej żony. Taki mały żarcik jej zrobiłam. Sam się zgłosił. Wyobrażasz sobie?

- Nic z tego nie przywróci Simone do życia  
- powiedziała Nina.

- Nie, ale to zabierze mnie do niej. Pójdę do niej i złożę jej w ofierze swoją zemstę. I wtedy ona mi wybaczy.

Muszę zadzwonić na policję i wezwać ich jak najprędzej. Ale jak mam to zrobić bez hałasu? Mogłabym wycofać się, licząc na to, że zdołam iść dość cicho, by nie przestraszyć Stelli, albo próbować wybrać numer, nie ruszając się z miejsca.

Ale jak mam wypowiedzieć choćby słowo tak, by Stella nie zorientowała się, że tam jestem? Czy policja zareaguje, jeśli wybiorę numer, ale się nie odezwę? Nie, to niemożliwe. Jeśli zadzwonię z komórki, nie zlokalizują mnie. A zatem muszę się wycofać i zamknąć drzwi. Najpierw jednak poczekać, aż Stella się odwróci. Gdyby mnie zobaczyła, wpadłaby w panikę. Ryzyko jest zbyt duże.

- Stella, wiem, że jesteś bardzo zdenerwowana. Nie wyobrażam sobie, jakie to straszne, kiedy córka odbiera sobie życie. Ale Blythe nie ma nic wspólnego z samobójstwem Simone - powiedziała znów Nina, usiłując przemówić starej przyjaciółce do rozumu.

- Ona upokarzała się dla tych chłopców, a oni mimo to traktowali ją jak powietrze. Rozesłali ten

plik i wszyscy go oglądali, i nadal nie chcieli mieć z nią do czynienia. Kiedy się o tym dowiedziałam, zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby ona to zrozumiała. Chciałam pomóc jej się oczyścić. Ale... ale... ona nie słuchała mnie. Pragnęła tylko tego, żeby jeden z tych chłopców włożył jej penisa do ust. Tylko to się dla niej liczyło, a skoro nie mogła tego mieć...

Widziałam w oczach Stelli, że za moment straci nad sobą panowanie.

- Koniec wyjaśnień. Koniec. Jestem zmęczona. To wszystko, czego chciałam. Dać jej ten prezent na urodziny. Prawie wszystkie dziewczyny, które naśladowała, zostały ukarane, zatrute tym samym, co zatrulo Simone. Ona jest ostatnia. - Stella wskazała głową Blythe. - A teraz pora życzyć mojej córeczce wszystkiego najlepszego. Zaśpiewasz ze mną, Nina? Śpiewaj. Happy birthday to you. - Fałszowała załamującym się głosem.

Nina nie dołączyła do niej.

- Masz ze mną śpiewać.

Widziałam już wiele zrozpaczonych osób, a mimo to za każdym razem robiło to na mnie równie wstrząsające wrażenie. Stellę dla odmiany ogarnęła teraz złość. Jej oczy płonęły. Bawiła się czymś, co trzymała w dłoni. To coś upadło. Pochyliła się, by to podnieść.

Wreszcie dostrzegłam, co to było.

Pudełko zapalek.

Oczywiście, przecież zamierzała zapalić świeczkę na torcie.

Nie pamiętam, kiedy wreszcie poskładałam elementy tej układanki.

Najpierw długo nie rozpoznawałam unoszącego się w teatrze zapachu, a potem nagle zabrakło mi tchu i wszystko stało się jasne. Nie było czasu na myślenie. Nawet wołając do Niny, nic bym nie zdziałała. Wyjaśnienia trwałyby zbyt długo.

Jednym powolnym ruchem Stella przesunęła swoją prawą stopę naprzód, później dosunęła do niej lewą stopę. Znajdowała się teraz tylko dwa kroki od Blythe, stolika i tortu. Zobaczyłam, że jej ręka drży, ta, w której trzymała zapalki, a zaraz potem dobiegł mnie spotęgowany dźwięk uderzających o siebie drewnianych patyczków.

Biegiem ruszyłam na scenę, pokonując po dwa stopnie naraz. Kątem oka widziałam Ninę, która stała osłupiała, z otwartymi ustami tworzącymi małe „o”.

Stella otworzyła pudełko. Wyjęła zapalkę. Zapalka upadła na podłogę. Stella spojrzała na nią. Pochyliła się i ją podniosła. Stała. Trzymała zapalkę, gotowa ją zapalić.

Doskoczyłam do niej i wytraciłam jej pudełko z rąk.

Zszokowana, nie patrzyła na mnie, tylko na rozsypane zapalki.

- Muszę to zrobić. Ona jest ostatnia. Obiecałam Simone. Muszę to zrobić. Odejdź. - Pchnęła mnie z wielką siłą.

Nie byłam na to przygotowana i poczułam, że tracę grunt pod nogami. Z trudem utrzymałam równowagę.

- Nina! - wrzasnęłam. - Tu jest pełno gazu. Ona ma zapalki. Chce wysadzić nas w powietrze. Uciekaj. Zadzwoń po policję.

Stella zbliżała się do mnie z wyciągniętymi rękami i zaciśniętymi pięściami. Celowała w moje oczy. Uchyliłam się. Chwyciła mnie za włosy i pociągnęła. Usłyszałam swój własny krzyk i zamachnęłam się prawą ręką. Gips uderzył ją w twarz. Zdawało mi się, jakby coś pękło. Mój nadgarstek? Gips? Stella zachwiała się do tyłu, zasłaniając twarz. Krzyczała. Krew ciekła między jej palcami.

Wtedy stanęła przy nas Nina.

Palce Stelli były ubroczone krwią. Krew spływała jej po brodzie i skapywała na szyję. W tym momencie dotarło do mnie, że ja jej to zrobiłam.

Kiedy Nina związała ręce Stelli za plecami moim szalikiem, wyjęłam knebel z ust Blythe. Odurzona lekami, spojrzała na mnie szklanym wzrokiem.

- Wszystko będzie dobrze. Trzymaj się - powiedziałam jej.

Niezdarnie wyjęłam komórkę z torebki jedną ręką, wybrałam numer 911, podałam adres teatru i poprosiłam, żeby przysłali policję i karetkę.

- Jest tutaj młoda kobieta, która prawdopodobnie została otruta. Pospieszcie się.

Wiedząc, że im więcej informacji podam ratownikom, tym bardziej wzrosną szanse Blythe na przeżycie, przekazałam im wszystko, co wiedziałam. Kiedy się rozłączyłam, odwróciłam się do Stelli.

Siedziała w kącie sceny i lekko kołysała się do przodu i do tyłu, jakby słuchała muzyki i poruszała się w jej rytm. Nina stała nad nią. Patrzyła na swoją starą przyjaciółkę z bezbrzeżnym smutkiem.

- Co jej podałaś? - spytałam Stellę.

- Ona cię nie słyszy, Morgan - stwierdziła Nina.

Zdawałam sobie sprawę, w jakim stanie jest Stella, to było oczywiste, a jednak nie chciałam się poddać.

- Co podałaś Blythe?

Stella nie podniosła na mnie oczu. Utkwiła wzrok przed siebie, gdzieś za Niną i za mną, za sceną, za murami teatru, poza tą chwilą.

- Co dałaś Blythe? - Teraz już krzyczałam.

Stella zaczęła odpowiadać mi zachrypłym szepcieniem, a ja skoczyłam naprzód, żeby słyszeć każde słowo.

- Happy birthday to you, happy birthday to you...  
- śpiewała cienkim, załamującym się głosem.

- Co dałaś Blythe?

Przestała śpiewać, jakby w końcu usłyszała pytanie, i przekrzywiła głowę w moją stronę, a ja poczułam przypływ nadziei.

- Gdybyśmy miały tort... - Głos Stelli był cichy i pozbawiony modulacji. - Simone byłaby taka szczęśliwa. Cieszyłaby się, widząc nas wszystkie. Gdybyśmy miały tort, Simone byłaby taka szczęśliwa. Cieszyłaby się, widząc nas wszystkie...

W międzyczasie Nina otworzyła torebkę Stelli i zaczęła ją przetrząsać.

- Miejmy nadzieję, że to wszystko, co zaaplikowała Blythe. - Trzymała w ręku opakowanie popularnych pigułek nasennych na receptę.

Chociaż było to zapewne bezcelowe, spróbowałam jeszcze raz.

- Dałaś jej te pigułki, Stella? Ile?

- Gdybyśmy tylko miały tort... Simone byłaby bardzo szczęśliwa, widząc nas wszystkie. Gdybyśmy tylko miały tort, Simone byłaby taka szczęśliwa. Cieszyłaby się, widząc nas wszystkie...

Jej recytacji nie przerwał nawet przyjazd policji i zaraz potem ratowników.





## ROZDZIAŁ DZIEWIĘCDZIESIĄTY TRZECI

W niedzielę odebrałam Dulcie z teatru po spektaklu o trzeciej. Siedziałyśmy w milczeniu w samochodzie, kiedy zjeżdżał z krawężnika. Czekало nas rozwiązanie paru problemów. Mitch powiedział mi, że Dulcie nadal upiera się przy tym telewizyjnym serialu, ponieważ dotąd nie wybrali odtwórczyni proponowanej jej roli.

Kierowca jechał na zachód, skręcił w Ósmą Aleję. Światła się zmieniły. Zatrzymaliśmy się dosłownie dwa metry od teatru Playpen.

Minęły ledwie dwa dni od chwili, kiedy Stella o mały włos nie wysadziła nas w powietrze.

Blythe opuściła już szpital i odpoczywała w domu z rodzicami. Dostała od Stelli pigułki nasenne, na szczęście tylko tyle, że ją otumaniły. Stella przebywała na obserwacji w szpitalu psychiatrycznym. Wątpiłam, by ją kiedykolwiek stamtąd wypuszczono.

Wstrząsnął mną dreszcz. W teatrze nie myślałam o tym, jak wielkie niebezpieczeństwo nam grozi, ale teraz, siedząc obok Dulcie, uderzyło mnie to bardziej, niż się spodziewałam.

Dla mnie ważne było tylko jedno: żeby wszystkich chronić. Dulcie. Ninę. Blythe. Moich pacjentów. Dawno temu moją matkę. Zupełnie zapomniałam o sobie. To było coś, nad czym - posługując się terminologią analityczną - będę musiała popracować.

- Co chcesz robić dzisiaj po południu? - spytałam Dulcie, kiedy samochód znowu ruszył.

Wzruszyła ramionami.

- Nina zaprosiła nas na łyżwy. Masz ochotę?

Zauważyłam, że moja sugestia wzbudziła jej zainteresowanie. Otworzyła szerzej oczy i prawie się uśmiechnęła, ale potem przypomniała sobie, że była na mnie zła.

- Może być.

Udało jej się powiedzieć to pozbawionym wyrazu głosem. Rzeczywiście jest skończoną aktorką. Pomyślałam o mojej matce i westchnęłam. Nie mogłam nic na to poradzić.

Na lodowisku w Central Parku płynął walc, lód lśnił, dziesiątki par srebrnych łyżew połyskiwało, przemykając obok nas. Obserwowałam moją córkę, podobnie jak kiedyś zapewne Nina obserwowała mnie. Wiatr zdmuchiwał do tyłu jej ciemne włosy, a jej oczy błyszczały, kiedy mknęła wzdłuż lodowiska tak szybko, że widziałam jej stopy jak przez mgłę.

Nina i ja sunęłyśmy naprzód bardzo statecznie, trzymając się za ręce. Ona bała się, że z powodu gipsu mogą nie utrzymać równowagi. Ja nie obawiałam się tego, ale nie przeszkadzała mi jej bliskość ani troska, jaką mnie otaczała. Niezależnie od przenikliwego zimna, jeździłam w kółko, patrząc na zwinne ciało mojej córki śmigające po lodzie, czując ciepło ręki Niny w swojej dłoni. Zataczałyśmy koło za kołem, a żadne z nich nie miało początku ani końca.

Później pojechałyśmy do domu Niny. Siedziałam przy kuchennym stole, a Nina i Dulcie krzątały się przy kuchence, rozpuszczały czekoladę w podwójnym garnku, aż zrobiła się lśniąca i miękka, a potem dodały do niej mleko. To nie było gorące kakao, ale gorąca czekolada, przygotowana w taki sposób, w jaki robią ją od trzystu lat w Europie. Taką właśnie

czekoladę Dulcie chciała wypić u mnie w domu dwa tygodnie temu.

Kiedy już wszystkie zasiadłyśmy wokół stołu, popijając gęsty, aromatyczny napój i chrupiąc ciasteczka, Nina spytała Dulcie o sztukę, a ja wysłuchałam monologu mojej córki na temat nagród i frustracji związanych z występami na Broadwayu. Nie zaskoczyło mnie, gdy Dulcie bardzo zgrabnie zmieniła temat i zauważyła, o ile bardziej podniecające byłoby, gdyby każdego tygodnia mogła grać co innego. Czyli na przykład przyjąć rolę w telewizyjnym serialu.

Udało jej się nawet rzucić mi wymowne spojrzenie, na które jednak nie zareagowałam.

Popijałam gorącą czekoladę i dumiałam, jak mam odzyskać moją córkę, nie ulegając jej zachciankom.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

Później tego samego wieczoru zajrzałam do pokoju Dulcie, by powiedzieć jej dobranoc. Drzwi były otwarte, a moja córka leżała w łóżku i oglądała powtórkę filmu o warsztacie aktora.

Weszłam do pokoju, usiadłam obok niej, wzięłam do ręki pilota i wyłączyłam głos.

- Wiem, ile znaczą te ciębie te przesłuchania, ale nie weźmiesz w nich udziału, niezależnie od tego, jak bardzo będziesz mnie dręczyć. Nie wiem, jak ci to wyjaśnić. Gdyby jedna z moich pacjentek miała podobny problem, z pewnością umiałabym jej pomóc. Ale jestem tylko twoją matką i jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że nie chcę, żebyś już w tym wieku musiała radzić sobie z presją i stresem, związanymi z telewizyjnym serialem.

- Tak, tak. Doktor Grzech ratuje grzeszników, ale nie ma pojęcia, co zrobić z własną córką.

- Co masz na myśli, mówiąc, że ratuję grzeszników? - Przyzwyczaiałam się już, że nazywała mnie doktor Grzech, ale tym razem nie była tylko sprytna i rezolutna, tym razem rzuciła mi nowe wyzwanie.

Okazało się, że oglądała wiadomości w telewizji, a Mitch wspomniał jej o wydarzeniach w teatrze Playpen. Słyszała, że uratowałam życie jakiejś kobiety i że ta kobieta rozbierała się przed internetową kamerą - a zatem była grzesznikiem.

Do tego wieczoru próbowałam chronić Dulcie przed wieloma rzeczami, jakimi się zajmowałam. Zawsze uważałam, że jest zbyt młoda, aby ją o tym informować. Ale w końcu była tylko trzy lata młod-

sza od Simone i Amandy, kiedy kręciły swoje filmy pornograficzne.

A zatem przez kolejną godzinę opowiadałam Dulcie o dwóch najlepszych przyjaciółkach, ich uczuciach do kolegów w szkole, ich poczuciu bezradności. Powiedziałam jej, co w końcu wymyśliły, i jak to zamieniło się w koszmar, przed którym nie mogły uciec. I że niestety jedna z nich odebrała sobie życie, a druga chodzi na terapię i otrzyma najlepszą możliwą pomoc.

Kiedy skończyłam, odsunęłam kosmyk ciemnych włosów z twarzy mojej córki i spojrzałam w jej niebieskie jak bławatki oczy.

- Wiem, czego pragniesz, ale nie mogę ci na to pozwolić. Muszę cię chronić. Obiecuję, że nie zważuję i nie zamknę cię w domu. Możesz nadal grać w teatrze. A kiedy spektakl zejdzie z afisza, jeśli zechcesz grać w kolejnej sztuce, możemy o tym porozmawiać. Ale chcę mieć cię przy sobie jeszcze kilka lat. Chcę mieć szansę na to, żeby zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc ci w tym ostatnim etapie dojrzewania. I żebyś ty mi w tym pomogła.

Nie przerywała mi. W dalszym ciągu nic nie mówiła. Miałam nadzieję, że nie popełniłam błędu, zapoznając ją z historią Amandy i Simone.

- Napijesz się trochę wody, zanim zaśniesz?

Pokręciła głową.

- Jestem bardzo zmęczona, mam - odparła, chowając się pod koldrę. Była taka mała pośród tych wszystkich poduszek i nakryć.

Nie spodziewałam się, że zgodzi się ze mną ani że zarzuci mi ramiona na szyję i powie, że mnie kocha

i zrobi wszystko, co zechcę. Tylko na to liczyłam. Na zawieszenie ognia. Na to, że wysłucha, co mam do powiedzenia.

Byłam jej taka wdzięczna.

Jeżeli tylko Dulcie pozwoli mi siedzieć na skraju łóżka i rozmawiać z nią, jeśli tylko będzie mnie słuchała, jeśli tylko wchłonie to, co mam jej do powiedzenia, o nic więcej nie poproszę. Wielu rodziców nawet na to nie może liczyć.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

Dulcie spała jeszcze, kiedy w poniedziałek rano wychodziłam z domu. Poprosiłam Mary, naszą gosposię, żeby spróbowała ją przekonać, by jej śniadanie nie ograniczyło się do soku pomarańczowego.

- Gdyby widziała, że pani coś je, też by jadła. Ona robi to samo, co pani, nie wie pani o tym? Chce być taka sama jak pani - zbesztala mnie Mary i skonsternowana zobaczyła uśmiech na mojej twarzy.

Na chodnikach leżało już coraz mniej śniegu. Oczywiście, wciąż panował ziąb, ale pachnące czystością powietrze było raczej orzeźwiające niż przykre.

Dwadzieścia minut później siedziałam przy swoim biurku. Właśnie skończyłam rozmawiać z Blythe, która zadzwoniła, by powiedzieć mi, że jest prawie gotowa wrócić do pracy, ale chciałaby zacząć od kilku sesji ze mną. Kiedy uzgadniałyśmy termin, do mojego gabinetu zajrzała Allison.

- Alan Leightman czeka. Może wejść?

Nie spodziewałam się go w tym tygodniu.

W ciągu pierwszych pięciu minut oznajmił mi, że kiedy wypuszczono go w piątek, przeniósł się do hotelu, i zgodził się chodzić na terapię z Kirą.

- Chciałbym żyć w prawdziwym dobrym związku. Nie wiem, czy uda mi się to z Kirą, ale obydwójgu nam jestem winien tę próbę. Kiedyś spytała mnie pani o pierwszą kobietę, którą widziałem nago, a ja odparłem, że oglądałem ją przez szybę w teatrze. Wie pani, że dla mnie wszystkie kobiety są jakby za

szybą? Za teatralną szybą. Za szkłem ekranu monitora. Czy możemy to zmienić? Czy to zmienimy?

Mogłam go zachęcać do pracy nad sobą, i zachęcałam. Ale niezależnie od tego, jak wiele chciałam uzyskać, nie miałam prawa składać mu żadnych obietnic. Mogliśmy co najwyżej próbować, zawsze można co najwyżej próbować.

W południe włożyłam płaszcz, zesłam na dół i wybrałam się za róg do hotelu Regency.

*Maitre d'hotel* zaprowadził mnie do stolika. Noah wstał na powitanie. Uśmiechał się, i chociaż nadal wyglądał na niewyspanego, widać było, że jednak trochę odpoczął.

- Jak twój nadgarstek? - spytał, kiedy usiadłam i zaakceptowałam czerwone wino, które zamówił.

- Nie najgorzej. Lekarz stwierdził, że nie zrobiłam mu większej krzywdy.

- Nie zrobiłaś większej krzywdy? Rozbiłaś jej nos. Złamałaś go w dwóch miejscach.

Rozmawialiśmy o Blythe i jej samopoczuciu, o postawieniu Stelli w stan oskarżenia i o trzech kobietach, które zapłaciły życiem za to, że pewna córka nie spełniła oczekiwań swojej matki. Wierciłam się na krześle i przez chwilę czułam się niekomfortowo, myśląc o swoich oczekiwaniach wobec Dulcie. Mówiliśmy o czterech minionych dniach i o tym, jak Dulcie przystosowuje się do bycia ze mną po powrocie do domu.

- Będzie dobrze.

Skinęłam głową, bo chciałam mu wierzyć.

- Wiem, że nie mam żadnej kontroli nad tym, co się z nią dzieje. Chcę tylko pomóc jej znaleźć własną



drogę, i żeby to było dla niej jak najmniej bolesne. Ale być może nawet to mi się nie uda. Niezależnie od tego, ona będzie wiedziała, że ją kocham. Nie jakąś ideę, tylko ją.

Myślałam o Stelli Dobson i młodej dziewczynie o imieniu Simone, której nie poznałam.

- Najlepsze, co zrobiłaś dla Dulcie, to to, że pokazałaś jej, że kochasz ją taką, jaka jest. Kiedy wyruszy z takim poczuciem w świat, będzie czuła się relatywnie bezpieczna. Tak będzie, Morgan.

Spojrzałam na niego z uśmiechem.

- No więc to jest trochę skomplikowane - zaczął znów Noah, zmieniając temat.

- Spotkanie ze mną?

- Tak, cóż, powód, dla którego chciałem z tobą pogadać.

Pojawił się kelner z butelką wina i napelnił nasze kieliszki. Noah czekał, aż kelner się oddali.

- No więc jestem tutaj, żeby zaproponować ci pracę - oznajmił.

Poprzednim razem byliśmy sami pięć dni temu, tego właśnie ranka, kiedy Noah mnie ubierał, kiedy kochaliśmy się, a potem, przy śniadaniu, spieraliśmy się po raz drugi - a może trzeci - o to, czego nie mogłam mu powiedzieć na temat Alana Leightmana, chociaż chciałam, żeby mi uwierzył. Nie po raz pierwszy doszło między nami do spięcia z powodu jego i mojej pracy, a ilekroć tak się zdarzało, wiedziałam, że będzie to miało fatalne konsekwencje.

Wydawało się, że od tamtej pory minęło o wiele więcej czasu, ale nie aż tyle...

- Pracę? Czy to żart?

Potrząsała głową i spojrzała na mnie trochę smutno. Siedział dość blisko, więc czułam zapach jego rozmarynowo-miętowej wody kolońskiej.

- Nie.

- Okej, strzelaj. Przepraszam. Źle wybrałam słowo.

Machnął ręką na moje przeprosiny.

- Departament Policji w Nowym Jorku, wydział specjalny do spraw ofiar zbrodni na tle seksualnym, poszukuje szefa psychologów kryminalnych. Szukamy już ponad miesiąc. - Głos Noaha zadrżał. Odchrząknął. - Masz świetnie kwalifikacje. Nie znaleźliśmy dotąd odpowiedniej osoby na to miejsce. Albo, powinienem powiedzieć, znaleźliśmy. Ty mogłabyś je zająć. Byłabyś idealna. Uważałem, że powinienem cię przynajmniej o tym poinformować. Nie podejmuję za ciebie decyzji. Sądziłem, że może spodoba ci się to wyzwanie.

- Za milion lat nie zgadłabym, że właśnie o tym będziesz ze mną rozmawiać.

- Ja też.

Sala nie sprzyjała romantycznym spotkaniom. Tu załatwiano się interesy. Czyste proste linie, sztywne obrusy. Mężczyźni i kobiety w biznesowych strojach. Noah był prawdopodobnie najbardziej swobodnie ubranym gościem. Miał na sobie skórzaną marynarkę, czarny golf i dżinsy.

Odwróciłam wzrok. Patrzyłam na jakichś obcych ludzi. Przez okno. Wszędzie było nie na twarz Noaha. Rozczarowanie, jakiego doznałam, przypomniało mi, że nikt nie jest wolny od żalu. Ukłucie strachu ostrzegało mnie, że miłość oznacza utratę mocy, a jednak jeśli nawet czasami tylko ta moc zachowy-

wała mnie przy zdrowych zmysłach, nie zawsze warto kurczowo jej się trzymać.

Tydzień wcześniej uznałabym, że Noah potrafi czytać w moich myślach, ale kiedy w końcu zerknęłam na niego, spojrzął na mnie zmętniałym wzrokiem. W jego oczach nie było żadnej iskry.

- Pozwól, że powiem wprost - rzekłam. - Gdybym przyjęła tę pracę, nie moglibyśmy się widywać, prawda?

- No cóż, widywalibyśmy się, ale wyłącznie zawodowo. - Wzruszył ramionami. Jakby to nie powinno nic znaczyć dla żadnego z nas.

- Wreszcie zakończylibyśmy te przepychanki. Bylibyśmy przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi. - Jego nowoorleański zaśpiew spowalniał słowa i jakby odbierał im znaczenie oraz wagę.

- Czy tego właśnie chcesz?

- Byłoby łatwiej.

- Czy tego właśnie chcesz?

Nie zamierzał mi odpowiedzieć. Nie musiał tego robić. Pochyliłam się, przysuwając się tak blisko, jak tylko było to możliwe, położyłam moją zdrową rękę na jego ramieniu, jakbym chciała nas połączyć na zawsze, a potem go pocałowałam.

Z początku zaciskał wargi.

I nie otworzył ich.

Straciłam go. Za długo czekałam.

Ale potem... potem, w końcu, przysunął się, uniósł rękę i ujął moją twarz w dłonie. Przyciągnął mnie do siebie tak blisko, jak tylko się dało w tej pozycji, i oddał mi pocałunek.

I to nie taki, jaki otrzymałabym od mężczyzny,  
który proponuje mi pracę.

Nie, wcale nie taki.

